# ZA KRÓLA OLBRACHTA.

# ZA KRÓLA
# OLBRACHTA

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

TEODORA TOMASZA JEŻA.



ODBITKA Z NIWY.

WARSZAWA.

W Drukarni Władysława Dębskiego, Senatorska, Nr. 20,
wprost Kościoła Ś-go Antoniego.

1876.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 28 Октября 1876 года.

w Drukarni Władysława Dębskiego, Senatorska, Nr. 20.

1876

I.

# MNICH NIE MNICH.

We Lwowie na rynku trębacze trąbili.

Trąbili trębacze i muzyki się odzywały, a odzywały się tąk ponętnie, że gdzie jeno odgłos onych doszedł, wszędzie ludzie się zatrzymywali, zastanawiali, zasłuchiwali i, słuchając, doznawali tego nieokreślonego uczucia, dzięki któremu człek staje się zaczarowanym niby. Coś wywierało na nich magnetyczną siłę pociągu, jakby byli żeglarzami i do słuchów ich zalatywał daleki śpiew syreny. I ściągali się zewsząd na rynek, na którym formowała się kupa jedna, kupa druga i kupa trzecia, każda gęsta i każda przed gospodą, naznaczoną wiechą a przyozdobioną w lekko wiatrem poruszany sztandar. Wiech na rynku sterczało więcej, lecz sztandarów tylko trzy, każdy barwy innej, a na każdym herb rycerski, otoczon malowaniem, przedstawiającem dzidy, halabardy, buławy, miecze i wieńce.

Jeden sztandar żółty, na nim tarcza, na tarczy panna na niedźwiedziu, u panny ręce rozkrzyżowane, włosy rozpuszczone i korona na głowie.

Drugi sztandar błękitny, na nim tarcza, na tarczy podkowa, na podkowie krzyż, na krzyżu ptak ze skrzydłami wpółpodniesionemi i z pierścieniem w dziobie.

Trzeci sztandar czerwony, na nim tarcza, na tarczy czasza, a z tej głową i łapami przedniemi wyłazi pies.

Panna na niedźwiedziu, ptak na krzyżu i pies w czaszy, wyginając się w fałdach sztandarów, poruszały się, jakby żywe. Sądząc po ruchu, sztandary wydawać musiały szelest, ten atoli ginął, głuszony zgiełkiem, jaki panował na rynku a pochodził od rozmów, od muzyki i od trąbienia.

Trąbienie nie brzmiało ustawicznie; odzywało się jeno kiedy niekiedy i, gdy się odzywało, to było zaprawdę co, nie tylko słyszeć, ale i widzieć. Wychodziło z gospody trzech ludzi w strojach dziwnie pięknych, różnobarwnych, błyszczących, w kołpakach połyskujących od galonów, blaszek i szkiełek, z długiemi w rękach mosiężnemi trąbami przybranemi w sznury, frendzle i kutasy i w płachty kwadratowe koloru takiego samego co sztandar, z takim samym jak na sztandarze herbem. Ludzie ci stawali rzędem, instrumenta razem podnosili, do ust je przykładali, policzki nadymali i wygrywali: tra ra, tra ra, tra ra ra... Trąby od ust odejmowali, w prawo się zwracali i znów wygrywali. Zwracali się następnie w lewo, w ostatku w tył i grali. Zwracanie się ich miało na widoku cztery świata strony, w które słali odzew i ten szedł het... daleko, daleko. Miarkując po potędze onego, nikt nie wątpił, że się dostawał: z tej strony za Karpaty na panońskie stepy, z tej na rozłogi ukraińskie, z tej na piaski mazowieckie i bory litewskie, z owej na pagórki małopolskie, na niwy wielkopolskie, na trzęsawiska szlązkie, że uderzał o grzbiety gór, o brzegowiska mórz.

— Tra ra ra... tra ra ra...

Po wydaniu odzewu trębacze cofali się. Wówczas zaczynała muzyka, która zapełniając przestanki pomiędzy trąbieniem jednem a drugiem, wciąż się słyszeć dawała. Muzyka składała się z piszczałek, z rzeszota i z wielkiego tarabana. Piszczałki szczebiotały, rzeszoto wydawało odgłos furczący, taraban huczał, wszystko zaś razem brzmiało w takt, od którego nogi słuchaczów same się podrywały,

bądź do dreptania lub podskakiwania w miejscu, bądź też do wyciągania się pod miarę rachunku: raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy...

W cieniu sztandarów stały na kozłach stoliki drewniane, zastawione dzbanami i kuflami; przed stolikami ławy i stołki, a na tych mężowie rycerscy, poważni, groźni, zadumani. Patrząc na nich rzekłbyś: losy świata na barkach swoich dźwigają. Mężowie ci siedzieli i z kufłów popijali, raz miód, znów piwo, naprzemian; popijając, wąsy sobie rękawami obcierali.

Ten co się znajdował pod sztandarem żółtym, trzymał dłonie przed sobą palcami splecione; ten co siedział pod sztandarem błękitnym, oparł się o stół łokciem i usta sobie zagryzał; ten z pod sztandaru czerwonego rękę prawą wyciągnął i na stole palcami bębnił. Względem otaczającej ich, a ciekawie się im przypatrującej ciżby zachowywali obojętność jaknajzupełniejszą. Ciżba wszakże względem nich wcale się obojętną nie okazywała, owszem, zajmowała się nimi żywo, o czem następująca przekona nas rozmowa.

— No... więc?... było zapytanie, zadane przez niemłodego, na mieszczanina z pozoru wyglądającego człowieka, młodemu — wybrałeś?..

— Hm...— odparł zapytany, ramionami rzucając. Licho wie... Dobrym wydaje mi się i ten i ten i ten, najlepiej jednak patrzy niby... ten, z pod psa.

— Z pod Korczaka...— poprawił wnet niemłody — nie z pod psa, ale z pod Korczaka...— Powiadam ci przecie Ignasiu: klejnot w żółtem polu to Rawicz, w błękitnem Ślepowron, w czerwonem, to Korczak...— Trzeba, żebyś dobrze o tem pamiętał...

— Kto tam by spamiętał!..— odrzucił młodzieniec od niechcenia.

— Trzeba, żebyś pomnił... — powtórzył stary z naciskiem.— Zachciewa ci się wojaczki, iść musisz pod chorągiew... — Idąc pod chorągiew, wiedzieć powinieneś pod jaką.— Rycerskie godło, to rzecz... hm... Chyba, żeś się rozmyślił i wolisz pozostać przy łokciu ojcowskim...

— Za nic!..— krzyknął młody człowiek.

— I!.. nie zarzekaj się... Łokieć jednak czekać będzie na ciebie...—powrócisz to dobrze, nie powrócisz, drugie dobrze... — tymczasem zaś, pamiętaj sobie — tu, mówiąc, palcem kolejno ukazywał—

to Rawicz, to Ślepowron, to Korczak... Pod Rawiczem rotmistrzuje imćpan Mikołaj Kruczek...

— Kruczek?..— zapytał młodzieniec ze zdziwieniem niejakiem.— Ten zadumany?...

— Ten sam... nazywa się jak pies, to mu jednak nie przeszkadza być animuszu bardzo rycerskiego... Pod Ślepowronem, nie wiem kto rotmistrzuje, musi to być wszakże człek znaczny z Mazowsza, kiedy mu tameczne książę nad hufcem mazowieckim dowództwo powierzyło...

— Toć hufiec ten nie nader sutym jest chyba... — zauważył młody człowiek.

— Hm...— mruknął stary. Mazowszanie nie pogarnęli się pod chorągiew i nie dziwota... Droga im daleka i nie o ich chodzi skórę... wybrało się ich, jak słychać, setek ze trzy, a powinnoby być najmniej sześć... Dlatego to chorągiew mazowiecka w grodzie naszym braki dopełnić usiłuje... Rusini do wojaczki pochopniejsi aniżeli Mazury...

— I dopełni?..— było młodzieńca zapytanie od niechcenia rzucone.

— Hm..— była odpowiedź starego. Ten zaś — ciągnął dalej — co rotmistrzuje pod Korczakiem, to imć Roman Czuryło, człek wielce zasłużony i w potrzebach bywały...

— Nie darmo też coś mnie do niego ciągnie... — rzekł młodzieniec.

I zdaleka na rotmistrza spoglądał wzrokiem, w którym się malowało spółczucie w połączeniu z ochotą.

Obok dwóch tych rozmawiających stał zakonnik, ubraniem wydający braciszka należącego do jednego z klasztorów założonych wedle modły podanej przez św. Franciszka — habit na nim bury, biodra otoczone pasem w kształcie powrozu, zaopatrzonym w węzły zwane pospolicie ogórkami. Głowę miał pochyloną i oczy przymrózone. Pół oblicza osłaniała mu broda gęsta ciemna. Zdawało się, jakoby pogrążonym był całkowicie w sobie; wszakże lekkie w stronę rozmawiających głowy podanie, znamionowało, że ucho nadstawiał i za pomocą słuchania brał w rozmowie udział. Na wymówienie nazwiska „Czuryło“, poruszył się, drgnął niby i chrząknął.

Podniósł głowę, przez chwilę w rotmistrza się wpatrywał i przez nos westchnął. Podniesienie głowy odsłoniło oblicze jego, nacechowane szczególnym jakimś wyrazem, budzącym ciekawość, jeżeli nie co innego. Był to wyraz połączonych w jedno: sprzeczności, dumy i pokory, zuchwalstwa i bojaźni, dzikości i słodyczy. Zpoza gęstego zarostu, przez zjeżone brwi, przeglądały siwe zielonawą w głębi barwą połyskujące oczy, które równocześnie pozór miały wzroku drapieżnika i ofiary. Patrzała z nich dwoistość dziwna jakaś, zastanawiająca i podziw sprawiająca. Ze spojrzenia w te oczy rodziło się mimowolnie zapytanie·

— Wzrok-że to człowieczy?..

Zapytanie to z równą słusznością odnieśćby się dało i do oblicza, nacechowanego znamieniem niesamowitości jakowejś. Czoło wysokie, w tył uciekające; głowa łysa całkowicie — na czaszcze całej włosa ani jednego, za to na twarzy zarost, pozostawiający w niezakryciu tylko części policzków pod oczami i nos mały, w górze wąski, w osadzie szeroki i nakształt dziobu ptasiego zakrzywiony. Zarost pod nosem miał kierunek skośny, oznaczający usta krzywe. Ogólny oblicza pozór przypominał ptaka nocnego a raczej puchacza leśnego, sprawiając wrażenie tak niemiłe, że ludzie mimowolnie odsuwali się od zakonnika. Ten jednak nie zważał na ludzi. Zważał jedynie na pana Czuryło, któremu przez chwilę przypatrywał się pilnie; następnie, głowę pochyliwszy i ukośny kierunek oczom nadawszy, spojrzał zpodelba na młodego w zawodzie rycerskim ochotnika i głową wstrząsnął. Wstrząśnienie to niewiadomo coby oznaczać miało. Czy było ono zakarbowaniem sobie w myśli postrzeżenia jakiegoś? czy oznaczało powzięcie postanowienia pewnego? czyli też służyło poprostu na to, ażeby poprawić kaptur, który od ruchu tego osunął się na czoło i zasłonił je zupełnie. Zakonnik postał przez chwilę jeszcze, o czemeś myślał, głową kiwał, następnie oddalił się, mrucząc pod nosem słowa jakieś niezrozumiałe. Modlitwy szeptał zapewne.

A na rynku muzyki wciąż brzmiały i lud się wciąż tłoczył. Działy się rzeczy niezwyczajne.

Stolicę Rusi Czerwonej zapełniał lud orężny, który w pewnych dnia momentach bitkiem miasto nabijał. Za miastem, na błoniach

ciągnących się na północo-wschód, roztaczały się, jak okiem sięgnąć, obozy, albo raczej, rozlegał się obóz jeden olbrzymi bezładnie rozrzucony. Obóz ten stanowił wielki niby rezerwuar człowieczy, który miastu dosyłał ludność, napełniającą je szczękiem i wrzawą. W ciasnych, mimo wznoszącego się na górze zamku prowadzących, a ku rynkom skierowanym ulicach, tłum w dwóch przeciwnych płynął kierunkach: jedni cisnęli się do wnętrza miasta, drudzy się z miasta wydobyć usiłowali: porządku nie przestrzegał i nie trzymał się nikt; często się też tak zdarzało, że następowało zatkanie, i ruch w ulicy całej ustawał nagle, zmieniając się w deptanie na miejscu, któremu towarzyszyła wrzawa nie do opisania. Na wrzawę składały się ludzkie i zwierzęce głosy. Ludzie krzyczeli, klęli, konie rżały, nierzadko przyłączało się do tego jeszcze skowyczenie psów i beczenie, kwiczenie, ryczenie, co razem tworzyło zgiełk, który, zdawało się, w niebiosa bił, aż jakiś wypadek nadzwyczajny, wynik konwulsyjnego szarpania się ciżby, mur raptem otworzył, ruch przywrócił.

W taki właśnie zgiełk, w ciżbę gęstą, która się tłoczyła w ulicy, zabudowanej w domy z owemi krużgankami i frontonami, które stanowiły charakterystyczną budownictwa XV wieku cechę, wcisnął się zakonnik nasz i przebijał się powoli, popychany w kierunkach różnych. Raz znajdował się na stronie ulicy prawej, znów na lewej; raz szedł naprzód, znów cofać się musiał. Niekiedy, przyciśnięty do muru, z wysiłkiem wielkim wydobywał się na miejsce swobodniejsze nieco. Przychodziło mu to z trudnością ogromną. Każdy krok naprzód zdobywać sobie musiał i krok każdy tem więcej go kosztował, że postawa jego nie znamionowała człowieka do wysiłków fizycznych uzdolnionego. Zatrzymywał się też kiedy niekiedy, oddychał głęboko, czoło z potu ocierał i znów parł się naprzód. Aż dostał się do nawpół otwartych drzwi, na progu których stał człowiek lat średnich, dobrej tuszy, silnej budowy i wesołej twarzy, rozparty w odźwierkach w ten sposób, ażeby osobą własną wejścia bronić. Ciżba naciskała na niego; on ciżbę odpychał i śmiał się głośno — widocznie, pasowanie się to, przyjemność mu sprawiało. W ulicy całej pozamykano domy wszystkie; on jeden trzymał swój wpółotwarty. Wyglądało to na osobliwość w swoim rodzaju.

Docisnąwszy się do niego, zakonnik zatrzymał się, zmierzył stojącego we drzwiach okiem od stóp do głowy, z głębi piersi odetchnął i obudwoma rękawami pot z oblicza obtarł.

— Ah!..— z ust mu się wydarło.

Podniósł na rozpartego oczy, a w oczach miał wyraz taki, jakby zanieść do niego pragnął żądanie jakieś.

— Dalej, ojcze, dalej!..— odezwał się tenże tonem wesołym... Płyńcie z Bogiem...

— Wszak to handel odzieży gotowej?., — zapytał zakonnik.

— Płyńcie z Bogiem — odrzekł zapytany powtórnie. Tu się nie wpuszcza nikogo... Dość wpuścić jednego, ażeby mi się wnet do sklepu zwaliło tylu, iżby ściany nie wytrzymały...

— Ależ ja...— zaczął zakonnik głosem zadyszanym — idę do was właśnie...

— Płyńcie z Bogiem...— po raz trzeci człowiek odpowiedział.

— Ależ ja... do was... umyślnie do was...— powtórnie z naleganiem odparł zakonnik, chwytając się ręką za odrzwi, od których go tłum odrywał — do was... do..,

W rodzaju uwagi powiedzieć należy, iż zgiełk był tak wielki, mówienie zaś zakonnika tak było niewyraźne, że kupiec nie rozumiał wcale o co mu chodzi. Przypuszczając, iż z ciżby wydobyć się usiłuje i innego zamiaru nie ma, bronił mu wstępu, i byłby go nie wpuścił, gdyby nie koń jakiś, który, popychany i szturchany, wierzgnął nagle z zamachem wielkim. Wierzgnął wprost na kupca. Ten się raptem w głąb sklepu cofnął, a cofając się drzwi szerzej nieco otworzył i pociągnął niejako za sobą mnicha, który w chwili tej był prawie do niego przytulony. Mnich potoczył się, kupiec zaś, szybkim a silnym rzutem drzwi ramieniem podparł, zamknął i na szufrygiel je zasunął. W momencie tym wstrząsnęło niemi potężne podwójne uderzenie. Były to ciosy kutych kopyt wierzgającego konia. Kupiec, którego to bawiło, śmiał się grubo i mówił:

— Cho cho cho... Byłoby po Kapuzińskim, gdyby się Kapuzińskiemu te razy w brzuch dostały... Oto, panie!.. A toć, od kiedy Lwów Lwowem, niczego podobnego nie widziano... nie prawdaż ojcze?..

Zakonnik chrząkał, odkaszliwał i habit na sobie poprawiał.

— Takiego napływu ludu, chyba jeszcze w grodzie naszym nie bywało nigdy?.. co?..

Zamiast z odpowiedzią się kwapić, zakonnik rozglądał się po sklepie, oświeconym nie nader suto dwoma gęsto okratowanemi oknami, umieszczonemi w grubym murze a złożonemi z mnóstwa drobnych szybek szkła zielonawego, zamatowanego kurzawą zewnątrz i wewnątrz i ocienionego festonami pajęczyny czepiającej się futryn i krat. Z tego powodu wnętrze sklepu zalewał półcień, który zwiększało jeszcze zamknięcie drzwi. Zakonnik rozglądał się, wszedłszy atoli z blasku słonecznego, nie mógł od razu widzieć dobrze. Rozwieszona na szaragach i na kołkach odzież przedstawiała się oczom jego niewyraźnie. Na zapytanie kupca, po chwili odpowiedział:

— Potrzebuję uoońcy, półżupanka, sarlawarów, pasa i kołpaka...

Kupiec ucha nadstawił, wysłuchał i odparł:

— Lichoż was, ojcze, z przeproszeniem, wie, co wy tam pod nosem bełkoczecie... Pytam raz, odpowiadacie milczeniem; pytam znów i dostaję w odpowiedzi: brłm brłm bam bum...

— Potrzebuję...— zaczął zakonnik — uońcy...

— Uońcy?.. hm?..

— Tak... to jest... o...— i giestem uwyraźnił.

— A no... tak, to co innego!.. Potrzebujecie odzieży, tak-że i powiadajcie!.. — zawołał kupiec, zwracając się i idąc powoli ku składom obficie zaopatrzonym. Kiej dyjabeł!.. Niedogodnie wam w habicie, chcecie więc go cisnąć do licha... Korci was do obozu... hę?.. Oj ho!.. Wesołożbo w obozie, wesoło... hej!.. nie weselej na jarmarku... A jakiejże opończy wam potrzeba?..

To mówiąc, zdjął z kołka pierwszą lepszą i zakonnikowi podał.

— Macie... a przypatrzcie się jeno, co za materyjał! co za robota!.. Wojewodaby się wystąpić w niej nie powstydził... Na was w sam raz, jakby na miarę...

— To nie drla mnie... — odparł mnich.

— Co?.. co?..

— To nie drla mnie... — powtórzył powoli.

— Mówcie bo wyraźnie...— rzekł kupiec od niechcenia. Zdaje się, jakbyście kłaków pełną gębę mieli... Jeżeli tak bełkotać będzie-

cie, to się nie porozumiemy i nie będziem mogli, ani ja sprzedać, ani wy kupić...

Zakonnik, trzymając w ręku podany sobie przedmiot, ramionami ścisnął.

— Powiedzcie tedy, że to nie dla was?..

— Nie... to drla... — zaczął zapytany, usiłując mówić wyraźnie.

— Mnie tam zresztą wszystko jedno, dla kogo by nie było..— przerwał kupiec. Dla was, nie dla was, nie obchodzi mnie to zgoła... Jeżeli pytam, to dla tego jedynie, że odzież idzie wedle wzrostu, inna na chłopa dużego, inna na małego... Powiedźcież mi, ojcze, jeno, potrzeba wam odzieży, na większego od was, na mniejszego, czy na takiego jak wy?

— Na takiego, jak ja...— była odpowiedź, dana po zawachaniu się niejakiem.

— I wzrostem i tuszą?...

— Na takiego...

— Ot... i dobrze... Wiem już wszystko co potrzeba... Macie więc, oto: szarawary na urząd, żupan jak obszył, opończa suta, pas wspaniały, kołpak, w którymby sam król dobrze wyglądał, gdyby jeno takich patłów nie nosił... Sprobójcie jeno... A no...

Wyciągnął rękę w zamiarze podniesienia kaptura i włożenia zakonnikowi czapy z lisią obwódką na głowę, ten atoli skwapliwie kaptur dłonią przytrzymał, i tonem protestacyi odpowiedział:

— Nie... nie... to nie drla mnie...

— Ej... chwackobyście, ojcze, wyglądali!...

— Nie trlzeba... nie... A cóż to kohstuje?...

— Co, coż...

— Co to kohstuje?...

— Wszystko razem?...

Skinieniem głowy dał zakonnik odpowiedź potwierdzającą.

— Wszystko razem..... hm: opończa, żupan, hajdawery, pas, kołpak...

Począł kupiec w myśli obliczać, dodawać, i po chwili podał kwotę ogólną, którą zaokrąglił przez potrącenie tynfów kilku.

Zakonnik wsunął rękę w zanadrze i odwrócił się. Przez chwilkę, pochylony, ruszał rękami, jakby operacyją jaką chiurgiczną pod

habitem odbywał na osobie własnej, i w końcu, zwracając się ku kupcowi, wypłacił mu kwotę żądaną bez targu i bez objekcyi najmniejszej.

— Tak, to ale!... były słowa tego ostatniego, wymienione z zadowoleniem.

Zapłaciwszy, zwinął zakonnik odzież, i pod habitem ją ukrył. Pakiet spory znikł tak, że kupiec od wyrażenia podziwu, powstrzymać się nie mógł.

— A!... — zawołał, głową przy słowach następnych kręcąc. — Bodaj to habit!... a toć w potrzebie możnaby pod nim uchować barana, cielaka, albo i co większego... No, no... Teraz zaś, ojcze, wyjśćby nam potrzeba... Poczekajcie, zobaczymy, czy się też was wypuścić da...

Odsunął szufrygiel, uchylił drzwi nieco, wyjrzał i powiedział:

— A no... od biedy... Ścisk ściskiem, ludzie przecie idą... toć przepchać się można... A może, ojcze, sprobujcie teraz, podkasawszy poły...

Zakonnik zgiął się i po pod ramię kupcowi wysunął przez na wpół otworzone drzwi, które się wnet za nim z trzaskiem zamknęły. Znalazł się znów w ciżbie, szczęściem trafił na moment, w którym wóz jakiś obładowany z miasta wyjeżdżał, robiąc miejsce dla tych, co z nim w jednym podążali kierunku. Sformował się niby nurt. W nurt ten zakonnik wpadł i dał mu się unosić. W ten sposób wydostał się na przedmieście, gdzie ulica przestronniejsza pozwalała iść swobodnie. Zakonnik kroku przyspieszył i niebawem wydostał się za miasto, za miastem zaś zeszedł z drogi do obozu prowadzącej na pole, wyszedł na ścieżkę wzdłuż rowu udeptaną, i ścieżką tą zdążał ku lasom, które do Lwowa południowo-wschodniej przymykały strony. Pospieszał. Zdawało się, zamiarem jego było, zejść ludziom z oczu, oglądał się bowiem i szedł wciąż dalej a dalej, aż nakoniec do lasu się dostał. Szukał ustronia, i znalazł takowe w głuchym ustępie, w jarze głębokim, wierzchem którego porastała paproć obficie, stanowiąc podszycie rzadkiego w tem miejscu boru, w głębi zaś sączył się strumień, formujący tu i owdzie malutkie, o dnie błotnistem sadzawki, służące za zwierciadełka, w których odbijały się brzegi, drzewa i niebo. Ustroń ta, zdaje się, nie była mu obcą. Spuścił się w głąb jam,

usiadł nad jedną z sadzawek, łokcie na kolanach, głowę na na dłoniach oparł, i, w zadumaniu, przez czas jakiś wpatrywał się w odbicie postaci własnej. Na posępnem obliczu jego błądził uśmiech kiedy niekiedy. Po upływie chwil kilku, obejrzał się i okiem powiódł.

— Och! paprocie... paprocie...—westchnął.

Głową pokiwał, następnie wstrząsnął nią i szydersko-złośliwie się uśmiechnął.

— O tak...—rzekł sam do siebie—pod nieszczęśliwą snadź przyszedłem na świat gwiazdą... Potęgi tajemnicze, spieszące na usługi tym co je wzywają, odemnie stronią... Tyle razy zaklinałem je nadaremnie!... Tyle razy nadaremnie zwracałem się do piekła i do nieba!... Niebo!... piekło!... cha, cha, cha!...

Echo leśne powtórzyło chychot dziki.

— Piekło we mnie, w duszy mojej... W duszy?... — zapytał po chwilce — czyż ją posiadam?... Czemuż jej nikt nie chce: ani szatan, któremu ją oddawałem w zamian za rozkosze świata tego, ani Bóg, przed którym się czołgałem, błagając o uspokojenie wewnętrzne!... Niebo?... piekło?... Dla mnie piekło i niebo w spojrzeniu jej jednem, w spojrzeniu, które mnie ściga wszędzie... wszędzie... w celi klasztornej, na chórze kościelnym, przed ołtarzem, w nocy, we dnie, w samotności, w tłumie ludzi, pod kapturem mniszym, pod zbroją rycerską... widzę ją!... słyszę ją!... Maryno!... Maryno!...

Po ewokacyi tej, wymówionej głosem od wzruszenia wewnętrznego drżącym, rozwiązał z gorączkowym pośpiechem pas, roztworzył habit, zrzucił go i przebierać się począł w odzież kupioną. Włożywszy hajdawery, wydobył z zanadrza nożyczki, i, w wodzie się przeglądając, brodę sobie przystrzygł, wąsy zaś do góry podniósł, nadając im kształt pokrętny. Przystrzyżenie brody i podniesienie wąsów, zmieniło fizyjonomiję jego zupełnie. Stał się nie do poznania, zwłaszcza gdy głowę kołpakiem przykrył, a na grzbiet żupan wdział i pasem się podpasał. W obliczu pozostała dzikość wyrazu, dzikość atoli nie mnisza już, nie bezwzględna, a jakaś łagodniejsza niby, bardziej ludzka. Twarz jego nie wypiękniała, zmieniła się jednak, i zmiana ta zadowolnienie mu snadź sprawiała, przypatrywał się bowiem sam sobie w wody przezroczu z upodobaniem, poprawiając kołpak i pogładzając wąs. Usta krzywe, stały się proste, co się też wielce do zmiany wyrazu fizyjonomii przyczyniało.

— „Nie suknia człowieka, ale człowiek suknię zdobi...“— rzekł z ironii akcentem.

Jak ze słów się tych pokazuje, wypięknial w przekonaniu własnem. Było to jednak przekonanie fałszywe. Jak był spetnym, takim pozostał; pozostały bowiem rysy te same, oświecone tym samym wyrazem z oczu bijącym. Zrzucił skórę jedną i wziął na siebie drugą, na tem polegała zmiana cała, która nie tyczyła się ani duszy, ani też organu tego, w którym się dusza odźwierciedla.

— *Consummatum est*... — odezwał się lekkiego tonem przekąsu, gdy przebranie ukończył zupełnie. Braciszek pogrzebion, natomiast wskrzeszon... kto?...— zapytał.

Wpadł w chwilową zadumę.

— E!...—wstrząsnął głową.— Nosiłem już imion i nazwisk tyle, że przybranie nowego, będzie stanowiło tylko... jedno więcej... Cóżto zresztą imie i nazwisko?... nie... Będę przeto nazywał się—pomyślał— Maciej Kołtun... Może też — tu westchnął — nowemu temu nazwisku szczęście zabłyśnie... Maciej Kołtun?... Zarywa to nieco z litewska, ale... tem ci i lepiej... Litewska maska osłoni Szlązaka pewniej, aniżeli inna jaka... Byłem już Polakiem, Czechem, Włochem; ubierałem się w pióra różne, sprobuję też i litewskich jeszcze... Stracić... cóż stracę?... Podam się za Litwina, co zagrodzie ojczystej wydarty, wojaczką od lat dziecinnych po świecie chodził, i świadomość o domu własnym postradał... Pozostaje mi tylko zaopatrzeć się w konia, zbroję i oręż.

Domawiając słów ostatnich, powiódł sobie dłoniami obiema po biodrach, jakby sprawdzić chciał obecność, na gołem opasanego ciele szerokiego trzosa, dzięki któremu, tworzyć mógł projekta, mające kupno na celu. Sprawdził i przez nos odsapnął. Następnie jął się do uprzątnięcia odzieży zakonnej. Zwinął habit i związał go pasem i ogórkami. Przy pomocy gałęzi odłamanej, wykopał śród wrzosów dół głęboki. W dół ten włożył zwitek, ziemią go starannie zasypał, nogami przydeptał, i, ukończywszy czynność tę, odezwał się z uśmiechem na poły szyderczym:

— *Hic jacet pater Deodatus... requiescat in pace...* Chodźmy, panie Macieju... puszczajmy się na to morze burzliwe, które do naszych podpłynęło wybrzeży...

Przekrzywił kołpak na bakier i posuwistym ruszył krokiem.

Z lasu wychodząc, ujrzał wdali przed sobą w lewo, miasto z piętrzącym się na górze zamkiem królewskim, w prawo obóz tonący w mgle kurzawy. Zatrzymał się, westchnął i zawołał:

— Hej, świecie, świecie!... nie bądź prześladowcą dla pana Macieja, jak byłeś dla Bartosza, zabitego pod murami stołecznego Białogrodu, dla Bieniasza, wtrąconego do ciemnicy podziemnej; dla Lasoty, skazanego na śmierć na szubienicy; dla ojca Deodata, pożeranego ogniem wewnętrznym... Cha, cha, cha!...—zaśmiał się w głos—byłem najprzód dwa razy jednym, potem trzy, potem cztery, potem pięć, dziś zaś jestem już sześć razy jednym i tym samym... O! Maryno!... Maryno!...

I dodał, ku miastu się puszczając:

— Czuryło...

Nazwisko to miało, jak się zdaje, osobliwsze jakieś dla niego znaczenie, powtarzał je bowiem często, i to tak w rodzaju męzkim jak żeńskim, zaś nadawał mu zakończenie, nie na „ina", a na „nka", jakby myślał o córce, lub siostrze rotmistrza. Tymczasem, wiadomo było powszechnie, że rotmistrz Czuryło, miał wprawdzie siostrę, ale wydaną od lat tylu, iż już srebrne obchodziła wesele, miał i córkę, dwie nawet, ale pędraki jeszcze; ożenił się bowiem po powrocie z wyprawy wołoskiej, posyłanej przez króla Kazimierza Jagiellończyka, w pomoc sławnemu w dziejach Stefanowi-wodzie, zwanemu wielkim. Nie mogła więc to być ani siostra, ani córka rotmistrza, Czurylanka owa, która mnichowi wciąż na języku wisiała. A dodawał i jeszcze jedno nazwisko, brzmiące z cudzoziemska: ni to włoskie, ni to węgierskie. Wymawiając je, głos mu drżał gniewem, złością i szyderstwem. Stawał, oddychał z piersi głębi i powiadał:

— Chwila jedna i... nie on, a ja...— wzdychał— nie on, a ja... Ha!...

Ramię podnosił, pięść zaciskał, czoło fałdował, i minę wyzywającą przybierał.

---

## II.

# DWAJ OCHOTNICY.

We Lwowie na rynku trębacze trąbili, zwracając się na wschód i zachód, na północ i południe. Odzywali się na wszystkie cztery świata strony, i ze wszystkich czterech stron wzywali ochotników pod h orągwie, które nad gospodami z wiatrami igrały. I ochotnicy spieszyli. Co moment z tłumu wydobywał się człowiek, przed rotmistrzem stawał, kłaniał się i oświadczał ochotę wstąpienia w szeregi. W ten sposób formowały się wojska królewskie, mające pozór bardziej regularny, aniżeli ziemskie, do których kontyngiens dostarczała szlachta po województwach. W czasie onym kwarciani nie istnieli jeszcze; zastępowały ich poniekąd zaciągi, których podejmowali się rotmistrze, posiadający wziętość rycerską i zaufanie władzy wyższej. Rotmistrze owi, byli to w rodzaju swoim przedsiębiorcy, zakontraktowani do wystawiania chorągwi, stosownie do umowy i prowadzenia takowej do boju. Zwyczaj ten dostał się do Polski z Zachodu. Posiadali chorągwie własne możni panowie, posiadali i królowie. A jak w ziemskich, tak i w tych ostatnich, główną siłę stanowiło rycerstwo, występujące

sumptem własnym, w wojewódzkich hufcach szlachta rodowa, w zaciężnych rabiać ochocza, niezdolna wykazać się przodkami, a przystająca do herbu, który na chorągwi świecił. Rotmistrze brali niejako ochotników na odpowiedzialność własną, okrywali ich klejnotem swoim. W zasadzie powinni byli klejnotnych stowarzyszać; zasadzie tej jednak czynić zadość nie mogli, gdyby się bowiem takowej trzymali, mieliby pustki pod chorągwiami. Szlachta rodowa wolała służyć w szeregach wojewódzkich. Przyjmowali przeto każdego co się trafił, byle po rycersku wystąpił, to jest, byle był uzbrojony jak należy, siedział na dobrym koniu i miał ze sobą poczet z ludzi dwu przynajmniej złożony, używanych do posługi pochodnej, obozowej, a nawet, w razie potrzeby, i bojowej. Rycerstwo służyło li tylko do bicia się, i potrzebowało obsługiwanem być przez pacholików, ciurów i luzaków. Ci więc, co byli w stanie na ten zbytek pozwolić sobie i czuli w duszy animusz rycerski, a nie posiadali klejnotów szlacheckich, kupili się pod chorągwie zaciężne.

Pod wystawione na rynku lwowskim chorągwie, ochotnicy przybywali co moment. Co moment imć pan Roman Czuryło zawieszać musiał bębnienie palcami na stole i witać nowego przybysza, wydobywającego się z ciżby. Przyjmował jednego po drugim, a każdego poczęstował i z każdym rozmówić się musiał. Tak przeminęło ludzi sporo, aż dopchało się do stolika dwu razem, jeden stary i jeden młody.

— Uf!...—westchnął pierwszy, i czapki przed rotmistrzem uchylił.

— Witam waszmości..... a jak na honor?.... — Czuryło zapytał od razu.

— To nie ja...—była starego odpowiedź.

— Nie waszmość?... hę?... Pytam, jak na honor, to znaczy, jak się nazywasz... zdaje się, koniecznie waszmość nazywać się musisz jakoś?...

— Nie inaczej, mości rotmistrzu; miarkuję jednak, iż zapytanie waszmościne ściąga się nie do mnie, a do młodziana tego—tu skinieniem głowy i palcem na towarzysza ukazał — któremu do wojaczki serce skacze...

Rotmistrz zmierzył wzrokiem młodego człowieka od stóp do głowy. Stary prawił:

— Mnie już tam nie do tego... Za młodu inaczej bywało, młodość jednak przeminęła, i tyle jeno po niej pozostało, że człek drogę pokazać umie.,. Pokazuję drogę młodzianowi temu...

Tu znów na towarzysza ukazał.

— Jakże jemu?...

— Ignacy Kapuziński...

— Uhm...—skrzywił się Czuryło, usłyszawszy nazwisko, pachnące niejako zdaleko mieszczuchostwem. Kapuziński?... od kapuzy?...

— Od kapuzy, mości rotmistrzu... Chłopiec z rodu dobrego, i dobrze w okrywaniu grzbietów i głów zasłużony...

— Na ileż koni?..

— Na pięć...

— Ii!...—zawołał rotmistrz akcentem podziwu lekkiego — tatuńcio, jak widać, tynfów synalowi nie skąpi...

— Tatuncia Ignasia, w maleńkości jeszcze jego, Pan Bóg do chwały swojej powołał... świeć Panie duszy jego... Pozostała fortunka niezgorsza, i tą zawiaduje stryj, człek ze wszech miar poważny...

Rotmistrz się uśmiechnął, jakby słowa te wywołały w umyśle jego uwagę jakąś, i on uwagę tę sobie dla własnej zakarbował wiadomości. Po uśmiechu zapytał:

— W potrzebach bywał?...

— Ta zkąd!...—zawołał stary—bijał się w palcaty, ale od dzieciństwa okazywał animusz tak rycerski, że przy igle utrzymać go sposobu nie było... Rzemiosło ojcowskie nie w smak mu szło, strugał sobie miecze z drzewa, giął łuki, wycinał strzały i rwał się do konia... Stryj strofował, jam namawiał... nic nie pomagało... Teraz zaś, gdy się okazyja przytrafiła... chi!... zakipiało w chłopcu... nie utrzymałby go na łańcuchu...

— Czy i waszeć z nim razem?...

— Ja?... broń Boże...

— Cóż waszeć dla niego?...

— Niegdyś najstarszy ojca jego, nieboszczyka pana Jakóba, a obecnie najstarszy stryja, imć pana Błażeja Kapuzińskiego, czeladnik...

— Siadajże, waszeć...—skinął rotmistrz z giestem zapraszającym, ukazując miejsce naprzeciwko.—Siadaj i waszmość...

Ta ostatnia inwitacyja, odnosiła się do młodego człowieka, mającego minę taką, jak ten, co—jak to powiadają — trzech zliczyć nie umie. Oblicze jego oznaczało zmieszanie, które bynajmniej przeciwko niemu, co się władz jego umysłowych tyczy, nie świadczyło. Owszem. Z oczu młodzieńca świeciły i pojętność i odwaga— pojętność i odwaga w tym stanie, który porównać się da do stanu młodego ptaka w chwili, gdy po raz pierwszy w życiu z gniazda wylatuje. Podnosi skrzydła i składa, znów podnosi i znów składa, nie śmie lotu rozwinąć, nie zna jeszcze sam siebie, z bojaźnią niemal spogląda za orłem ojcem i orlicą matką, szybujacemi po powietrznych szlakach. Jest to obawa nie czynu, lecz próby, pochodząca z miłości własnej, budzącej nieufność w siły własne. Młody Kapuziński stał zmieszany i zarumieniony; na zaproszenie rotmistrza, przysunął się i usiadł na krawędzi stołka; o mało się nie wywrócił, co go zmieszało bardziej jeszcze, poprawił się—szczęściem dla niego grunt pod stołkiem był równy i twardy, poprawka przeto nie wypadła z pieca na łeb. Usiadł i w pana Czuryło wpatrzył się, niby w obraz cudowny.

— Cóż waszmoście pozwolicie: piwo, miód, czy też miód i piwo?...—zapytał ten ostatni.

— Hm...— odparł czeladnik, miejsce zajmując—jak jedno nie zaszkodzi, tak drugie nie zawadzi...

— Napijmy się tędy... za zdrowie króla jegomości...

Klasnął, kazał świeżego z piwnicy natoczyć napoju.

Ten, któremu rozkaz dał, był to chłopak piwniczy, posługacz w gospodzie. Wraz z tym jednak wynurzyła się z wnętrza gospody postać, godna pendzla malarskiego szkoły flamandzkiej. Brwi krzaczyste, wąsy rzadkie, na twarzy gęste ślady ospy naturalnej, twarz niby obrzękła, nos potężny, zakończony jak buława i mocno fioletowym okraszony kolorem, na grzbiecie kaftan łosiowy, buty duże z ostrogami, około bioder pas skórzany, za pasem puginał, a w ręku laska jesionowa, wydająca się graniastą od karbów, któremi poznaczoną była z góry do dołu. Wzrost słuszny, postawa nieco przygarbiona. Co jednak w postaci tej najbardziej w oczy się rzucało, to nos i laska. Pierwszy niósł się sam, wystając naprzód, druga prezentowała się w ten sposób, jakby właściciel onej miał ją dla wszech w obec i dla każ-

dego z osobna na pokaz. Właściciel laski wyszedł, przed stołem stanął i głośno a grubo chrząknął:

— Hrrm!...

Rotmistrz spojrzał na niego i rzekł:

— Towarzysz, na pięć koni...

— Na pięć?... a... jakże mu?...

— Ignacy Kapuziński... oto ten, młody...

— Nie ten stary?...

— Nie...

— Ignacy Kapuziński... na pięć koni...

To mówiąc, właściciel nosa fioletowego wydostał z zapasa puginał i laskę podniosłszy, wyrznął na takowej puginałem karb jeden długi a głęboki; wyrznąwszy, przypatrywał się przez chwilkę karbowi temu okiem zadowolnienia, następnie dodał jeszcze pięć mniejszych

— Ignacy Kapuziński...—powtórzył—jest... zakarbowany...

Ton mowy i giesta, z jakiemi czynność swoją odbywał, znamionowały przejęcie się głębokie ważnością obowiązku i pełnienie takowego z namaszczeniem. Wyrazowi zwłaszcza „zakarbowany“ towarzyszyło także ruszenie głową i dłonią, jakby wyrazić chciał dokonanie aktu, równającego się podpisaniu cyrografu na duszę. Dodał jeszcze

— No!...

Jeszcze raz głową kiwnął, włożył puginał do pochwy, ujął laskę wpół i oddalił się.

— Za zdrowie króla jegomości!... — odezwał się pan Czuryło podnosząc kufel pełny, okryty pianą białą.

— Za zdrowie!...—odparł czeladnik.

— Za zdrowie...—powtórzył ciszej nieco Ignacy.

— Za pomyślność wyprawy...

— Za pozwoleniem...—podchwycił stary, odejmując kufel od ust i obcierając gębę. — Jeżeli wolno, to radbym zapytać, co się wyprawy tyczy...

Rotmistrz głowy skinieniem dał odpowiedź zezwalającą.

— Bo to, mości rotmistrzu, ludzie różnie bąkają, a o prawdzie dowiedzieć się trudno...

— No cóż?...

— Jedni powiadają to, drudzy owo...

— Przecie?

— Powiadają, że król jegomość ma na myśli co innego, aniżeli wyprawę na bisurmana.

— Cóż by innego?

— To, bo to, że niewiadomo..! Ludzie jednak... gadają...

— Chodzisz waszeć do kościoła?...—zagadnął rotmistrz...

— No... jakże!... Czyż można, żeby człek do kościoła nie chodził!..

— Słyszałeś więc, co słudzy bozi z kazalnicy głoszą?...

— E... — odparł stary tonem lekceważenia. — Toć wiadomo, że sługa boży od tego, ażeby prawił tak, a nie inaczej, jak ja, na ten przykład, jestem od tego, żebym robił kapoty a nie buty... Z ołtarza żyje, to i wszystko ku temu nakręca... To jednak nie przeszkadza, że ludzie gadają...

— Cóż tedy gadają?... - podchwycił rotmistrz.

— Ktoby to tam wszystko spamiętał!... Jakoś jednak nie bardzo temu wierzą, ażeby to miała być wyprawa przeciwko Turkom...

— Zawszeć wyprawa... wyprawa wojenna—odrzekł pan Czuryło—a nie lada jaka, kiedy wici całe zwołują rycerstwo, i kiedy sam król jegomość na czelę staje...

— Tak... zapewne...—odrzekł stary sentencyjonalnie — ale... ten Kallimach...

— Umarł...—wtrącił rotmistrz.

— Umarł!... ha, ha!...—odparł stary i dłonią kiwnął; jakby powiedzieć chciał: znamy się na sztukach podobnych. — Umarł.... ha!..' niech i tak będzie!...

— Waszmość temu nie wierzysz?..,

— Wierzę, ale przez pół... Rozmaite są śmierci rodzaje... Nie o to jednak chodzi... Ludzie powiadają, że Kallimach żyje, jeżeli nie po naszemu, to inaczej, jak śmierci bowiem, tak i życia rodzaje są rozmaite... Kallimach żyje w królu...

— Nie rozumiem waszmości...—były słowa Czuryły.

— I ja tego nie rozumiem dobrze... *relata refero*... od siebie zaś dodaję to jeno, że w tem coś być musi... o... Zdrowie wasze! mości rotmistrzu...

Podniósł kufel i skinął ku rotmistrzowi, który, odpowiedziawszy na skinięnie skinieniem, odrzekł:

— Zabałamuciłeś mnie waszmość i zapomniałem o nowym towarzyszu. Wszak to kolej na wypicie zdrowia jego, nie mojego... Dla niego to obłóczyny rycerskie... Hej, chłopcze!.. sam tu!...—zawołał na piwniczego—postaw nam miodu co wyborniejszego, ażeby młodzieniec zasmakował w rycerskiem życiu...

— Smakuje mu ono i bez miodu...—wtrącił stary.

— Zaglądał do obozu?...—zapytał rotmistrz, zaprawiając zapytanie uśmiechem dwuznacznem.

Stary głową pokiwał i pod nosem szepnął: Sodoma, Gomora!

Zajrzawszy do obozu, i my zrozumimy słowa starego czeladnika fachu krawieckiego; zanim to jednak nastąpi, zabrać musimy bliższą znajomość z niektóremi opowiadania naszego osobistościami, a mianowicie z młodym panem Ignacym, odgrywającym rolę owej nitki, po której dochodzi się do kłębka.

Pan Ignacy Kapuziński, młody człowiek, liczący lat około dwudziestu pięciu, był synem pana Jakóba, o którym wiemy już, że go odumarł w maleńkości. Pierwej aniżeli ojciec, odumarła go matka, tak, że Ignacy w latach dziecinnych pozostał sierotą. Sieroctwo jednak nie poszło mu tak, jak idzie ludziom zazwyczaj. We względzie tym stanowił on wyjątek od reguły ogólnej. Opieka nad nim dostała się stryjowi—stryjowi który, póki on na świat nie przyszedł, był uważany przez ojca jego nie jak brat, ale jak syn rodzony. Pomiędzy panem Jakóbem a panem Błażejem zachodziła wielka wieku różnica, bodaj, czy nie lat dwadzieścia. Pan Jakób poczciwie brata przy sobie chował, był mu ojcem, a kiedy umarł, pan Błażej objął ojcowstwo nad synowcem, biorąc takowe w znaczeniu obowiązku sumienia. Powiedzieć potrzeba, że los dopomógł mu wielce do należytego pełnienia obowiązku tego. Ożenił się, a dzieci nie miał. Brak dzieci własnych, bronił go od dystrakcyi, od tej w opiekunach nader pospolitej dystrakcyi, skutkiem której tracą z uwagi dobro pieczy ich powierzonych pupilów. Pan Błażej, nie posiadając dzieci własnych, dziecko brata jak własne uważał, i na nie całą troskliwość swoję zlewał. A troskliwość owa płynęła ze żródła potrójnego, tryskającego z trzech naraz serc: z serca pana Błażeja, z serca pani Błażejowej i z serca pana Łukasza Głąba, starego czeladnika, który fach krawiecki łączył z funkcyją piastuna młodego Kapuzińskiego, będącego dla stryja, dla

stryjenki i dla niego złotem oczkiem w głowie, chuchanego, pieszczonego i hołubionego przez wszystkich razem i przez każdego z osobna.

Czasami dzieci dobrze na tem wychodzą, jeżeli je pieszczą, czasami etc. To zależy... Bylibyśmy jednak wielce zakłopotani, gdyby nam odpowiadać przyszło na zapytanie: jak Ignâcy Kapuziński wyszedł na pieszczonem wychowaniu?... źle, czy dobrze?... Zresztą zapytanie podobne niekoniecznie jest właściwem w zastosowaniu do młodzieńca, ćwierć wieku zaledwie na barkach swoich dźwigającego. Człowiek w tym wieku jest jeszcze drzewem owem, z którego być może i krzyż i łopata, a raczej krzyż albo łopata. To tylko pewna, że, pomimo, iż się w rzemieślniczej urodził atmosferze, pomimo, że powietrzem handlu oddychał, nie posiadał najmniejszego ani do handlu, ani do rzemiosła usposobienia. Brak ów usposobienia uważać możnajako bezpośrednie pieszczonego wychowania następstwo. Nie umiano go do pracy zmusić; nie umiano go na drogę właściwą wprowadzić; nie umiano w nim, słowem, powołania rozbudzić i urobić, i ztąd gusta jego rozwijały się i rozwinęły samodzielnie, lgnąc do wzorów, które się mu przedstawiały ponętnie. Przed oczami chłopca przesuwały się stany, na jakie dzieliła się społeczność ówczesna: stan mieszczański, stan duchowny i stan rycerski. Fantazyja wyborem kierowała, ta zaś pogarnęła się do tego, co błyszczy i imponuje, do stanu rycerskiego, wytwarzającego się śród ludzi na wzór i na podobieństwo rodzaju koguciego śród kur familii. Miło jest, za prawdę, być kogutem, mieć piękne w ogonie pióra, grzebień na głowie wspaniały, ostrogi u łap, ognistość w oku, i zuchwalstwo w postawie. Wzorowi podobnemu oprzeć się trudno, będąc młodym, pieszczonym, i w środki dogadzania fantazyi własnej, dostatecznie zaopatrzonym. Stryj przekładał:

— Ignasiu! na tobie waga cała...

Ignaś wagę upatrywał w siodle, nabijanem gęsto ćwieczkami.

Stryjenka perswadowała:

— Weź się jeno do nożyc i do igły, ożeń się, Marysia nie pójdzie, ale poleci za ciebie... będziesz miał spokój i szczęście...

Spokój wydawał się mu rzeczą wstrętną, Marysia poczeka, szczęścia zaś nie rozumiał inaczej, jak tylko pod hełmem, ocienionym piórami krasnemi.

Stary Głąb wmówić weń usiłował zamiłowanie powagi obywatelskiej, za wcielenie której uważał dostojność rajcy lub ławnika. Odradzał on chłopcu wyjście ze sfery, w której się urodził, a odradzał to wymownie:

— Widziałeś kiedy—powiadał — srokę pomiędzy gawronami?.. Jeżeliś nie widział, to postaraj się zobaczyć, a przekonasz się, że sroka trzymać się powinna srok, jeżeli nie chce być oskubaną lub zadziobaną... Sam Pan Bóg stworzył dla sroki sroki, dla gawrona gawrony, dla rycerza rycerzy, dla mieszczucha mieszczan...

Ale, ani przekładanie stryja, oni perswazye stryjenki, ani wymowa Głąba nie trafiały do przekonania młodego człowieka. Sielankowość mieszczańska nie miała dla niego powabu najmniejszego. Na przedstawienia wszelkie odpowiadał, jak odpowiadał strzelec alpejski „Szyllera“, kuszącej go kwiatkami matce:

*Lass die Blümlein, lass sie blühen!*
*Mutter, Mutter, lass mich ziehen!*
— *Und der Knabe ging...* —

Nie było z nim rady. Nie nęcił go nawet stan duchowny, a to dla tego zapewne, że Ignaś, nie okazawszy do nauk ochoty osobliwej, nie dał się, pomimo iż do szkoły chodził, ułożyć na księdza. W czasach owych, ludzi nie nauczano, ale układano. Chłopak nie nadał się do tego. Łacina nie czepiała mu się głowy wcale, ale za to śnił po nocach i marzył na jawie o bojach, o strojach, o pochodach dalekich, o życiu obozowem, ustawicznie w uszach miał jakieś szczęki, jakieś brzęki, szumy skrzydeł husarskich, burczenie chorągwi przez wiatr szarpanych, huki trąb do rozprawy nawołujących; lubiał przypatrywać się ludziom rycerskim, panoszącym się na ulicach Lwowa; lubiał wsuwać się do gospód i przysłuchiwać rozmowom i opowiadaniom, tyczącym się rzemiosła wojskowego. Czego brakło, dopełniał fantazyją młodzieńczą, która się potęgowała wraz z wzrastaniem w lata. W ten sposób wytwarzał sobie na poły teoretyczną, na poły fantastyczną edukacyją rycerską, do uzupełnienia której praktyki jedynie nie dostawało—praktyki wielkiej, albowiem co się małej tyczy, takową posiadał w zupełności: umiał dosiąść konia, strzelać z łuku, rąbać mieczem,

godzić dzidą, miał oraz wyobrażenie o obchodzeniu się i z samopałem, którego użycie, bądź pod postacią strzelby długiej, bądź pod postacią pistoletu, coraz bardziej w zwyczaj wchodzić poczynało; słowem — przysposobił się dostatecznie do tego, ażeby, stanąwszy w szeregu, nie zawstydzić się w obec towarzyszy. Nie posiadał jeszcze pewności siebie, w obec ideału owego rycerskiego, jaki mu wyobraźnia w duszy malowała. Dla tego to, rumieńcem się oblał, niby dziewczyna, gdy rotmistrz zdrowie jego wniósł, ujął kufel drżącą dłonią, oblał się miodem i zachłysnął pierwszym łykiem.

Czuryło chrząknął i wąs pokręcił.

— Ho!...—rzekł—widać, żeś nowicyjusz!...

— Że nowicyjusz, ani słowa...—odrzekł stary Łukasz—ale... nie święci garnki lepią...

— No, nie... jednakże i do ulepienia garnka potrzeba, ażeby ktoś sposób pokazał...

— Chłopiec rozgarnięty—podchwycił stary, pokazując sobie palcem na czoło i kręcąc na takowem kółka— rozgarnięty... Będzie się przypatrywał i robił, co inni robią...

— Pha...—odparł rotmistrz, rzucając w tył głową.—Niby to tak łatwo!...

— Przy pomocy bożej...

Zapewne... Bez pomocy bożej, człek palcem nie kiwnie... Wypadałoby jednak zapewnić sobie jeszcze i pomoc jakiego doświadczonego rycerza, któryby młodzianowi za mentora służył...

— Ba!...—odezwał się Łukasz z akcentem powątpiewania.

— Wydaje się to waszmości trudnem?...

— Czy ja wiem!... Zapewne.... przydałoby się... Dobra rada zabezpieczyłaby bodaj przeciwko guzom niepotrzebnym... Ale to już chyba waszmość, mości rotmistrzu...—dodał stary Głąb, nadając wyrazom ostatnim ton prożby pokornej.

— Ja?... hm?...—odparł Czuryło. — Widzisz waszmość... ja dla każdego pod chorągwią, powinienem mieć miarę jednaką i wagę jednaką... Mentorowanie moje przeto, nietylkoby nie uchroniło młodziana od guzów zwyczajnych, aleby go na nadzwyczajne naraziło. Ale...

W chwili tej, wydobywając się z pośrodka tłumów, stanął przed rotmistrzem ochotnik nowy, który przerwał rozmowę. Rotmistrz spojrzał na niego, zmierzył go następie od stóp do głowy, skrzywił się nieco i zapytał:

— Na ile koni?

— Na jednego...

Czuryło skrzywił się mocniej i odrzekł:

— Widzisz waszmość... królewska chorągiew... Waszmość wydajesz się mi jakoś za wątłym trochę...

— W wątłem ciele, mocna dusza, mości rotmistrzu...

— Tak... to bywa... ale...

— Zresztą...—przerwał przybysz—jam jest z tych, co bywali na wozie i pod wozem i mnie się nic dobijać doświadczenia rycerskiego.. Kosztowałem chleba tego nie raz i nie dziesięć razy... Chodziłem wojaczką od lat pacholęcych...

— Zkądeś?...

— Z Litwy, mości rotmistrzu... z Litwy rodem, ale nie potrafiłbym odpowiedzieć, gdyby mnie kto zapytał, pod którym dębem kolebka moja stała...

— Jakże się zwiesz?...

— Zwę się Maciej Kołtun...

— Maciej Kołtun...—powtórzył rotmistrz.

— Nazwisko to nie mówi nic na rynku we Lwowie... Dowiesz się o niem, mości rotmistrzu, na polu bitwy...

— Nie wątpię o tem... Wszakże, pod chorągwią królewską potrzeba towarzyszowi wystąpić *honeste*... Pod wojewódzką, co innego...

— Należy się jednak wykazać przynależnością do województwa.

Rotmistrz odpowiedział nic nie mówiącem skinieniem.

— A tu, wszystkoby mi łatwiej przyszło, aniżeli to...

Skinienie rotmistrza, jakie z poprzedzającego wypływało, powiadało: „Nie moja wina". Widocznem było jeno, że Czuryło nie życzy sobie, w podległym rozkazom jego hufcu, wojownika, wyglądającego z pozoru dość mizernie, i nie będącego w stanie służyć dostatnio. W wojennem rzemiośle wystawność wiele stanowi i wysoko się ceni. Gdybyż eksmnich był przynajmniej chłopem setnym!

— Wykazać się jeno mogę długą rycerską służbą, wypisaną mi na piersiach, rękach i nogach...—były tego ostatniego słowa. Posiadam praktykę, z którą śmiało stanąćbym mógł obok wojownika najstarszego...

— Idź waszeć pod chorągiew mazowiecką...— wtrącił rotmistrz Pod tę, słyszę, ochotnicy leniwo się ściągają...

— Dla tego też i mnie tam nie ciągnie... A przytem—dodał—żem człek świadomy, więc znam się na rotmistrzach i nie pod każdym bym służył z ochotą...

Pochlebstwo to, od niechcenia niby rzucone, podobało się snadź Czuryle, odrzekł bowiem uprzejmie:

— Przyjąłbym waszmości, gdybyś... gdyby... hm...

Myślał chwilkę nad warunkiem, jaki postawić wypadało i w ciągu tej chwilki Głąb, niby myśl Czuryły odgadując i takową uprzedzając, wsunął:

— Gdybyś się zdobył na dwa przynajmniej konie...

Czuryło słowa te skinieniem głowy potwierdził, ekszakonnik zaś ramionami ruszył i odparł:

— A!... Gdyby nie takie czasy... Ani się dokupić konia, rzędu, zbroi, oręża, na jednego człeka, nie dopieroż na dwu... kupiec co moment .. cenę w górę podbijają... Ze skóry się dla nich obedrzeć potrzeba...

— Życie rycerskie nie na rękę snadź poszło waszmości...—zauważył rotmistrz.

— Eh! życie rycerskie!... — podchwycił Kołtun. — Wiesz, mości rotmistrzu, że rycerzowi przychodzi się, raz tak, znów inak... chwila szczęśliwa robi z nędzarza bogacza, nieszczęśliwa z bogacza nędzarza. Ja nie nędzarz, mam zapasik — tu się po biodrze dłonią uderzył — ale nie taki znaczny, ażeby w tych czasach ciężkich wystarczył na zakupienie dwu koni i na uzbrojenie dwu ludzi... Dokupić się nie sposób, za darmo nie da nikt...

Przy słowach tych, Głąb spojrzał Kołtunowi w oczy z wyrazem takim, iż ten, jakby mu na zapytanie odpowiadając, powtórzył:

— Za darmo nie da nikt...

— Za darmo, nie za darmo, ale, ot, za to, naprzykład, gdyby waszmość menterować zechciał młodzianowi w rzemiośle rycerskiem nowotnemu.

— A...—odparł Kołtun, czyniąc rękami i brwiami giest, oznaczający: „chyba“.

— Waszmość posiadasz rycerskie doświadczenie.

— Którem mógłbym się podzielić...

— I podjąłbyś się dzielić niem z tym oto młodzianem?

— Hm!...—odparł zapytany, mierząc Ignasia wzrokiem —Czemużby nie... A jak mu?...

— Ignacy Kapuziński...— odpowiedział Ignaś sam, zdobywając się na odwagę przemówienia w obec człowieka, mającego być towarzyszem jego, a raczej starszym w szeregu bratem.

Kołtun skrzywił się nieco, odrzekł jednak tonem, zarywającym na łaskawy:

— A no... niech i tak będzie... W tych czasach ciężkich, człowiek za konia z rzędem podjąć się gotów licho wie czego... A więc —tu zwrócił się do Czuryły—mości rotmistrzu?...

Czuryło w dłonie klasnął. Zjawił się chłopak piwniczy, który, otrzymawszy rozkaz, tyczący się piwa świeżego, odszedł. Natychmiast po odejściu chłopca, wynurzył się z gospody człowiek z karbownicą, przed stołem stanął, i, laskę naprzód wystawiając, głośno a grubo chrząknął:

— Hrrm!...

Czuryło się odezwał:

— Towarzysz na dwa konie...

— Na dwa?... a jakże mu?...

Ton, jakim zapytanie to wygłoszone zostało, wyrażał, w odniesieniu do tegoż samego zapytania wystosowanego poprzednio o koni pięć, lekceważenie.

— Maciej Kołtun...—była odpowiedź rotmistrza.—Oto ten...

— Ten?..—odrzekł karbownik, spoglądając z ukosa na eksmnicha, laskę podnosząc i puginałem na tąkowej znak wyrzynając. Maciej Kołtun...— powtórzył — Jest... zakarbowany.

To rzekłszy, puginał do pochwy włożył, laskę w pół ujął i poważnie się oddalił.

— Za zdrowie króla jegomości!...—wniósł pan Czuryło, podnosząc kufel pełny, pianą białą okryty.

— Za zdrowie!...— zawtórzyli chórem niezupełnie we względzie harmonii zgodnym pan Maciej Kołtun, pan Łukasz Głąb i pan Ignacy Kapuziński.

— Niech nam żyje i króluje lata setne!...

— Niech żyje!...

— I niech zwycięzcą z wyprawy wraca.

— Wiwat!... odrzekli wszyscy razem, kuflami się trącając.

## III.

# SODOMA, GOMORA.

Roztoczony pode Lwowem obóz, ciekawym był do oglądania, nie pod względem tego co w nim było, ale pod względem tego, czego nie było. Nie było w nim przedewszystkiem ładu, pomimo, że istniały pozory onego, polegające na tem, że szlachta obozowała województwami. Brak ładu sprowadzał braki wszelkiego rodzaju we względzie wojennym, te zaś sprowadzały wszelkiego rodzaju zbytki, które do rozpaczy przyprowadzićby mogły wodza, pojmującego zadanie wojny. Zbytki sprawiały, że obóz wyglądał raczej na jarmark, założony na długie trwanie, a jarmark wyglądał na igrzysko, nie mające się kończyć nigdy. W zbiorowisku tem, mającem na celu odwet za klęskę warneńską, było coś, co brzmiało niby ton fałszywy, zmieniający koncert na wrzawę niesforną. Pochodziło to zapewne ztąd, że w obozie, ściągającym się na to, ażeby z pod stolicy Rusi Czerwonej przenieść się na wybrzeża morza Czarnego, za nadto wydatnie występował pierwiastek kobiecy.

„Za dużo było kobiet...“—zarzucają kronikarze wyprawie wielkiej wojennej Jana Olbrachta.

Była to wadliwość jej pierworodna—jeżeli tak wyrazić się wolno—wadliwość, której przyczyna przedstawia się zagadkowo, nasuwając zapytanie: dla czego Jan Olbracht dopuścił jej? Król nie był przecież nowicyjuszem w rzeczy wojennej; nie brakło wojowników w bojach osiwiałych przy boku jego; społeczność owoczesna, dzięki ogólnie panującemu nastrojowi umysłów, wojną — rzec można—oddychała. Zkądże ta, w stawianiu pierwszych dalekiej wyprawy kroków, nieopatrzność?

W wielu razach, postawienie zapytania jest odpowiedzią, w tym atoli zapytanie stanowi kwestyją przez historyków nierozstrzygnioną, a ważną—ważną pod tym względem, że w wyprawie owej tkwi zaród wszystkich późniejszych niepowodzeń oręża polskiego. Przez nią bowiem wszczepiła się w umysły gminu szlacheckiego, nieufność do wodzów, podejrzewanych z góry o dwie rzeczy: o nieudolność i o złą wiarę. Ani jeden z najznakomitszych hetmanów polskich podejrzenia tego nie uniknął. A wyszło ono ztąd— z pode Lwowa—z obozu, roztoczonego szeroko na błoniach, pstrzącego się ludem mnogim, powiewającego sztandarami barwistemi i huczącego wrzawą rozgłośną.

Nie rzecz nasza nad kwestyją tą zastanawiać się. Należy to do historyków, którzy, spodziewać się należy, rozjaśnią nam ją kiedyś, i wytłómaczą powody obłędu, który porwał króla, dostojników i tysiące szlachty, ażeby z tłumu tego zrobić rozbijający się okręt, pędzący na skałę podwodną żaglami pełnemi, z całą rzeczy świadomością.

Boć przypuścić kto gotów, iż powodem obłędu było zaślepienie ogólne. Nie. Zaślepienie w razach podobnych nie jest przypuszczalnem. Rzecz zanadto jaskrawo w oczy się wszystkim i każdemu rzucała, i każdy na głos cały powtarzał to, co stary Łukasz rotmistrzowi powiedział:

— „Sodoma, Gomora!...“

I każdy ze ściągających się pod wojewódzkie chorągwie szlachciców, chętnieby, ujrzawszy co się dzieje, nawrócił i do domu odjechał Nie odjeżdżał wszakże nikt. Wszystkich i każdego więziła w obozie ciekawość: co też to z tego będzie? Królowi przypisywano zamiary zagadkowe, odnosząc takowe do Kallimacha, którego śmierć, acz rzeczywista, zaliczała się jednak do zdarzeń, wymagających sprawdze-

nia; nastąpiła bowiem w sposób, podstęp jakiś na myśl nasuwający. w chwili właśnie, kiedy niechęć do tego męża stanu, stawszy się ogólną, najmocniej się natężyła. Kiedy szlachta cała, jednym głosem potężnym, krzyknęła:

— Precz z Kallimachem!..

Kallimach w trumnie się położył.

Kiedy niechęć o ofiarę się upomniała, ofiary nagle nie stało.

Zrobiło się to tak, jak gdy człek się zamachnie, w celu zadania razu potężnego dla sprawienia sobie satysfakcyi, i nagle przedmiot ciosu znika z pod pięści zaciśniętej, pozostawiając po sobie zawód, zdumienie i rozdrażnienie.

Wielu też wręcz nie wierzyło w śmierć Kallimacha.

— Ho, ho! ..—powiadali—wylezie on, jak szydło z worka...

Worek przedstawiał się pod postacią wyprawy wojennej, tym nawet, co w śmierć Kallimacha wierzyli. Wszyscy przeto, bez wyjątku, w worku onym domyślali się szydła jakiegoś i, śród szlachty nie było ani jednego, któryby nie pragnął domacać się czego, chociażby się przy tem miał pokaleczyć.

Tak się wyrażała ciekawość ogólna, trzymająca tłumy w obozie, nie określona, zagadkowa, a tem się usprawiedliwiająca, że na dnie onej spoczywała troskliwość o dobro publiczne.

Ta ostatnia występowała trochę oryginalnie. Pamiętać jednak potrzeba, iż rzecz dzieje się w wieku piętnastym, że przeto pojęcia owoczesne różniły się wielce od pojęć dzisiejszych, a ludzie tamtocześni byli bardziej aniżeli dzisiejsi *in crudo*, że zatem to, co nam z dzisiejszego punktu widzenia, wydaje się oryginalnością, było wówczas rzeczą całkiem naturalną.

Oryginalność w troskliwości o dobro publiczne, polegała na tem iż była w istocie swojej dwupłciową. Mąż i niewiasta stanowili jedno w tym względzie, szli razem aż do punktu, w którym natura dla jednego z nich zaporę nieprzepartą stawiała. Kobietę zarówno z mężczyzną obchodziły sprawy publiczne i zarówno w takowych udział brały strony obie, z tą jedynie różnicą, że strona kobieca i strona męzka występowały w charakterze czynnym lub biernym, stosownie do rodzaju czynności. Jak długo o radzenie chodziło, póty charakter czynny znajdował się po stronie kobiecej; gdy do wykonania przy-

chodziło, wówczas czynność spadała całkowicie na barki męzkie. Była to reguła ogólna, dopuszczająca wyjątki, które reguły nie osłabiały. Kobieta znaczyła, miała faktycznie głos i puszczała męża samopas wówczas dopiero, gdy należało ramienia dołożyć. A i w tym jednak ostatnim względzie nie obchodziło się bez wyjątków. Śród prababek naszych, w wieku XV-m, zdarzały się nierzadko niewiasty, zasługujące w całem znaczeniu na nazwę *hic mulier*. Nie jedna i konia dosiąść i oręża użyć umiała. Ł. Górnicki, który w pół wieku po przedstawianych w powieści niniejszej zdarzeniach, pisał, narzeka na bawiące się łowami białogłowy.

Gdy przeto szlachta na wyprawę wojenną powołaną została, i gdy wyprawa ta przedstawiła się umysłom pod postacią worka z ukrytym w takowym szydłem, to cały stan rycerski pogarnął się do obozu, nie jak do obozu, ale jak na pole obrad, w towarzystwie strony niewieściej, którą szydło w worku łechtało. W zamierzonej wyprawie tkwiła — jak rzekliśmy wyżej—tajemnica, zagadka, o istnieniu której w całej Polsce wiedziano.

Tajemnica, zagadka—szydło w worku.

Kallimach.

— Och! ten Kallimach!... gdybym go jeno do rąk moich dostać mogła!...—odzywała się nie jedna z prababek naszych.

— Umarł, czy nie umarł?...

Niewiasty—mówię to bez zamiaru ubliżenia płci pięknej—były po wszystkie czasy, bardzo ciekawe.

A zachodziła tu właśnie, przedewszystkiem ciekawość do zaspokojenia—ciekawość o rozmiarach kolosalnych.

Z tego więc powodu, nie jeden z pradziadów naszych, przyjechawszy do obozu wozem, na którym obok niego przybyła niewiasta, i za którym pachołkowie konie bojowe prowadzili, i zobaczywszy co się dzieje, wróciłby chętnie, otrząsając kurz z butów, ale wracać nie mógł. Jejmość nie puszczała... dla szydła.

— Poczekaj!...—wołała—poczekaj!... Coś tu się święci...

I wóz stawał w obrębie przez obożnego dla województwa wytkniętym, okrywał się płótnami namiotu i zmieniał w łożnicę małżeńską. Obok woza rozkładało się gospodarstwo pochodne, nad którem dowództwo obejmowała jejmość, i które prowadziła na pocze-

kaniu, przy pomocy pachołków. Stawał piec kuchenny pod postacią jamy w ziemi wykopanej i w ciągi zaopatrzonej, i otaczał się sprzętami, naczyniami i artykułami żywnościowemi, wzrastającemi w liczbę z chwilą każdą. Tu i ówdzie wznosiły się ostrzeszki i szałasy dla osłonięcia ludzi i koni. I wytwarzał się labirynt, pełen przesmyków, zaułków, spłotków, rowów i wilczych dołów, zmieniających co chwila naturę i kierunek, labirynt zajmujący przestrzeń okiem nieogarnioną.

Wykazaliśmy jednak powyżej jedną tylko obozu pode Lwowem stronę, i to lepszą, prawą. Była atoli jeszcze i druga, odwrotna, a od pierwszej zależna. Przypuszczenie do obozu płci pięknej, pociągnęło za soba następstwa, jakie pociągnąć musiało — otworzyło śluzy dla kobiet wszelkiego rodzaju, wchodzących pod rozmaitemi pozorami i pretekstami. Ta założyła garkuchnię, owa otworzyła sprzedaż napojów, inna przybyła w towarzystwie przekupnia, inna znów zabłąkała się niby, wyjścia znaleść nie mogła i pozostała, ot tak sobie, dla niczego. Odwaga w tym względzie kobieca jest niezrównaną. Białychgłów starych i młodych, brzydkich i ładnych, które, gdyby je o to kto pytał, niczem pobytu swego usprawiedliwićby nie mogły, znajdowało się w obozie mnóstwo ogromne, błąkające się śród namiotów, wozów, koni i sprzętów, we dnie i w nocy. Sodoma i Gomora! I to jednak nawet, aczkolwiek ludzie poważni spluwali, i krzyżem wielkim się odżegnywali, stanowiło przedmiot ciekawości, oddziaływającej na umysły. Zapytywano: jak się to rozstrzygnie? jak skończy? czy wyprawa ruszy, a jeżeli ruszy, to dokąd?

Pytanie ostatnie zajmowało wszystkich bez wyjątku, od ciury najostatniejszego zaczynając, a na królu jegomości kończąc, na królu, który w komnacie zamkowej, wychodzącej na rozlegającą się ode Lwowa aż ku Żółkwi płaszczyznę, przy oknie siadywał i okiem po obozie błądził.

Jan Olbracht przemieszkiwał w Przemyślu, dojeżdżał jednak do Lwowa często, zawsze atoli *incognito*, a to dla tego, ażeby zachować całą swobodę umysłu w układaniu wielkiej wyprawy, jaką zamierzał. Potrzebował tej swobody, obejmował bowiem dowództwo naczelne. Gdyby przeto, bądź we Lwowie osiadł, zakładając tam to co się dziś nazywa „kwaterą główną", bądź też przyjeżdżał do Lwowa otwarcie,

nie mógłby się obronić sprawom drobnym, z któremiby go rycerstwo opadło, i któreby mu dystrakcyją sprawiały. Dla uniknienia więc tego, dojeżdżał pod postacią prostego rycerza, nie dając o sobie znać ani miejskim ani wojskowym władzom.

Owóż, przyjechawszy raz w ten sposób i zaszedłszy do komnaty, służącej mu za obserwatoryjum wojenne, Jan Olbracht w zadumie się pogrążył. Na obliczu odbijał mu wyraz zadowolenia. Patrzał, a uśmiech na ustach mu wisiał; oczy przymrużał, jakby w celu spotęgowania patrzenia, i głową lekko od czasu do czasu ruszał, jakby za pomocą skinień tych podkreślał uwagi, które z myśli wysnuwał. Niekiedy odsapywał, nozdrza rozszerzając, jak czynić zwykł zapaśnik, gotujący się do walki. Wyraz zadowolenia zalegał mu twarz całą, jaśniejąc na czole, na oczach i na ustach, i pochodząc, jak się zdawało, od patrzenia, które miało obóz za przedmiot.

Zapewne, widok, jaki się roztaczał przed oczami króla hetmana, był z rodzaju tych, które zadowolnić są w stanie miłośnika obrazów. Obóz, oglądany z góry i zdaleka, przedstawiał się malowniczo Chorągwie barwiste i proporce, zbliżone optycznie jedne do drugich, kraśniały jako kwiaty na grzędzie. Pod niemi bielały płótna namiotów i iskrzyły się promienie słoneczne, odbijające od pancerzy, hełmów i grotów dzid w górę wzniesionych. Śród światełek tych, które migotały, skłaniały się, do góry wyskakiwały i w dół zapadały, roiło się mrowisko jakieś, otoczone dymami, które obraz cały owiewały wpół przejrzystą mgłą. W perspektywie wadliwości wszelkiego rodzaju nikły, i obóz przedstawiał się nakształt owych miast wschodnich, zachwycających zdaleka, z których człek, posiadający w normalnym stanie zmysł widzenia i zmysł powonienia, ucieka, zatykając sobie nos i zamykając oczy.

Zapewne — z okna zamkowego było patrzeć na co. Nię dziw przeto, że oblicze Jana Olbrachta zadowolenie wyrażało.

Nasycał się widokiem w rzeczy samej pięknym, a puszczając wzrok po za obóz w siniejącą na widnokręgu dal, odsapywał i brwi marszczył. Rzekłbyś, w dali owej wietrzy coś, widźi coś — widzi sławę rozgłośną, uśmiechającą się do niego i wabiącą go do siebie.

I królowie, jak zwyczajni śmiertelnicy, miewają złudzeń i zachwytów chwile.

Jan Olbracht, trzeci z synów Kazimierza Jagiellończyka, obdarzon był od natury duszą, zdolną przyjąć nastrój poetyczny. Przyjął też nastrój ów z ducha wieku, w którym się urodził, a który dla urodzonych pod purpurą monarszą dzieci wyznaczał odrębne wśród ludzi stanowisko. Były one, w mniemaniu powszechnem, dziećmi bliższemi ojca tego, który w niebiesiech jest, aniżeli ogół śmiertelników — bliższemi i ukochańszemi, wybranemi, czego następstwem naturalnem być musiało to, że się im i więcej należało i więcej było, wolno aniżeli wszystkim innym. Mniemanie to wynikało bezpośrednio z idei państwowej, ogniskującej się całkowicie w osobie pomazańca bożego, i przejmowało najpierwej, a najsilniej tych, którym zapewniało korzyści i wygody największe. Takiemi, przed wszystkiemi innemi, byli samiż pomazańce boscy, przekonani głęboko, że w odniesieniu do nich nie istnieją wcale występki i niedorzeczności, istnieją zaś jeno widoki osobiste, mające doniosłość zawsze wyjątkową, bez względu na jakość onych. Monarsze wszystko było wolno i wszystko, co od niego pochodziło, lub co się osoby jego tyczyło, posiadało znaczenie wysokie i uznanie bezwarunkowe. Takiem było mniemanie powszechne i na tej podstawie tworzyły się, rozwijały i wzrastały mocarstwa, z któremi Polska w bliższych lub w dalszych, w bezpośrednich lub w pośrednich pozostawała stosunkach, i z których przeto spływały na nią przykłady, oddziaływające rozmaicie na jej warstwy społeczne. To co dla jednych było wstrętnem, dla drugich stanowiło zachętę; jeden i ten sam przykład bywał w tej sferze złym, w owej dobrym, wywołującym, jeżeli nie naśladowanie wyraźne, to usiłowanie modelowania się wedle wzoru pewnego.

Dla królów polskich, za wzór służyli monarchowie zachodni.

We czci wzoru tego wychował się Jan Olbracht, człowiek umysłu podniosłego i do czynu pochopnego, ale rozumu ciasnego, pomimo, że około rozszerzania onego, krzątali się dwaj niepospolici mężowie: Długosz i Kallimach. Długosz jednak i Kallimach sami, rękami niejako własnemi, na drodze rozwoju pomyślnego dzieła własnego, przeszkodę wznieśli. Wszczepili w umysł młodzieńca cześć dla wzorów zachodnich, inaczej, wbili w mózg młodego człowieka ćwiek

wydrążony przez środek, z którego trysnęły fontanny fanatyczne. Jan Olbracht, jak skoro siły męzkie poczuł w sobie, zamarzył wnet o sławie i wielkości, o koronach i tronach, o zwycięztwach i tryumfach wszelkiego rodzaju na polach wszystkich, namarszczył się, nastawił, hołdów zapragnął i przybrał postawę bohatera z desek scenicznych postawą samą zdającego się mówić do publiczności:

— Patrzcie na mnie... jaki ja!...

Nastroił minę, przywdział strój jaskrawy, zapuścił włosy długie. W stroju tym, pod Kopestrzynem i nad rzeką Sawranką, Tatarów Podole plondrujących zgromił i w wielką wojowniczość własną uwierzył. W stroju tym po koronę węgierską się wyprawił, a chociaż pobitym w tej wyprawie na łeb na szyję został, dobrego jednak mniemania o sobie nie stracił, przypisując klęskę powodom od autora niezależnym. Ojciec umarł i młody bohater doczekał się nareszcie tronu —tronu atoli nie nader wygodnego, polskiego, tem się od wzorów różniącego, że podołać mu jeno mógł mąż dobro rzeczywiste narodu na celu mający. Stanowisko króla polskiego było stanowiskiem urzędnika przed ogółem odpowiedzialnego i przez oczów tysiące kontrolowanego. We względzie tym zachodziło nieporozumienie, któreby dziejowem nazwać można. Naród faktycznie zapatrywał się na króla, jak na urzędnika, zarazem jednak widzieć w nim chciał majestat z charakterem urzędniczym niezgodny. Król zastosowywał się do położenia swego dla tego jedynie, że do wyjścia z onego sposobność się nie nastręczała, sposobność, do której wzdychanie stanowiło rodzaj osi, będącej środkowością obrotu wszystkich życzeń i pragnień królewskich. Żaden z monarchów polskich, nie rozumiał położenia tego. Ztąd, jedni zachowywali się biernie, ci zaś, co się do czynnej poczuwali roli, wchodzili na drogę fałszywą, potęgując jeno nieporozumienie, które też do najfatalniejszych doprowadzić musiało rezultatów. Do tych, co się do roli czynnej poczuwali, należał Jan Olbracht.

Jan Olbracht, nietylko się do roli czynnej poczuwał, ale czuł w sobie samym majestatyczność.

Wierzył głęboko w to, co nie było czem innem, jak tylko podszeptem próżności, będącej nader w ludziach pospolitą słabością. Wierzył w to, że jest mężem wielkim. A że wielkość nie przedstawiała się podówczas inaczej, jak tylko z mieczem w dłoni, miał się przeto

za wojownika, powołanego do pójścia w ślady Aleksandra Macedońskiego.

Niech nas nie zadziwia ta słabość syna Kazimierzowego.

Wielkość, sława, były to choroby, które naszemu Janowi Olbrachtowi wszczepili Długosz i Kallimach.

Pierwszy fundament założył, drugi na fundamencie tym gmach wzniósł. Polak i Włoch złożyli się na ukształtowanie serca i umysłu młodzieńca i, zaprawdę, chwalić się czem nie mieli: podrażnili jeno ambicyją, a nie zdołali okiełznać namiętności, ani też natchnąć królewicza duchem ładu i uformować mu trafność sądu.

Wojna przeciw Turkom stanowiła w czasie owym zadanie chwili. Wisiała w powietrzu. Cały świat chrześcijański myślał i zabierał się do takowej, ale w całym świecie chrześcijańskim dwór każdy na wyłącznie własną pragnął wyzyskać ją korzyść. Ciągnęły się przeto w nieskończoność układy przedwstępne, które, rozbudzając fantazyją głów koronowanych, układały się w szereg fortelów na drodze dyplomatycznej i kończyły wojnami pomiędzy monarchami chrześcijańskiemi. Historyja przepełnioną jest wojnami tego rodzaju. Powołani do przymierza, bili się zawzięcie pomiędzy sobą, a bili się dla powodów bardzo naturalnych. Dwór każdy, poszukując spotęgowania się własnych za pomocą skojarzenia się z dworem sąsiednim, przychodził do tego przekonania, że najpewniejszym spotęgowania sił sposobem byłoby, zagarnięcie pod władanie swoje posiadłości dworu sąsiedniego. Następstwa wynurzały się same przez się. Sprowadzała je logika, której za punkt wychodni, służyła idea państwowa.

Przejęty tą ideą, sterczącą w obec faktu najścia Europy przez Turków, nasz Jan Olbracht, ambitny, próżny, przedsiębierczy, a ograniczony, zasiadł na tronie polskim, i przez przeciąg lat pięciu, marzył o wyprawie tureckiej. „Marzył“—mówimy wyraźnie—bo nie przygotowywał się. Toczyły się wprawdzie układy ze stolicą apostolską i z dworami interesowanemi, ale te były niczem innem, jeno marzeniem wypowiadającem się po łacinie. Przygotowania istotne należało prowadzić w kraju, tu jednak stała na przeszkodzie szlachecka sejmikowa burzliwość, której powściągnięcie przedstawiało się jako potrzeba nieodzowna i niezbędna. Dwie przeto sprawy zajmowały umysł królewski: turecka i szlachecka.

Dwie te sprawy, acz różne co do istoty swojej, dawały się jednak połączyć. Od czegóż rozum głęboki!.. Połączenie nasuwało się pod postacią wyprowadzenia szlachty na wojnę turecką, i zrobienia jej przez to narzędziem wielkości i sławy osoby królewskiej, narzędziem tryjumfu, o którym Jan Olbracht nie wątpił.

Narzędzie jest narzędziem, i narzędziem pozostaje.

Chodziło jeno o to, ażeby się brać szlachecka raz dała za narzędzie użyć, ażeby się udało raz ją w pole wywabić.

Pomysł ten, natchniony przez Kallimacha, nie mógł być, za życia tego męża, do skutku przyprowadzony. Szlachta go nienawidziła i, podejrzywając udział jego, byłaby nie posłuchała. Lecz Kallimach umarł, i na miejscu tej osobistości, którą sobie przez lat kilka stan rycerski zęby wycierał, stanęła—zagadka.

Król zwołał pospolite ruszenie—rycerstwo się pogarnęło tłumnie.

Jan Olbracht z okna zamkowego przypatrywał się szeroko roztoczonemu obozowi. Na obliczu jego malowało się zadowolenie, którego powód zrozumiałym jest każdemu, co przeczytał uwagi powyższe, wchodzące w zakres poglądu dziejowego. Zadowolenie miało racyję. Jan Olbracht dopiął swego. Rycerstwo się stawiło—to grunt; a przytem liczył na posiłki mistrza krzyżackiego, księcia mazowieckiego, wielkiego księcia litewskiego, króla węgierskiego, i hospodara multańskiego. Litwa zostawała pod berłem brata rodzonego, w Węgrzech zasiadał na tronie brat rodzony; mistrz krzyżacki, książę mazowiecki i hospodar multański znajdowali się w stosunku hołdowniczym względem korony polskiej: jeżeliby przeto dwaj pierwsi zawiedli, pozostawali trzej inni, pomiędzy któremi ostatni, hospodar, postawiony pomiędzy dwu ogniami, nie mógł nie stanąć w cieniu sztandarów polskich. Tak się, wedle wszelkich podobieństw, wydawało. Hospodarem był znakomity wojownik, Stefan, któremu historyja tytuł Wielkiego *(czel mare)* nadała, i którego wrogiem głównym, była potęga turecka, zagrażająca zalewem Wołoszy i Multanom. Buńczuki ottomańskie powiewały już z murów Kilii, położonej u ujścia Dunaju, i z murów Białogrodu, strzegącego ujść Dniestru. Niebezpieczeństwo się zbliżało, stanowiąc rękojmię ze strony Stefana, nietylko pomocy, ale pomocy gorliwej, która, ze względu na wartość ramienia hospodara, ogromne miała znaczenie. Nie było więc naj-

mniejszego do niezadowolenia powodu. Nie dziw przeto, że król z uśmiechem spoglądał w siniejącą na widnokręgu dal, widział bowiem w dali tej, wijącą się drogę przez góry, przez rzeki, i jeszcze przez góry i jeszcze przez rzeki, a na końcu onej gród olbrzymi, w nim gmachy marmurowe o złocistych kopułach, pałace, kolumny, pomniki, bogactwa, rozkosze. Droga do grodu owego, wpadała, niby rzeka do morza, przechodząc przez bramę działami, nożami i basztami najeżoną, w której na warcie stał smok potworny. Za bramą rozlegał się złotym piaskiem wysypany plac, a na środku placu, na piasku, leżała—cesarska korona. Gdy wyobraźnia stawiała przed oczami króla tę bramę, tego smoka i tę koronę, nozdrza mu się wzdymały, oko płomieniem zapału strzelało, a usta po cichu szeptały:

— Ja... ja...

Pierś się westchnieniem podnosiła i napełniała ją lubość niewysłowiona, czuł się na wyżynie, z której obejmował wzrokiem kraj od morza do morza, upiętrzony górami, poprzerzynany rzekami, napełniony grodami i zamieszkały przez ludy różnojęzyczne. Znów usta jego mimowolnie się otwierały dla wydania dźwięku:

— Ja...

Było mu dobrze, słodko, w widzeniu, w którem oglądał osobę własną w purpurowym płaszczu, w gronostajach, w obłokach, w atmosferze, wonią napełnionej i hymnami rozbrzmiałej.

— Cesarska korona maż się tak walać?..

Uważał to za obrazę Boga, za czyn o pomstę do nieba wołający, za sprawę świętą, rozstrzygnienie której opatrzność mu powierza.

I patrzał na tłumy, mrowiące się w obozie pode Lwowem. Pragnął pchnąć je jak najrychlej naprzód, w pochód tryjumfalny.

Marszczył brwi, rozdymał nozdrza.

Uznawał się jednak wojownikiem rozważnym.

Tak dumając, pozostawał w komnacie sam przy oknie otwartem. oparty na łokciu i w dal wpatrzony. Aż stało się, że przestał być sam. Ode drzwi słyszeć się dał odgłos kroków, na który się Jan Olbracht odwrócił nagle, z rzutem takim, jakby ze snu zbudzony został.

Odwrócił się i uśmiechem uprzejmym rozjaśnił twarz.

Ode drzwi podchodziła ku niemu postać, oblana krasą młodzieńczej siły. Wzrost więcej trochę niż mierny, kształty szykowne, w ruchach powolność, zarywająca na ociężałość, na obliczu spokój znamionujący nieobecność porywów namiętnych.

Jan Olbracht poprawił się na siedzeniu, i ukazał przybyszowi miejsce obok siebie. Gdy ten usiadł, zapytał:

— Przybywacie z dobrem słowem, czy z wieścią jaką?...

— Przynoszę wieść...—odrzekł zapytany—która nie wiem jak się wyda waszej królewskiej mości...

— No?...

— Hospodar multański przysłał posłów...

— Z czem?...

— Z przedstawieniami poufnemi.

— Hm... z przedstawieniami...—mruknął Jan Olbracht wpół do siebie—rzecz ciekawa, o co im chodzi.

— Posłowie zgłosili się do nas, żądając, ażebyśmy pośredniczyli pomiędzy nim, a waszą królewską mością.

— Wiecie więc z czem przybywają?...

— Powiadali nam...

— No?...

— Hospodar, zdaje się, jakby kręcił...

— Odmawia udziału w wyprawie!...—wybuchnął król gniewnie:

— Nie...—odrzekł młodzieniec spokojnie—nie odmawia, ale stawia warunki, od których swój udział zależnym czyni.

— W dobrą porę z warunkami przychodzi...— odezwał się król tonem niechęci.—Czegóż chce?

— Wytyka dla wyprawy kierunek i drogę; chce, żebyś wasza królewska mość ciągnął na Kamieniec do Białogrodu, z Białogrodu do Kilii, z Kilii za Dunaj.

— Hm...— podchwycił Jan Albert— jeżeli mu oto jeno chodzi, to dla mnie wszystko jedno, którą ciągnąć drogą.

— I...—dodał młodzieniec, jakby słów króla nie słyszał—przyrzeka połączyć się nie pierwej, aż wojska waszej królewskiej mości, zdobywszy Białygród i Kiliją, Dunaj przekroczą.

— Więc cóż? — były słowa Jana Olbrachta, wyrzeczone tonem jakby o rzecz drobną chodziło—zdobędziemy i przekroczemy. Jeżeli ten tylko warunek...

— Ten tylko .. ale. .—zaczął młodzieniec, wahając się niby.

— Ale co?..

— Jest to warunek bardzo ciężki...

— Nie dla nas...

Młodzieniec na słowa te, spojrzał królowi w oczy wzrokiem wyrażającym zadziwienie.

— Patrzcie, mości książę... — kończył Jan Olbracht, pokazując palcem na błonie obozowe.—Z siłą taką możemy się ważyć...

— Siła ta potrzebuje iść i jeść...

Król na twarzy mówiącego wzrok szeroko otworzony zawiesił ten ciągnął dalej:

— A droga, którą hospodar doradza, jest daleką do przebycia, rudną i środków wyżywienia wielkiego wojska pozbawioną...

Król oczy spuścił. Młodzieniec mówił jeszcze:

— Przypuściwszy zaś, iżby się ją przebyło pomyślne, to za Dunajem znalazłbyś się wasza królewska mość pomiędzy Turkami przed sobą a hospodarem Stefanem za sobą. Hospodar wówczas z innemi by wystąpił warunkami... Wasza królewska mość pozostalibyście na łasce jego, nie mogąc, ani iść naprzód, ani się cofać...

Jan Olbracht zerwał się z siedzenia, groza gniewu wielkiego wyskoczyła mu na czoło; począł krokami dużemi chodzić po komnacie, i rzucać z ust wyrazy pojedyńcze, mające ten jeno pomiędzy sobą związek, że obelgami wypowiadały oburzenie, jakiem go przejęło przedstawienie hospodara. Chodził, odsapywał, brwi marszczył i usta wzdymał. Wreszcie zatrzymał się przed młodzieńcem i, podnosząc zaciśniętą dłoń, zawołał:

— Zgniotę!.... zdepcę!.... na kolanach go przed sobą stanąć zmuszę. ..

Młodzieniec westchnął jeno na słowa te.

Król, postawszy przez chwilę w milczeniu, usiadł na dawnem swojem miejscu i spokojnym, chociaż drżącym jeszcze od wzruszenia głosem, w następujące odezwał się słowa:

— Książe Zygmuncie... wieść niepomyślna nie osłabi hartu duszy naszej... Pomyśleliśmy przez chwilę i już mamy radę... Kogo Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera... Stefan zawcześnie odkrył podstęp, odpokutuje też za sam zamiar... na Boga! ciężko odpokutuje!... Zamiast wątpliwego sprzymierzeńca, zapewnimy sobie wiernych poddanych.

Książę Zygmunt spojrzał bratu w oczy, jakby zapytywał: „jakim że to sposobem?“ Jan Olbracht, zrozumiał snadź znaczenie spojrzenia tego, odparł, bowiem powoli, namyślając się nad każdym prawie wyrazem:

— Podbijemy Multany... podbijemy Wołoszę... posuniemy granicę panowania naszego do Dunaju i wówczas.... o! — tu palec i głos podniósł — wówczas słowo nasze będzie jak rozkaz w Europie brzmiało... Brat król węgierski i czeski, brat wielki książe litewski, brat.... — w tem miejscu zatrzymał się na chwilkę, jakby coś sobie przypomniał i, po chwili, mówił dalej: — Tak... hm... to będzie dobrze... nadam Wołoszy wielkiej i małej, w jedno ciało złączonej, prawo lenne i was, książę, namiestnikiem naszym zamianuję. Wówczas!...

Twarz jego rozjaśniła się, zerwał się, chodzić począł po komnacie, wymachując rękami, jak czynić zwykł człowiek, któremu się tysiąc naraz myśli do głowy ciśnie; stanął przed bratem i rzekł:

— Dam posłuchanie poselstwu Stefana... Chciał on wyprowadzić w pole mnie, wyprowadzę ja jego!...

## IV.

# BRACIA.

Poselstwo Stefana składało się z wysokich dostojników multańskich: z *wielkiego logoteta*, z *perkałaba* miasta Suczawy stolicy państwa, i z wielkiego *wornika* dworu hospodarskiego. Stefan dobrał mężów poważnych i pokaźnych, wymownych i ufność wzbudzających. Wszyscy trzej byli to ludzie już siwi, ale krzepcy jeszcze, członkowie najznaczniejszych w kraju rodzin. Znano ich w Polsce, na Rusi zwłaszcza. Wielki logotet mianowicie, który poselstwu przewodniczył, posiadał stosunki liczne i ścisłe, a to dla tego, że w młodości swojej uczęszczał na akademiją krakowską. Z tego też powodu, umiał trochę po polsku i expedite po łacinie. Był też, jakby umyślnie na posła stworzony: gładki, uprzejmy, przytomny, panujący nad sobą, umiał zawsze i wszędzie trzymać na wodzy i język i fizyjognomiją, nie zdradzając się, ani z tem co myśli, ani z tem co czuje. Uważaćby go można, jako wzór dyplomaty, wiedząc zwłaszcza, iż odznaczające go przymioty nabył u źródła wszechdyplomacyj, na Wschodzie, w obcowaniu z rozbitkami dworu bizantyńskiego. Stefan używał go do misyj delikatnych.

Jan Olbracht dawał posłuchanie z tronu z ostentacyją, w obecności dostojników dworu polskiego, w komnacie najwspanialszej zamku przemyskiego. Brat królewski Zygmunt—niewyposażony jeszcze podówczas księstwem Głogowskiem — zajmował miejsce obok tronu po prawej stronie. Dygnitarze koronni, śród których odznaczał się i wiekiem i powagą Krzesław, biskup władysławski, ochmistrz królewicza Fryderyka, który, mimo wiek swój młody, piastował wysoką godność kardynała i prymasa, uszykowali się w pólkole. Posłowie, przystąpiwszy do stóp tronu, złożyli pokłon głęboki i, dopuszczeni do pocałowania ręki królewskiej, uzyskali pozwolenie zabrania głosu.

Była to jeno formalność.

W przemówieniu swojem, wielki logotet, główny kładł nacisk na przyjazność uczuć pana swego względem króla polskiego, jako też na to, że hospodar w żywej ma pamięci zobowiązania uroczyste, jakie powziął względem Polski. Była to alluzyja do hołdu w Kołomyi. O istotnym przybycia swego celu, pobieżną zaledwie uczynił wzmiankę, nadając takowej formę pokornego przedstawienia, pochodzącego od człowieka, znającego się na rzeczy i jak najgoręcej pragnącego zniszczenia potęgi wrogów chrześcijaństwa. O warunku nie wspomniał ani słowa. Przemowę zakończył życzeniem, w imieniu hospodara wyrażonem, jaknajpomyślniejszego zamierzonej wyprawy zakończenia.

Na słuchaczach, przemowa wielkiego logoteta zrobiła wrażenie jak najlepsze, a to dla tego zapewne, że, z wyjątkiem królewicza, nikt klucza od niej nie posiadał. Król z uśmiechem uprzejmym głową skinął, dając przez to kanclerzowi koronnemu znak do udzielenia poselstwu odpowiedzi od tronu.

Odpowiedź, trzymając się w sferze ogólników, stosowała się ściśle do przemówienia. Król wierzył przyjaznym hospodara zaręczeniom, przedstawienia zaś jego przyjmował w znaczeniu dowodu troskliwości o pomyślność wyprawy, i obiecywał wziąć je pod dojrzałą rozwagę. W obietnicy zawierało się półprzyrzeczenie zastosowania się do poufnych propozycyj Stefana; zawierało się więcej nawet, aniżeli półprzyrzeczenie, wyraźnie bowiem powiedzianem było, że zamki białogrodzki i kilijski, jeżeli, przy pomocy bożej, zdobytemi zostaną, zostaną zdobytemi w tym jedynie celu, ażeby je hospodarowi mul-

tańskiemu oddać. Tego Stefan nie domagał się na razie. Kiedy kanclerz ustęp ten odpowiedzi wygłaszał, król pilnie w oczy wielkiemu logotetowi patrzał, i... uśmiechnął się. Uśmiech jego wyrażał zadowolenie, jakby z dopięcia zamierzonego celu. Poseł Stefana okazał zachwycenie, z wdzięczności głębokiej wyrazem na króla spojrzał, oczy wzniósł do góry i odezwał się:

— Wielkość jego, pan mój najmiłościwszy, gdy mu łaskawe waszej królewskiej mości słowa powtórzę, uważać je będzie, jako widoczny łaski bożej dowód... Obyż Najwyższy błogosławił zamiarom waszej królewskiej mości i pozwolił mu, przy życiu jak najdłuższem i zdrowiu jak najczerstwiejszem, wzrastać w potęgę i sławę.

Posłowie, powtórnie do ucałowania ręki królewskiej przypuszczeni, oddalili się z pokłonami głębokiemi.

Wkrótce po nich, ze zwykłym ceremonijałem na Zachodzie pożyczonym, oddalili się i dygnitarze korony polskiej, po nich zaś król z królewiczem i sędziwym Krzesławem, do przyległej wyszedł komnaty.

Król promieniejący był samozadowoleniem, ręce zacierał i uwolnione od ucisku korony włosy długie poprawiał. Krzesław, ręcę jedną na drugą założywszy, głowę spuszczoną trzymał. Oblicze jego wyrażało smutne zamyślenie, które snadź króla uderzyło, zapytał bowiem.

— Zawszeż, świątobliwość wasza, krzywo się na sprawę tę zapatrywać będziecie?...

— Najjaśniejszy panie!...—zabrał starzec głos—nie jestem ja przeciwko wojnie; pragnąłbym jednak, równie jak tego pragnie eminencyja jego, kardynał i prymas, brat wasz dostojny, ażeby wszystkie siły chrześcijańskie zwróciły się przeciwko niewiernym... Jakżeż spodziewać się można dopięcia tego, jeżeli chrześcijanie na chrześcijan oręż podnoszą!... Przemawiam do waszej królewskiej mości nie w swojem, lecz w jego eminencyi imieniu...

— Jego eminencyja powoduje się radami świątobliwości waszej... wtrącił król.

— Rady moje—ciągnął biskup — mają na celu dobro kościoła, chrześcijaństwa całego i królestwa tego, któremu wasza królewska mość panujesz...

— Więc?... — zagadnął król, widząc, iż biskup, jakby się zająknął.

— Proszę więc, błagam waszej królewskiej mości, zaniechaj zamiarów przeciwko hospodarowi wołoskiemu...

Na słowa te Jan Olbracht z niecierpliwością zapytał:

— Zkądże to?... jak wiesz o tem?...

— Najjaśniejszy panie!...— odrzekł starzec, pokazując na włosy swoje siwe — zanadto mam doświadczenia, ażebym ze słów logoteta, i z odpowiedzi od tronu, wyrozumieć nie miał zamiarów twoich...

Jan Olbracht się ofuknął, a nie zaprzeczając wręcz trafności biskupa, odparł opryskliwie, o miecz dłonią uderzając:

— *Tuum est sacra curare, non exquirere, qua bella ego aut quas hostes agredi debeam...*

Starzec oczy spuścił. Jan Olbracht, przeszedłszy się razy parę po komnacie, i ze wzruszenia ochłonąwszy, zatrzymał się przed nim i rzekł:

— Pragnęlibyśmy gorąco rozmówić się z jego eminencyją, bratem naszym miłym, ale *sub secreto...* Pchnijcież do niego gońca od siebie, niech przybędzie *sine ostentatia* do Lwowa... pogadamy ze sobą.

— Spełnię rozkaz waszej królewskiej mości...—odrzekł biskup— lecz wasza królewska mość pozwoli mi pomówić z jego eminencyją...

— I owszem...—rzucił król, wychodząc.

W dni kilka później, zeszli się bracia, Jan Olbracht, Zygmunt Fryderyk na zamku lwowskim, w komnacie tej samej, w której widzieliśmy Jana Olbrachta z Zygmuntem.

„*Tres faciunt consilium*“—powiada przysłowie.

Narady wszelkiej wartości, zależą od wartości głów, ta zaś ostatnia—albo od zdolności umysłowych niepospolitych, albo też od nabytego wiekiem doświadczenia. Zdolności przyrównać się dadzą do skarbu na drodze znalezionego, do biletu na loteryi wygranego: przynieść mogą korzyści ogromne, ale wielce są rzadkie. Dla tego to doświadczenie przedstawia rękojmię pewniejszą i ceni się wysoko w mniemaniu powszechnem. Siwe głowy wzbudzają zaufanie.

Jakież zaufanie wzbudziły trzy głowy, zgromadzone w komnacie zamkowej!

Jan Olbrach liczył lat 36, Zygmunt 30, Fryderyk 29. Każdy z nich był pełnoletnim, mógł miewać pomysły świetne, chodziło tylko o to, żeby trafił na dobre.

Chodziło przeto o rzecz tak małą! Jak król, tak królewicz, tak kardynał, uważali się, ex-oficio niejako, za powołanych do snucia pomysłów nie innych, jeno gienijalnych. Zygmunt śród braci rozważnością się odznaczał, Jan Olbracht jednak i Fryderyk, nie posiadali przymiotu tego, który w braku innych zastępuje rozum niekiedy. Znamionowała ich rzutkość umysłowa, zaprawna jednostronnością umysłowego wykształcenia, opartego całkowicie na historyi, pojmowanej w czasach owych, nie jako źwierciadło losów ludzkości, ale jako panegiryk dla mężów opatrznościowych, służących za przykład nie gminowi pospolitemu, ale ludziom wybranym. Nie byliż wybranemi oni? Nie byliż, w sile wieku i imaginacyi, jeden królem, drugi kardynałem? Nie znajdowaliż się ci dwaj w położeniu, w którem granice możliwości zakreślone dla śmiertelników zwyczajnych, dla nich umykały w dal okiem niedojrzaną? To, że się za wybranych i łaską bożą szczególnie zaszczyconych uważali, głowy im zawracało. Według nich, niesprawiedliwościąby było, gdyby Bóg wybrańców swoich opuszczać musiał, jak niesprawiedliwością wydaje się synom marnotrawnym, kiedy rodzice wybryków im nie przebaczają i długów ich nie płacą.

Bracia zasiedli do narady. Zagaił takową król.

— A co?... — odezwał się, odgarniając z nad czoła długie włosy—zawiązałem węzeł zręcznie?...

Królewicz Zygmunt milczał. Kardynał odparł:

— Stefan mocno przyciśnionym być musi, kiedy przysłał poselstwo ze słowem tak, wedle tego jak nam Krzesław powiadał, pokornem...

Zygmunt głową pokiwał, Jan Olbracht rękę podniósł i, giestykulując odpowiednio, bratu odpowiedział:

— Fałszywa ta lisia pokora, podobna do sideł na ptaki zastawionych... Chciał mnie podejść, ale...

Giest, który po „ale“ nastąpił, oznaczał: „Nie takich jak ja na podstępy się bierze“...

— Nic chyba nie rozumiem...—były słowa kardynała.

— Bo eminencyja wasza sądzi o przemówieniu wielkiego logoteta, wedle krasomówczych zwrotów, biorąc takowe w znaczeniu prostem... Brać je należy w znaczeniu odwrotnem...

— Czyżby hospodar zamierzał wiarołomstwa się dopuścić?...

— Zamierza zmienić stosunek swój do nas i siebie na naszem, nas zaś na swojem postawić miejscu, ażeby na przyszłość nie mówiło się: król polski, hospodar wołoski, ale: król wołoski, hospodar polski... Co?...

Kardynał ramionami lekko ruszył i brwiami skinął, przechylając nieco głową ku lewemu ramieniowi.

— Ha, byk multański!... — zaczął król, czyniąc snadź alluzyją do herbu Multan, wyobrażającego byczą głowę. Ha, lis!...

— Pierwszy raz widzę — podchwycił Fryderyk — podejrzliwość waszej królewskiej mości, objawiającą się tak silnie... Nie wątpię, że nie jest ona bez powodu, ale...

— Eminencyja wasza, chciałaby brać stronę Stefana... — wtrącił król.

— Bynajmniej... Chciałbym tylko wniknąć w istotę rzeczy...

— Istota rzeczy jest taka, że hospodar multański pragnie wojsko polskie zwabić do Budżaku...

— Cóż więc?...—wtrącił kardynał tonem perswazyi.

— Pragnie zwabić nas z wojskiem do Budżaku... — powtórzył król dobitnie—wskazując nam na przynętę Białygród i Kiliją...

— Białygród i Kilija wpadły w ręce tureckie, więc wydrzeć je z takowych, byłoby korzyścią, która Stefanowi wydaje się może ważną, i do dalszych sukcesów potrzebną.

Jana Olbrachta zastanowiła ta uwaga. Zwrócił oczy na Zygmunta z wyrazem zapytania. Wyzwany w ten sposób Zygmunt, odchrząknął i odpowiedział:

— Mogłaby jednak kosztować zanadto drogo...

— Nie masz korzyści bez ofiar...—kardynał na to.

— Tak... gdy atoli wojnę się rozpoczyna, to ofiary na szali rozwagi ważyć należy...

— Jesteście, książę, rozważnym za zbyt... Baczcie, ażebyście nie stali się podobnymi do ptaka, co lęka się gniazda opuszczać dla niebezpieczeństw powietrznej podróży.

— Zaprawdę... — odparł Zygmunt — do ptaka owego podobnym być bym nie chciał, ale nie chciałbym także, ażeby brat i król mój miłościwy zaprowadził wojsko w taką pozycyją, w której znalazłby się na łasce żywiołów, sułtana ottomańskiego i hospodara multańskiego, jak Daniel w lisiej jamie znajdował się na łasce zwierząt drapieżnych.

— Bóg Danielowi z pomocą pospieszył i wrogów jego zawstydził...

— Bo Daniel Boga nie kusił... sam do jamy nie szedł...

— Kardynalski kapelusz—odezwał się Fryderyk z przekąsem—jak widzę przystałby raczej waszej książęcej mości, aniżeli mnie...

— Nie o kapelusz tu—odparł Zygmunt spokojnie—ale o wyprawę wojenną chodzi... Wyobraź sobie, eminentissime, wojsko polskie, z bratem królem a panem naszym miłościwym na czele, zamknięte pomiędzy ujściami dwu rzek, strzeżonemi przez dwa grody warowne, mające morze z przodu, nieprzyjciela z tyłu, pod nogami ziemię jałową, do koła kraj pusty, a nad głowami niebo upalne.

— Wasza książęca mość byłeś tam?...

— Nie... alem się ludzi śmiadomych rozpytywał.

— I dalekoż to?...

— Idąc od Kamieńca prosto do Białogrodu, iść potrzeba niedziel cztery.

— Któż waszej książęcej mości relacyją dawał?...

— Rotmistrz Czuryło...

— A!...—wyrwało się z piersi razem królowi kardynałowi.

— Tam... — ciągnął Zygmunt — nietylko chleba brak do pokarmienia łaknących, ale i dla spragnionych nie masz wody innej, jak tylko woda słona jeziorek i limanów... Grunt piaszczysty, gdzie zaś się znajdzie ziemia rodzajna, ta lęgnie gady i pająki zjadliwe.

— I hospodar chciał tam króla jegomości zwabić!... zawołał kardynał.

Zygmunt, zamiast odpowiedzieć słowami, wykonał giest, złożony z pochylenia głowy, otworzenia szeroko oczów i zaciśnięcia ust.

— Cóż na to eminencyja wasza?...—zapytał król.

— Gdybym się na miejscu waszej królewskiej mości znajdował, nie posłuchałbym rady przewrotnej.

— To nie rada lecz kondycyja...—wtrącił Zygmunt.

— Jakto, kondycyja?...—zapytał kardynał.

— Stefan nieinaczej, tylko pod warunkiem odprowadzenia wojsk królewskich do Budżaku, zdobycia Białogrodu i Kilii, i przeprawienia się za Dunaj, do pomocy orężnej się zobowiązuje.

— Łotr!... — krzyknął kardynał, łamiąc palijusz, który w ręku trzymał.—A łotr!... Co za lis!... Ha!... Nie ma co!... Nie masz rady innej, jak nateraz zaniechać wyprawy, odkładając ją do momentu szczęśliwszej konstelacyi.

— I mnie się tak wydaje...—wtrącił Zygmunt.

— Nie!...—podchwycił król.

Chciał coś mówić, lecz mu kardynał do słowa przyjść nie dał.

— Król węgierski zwłóczy i nie przybędzie aż pierwsze sukcesa polskiego oręża dadzą rękojmię powodzenia; wielki książę litewski także zwłóczy, mając teścia na barkach; od książęcia mazowieckiego, od wielkiego mistrza nie można się spodziewać posiłków donośnych a może i żadnych... Nie ma więc co... podzielam opiniją Krzesława: wyprawy zaniechać należy.

— Nie pora już...—odezwał się król.

— Pora zawsze, przewidując zgubę, od takowej się powstrzymać...—odparł kardynał.

— Zwołaliśmy rycerstwo...

— Można je do domu rozpuścić.

— Pod jakim pretekstem?

— Pod jakimbądź... kownica, żniwa, rok feralny, wyroki nieba... zresztą wasza królewska mość możesz sen jaki ułożyć... Nie ma co... Zamiast dążyć do przepaści, którą się z daleka widzi, lepiej, stokroć lepiej, cofnąć się póki czas...

— Ależ już nie czas!...—podchwycił król z przyciskiem.

— Czas!...

Kardynał się zapalił; mówił żywo, idąc za głosem oburzenia, które go głęboko poruszyło, i wywołując przez to niecierpliwość w królu, nie mogącym przyjść do słowa. Niecierpliwość ta doszła tak daleko, że król z granic wychodząc, krzyknął:

— Zamilknijże już raz, świątobliwość wasza, zamknij gębę i pozwól nam... słówko rzec!...

— Co za słówko!... Co tu już do gadania jest!... — odparł Fryderyk.

— My król!...

— A?... Więc... — słowa te brzmiały akcentem przekąsu — słucham waszej królewskiej mości.

— Zamierzyliśmy—prawił Jan Olbracht głosem, w którym gniew tłumiony brzmiał — zamierzyliśmy wyprawę na Stefana zwrócić, Multany podbić i...

— A jeżeli się Stefan z Bajazetem sprzymierzył... — przerwał kardynał.

— Modlitwy pilnuj, eminentissime!... Co pastorał, to nie miecz!.. —krzyknął król, do ostateczności przyprowadzony, uderzając silnie dłonią po rękojeści.

Kardynał na słowa te, spojrzał na brata ze zdziwieniem niejakiem; oczy jego młodociane zamigotały wydobywającemi się z głębi onych płomykami; nozdrza się rozdymały, usta drżały; po chwili jednak oczy spuścił, głowę pochylił i przybrał postawę pokory obrażonej.

Król sapał i głową wstrząsał.

— Rzekliśmy, dotrzymamy...—prawił. — Spadniemy na Stefana, jako piorun z jasnego nieba i skończymy z nim zanim się on opamiętać zdoła... Nie byłoby chyba Boga na niebie, gdyby wiarołomstwo jego zasłużonej nie odniosło kary... Bóg z nami!... hasło nasze.

Przeszedł się po komnacie, ochłonął nieco i po chwili milczenia, znów głos zabrał:

— Ważymy się na hazardy za sprawę, w której towarzyszyć nam będą modły chrześcijaństwa całego i ojca świętego... Miałyżby modły te nic nie znaczyć?...

Zaczepiony z tej strony prymas i kardynał, pomimo młodości swojej, zrozumiał jednak, iż zadałby kłam charakterowi książęcia kościoła, gdyby zaprzeczył skuteczności modlitwy. Wzniósł więc oczy do góry i zawołał:

— O! zaprawdę... ten jeden waszej królewskiej mości sprzymierzeniec pozostaje!...

— Ale pewny?...

— O pewny!... Przydaliby się i inni...

— Za pomocą tego, innych dostaniemy... Na stolcu wołoskim osadzę księcia Zygmunta.

— Gyby przynajmniej wielki mistrz przybył... — wtrącił kardynał.

— Poszlemy do niego z przypomnieniem, a jeżeliby się ociągał postaramy się, ażeby wielkim mistrzem kawalerów krzyża świętego, został królewicz Fryderyk, prymas królestwa polskiego i kardynał stolicy apostolskiej.

Młodzieniec drgnął lekko, usłyszawszy słowa ostatnie, wyprostował się pod fałdami płaszcza kardynalskiego, oko mu strzeliło zapałem, podniósł rękę, jakby giestem zamierzał poprzedzić okrzyk radosny, lecz, przypomniawszy snadź sobie powagę, jaką mu nakazywało piastowane przez niego wysokie dostojeństwo, westchnął i odparł:

— Wasza królewska mość miewa pomysły... natchnienia...

— Dobre?... co?...—podchwycił król.

— Tak... nie inaczej...

— Świątobliwość wasza z radością w osobie swojej połączysz charakter kapłana z charakterem wojownika.

— Umiem oceniać wysoko łaskawość waszej królewskiej mości. Tylko... czy nie będzie, na drodze dojścia do celu tego, za zbyt trudnych do przełamania przeszkód?...

— Byleśmy jeno przełamali przeszkodę główną... Zwycięztwo nad Stefanem zapewni nam przewagę, tak w Polsce jak za Polską rozwiąże nam ręce... Wszak tak?...

— Nie można nie uznać mądrej przezorności waszej królewskiej mości...—była odpowiedź kardynała.

— Byle jeno Bóg zamiarom błogosławił...— wtrącił najprzezorniejszy z braci Zygmunt, tonem który wątpliwość zdradzał.

Król i kardynał spojrzeli na niego w lekkim w oczach wyrzutem, a ostatni zawołał:

— Zaprawdę!... zdaje się jakoby Opatrzność boża omyliła się, naznaczając mnie na kapłana, a waszę książęcą mość na rycerza. Jakżeby Bóg zamiarom takim błogosławić nie miał!... Czy tu o krzywdę czyją chodzi?... Nie zyskaż na tem wiara święta, jeżeli miejsce pogrążonego w błędach Stefana zajmie wasza książęca mość?... Nie

zyskaż na tem zakon, jeżeli na czele onego stanie kardynał stolicy apostolskiej?...

— Nie zyskaż na tem chrześcijaństwo całe... — podchwycił Jan Olbracht—jeżeli pięciu braci rodzonych, Władysław król czeski i węgierski, Jan Olbracht król polski, Aleksander wielki książę litewski, Zygmunt hospodar wołoski i Fryderyk mistrz wielki rycerzy krzyża świętego, zwiąże się w jedno, niby w pęk liktorski i świat od pogańskiej uwolni nawały?.. Któremuś z nas dostanie się tron Komnenów i Paleologów...

— Chyba waszej królewskiej mości...—wtrącił kardynał.

— Nie wiemy... — odrzekł król z uśmiechem, zdradzającym zadowolenie wewnętrzne, jakie mu słowa braterskie sprawiły. — Nie wiemy i wglądać nie chcemy w tajemnice przyszłych Opatrzności bożej wyroków... Spodziewać się jeno można, że tron cesarski dostanie się któremuś z nas, a wówczas ten sam związek braterski, który do wypędzenia Turków z Europy posłużył, posłuży do odebrania z rąk niewiernych grobu świętego...

— Królu mój!... panie!... bracie!...—wywoływał kardynał w uniesieniu, którego powściągnąć nie był w stanie.— Duch boży przemawia przez usta twoje... W wyrazach twoich czuję tchnienie prorocze Dawida, gdy szedł z procą na Golijata... Dawidzie chrześcijaństwa!..

To mówiąc wstał i królowi bratu w objęcia się rzucił.

W oczach króla i w oczach kardynała, łzy zabłysły.

Uniesienie bywa zaraźliwem. Zabłysły łzy i w oczach królewicza Zygmanta, który, jakby w celu ukrycia wzruszenia, zwrócił się ku oknu, zkąd widok na obóz się rozlegał. Stanął i oczy rękawem obcierał. Bracia zaobserwowali wzruszenie jego.

— Mości książę...—zaczepił go kardynał.—Trzy, wielka liczba... trzy osoby w Bogu... Zróbmy trójcę braterską, którejby bramy piekieł nie przemogły...

Królewicz ręce obie wyciągnął, podając jednę królowi, drugą kardynałowi.

Trzej młodzi ludzie zawarli sojusz na śmierć i na życie, zobowiązali się stawać jeden za wszystkich, wszyscy za jednego i do śmierci zachować w pamięci tę chwilę uroczystą, w której się skojarzyli w imie wielkich celów, religijnych i politycznych, albo raczej reli-

gijno-politycznych, w czasach bowiem owych posługiwano się religiją dla polityki i polityką dla religii.

Wyprowadzić bliźniego w pole, obedrzeć go i zgubić, a samemu miejsce jego zająć: takie rzeczy i wówczas, w sferach zwłaszcza polityki wysokiej, znajdowały oklaski u gawiedzi. Piętnasty wiek, nie nader daleko odbiegał od tych czasów dobrych, w których brat bratu oczy wyjmował, brat brata życia pozbawiał, w których wielcy monarchowie gwałcili z czystem sumieniem wszystkie, z wyjątkiem trzech pierwszych, artykuły dziesięciorga przykazań, i jak najmocniej pożądali wszystkich rzeczy, które nie ich były. W ten sposób wyrażała się racyja stanu. Występowała ona naiwniej, aniżeli dziś, a jeżeli do podstępów się uciekała, to do takich chyba, jak ten, za pomocą którego zamierzał Stefan zgubić Olbrachta, a Olbracht Stefana. Były to czasy silnej wiary i pomysłów prostych. Bracia szczególnie braci wystrzegać się musieli.

Nie masz jednak reguły bez wyjątków.

Pomiędzy Olbrachtem, Zygmuntem a Fryderykiem, pomimo, że byli to bracia rodzeni, nie zachodziła okoliczność żadna, któraby szczerość ich sojuszu w wątpliwość podawała. Pochodziło to może ztąd, że starszy zajmował stanowisko dla młodszych niedostępne, młodsi zaś nie posiadali nic takiego, coby w starszym pożądliwość wzbudzało. Przypuszczenie to, jest ze strony naszej złośliwem. Czemużby nie przypuścić pobudek czystych? Chętnie im miejsce dajemy, zaznaczając fakt ten nagi, że sojusz braterski, którego istotę podaliśmy powyżej, odznaczał się szczerością jak najzupełniejszą. Nie obyło się wprawdzie bez interwencyi widoków osobistych. Jeden miał przed oczami wielkość, sławę i wzmocnienie posad tronowych, a kto wie, może i koronę Paleologów w proch rzuconą; drugiemu uśmiechało się wielkie mistrzostwo; trzeciemu podobać się mógł hospodarski kołpak. Wszystko to były rzeczy, po które schylić się było warto, a które zależały od ścisłości sojuszu pomiędzy braćmi, tak długo przynajmniej trwającego, pókiby każdy z nich nie dopiął celu życzeń swoich.

Dłonie braci złączyły się w uścisku wzajemnym. Król, królewicz i kardynał sformowali koło, któreby malarzowi historycznemu za przedmiot do obrazu posłużyć mogło, do obrazu wdzięcznego nader, złożonego z trzech postaci charakterystycznych: z młodego króla het-

mana, przypominającego lwa z postawy, typ męża rycerskiego z czasów onych, z młodszego jeszcze królewicza, naznaczonego piętnem tej powagi, która mu w następstwie przydomek „Starego“ sprowadziła, a jeszcze młodszego kardynała, uderzającego kontrastem, jaki zachodził pomiędzy suknią jego arcykapłańską, a postawą wysmukłą i szykowną, obliczem wdzięku młodocianego i życia pełnem, i ową niebezpieczną fizyjognomiją, za którą dziewczęta oczami strzelają.

Król pierwszy chwilowe przerwał milczenie.

— Idziemy razem...—rzekł z naciskiem.

— Razem...—odrzekli bracia.

— Do deski grobowej?...

— Do deski grobowej...—powtórzyli.

— Iść więc razem będziemy długo, bo jak dla nas, tak dla was, chwila śmierci jest jeszcze daleką... Chyba, iżby nas los stryja spotkał.

Była to, jak się czytelnik domyśla, aluzyja do Warneńczyka, od którego śmierci upłynęło było lat pięćdziesiąt trzy. Kardynał podchwycił:

— Mógłby spotkać, gdybyś wasza królewska mość poszedł za radą przewrotną wojewody multańskiego, jak świętej i sławnej pamięci stryj nasz, poszedł za radą Jerzego Brankowicza... Ale wasza królewska mość, przewidziałeś zdradę, odwróciłeś ją od siebie, i zwracasz karę na głowę wiarołomcy... Gdyby Władysław III-ci tę przezorność posiadał!...

Jan Olbracht uśmiechnął się uśmiechem samozadowolenia. Zasługa przezorności należała się nie jemu wprawdzie, lecz Zygmuntowi; ten atoli nie reklamował i król ze spokojnem sumieniem przyjmował od kardynała pochwałę całkowitą, tak za przezorność, jakoteż za pomysł kary. Przerwał jednak bratu:

— Zostawmy—rzekł—Władysława III-go w spokoju... Cześć cieniom jego!.. Nam żywym, nie dość pomysł powziąć, trzeba jeszcze i wykonanie onego obmyśleć... Należy na hospodara spaść niespodzianie...

— Tak, o! tak...—potwierdził kardynał.

— Należy przeto, wyruszywszy z pode Lwowa, pociągnąć taką drogą, ażeby się on nie domyślił istotnego wyprawy kierunku.

— Tak... o! tak...—a po chwili milczenia, jakie nastąpiło, kardynał zapytał:—Jakąż drogą?

— Potrzebaby kogoś rozpytać...— była odpowiedź króla, trochę zafrasowanego, jak mu z miny widać było. Droga do Suczawy, wiem, wychodzi tędy.

Tu palcem przez okno wskazał.

— Ale...—ciągnął dalej—gdybyśmy się nią od razu puścili, Stefanby natychmiast wiedział.

Mina króla wyrążała zakłopotanie, tłómaczące się tem, że przy końcu XV-go stulecia, mapy gieograficzne należały jeszcze do rzeczy wcale nieznanych. Gieografija drzemała w pieluchach i uważała się za naukę potrzebną tylko niektórym, nie wojennikom, którzy konfiguracyją teatrów wojennych i drogi pochodów, powinni byli posiadać w głowach, kierując się bardziej natchnieniem, aniżeli wiadomością w tej mierze. Zresztą, droga wszelka znajdowała się, wedle przysłowia, „na końcu języka“. „Kto pyta, ten nie błądzi“. Król, uczyniwszy uwagę, co do Stefana, mruknął pod nosem:

— Hm?...

— Możnaby pójść do Kamieńca...—odezwał się Zygmunt.

— Gdzie Kamieniec!... gdzie Suczawa!..,—odparł Jan Olbracht. —Byłem przecież w Kamieńcu, kiedym nad Sawrankę chodził, znam tę drogę na palcach...

— Ze Lwowa i do Kamieńca i do Suczawy, wyjeżdża się na wschód tędy...

— Ale dwiema drogami...

— Dwiema to prawda... jedna jednak od drugiej nie powinnaby być bardzo daleko, i możeby można urządzić pochód obiedwiema pod pozorem trudności prowadzenia obozów jednym traktem.

Słowa te zafrasowały króla, odrzekł:

— Gdybyż to kogo dokładnie zapytać!...

— Rotmistrz Czuryło...

— Prawda!...—podchwycił król. Czuryło, człek pewny i bywały... Czuryło zna drogi i przechody w tej mianowicie stronie... To dobrze, ale nie na tem koniec... Potrzebaby jeszcze pchnąć kogoś na Multany, ażeby dotarł do Suczawy, rozpatrzył co Stefan poczyna, i powrócił z wiadomościami jak najdokładniejszemi... Hę?...

Ponieważ zapytanie zwróconem było do Zygmunta, więc Zygmunt odpowiedział:

— Rotmistrz Czuryło...

Jan Olbracht i Fryderyk w głos zaśmieli się razem, kardynał zaś odezwał się, rzucając ku Zygmuntowi dłonią:

— Wasza książęca mość, jak się zdaje, ma Czuryłę do wszystkiego i na wszystko, nawet na ból zębów i na kolki...

— Człek doświadczony... — odparł Zygmunt, nie okazując najmniejszej, z powodu żartu braterskiego, urazy.

— Sam on jednak—podchwycił król—na Multany od chorągwi odjeżdżać nie może.

— Może kogoś wysłać od siebie, w taki sposób, iż chociażby wysłaniec wpadł w ręce Stefana, nie mógłby zdradzić polecenia waszej królewskiej mości.

— Prawda!... — zawołał Jan Olbracht, uderzony trafnością słów powyższych.—Prawda!... Niechże wasza książęca mość wezwie Czuryłę do siebie i rozmówi się z nim w cztery oczy... Potrzeba nam wiadomości dwu rzeczy: drogi takiej, z której Stefanby się nie domyślił dokąd zmierzamy, i tego, czy, gdzie i jak hospodar wojska swoje gromadzi?...

## V.

# ZAGADKOWA ISTOTA.

Mówiliśmy o nieładzie w obozie, bylibyśmy jednak wielce niesprawiedliwi, gdybyśmy utrzymywali, że we względzie tym wyjątków wcale nie było, że na przestrzeni olbrzymiej, zajmowanej przez obywatelstwo zbrojne, nie istniał ani jeden zakątek porządniejszy. Zakątki takie istniały tu i ówdzię, w małej wprawdzie liczbie—istniały jednak. Stanowiły je przedewszystkiem chorągwie cudzoziemskie, złożone z rzemieślników wojennego fachu, z drabów bez czci i wiary, ściąganych ze świata całego, a wietrzących wojnę, jak krucy padło— dla niczego innego, jeno dla uprawnionego rabunku. Ci trzymali się razem, tworzyli pewien rodzaj konfraternii, posiadającej statuta utrzymujące ład. Mieli też praktyką nabyty nawyk obozowania i pochodów i podlegali dobrowolnie przyjętej dyscyplinie, niewykluczającej nadużyć, jakich się przy każdej dopuszczali sposobności. Kompanije te najezdnicze posłużyły za pierwowzór w organizacyi wojsk stałych. Drugi rodzaj zakątków porządnych stanowiły chorągwie dworskie, które zajmowały całą jedną połać obozu, różniąc się od zaciągów cudzoziemskich tem, że się składały z krajowców i były jezdne, podczas kiedy tamte służyły piechotą, jako łucznicy, halabardnicy i kopijnicy czyli

dzidarze. Był jeszcze i trzeci rodzaj wojska, w którym się ład jaki taki utrzymywał, a to tak zwana „harmata“, po dzisiejszemu artyleryja, która tworzyła niby cech odrębny, złożony z obsługi dział i z kamieniarzy; pierwsi służyli do strzelania, drudzy do kucia kul; przewożenie dział i amunicyj odbywało się za pomocą zaprzęgów rekwirowanych. Do składu siły zbrojnej zaliczał się jeszcze kontyngiens, do stawiania którego miejskie i wiejskie gminy obowiązane były bądź z chałup, bądź z łanów. Prawo chciało, ażeby gospodarzy ilość oznaczona uzbroiła składkowym sposobem jednego z pomiędzy siebie, w praktyce atoli uzbrajano ochotnika pierwszego lepszego, jaki się pod rękę nawinął, zwykle gapę jakiegoś, którego typ przechował się w podaniach pod postacią Marchołta. Uzbrajano go w co się nadarzyło. Kontyngiens ten stanowił piechotę; z tą rycerstwo najmniejszej nie miało styczności.

Interes opowiadania naszego prowadzi nas nie do chorągwi wojewódzkich, ani do zaciągów cudzoziemskich, ani do harmaty, tem mniej do zapomnianej niejako piechoty łanowej, ale do chorągwi dworskich, zajmujących, jakeśmy rzekli wyżej, całą jednę połać w obozie, przedstawiającą kwadrat podłużny, przerznięty na długość trzema ulicami. Wzdłuż pierwszej ulicy ciągnął się szereg namiotów, wzdłuż drugiej szereg koni, wzdłuż trzeciej szereg wozów zwróconych dyszlami do środka. Czwarty szereg stanowiły ogniska wysunięte na skrajnią zewnętrzną szyku obozowego granicę. Pomiędzy namiotami a końmi, pomiędzy końmi a wozami, pomiędzy wozami a ogniskami snuło się mnóstwo ludzi. Namioty zajmowało rycerstwo, mieszcząc się w takowych po jednemu lub po dwu najwięcej, z pachołkami, którzy w dzień stali, w nocy leżeli u wnijścia, gotowi w każdej chwili na usługi panów. Namiot każdy zapełniały wewnątrz rynsztunki, oręże, zbroje, za pościel służyły wojłoki, siodła pełniły funkcyją poduszek, burki—kołder. Rycerstwo ówczesne twardo sypiało i twardy miało sen, o czem przekonaćby się można, gdyby kto przed dnia świtaniem przeszedł się po obozie. Toż to tam było chrapanie! toż to sapanie! toż to świstanie, syczenie, burczenie, wydobywające się z gardzieli i przez nosy szlacheckie! Rzekłbyś—orkiestra olbrzymia przedyma i stroi instrumenta, takie jak trąby, puzony i waltornie. Kiedy niekiedy bęben głuchem odzywał się warczeniem. Kiedy niekiedy pisk

jakiś słyszeć się dawał. A wejdź do namiotu! Wejdź jeno, nie lękaj się, nie obudzisz uśpionych; możnaby, zdaje się, zabrać każdego z pościelą, na barki zarzucić, wynieść precz i jeszczeby się nie obudził, gdyby to nie była pora wedle koguta. Ale skoro tylko kogut zapiał, szlachcic wnet się zrywał na równe nogi ze snu, choćby najtwardszego.

Kogut i rycerz tworzyli dwójcę nierozdzielną. Kogut nawet, mimo że zwierzę, charakteryzował rycerza, służąc mu za wzór poniekąd. Grzebień na hełmie, pióra na szyszaku, barwistość odzieży, ostrogi u nóg, a nadewszystko mina od stu diabłów, wszystko to były cechy rycerskie przejęte żywcem niemal od koguta, którego rycerz miał ustawicznie przed oczami, bez którego obejść się nie mógł, on mu bowiem dwie ważne oddawał usługi: i porę dnia znaczył i oznajmiał zmiany powietrza—był zarazem i zegarkiem i barometrem. W obozie przeto, w pewnych momentach nocy, chrapaniu wtórowało pianie i dawały się wówczas widzieć wyłażące z namiotów postacie ludzkie, które rozglądały się po niebie, szeroko ziewały i, jeżeli to nie była przedporankowa pora, napowrót się chowały. Pomiędzy jednem jednąk a drugiem pianiem nie znalazłbyś na nogach nikogo.

Nie znalazłbyś na nogach nikogo, z wyjątkiem jednej postaci, i to niewieściej.

Kiedy wszyscy spali, ona jedna czuwała.

Czuwała za wszystkich, na wzór żurawia, wartującego przy stadzie, z tą atoli różnicą, że żuraw wartę odbywa stojący, ona zaś chodziła, chodziła, krążyła, tłukła się niby Marek po piekle po obozie całym, wsuwała się cieniem do namiotów i, o ile na to ciemność pozwalała, przypatrywała się obliczom spiących. Była li to słabość, manija, waryjacyja? trudno zgadnąć, trudniej jeszcze na pewno powiedzieć. Powszechnie uważano ją za lekko na umyśle pomieszaną— lekko z tej przyczyny, że waryjacyja jej, przypuszczając takową, była to cicha jakaś melancholija, nie zawadzająca nikomu. Starościanka— tak ją tytułowano i zwano, nie znając ani jej nazwiska, ani imienia— była raczej dziwaczką aniżeli waryjatką. Dziwactwo jej w ten wyrażało się sposób, iż ustawicznie kogoś szukała, szukała jednak nie inaczej, jak pomiędzy spiącemi. Ludzie co nie spali, nic obchodzili jej wcale. Dla tego też we dnie nie spostrzegano jej prawie, a jeżeli spo-

strzegano, to gdzieś na ustroniu w jakimś cieniu, siedzącą w kucki i głęboko zamyśloną. Musiała gdzieś sypiać i czemś się żywić, dla pokrzepienia sił, czyniła to jednak w tajemnicy, zakrawającej na zagadkę. Największa atoli zagadka odnosiła się do jej pochodzenia. Nikt nie wiedział, zkąd pochodziła i jak się nazywała. Domyślano się jeno, że nie należało do pospólstwa, a domysł ten opierano częścią na ruchach, na giestach, na sposobie bycia, który świadczył jako lepsze zaznała towarzystwo, częścią na ubraniu, które się składało z łachmanów bytu widocznie niegdyś dobrego. Cała zresztą postać jej, cała zewnętrzność znamionowała dystynkcyją niejaką, okrywającą nie tyle wielką nędzę, ile wielki smutek, wielki żal, czy też wielki jakiś upadek. Ztąd wzbudzała ku osobie swojej pewien szacunek i z racyi tego to szacunku, nie mogąc jej nadać imienia, nadano jej tytuł bezimienny. Powodem nadania tytułu 'tego było uwzględnienie jej wieku, jak się zdaje. Starościanka wyglądała cale jeszcze młodo, liczyć mogła lat więcej aniżeli dwadzieścia, mniej jak trzydzieści, i, co się rysów oblicza tyczy, takowe zdradzały jeżeli nie piękność skończoną, to przystojność wielką. Oczy miała szafirowe i wyraziste, głowę okrywał włos bujny kruczego koloru, związany w warkocze opadające na szyję i wymykające się kosmykami na czoło, przykryte chustką ciemną z wytwornej materyi, zmiętą, poplamioną i spłowiałą. Płeć jej wyglądała tak spłowiało, jak materyja owa. Odzież wierzchnią podpasywała powrózkiem konopianym, chodziła nogami bosemi i miewała w oczach połyski rozpacz znamionujące.

Wszystko w niej i na niej świadczyło, że piastowała w duszy tajemnicę jakąś.

Ale się przed nikim nie zwierzała, nikomu nie skarżyła, każdemu z drogi ustępowała i tylko, gdy w obozie światła pogasły, przesuwała się jak cień pomiędzy wozami, końmi, sprzętami, podnosiła płótna namiotów, przestępowała ostrożnie przez leżących u wnijścia pachołków, wchodziła i wpatrywała się w oblicza śpiących rycerzy.

A jak wchodziła, tak wychodziła. Nic nie wnosiła, nic nie wynosiła. Cicho wysuwała się i ciągnęła dalej swój obchód zagadkowy, który rozpoczęła wraz z pierwszą chwilą zatoczenia obozu pode Lwowem i powtarzała noc po nocy, z wytrwałością podziw wzbudzić zdolną.

Nocy pewnej dostała się na ulicę, przy której stały namioty chorągwi, pozostającej pod dowództwem pana Czuryły. Namiot rotmistrza zajmował w szeregu pierwsze na prawem skrzydle miejsce. Księżyc świecił blaskiem drugiej kwadry. Starościanka odchyliła płótna namiotu i weszła. W namiocie spało dwu ludzi: na prawo rotmistrz, na lewo mąż na wznak wywrócony, wydymający policzki za każdem odetchnięciem i sprawiający sapanie miecha kowalskiego. Pochyliła się nad jednym, pochyliła się nad drugim, wpatrywała się pilnie przez chwilkę w jednego i w drugiego, westchnęła i odeszła. Mąż sapiący mocno był nie kto inny, jeno Baltazar z Kręga Kręgarski, herbu Korczak, chorąży z chorągwi pana Czuryły, właściciel na fijoletowo zabarwionego nosa, który oglądaliśmy na rynku lwowskim przed gospodą, i piastun laski z karbami. Jemu Starościanka przypatrywała się niedługo. Światło księżyca padało mu na twarz, oświecając takową w całym blasku.

Udała się do namiotu następnego i, powtórzywszy w nim oględziny, dokonane na jakimś dobrej tuszy szlachcicu, poszła dalej, z namiotu do namiotu, aż dostała się do jednego, w którym, jak w rotmistrzowskim, dwu mieściło się ludzi: na prawo młodzieniec w kwiecie wieku, śpiący snem twardym ale swobodnym, bo nie obciążonym przesadą żadną w jadle i napoju, na lewo człek lat średnich, blady, spotniały, ruszający ustami i policzkami na sposób drgawki konwulsyjnej i zwrócony obliczem na wpadające przez otwór świtało księżyca. Starościanka pochyliła się nad pierwszym, popatrzała i odwróciła się ku drugiemu. Lecz zaledwie okiem na tego ostatniego rzuciła, aliści skostniała niby, w pozycyi nad pościelą nachylonej. W pozycyi tej nastąpiła w niej, dokonywająca się stopniowa zmiana osobliwa. Twarz jej nabierała powoli coraz to potęgującego się wyrazu wściekłości, oczy roziskrzały się, brwi się ściągały, na czoło wybiegały bruzdy rozpromieniające się odśrodkowo od brwi ku włosom, ramiona się podnosiły, ręce zaokrąglały, na dłoniach palce przybierały kształt szponów drapieżnego zwierzęcia, zdawało się, jakoby kobieta zabierała się skoczyć niby pantera i szarpać ofiarę, którą wskazywał kierunek jej oczów. Trzymała wzrok w oblicze śpiącego wlepiony. Zabierała się skoczyć, nie skakała jednak dla tego, jak się zdaje, jedynie, ażeby przez podniesienie w sobie wściekłości siłę rzutu

spotęgować do stopnia jak najwyższego. Zanim to atoli nastąpiło, pierś jej głębokiem wydęła się westchnieniem i wydała jękliwe stęknięcie. W tej chwili, śpiący drgnął ciałem całem, zerwał się i usiadł, przecierając oczy, a raczej, rozdzierając dłoniami powieki. Przetarł oczy, spojrzał, lecz nie było już nikogo. Cień, duch tak nie znika, jak zniknęła Starościanka; zniknęła i śladu po sobie nie zostawiła, jakby ją wiatr zdmuchnął i za namiot odniósł. Po chwilce sunęła przez obóz szybko, pochyliwszy się, jakby się lękała, ażeby jej kto nie zoczył. W tym momencie odezwały się koguty, zwiastując dnia świtanie.

— Ach!...—jęknął i zarazem westchnął w ten dziwny sposób rozbudzony rycerz, podnosząc obie ręce do góry.—Zmory!.. widma!.. Uciekam przed niemi do celi, ścigają mnie w celi, uciekam pod namiot, ścigają pod namiotem... Precz!.. Odczepcie się odemnie!..

Znów westchnął.

W tej chwili młody towarzysz ziewnął, wyciągnął się i zapytał.

— Z kimże to waszmość rozmowę prowadzisz?..

— Z nikim...—była zapytanego odpowiedź.—Ot... koguty pieją, wstawać pora...

— Au-ha!..—odezwał się młodzieniec.—Kiedy pora, to pora... Hej-no tam!..—huknął na pachołków. Otóż spałem!.. jak zabity...

— I nic się waszmości nie śniło?..

— Cóś tam roiło mi się, niepamiętam jednak co...

— To o czem myślałeś z wieczora...

— Z wieczora myślałem o stryjku, o stryjence, o starym Łukaszu.

— I o tych białogłowach, co się tak wdzięczyły do ciebie...

— O tych białogłowach... i!..—odparł młodzieniec.

— Rycerza troje czepia się i trzyma stworzeń: w..., pies i kobieta...

Zauważyć tu mimochodem musimy, że wyraz „kobieta“ używał się w XV wieku, ale w znaczeniu, na którego bliższe określenie przyzwoitość nie dozwala.

— Mnie się nie czepi ta ostatnia...

— Aa?..—ziewnął rycerz z akcentem zapytania.

— Ja zabezpieczon przeciwko temu...

— Natarła ci chyba stryjenka oczy szkaplerzami...

— Nie... ale... hm... tego...—bąkał młodzieniec.

— Zaręczyłeś serce?..

— To jest... tak, niby...

— Bohdankę zostawiasz i z wstążeczką z jej warkoczy na piersiach na boje i znoje spieszysz...

Ton wyrazów tych tak był drwinami nabrzmiałym, że młodzieniec z niechęcią niejąką, jakby obrażony, zapytał:

— Albo co?..

— Co?.. nic... Rzeczy stare, odgrzewane za każdem zejściem się nowych dwojga młodych... Radbym jeno wiedzieć, jak waszmościnej na imie...

— Na cóż wiadomość ta waszmości?..

— Bom trochę wróżbita i z imienia odgadnę co może...

— A no... Maryna...—odrzekł młody człowiek.

Rycerz brwi zmarszczył w oczy towarzyszowi z wyrazem tłumionej złości, z podełba spojrzał i, dzieląc wyraz na sylaby, powtórzył:

— Ma-ry-na...

— Uhm...—bąknął młodzieniec—dziewczyna jak malowanie, jagody niby krew z mlekiem, zrenica jak tereń, zęby...

— Jak perełki, rzecz wiadoma...—podchwycił rycerz.—To tylko sęk, że Maryna...

— Czyżby to być miało imie złej wróżby?..

— Ii... nie... a przynajmniej, jeżeli złej, to nie ze wszystkiem... Źle tylko, żeś ją odjechał... a raczej, że odjeżdżasz...

— Dla sławy...

— Ba!.. Sława wprawdzie tem jest dla Maryn, czem lep na ptaki, ale myślisz może, iż dostaje się jej, jak kuropatwy w sidło...

— Wróż mi jednak, waszmość...—przerwał młody człowiek.

— Wróżyłbym, gdyby nie Maryna... Imię to szyki mi w głowie pomieszało.

Przy słowach ostatnich przybrał ton żartobliwy, jaki człek dojrzały przybiera zazwyczaj gdy z młodym o miłości mówi, i byłby zapewne w tym tonie prawił dalej, gdyby nie wezwanie do rotmistrza. U wnijścia do namiotu pojawił się nagle pachołek i dwa rzucił nazwiska:

— Imćpan Maciej Kołtun... imćpan Ignacy Kapuziński...

— A co tam?..—zapytał starszy.

— Do pana rotmistrza...

Kołtun i Ignaś, oni to bowiem zajmowali namiot, w którym Starościanka scenę nocną odegrała, przerwawszy rozmowę, dokończyli pospiesznie ubierania się i wnet udali się do namiotu wodza chorągwi.

Czuryło, oczekując snadź na przybycie ich, sam siedział na pieńku i miał po jednej i po drugiej stronie dwa pieńki próżne.

— Niech będzie pochwalony...—odezwał się Kołtun wchodząc.

— Na wieki...—odparł rotmistrz i dodał, ukazując na pieńki oczami:—Siadajcie jeno, waszmoście... mam z wami słów kilka do pogadania...

Przybyli miejsca zajęli. Rotmistrz odchrząknął:

— Hrm...

Splunął następnie i zaczął, zwracając do Kołtuna mowę:

— Chodziłeś waszmość na Multany?..

— He... dawno.. jeszcze anno milesimo...

Począł przypominać sobie; rotmistrz przerwał:

— Masz tam znajomych, przyjaciół, powinowatych?..

— Nikogo...

— A waszmość?..—zapytał Ignacego.

— Ani ja...

— Waszmość rycerz doświadczony...—rzekł, zwracając się do Kołtuna—potrafiłbyś po nitce dojść do kłębka?..

— Bylebym za koniec nitki palcami schwycił...

— Ja ci dam koniec w palce... Ot co... Uprzedzam jednak i zapytuję: macie waszmości ochotę przetrząść się nieco po świecie?..

— Czemu nie...—odrzekli obadwa.

— I zdołalibyście na tyle zdobyć się determinacyi, ażeby poodgryzać sobie zębami języki, gdyby tego była potrzeba?..

— To jest, gdyby nas kto za języki ciągnął...

— Otóż to...

— Hm...—mruknął Kołtun, ramionami ściskając.—Gdyby było potrzeba...

— Co do mnie, ja nie wiem...—była odpowiedź Ignacego.—Zdaje mi się jednak...

— Chodzi głównie o to, ażeby się samemu nie domyślać niczego i nie robić z myszy słonia... Nic gorszego, jak te domysły przy kuflu zwłaszcza... Ja powiem waszmościom wszystko, co wam wiedzieć należy, czego atoli nie należy rozpowiadać na trakcie i po gospodach... Owóż wiedzieć wam potrzeba, że wojewoda multański ma się z nami połączyć w celu poczynania sumptem spólnym przeciwko spólnemu nieprzyjacielowi... Potrzeba zatem zwąchać na miejscu, jak to imć wojewoda rozumie: czy, w jakiej sile i gdzie mianowicie wojska swoje gromadzi?.. czy gotów?.. czy zaopatrzył grody warowne?.. jeżeli zaopatrzył, to które mianowicie?..

— Należałoby przeto sięgnąć w kraj multański głęboko... — zauważył Kołtun.

Uwaga ta tknęła rotmistrza. Pomyślał przez chwilkę i odpowiedział:

— Głęboko — nie głęboko..! W tem już wojewody głowa, jak mają być obwarowane dalsze grody... Nas obchodzą bliższe, Czerniejowce, Suczawa...

— Stolica...

— Tak, stolica... Owóż, udacie się waszmoście do stolicy i powrócicie...

— Drogą najkrótszą...—wtrącił Kołtun.

— Niekoniecznie... Wybierajcie drogę, którą wozy, harmaty i obóz prowadzić można, i rozpatrzcie się w niej dokładnie, ażebyście na palcach wiedzieli, gdzie z góry, gdzie pod górę, gdzie most, gdzie przeprawa, gdzie las, gdzie step, rozpoznajcie wioski wszystkie i miasta, i pokarbujecie je sobie: miasto znaczy się krzyżem, przeprawa cięciem ukośnem, wieś karbem prostym, most karbem podwójnym, a z góry... haczyk na dół, pod górę... haczyk do góry.

— Wiem...—odezwał się Kołtun—las—dwa karby złączone, step —linija w podłuż.

— Dobrze... waszmość, jak widzę, praktyk... Teraz więc pozostaje mi tylko powiedzieć, dla czego wybrałem waszmościów nie zaś kogo innego... Wybrałem waszmościów dla tego, że nie macie w tamtych stronach ani swatów, ani kumów; nikt was na drodze nie zatrzyma, nie zabawicie się przy stole i kieliszku, sprawicie się dobrze i powrócicie prędko... Byłbym wyprawił Kręgarskiego, ale mu wino

mołdawskie zanadto smakuje... Wybierajcie drogę, jak mówiłem, wygodną, i to tak—jedną idźcie tam, inną zaś z powrotem.

— Nie dalej jak do Suczawy?...—zagabnął Kołtun.

— Nie dalej...—odparł rotmistrz, i zwrócił mowę do młodego Kapuzińskiego.—Waszmości—rzekł— zdarzyła się gratka... Wprawisz się w pochód, przyrośniesz do zbroi i oręża...

— Więc zbrojno i orężnie mamy podróż tę odbyć?... zapytał Kołtun.

— Weźcie ze sobą po pachołku.

— Ale pretekst?...

— O!...— odrzekł Czuryło.—Czy to o pretekst trudno!... Próbowaliście zaciągnąć się pod chorągwie polskie...

— A tak....—zawołał Kołtun. Licho płacą, twarde dają kondycyje, szukamy więc służby pod rozkazami wojewody.

— Oto pretekst... Możecie sobie jednak wynaleść i inny jeszcze.

— Na co inny, kiedy ten dobry... Z nim możnaby przejść świat wzdłuż i w poprzek... Kiedyż w drogę ruszać mamy?...

— Zanim rosa oschnie... — była rotmistrza odpowiedź. — Idźcie waszmoście do drogi się przysposobić i, nikomu się nie opowiadając, na koń i z Bogiem...

— Więc namiot i wóz...—wtrącił Ignacy.

— Zostaw waszmość pod dozorem luzaka, powrócisz do niego, jak do chałupy... Im prędzej się sprawisz, tem rychlej z powrotem będziesz... A—dodał tonem żartu—nie będzie ci bardzo tęschno, boć nie odjeżdżasz żony i dzieci... A no—zawołał wreszcie— wypijemy strzemiennego... hej! sam tu!...

Zjawił się pachołek. Rotmistrz podać kazał małmazyi butelkę.

— W ręce waszmościów!... Za pomyślność podróży!...

Spełnili koleją kielich, usta obtarli, i Kołtun z Ignacym do namiotu wrócili.

Wybieranie się w drogę nie zabrało czasu dużo. W godzinę niespełna, rycerze nasi na koniach już siedzieli, i przez obozowy labirynt ku traktowi wołoskiemu zmierzali. Z labiryntu udało się im wydostać dosyć szczęśliwie. Roztłukli garnków kilka, potrącili niewiast parę, ściągnęli na siebie złorzeczeń trochę, lecz ani oni sami, ani ich konie, szwanku żadnego nie ponieśli. Wybrali się nareszcie na trakt i pojechali—oni dwaj przodem, dwaj pachołkowie za niemi.

Niechże jadą z Bogiem! Tym razem nie będziemy im towarzyszyli, wypadki bowiem ich podróży wymagają osobnego sprawozdania, które też nastąpi w czasie swoim. Pozostaniemy raczej w obozie, który, w chwili wyjazdu ich, pomimo bardzo jeszcze porankowej pory, wrzał już całą życia pełnią. Oh! bo też przodkowie nasi mieli zwyczaj rannego wstawania. Byli już na nogach, skoro świt... wraz z kurami spać szli, wraz z kurami się budzili. Był to dobry bardzo zwyczaj, tak dalece dobry, iż do utrzymania onego, mądrość ludowa przysłowie stworzyła: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje". Nawiasem powiemy, że przysłowie to, w zastosowaniu do Polski, niekoniecznie prawdziwem się okazało. Przodkowie nasi bardzo przecież rano wstawali.

Obóz wrzał całą życia pełnią, kiedy słońce nie wyjrzało jeszcze nad widnokrąg wschodni: ciurowie konie czyścili, pachołkowie się uwijali, szlachcice bądź pojedyńczo się przechadzali, bądź też po dwu, po trzech, stali przed namiotami i gawędką się zabawiali; szlachcianki doglądały ognisk, przy których piwo się grzało, mleko prażyło i woda na zacierkę się gotowała; w powietrzu rozlegały się okrzyki przekupniów roznoszących świeże pieczywo, chlebiki z czarnuszką, placki z kminem, kołacze, podpłomyki; okrzykom zaś tym wtórowała sygnaturka, wzywająca wiernych na modlitwy, które się odbywały w osobnym na ten cel rozbitym namiocie, gdzie co rano msza się odprawiała; gdzieniegdzie odzywała się godzinka głośno śpiewana, lub słyszeć się dawał grubym odmawiany głosem: *Pater noster*.

Sygnaturka jęczała napróżno.

Czasy Jana Olbrachta, nie były czasami owego zapamiętałego nabożeństwa, które w sto bez mała lat później, opanowawszy umysły szlacheckie, pogrążyło je w sen letargiczny, pełen widzeń i rzutów dziwacznych. W czasach owych tak zwane nowotarstwo, przenikając z Czech, miarkowało gorliwość pietystyczną. Szlachcice chętnie dawali ucho krytycznym poglądom, wadzili się z duchowieństwem o dziesięciny, a powinności, o sądy i, nie bez zadowolenia wewnętrznego, przekonywali się, że Bóg heretyków piorunami nie zabija. Modlili się, ale do kościołów się nie garnęli. Dla tego to sygnaturka jęczała napróżno. Ksiądz ze mszą wyszedł, przed ołtarzem stanął, nabożeństwo rozpoczął, ale pod namiotem—którego podniesione płótna

ukazywały z daleka ołtarz majowo przystrojony i światła rzęsiste, nie było nikogo, z wyjątkiem księdza ż chłopcem do mszy usługującym i niewiasty jednej z boku klęczącej.

Miała dłonie złożone, oczy wzniesione, a po policzkach łzy jej strumieniem płynęły.

Ksiądz z przed ołtarza okiem ku niej raz rzucił i więcej już na nią nie zważał.

Nie była bo to wcale zajmująca istota, a raczej była on ı zajmująca, ale pod warunkiem pewnym. Gdyby na miejscu kapłana, w tej chwili mszę odprawiającego, znajdował się jaki Murillo, nie wiemy jakby msza poszła, ale to wiemy z pewnością całą, że obraz tej niewiasty klęczącej, przeniósłby się na płótno, i że przed płótnem tem stawaliby widzowie w zachwycie podziwu.

Niewiasta nie zalecała się nadzwyczajną rysów pięknością. Zalecała się jednak wyrazem, tym wyrazem co to na oblicze człowiecze wyprowadza bijący z wewnątrz blask, i otacza je aureolą światłości, jakoby wiekuistej i ukazuje niby w człowieku drugą, wyższą, potężniejszą, jaśniejszą naturę.

Klęczała i modliła się, nie słowami, lecz wyrazem oblicza.

Wyrazowi temu za tło niejako służyła boleść niezmierna, uwidoczniająca się w oczach szczególnie, ale rozlana po postaci całej, i udrapowana w sposób taki, jakby Murillo rękami własnemi układał na niej ubranie.

Ksiądz okiem na nią z przed ołtarza rzuciwszy, pomyśleć sobie musiał: „Ot, żebraczka jakaś...“

Niewiasta, w rzeczy samej, na żebraczkę wyglądała, była bowiem ta sama, która po nocy po namiotach się włóczyła, rozpatrując się w twarzach śpiących rycerzy.

Widzieliśmy, jakie na nią twarz Macieja Kołtuna wrażenie wywarła.

Obecnie wrażenia tego najmniejszy nie pozostał ślad. Zastąpił je wyraz boleści. Niewiasta klęczała, płakała i modliła się.

Klęczała, płakała i modliła się, póki ksiądz mszę odprawiał; gdy, odwróciwszy się od ołtarza, mówiąc: „Idźcie, spełniło się“, przeżegnał przestrzeń, w której stały jeno przeznaczone dla wysokich do-

stojników stołki i klęczniki, pochyliła się do ziemi, uderzyła się razy kilka w piersi, wstała i wyszła.

Wyszedłszy, wpadła od razu w odmęt życia obozowego. Ale odmęt ten nie obchodził jej bardziej dziś, aniżeli dni poprzednich. Przesuwała się śród namiotów, wozów, sprzętów, wymijała ogniska płomieniem strzelające i dymy nakształt kit w górę rzucające, obchodziła z daleka szeregami ustawione konie, zdążała do tej połaci, na której obozowały chorągwie dworskie. Postępowała ostrożnie, zatrzymując się często i oglądając się, jakby kogoś w tłumie oczami szukała. Doszedłszy do obozowiska chorągwi dworskiej, nie dotarła do takowej, lecz, stanąwszy zdaleka, wyszukała oczami namiotu Ignacego Kapuzińskiego, i uczyniła namiot ten przedmiotem obserwacyi swojej. A wybrała sobie miejsce takie, ażeby z namiotu spostrzeżoną być nie mogła. Przyszło jej to z łatwością. Obóz, jak rzekliśmy wyżej, przedstawiał labirynt schowków i zaułków pełen. Ulokowała się przeto w zakryciu, przysiadła i zawiesiła na namiocie wzrok, przypatrując się pilnie każdemu, co przez otwór onego wychodził. Szukała oczami kogoś, na kogoś czekała, od namiotu oczu nie odwracała.

Czekała do wieczora daremnie.

Słońce spuszczać się ku zachodowi poczęło, i obóz, który przed dzień, z powodu zapewne dogrzewającego ciepła, pogrążonym był w sennej niby półciszy, zabrzmiał rozgłośnie gwarem muzyk, śpiewów i nietrzeźwych okrzyków. Ona—jeszcze czekała. Widziała ludzi kilku wchodzących do namiotu i wychodzących z takowego, pomiędzy nimi nie było atoli tego, którego oblicze uśpione w blasku księżyca widziane, tak ją do głębi wzruszyło. Nie zrażało jej to jednak. Czekała jeszcze. A gdy cienie wieczorne nie dozwalały jej już twarzy ludzkich zdaleka rozpoznawać, wyszła z ukrycia i, chodząc po obozie schylona, zbierać poczęła okruchy, resztki i niedogryzki różne walające się po ziemi w ilości niemałej. Czego psy wyzbierać nie zdążyły, to ona podnosiła i do ust niosła. I tak chodziła, aż noc nastała. Znajdowała się nieopodal od jednej ze studni, zaopatrujących obóz we wodę, napiła się i przyległa na golej ziemi, chustkę na głowę naciągaąwszy. Spała czy nie spała, odgadnąć trudno—leżała i na równe zerwała się nogi, jak tylko pierwsze kogutów pianie godzinę duchów, północ, zwiastowało. Nie poszła jednak, jak to czyniła no-

cy poprzednich, w obchód po namiotach. Udała się wprost do namiotu Ignacego Kapuzińskiego; skradanym sposobem wsunęła się do środka, pochyliła się nad pościelą jedną, pochyliła się nad pościelą drugą. Na jednej pościeli spał ciura i na drugiej pościeli spał ciura.

Postała trochę w zamyśleniu niby, i po chwili odeszła, przyciskając mocno piersi dłonią, jakby powściągnąć usiłowała bicie serca, które z siły całej w deskę piersiową kołatało.

Od chwili tej, już się więcej pe namiotach nie włóczyła, ale co nocy do namiotu Ignacego Kapuzińskiego zaglądała, we dnie zaś, rano mszy w płaszczu i modlitwie słuchała, następnie do wieczora w ukryciu czekała.

## VI.

# ODKRYCIE LEŚNE.

Minął tydzień, i drugi, i trzeci... rycerzy naszych z powrotem widać nie było. Czuryło, wzywany często do królewicza Zygmunta, i zapytywany o wysłańców, niecierpliwił się, nie mogąc sobie dokładnej, co do zwłoki ich w powrocie, zdać sprawy.

— Chyba, że ich wojewoda uwięził...—powiadał królewiczowi.

— Nie zdaje się—odpowiadał tenże.— Wojewoda jest ostrożny, i przezorny zanadto... i teraz zwłaszcza, w interesie własnym, nie czyniłby krzywdy żadnej poddanym jego królewskiej mości, zwłaszcza, jeżeliby podejrzywał, że poddani ci mają jakoweś zlecenia.

— Może się gdzie zabałamucili?...

— I tego nie przypuszczam... Zabałamucićby się mogli tacy jeno, co w tamtych stronach koneksyje posiadają... Ci nie mają tam ani swatów, ani bratów.

— Waszmość, ponoć...—rzekł książę— masz tam kogoś ze swoich... Może im zlecenie dałeś.

— A niechże mnie Pan Bóg broni!...—zawołał Czuryło.— Mam wprawdzie gdzieś tam synowicę, ale ani wiem gdzie, ani też gdybym wiedział, dawałbym do niej przekaz jakikolwiek.

— I czemuż to?...—zapytał królewicz zaciekawiony.

— A... to!...— odciął rotmistrz, któremu to zapytanie widocznie nie w smak poszło.

— O synowicy waszej słyszałem coś z ust jego królewskiej mości...

— Wyrwała się z domu rodzicielskiego i wstydu jeno familii napędziła... Gadano o tem, i to zapewne do uszów jego królowskiej mości doszło.

— Wyrwała się sama?...

— Nie... z Węgrem, Lajoszem Kierdenim...

— Z Kierdenim?... — zapytał królewicz, tonem zdradzającym, że nazwisko to obcem mu nie było.

— Jeden z hetmanów wojewody Stefana... Jemu snadź podobało się gładkie Maryny liczko, jej podobał się urząd wysoki.

— Nie urząd może...—odparł książe Zygmunt—a Kierdeni sam.

— Nie wiem... jam przy tem nie był... dość, że wyrwała się wbrew woli ojca i matki, pobrali się i, jak słyszałem, mieszkają gdzieś tam... Ale ja, wyprawiając Kołtuna i Kapuzińskiego, o bratanicy mojej anim pomyślał... Pan Bóg z nią!... Dobrze jej z Kierdenim, niechże się go trzyma...

— Widziałeś go?...

— Widziałem... Chłop jak dąb, a wąsy takie, iż mógłby niemi, gdyby zechciał, izbę sobie zamiatać... Drugich podobnych nie ma chyba...

Księciu chodziło o zapewnienie się, czy Kołtun i Kapuziński nie mieli jakich zleceń pobocznych, król bowiem, zniecierpliwiony zwlekającem się z dnia na dzień wysłańców powrotem, począł był podejrzywać Czuryłę, iż zapewne z interesem publicznym, prywatny połączył, przypomniał sobie o Marynie owej, i bratu o niej powiedział w tonie wymówki:

— Czuryło chyba — słowa królewskie — pokłon posłał bratanicy, a ta posłów przytrzymała.

A kiedy książę Zygmunt nieprawdopodobieństwo przypuszczenia tego stawiał, odrzekł:

— Ho, ho!... Czurylanka!..! Wiem ja, co to za ziółko!... Ludzi spojrzeniem zaczarowuje.

Za osobliwość w tym względzie uważać należy to, że przypuszczenie królewskie, na wiatr prawie rzucone, nie było bez podstawy. Jan Olbracht miał przeczucie; a przeczucie jego w tem się urzeczywistniło, że wysłańcy zajechali do Suczawy pomyślnie, z Suczawy atoli spotkała ich przygoda, która ich w drodze zatrzymała.

Do Suczawy jechali traktem wielkim na Czerniejowce i Seret. Po drodze powiadali, że celem ich jest zaciągnąć się pod sztandary wojewody. Było to zarazem i pretekstem, co się samej podróży tyczy, i pretekstem co do danego im zlecenia. W Czerniejowcach i w Serecie, chodzili do perkałabów miejscowych, ci jednak odpowiedzieli im jednozgodnie, iż nie słyszeli, ażeby wojewoda o zaciągach myślał, i odsyłali ich do Suczawy.

— Idźcie tam...—słowa ich.—Wojewoda, czy prowadzi jaką wojnę czy nie, zawsze mile widzi ludzi rycerskich.

Dopytywali się o gromadzenie sił zbrojnych.

— O niczem podobnem nie wiemy...—odpowiadano im wszędzie.

W kraju, berłu hospodara podległym, panował spokój, stanowiący w oczy bijący kontrast z tym ruchem gorączkowym, jaki wrzał w Polsce. Bukowina mianowicie sielankowością niby jakąś oddychała. Lasy, zwyczajnie jak lasy, szumiały ponuro, lecz na karczunkach, na polach otwartych, na stokach gór, ludzie zajmowali się najspokojniej w świecie uprawą roli; trzody owiec i bydła brodziły w trawach, po wsiach zaś i po miastach z ciekawością wielką dopytywano się o wieści z Lackiej ziemi. Rycerze nasi opowiadali o wojnie.

— Wojna!...—wykrzykiwali Bukowińczycy, żegnając się.— *Walu!... walu!...* Obyć Bóg miłosierny od nas ją odwrócić raczył...

Ignacy, w obec tego co widział, zdumienia swego powściągnąć nie mógł.

— Cóż to!...—powiadał —Wojewoda ma z nami poczynać za jedno, a nie widać wcale, ażeby o jakiemkolwiek poczynaniu myślał...

Kołtun ramionami ściskał.

W tem miejscu nie zawadzi słówko objaśnienia. Mołdawija nie posiadała w czasach onych ani armii stałej, nie znanej jeszcze podówczas w świecie, ani rycerstwa feudalnego, jakim posługiwał się zachód, ani też rycerstwa ziemiańskiego, na wzór i podobieństwo polskiego, ale posiadała instytucyją Mazyłów,' będącą czemś podob-

nem jak pułki pograniczne austryjackie, z tą różnicą, że organizacyja ta obejmowała kraj cały. Mazyli byli to rolnicy i mieszczanie uzbrojeni, obowiązani stawać w szeregi na każde zawołanie, ciągnąć kosztem własnym na punkt zborny. Każdy, zdolny broń nosić, był żołnierzem. Organizacyja na tem polegała, iż kraj dzielił się na cząstki, przedstawiające jednostki bojowe i posiadające z góry wyznaczonych naczelników, chorążych, setników, kapetanów, pułkowników, hetmanów, odpowiedzialnych za literalne pełnienie rozkazów władzy wyższej, bez pytania o powody i pobudki. Organizacyja ta, w ręku hospodara sprężystego, zapewniała korzyści ogromne. Stefan słusznie chwalić się mógł, że potrzebował jeno świsnąć, ażeby mieć wojska tyle, co trawy na błoniu.

Ten był powód, dla którego wysłańcy nasi nie widzieli wojska nigdzie, nie spostrzegli ruchu żadnego, nie dowiadywali się o niczem, co się przygotowań tyczyło.

Nie wiedzieli jednak o szczególe pewnym, który zresztą nie należał do nich. Ode Lwowa do Czerniejowic ciągnął się szereg jeźdźców, ustawionych w odległości mili mniej więcej jeden od drugiego. Jezdzcy ci nie wyglądali bynajmniej na ludzi rycerskich. Bronią ich całą był batożek i całe ich zadanie polegało na tem, ażeby dniem i nocą mieć konie posiodłane w pogotowiu. Pod rozmaitemi pozorami przebywali po wsiach, po karczmach, pod szałasami, nawet w lesie lub w polu otwartem, luzując się co dni parę w ten sposób, że stójkowy z Czerniejowic zmieniał tego co był od niego najbliżej, ten następnego, i tak aż do Lwowa, potem odbywał się obluzunek ze Lwowa w sensie odwrotnym. Była to przeto poczta polowa, istnienia której Polacy, zacietrzewieni polityką, nie domyślali się wcale, poczta złożona z koni lotnych i ludzi lekkich, a przytem dyskretnych, co im z tem większą przychodziło łatwością, że ich o nic nie pytano. Nieprzezorność pradziadów naszych, okrywała ich puklerzem, nakształt czapki niewidzianki. Patrzano na nich i nie widziano.

A było to jedyne Stefana wojenne przygotowanie. Tego, wysłańcy nasi, których instrukcyje odnosiły się do Bukowiny, nie widzieli, nie widzieli przeto przygotowań żadnych. Mołdawianie orali na par, kosili trawę, paśli owcę, rozprawiali o zbiorach, a gdy ich Kołtun lub Kapuziński zapytywali co słychać, odpowiadali:

— Dzięki Bogu, wszystko dobrze...

— *Rozbój*?...

— O *rozboju* my nic nie wiemy.

„Rozbój“ w rumuńskim języku znaczy „wojna“.

Pod Suczawą wysłańcom wpadło w oczy obozujące wojsko.

— A!...—zawołał Ignacy.—Przecież!...

— Phi!...—odparł Kołtun, ręką z giestem lekceważenia machnąwszy.—Jeżeli nie ma gdzie więcej, to z tem wojować nie ma co...

Niedoświadczony Kapuziński nie zmiarkował od pierwszego oka rzutu, że owa siła zbrojna, co mu z ust okrzyk wywołała, liczyć mogła nie więcej jak trzysta do czterysta ludzi. Byli to tak zwani „dorobańce“, jazda lekka, uzbrojona w miecze i łuki, i przydatna bardziej do utarczek podjazdowych, aniżeli do wstępnego boju.

Kiedy mimo obozu przejeżdżali, zastąpił im drogę ze starszyzny jeden, i zawołał na nich:

— A panowie Polacy?...

— Polacyśmy...—odparł Kołtun.

— Wielkość jego wojewoda, wzywa was, panowie, uprzejmie do siebie.

— Zkądże wielkość jego wie o naszem przybyciu?...

— Ja nie wiem... spełniam co mi rozkazano... Jeżeli się wam gościnność w zamku spodoba bardziej aniżeli w gospodzie, jedźcie wprost na zamek. Wojewoda gwałtu żadnego czynić wam nie chce.

Kołtun i Ignacy spojrzeli sobie w oczy ze zdziwieniem, pożegnali się ze starszym od dorobańców i, pozostawszy sami, słów kilka następnych ze sobą zamienili:

— Cóż waszmość na to?—zapytał Ignacy.

Cóż?... nic... Pokazuje się jeno, że wojewoda do tego rodzaju ludzi należy, co to słyszą jak trawa rośnie.

— Czy się udamy na zamek?...

— Hm...— mruknął Kołtun i pomyślał chwilę. — Czy tak, czy owak, jesteśmy w hospodara ręku, na jego łasce, lepiej więc łaskę tę, która, gdybyśmy ją ważyli lekko, do ciemnicy nas doprowadzić może, z dobrą przyjmować wolą... Zaprosiny takiego Stefana, to czysty rozkaz... Jedźmy na zamek.

O drogę pytać nie potrzebowali, przekroczywszy bowiem bramę miasta, ujrzeli na prawo budynek, wznoszący się na wzgórzu, a otoczony murami i basztami. Most zwodzony do bramy prowadził. Most był spuszczony, brama otwarta, jak w czasie pokoju najgłębszego. Warta przepuściła ich bez pytania. Gdy na podworzec wjechali, zdaje się, jakby tam na nich oczekiwano, natychmiast bowiem otoczyła ich służba; ten witał, ów z koni zsiadać pomagał, inny z kurzu otrzepywał, jeden zaś na starszego z miny wyglądający, kazawszy konie i pachołków do stajni odprowadzić, zaprosił rycerzy do izby gościnnej.

Umeblowanie izby nie odznaczało się wytwornością. Prycza, stołków parę, stolik drewniany pod ścianą, oto wszystko. Światło wpadało przez okienko małe, drzwi otwierały się wprost na podwórzec.

— Oto wam, panowie Lachy...—były słowa przewodnika. Chcecie spocząć, spoczywajcie... Macie tu wodę w dzbanie do opłukania się, a do pokrzepienia sił waszych i do ugaszenia pragnienia, podadzą wam niebawem jadła podostatkiem i wina białego z Kotnar.

Podróżni nasi opłukali się i wkrótce znaleźli się w obec stołu zastawionego, zdolnego nakarmić tuzin zgłodniałych, pomimo że zastawa nie odznaczała się, ani wykwintnością, ani też mnogością potraw. Danie było jedno jedyne, był to atoli baran cały pieczony, ze łbem i z rogami. Czosnek tarty służył za przyprawę do pieczeni, osobno zaś podana śmietana, ser i miód w plastrach, odgrywały rolę wetów. Temu wszystkiemu towarzyszył ogromny z pszennego ciasta kołacz i spory winem po krawędzie napełniony dzban.

— Jedzcie i pijcie, panowie Lachy, ile wlezie...—przemówił posłaniec.—Co zostanie, to dla pachołków waszych.

Podróżni zaatakowali pieczeń, lecz nie podołali onej. Pokosztowali sera, śmietany, miodu, przekąszali kołaczem, popijali wino i wkrótce głód zaspokoili.

— Odetchnijcież teraz, a potem, jeżeli wola, poprowadzę was przed oblicze wielkości jego... — były słowa sługi, co im jadło podawał.

Upłynęło półgodziny niespełna i wysłańcy nasi przekraczali próg izby obszernej, w której pod jedną ze ścian, widzieć się dawał komin duży, na ścianach rogi jelenie, łby dzików i niedźwiedzi, dzidy, łuki, sajdaki, halabardy, buławy, tarcze, miecze; na poczestnem miej-

scu—łeb byczy z rogami i z kółkiem w nozdrzach, wyobrażenie herbu państwa; sufit nizki drewniany z grubych belek; na środku stół ławami obstawiony, a za stołem ludzi kilku, pomiędzy którcmi uwagę zwracało na siebie dwu szczególnie: jeden dla tego, że zajmował miejsce pierwsze, drugi dla tego, że posiadał plecy szerokie, pierś wypukłą, minę byczą i wąsy sterczące mu po dwu stronach policzków jako dwie wiechy. Kołtun, na widok tego ostatniego, zbladł jak ściana, zatrzymał się na progu, jakby wahając się czy ma iść dalej, czy cofać się, po chwili jednak postąpił kroków parę naprzód i znów się zatrzymał.

W chwili tej wszyscy za stołem siędzący, z wyjątkiem jednego, wstali i z izby precz wyszli, oddalając się przez drzwi, prowadzące nie do sieni, przez którą podróżni nasi przechodzili, ale do izby pobocznej.

Kołtun odetchnął, jakby mu się ciężar wielki z piersi zwalił. Pomiędzy tymi co się oddalili, znajdował się i wąsacz. Postąpił naprzód i złożył pokłon głęboki siedzącemu za stołem.

Za stołem siedział mąż lat podeszłych, wejrzenia surowego schowanego w głębi orbit pod grubemi brwiami czoła wyniosłego, głębokiemi poznaczonego bruzdami, ozdobiony brodą do pasa prawie sięgającą a srebrzącą siwizną, odbijającą od barwy włosów rudawej. Na grzbiecie zarzucony miał płaszczyk aksamitny, barankiem drobnym wyłożony, z pod którego przeglądał pancerz stalowy i łańcuch złoty. Ręce trzymał na stole oparte.

Był to, w osobie własnej, wojewoda Stefan, przez Rumunów Stefan-woda zwany.

Wysłańcy nasi, bliżej przystąpiwszy, głęboki mu złożyli pokłon.

— Bądźcie pozdrowieni, panowie Lachy, w chacie mojej ubogiej...—przemówił. Od kogo przybywacie i co mi przynosicie: pokój czy wojnę?...

— Przybywamy...—odrzekł Kołtun—sami od siebie i przynosimy wielkości waszej samych siebie...

Wojewoda spojrzał na Kołtuna z podełba wzrokiem, który zdawał się na wskróś eksmnicha przenikać i, jakby odpowiedzi jego nie słyszał, dodał:

— U was tam, słyszę, na wojnę zanosi się na dobre...

— Zanosi się... Próbowaliśmy się zaciągnąć do chorągwi dworskiej, ale licho płacą, twarde stawiają kondycyje, więc też...

— *Powiészti*...—przerwał Stefan przeciągle.— Dokończę, coś zaczął... Przybywacie w celu zaciągnięcia się pod chorągwie moje, z zamiarem targowania się na to, ażeby targu nie dobić i odejść napowrót... Ja wam ułatwię zadanie... Nie macie co czasu nadaremnie tracić... U mnie w tej chwili zaciągów nie ma żadnych.

— Hm... —chrząknął Kołtun.—Zdawało się nam jednak, że ponieważ wojna blizka...

— Źle wam się zdawało... Wojna blizka, jak dla kogo, dla mnie daleka... O wojnie nie myślę, chyba iżbym był do takowej zniewolony.

— Wszakże wielkość wasza poczynać ma z królem jegomością za jedno.

— Tak, niezawodnie, ale król jegomość, którego ja się wiernym hołdownikiem uznaję, ma swój wojowania sposób, ja zaś swój. Ja wojować będę, siedząc w Suczawie z założonemi rękami... Powiedzcie to królowi, panu memu miłościwemu... On młody, ja stary, to mnie trudno na starość... odstępować od mego wojowania sposobu...

Wyrazy ostatnie cieniował akcent lekkiej ironii.

Kołtun milczał. Bo i cóż miałby mówić! Charakteru negocyjatora ani też posła oficyjalnego nie posiadał. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko przyjąć słowa wojewody do wiadomości, zapamiętać je i starać się usunąć z przed oczu hospodara jak najrychlej. Do pospiechu nagliła go jedna zwłaszcza okoliczność: obecność owego wąsala, którego widok bladość mu na twarz wywołał. Wąsal poznał go lub nie poznał, mniejsza o to, mógł jednak lada chwila do komnaty powrócić. Kołtun tego nie życzył sobie. Gdy przeto wojewoda zamilkł, Kołtun odezwał się:

— Raczy wielkość wasza pozwolić nam odejść.

— Jeżeli wam spieszno, odejdźcie... a jeśliście ciekawi, przypatrzcie się miasteczku, budowlom, murom... Ten rycerz młody — tu oczami na Ignacego wskazał—pragnie zapewne coś widzieć... Zresztą, nie zatrzymuję was... wola wasza, zostańcie, nie—odjeżdżać możecie, choćby natychmiast... w każdym jednak razie, potrzebujecie i sami

wypocząć i koniom wytchnienie dać, przenocujcie więc, a jutro, skoro świt, w drogę: powrotu waszego z niecierpliwością we Lwowie wyglądają...

Kołtun i Ignacy, pokłonili się.

Hospodar w dłonie klasnął i pojawił się wnet człek dworski, któremu polecił służyć gościom za przewodnika i wszelkich im objaśnień udzielać. W końcu rzekł:

— Z Bogiem... Jeżelibyście przed obliczem najjaśniejszego króla, pana mego miłościwego stanęli, pozdrówcie go odemnie i powiedzcie, że Stefan-woda życzy mu z serca całego zdrowia krzepkiego, życia jak najdłuższego i powodzenia w zamysłach.

Wysłańcy nasi, złożywszy raz jeszcze pokłon głęboki, wyszli w towarzystwie dworzanina. W przedsieni spotkał ich człowiek wzrostu słusznego, chudy, oblicza ospą poznaczonego, jednooki, który na widok ich, mruknąwszy coś sobie pod nosem, pokazał im język i wykonał na palcach tę czynność, którą chłopcy posługują się do drażnienia psów na łańcuchu, a która nazywa się struganiem rzodkiewki. Z oczów strużącego rzodkiewkę strzelał wyraz złośliwości wielkiej.

— Waryjat...—rzekł Ignacy do dworzanina.

— Wojewodzic Bohdan...—odpowiedział dworzanin.

Była to przykrość jedyna, jaka ich w Suczawie spotkała. Przykrość ta stanowiła kontrast rażący z pełnem łaskawości przyjęciem, jakiego im udzielił Stefan; samo zaś przyjęcie stanowiło kontrast z surowością, która z oblicza Stefana biła. Zdawałoby się, że człowiek ten przemawiać inaczej nie umie, jak tylko tonem grozy i rozkazu. Było więc w tem udanie jakieś, wchodzące do składu gry, przedsięwziętej w jakimś celu ukrytym.

Przewodnik oprowadził rycerzy naszych po mieście i murach. W mieście nie znaleźli nic uwagi szczególnej godnego, mury wydały się im mocne; były bowiem grube i harmatą gęsto obsadzone. Na zapytania odpowiadał, lecz nie podawał nic nowego. Kołtun w toku zapytań, zaczepiał go od niechcenia niby o ludzi tych, którzy opuścili komnatę, gdy hospodar posłuchanie im dawał, i dowiedział się, że jednym z nich był wielki logotet, drugim wielki wornik, trzecim jeden z hetmanów itp.

— A tenże z wąsami ogromnemi?...

— To Lajosz Kerdeni, hetman... mąż siły strasznej, który strachu nie zna...—była dworzanina odpowiedź.

— Mieszka tu, w Suczawie?

Dworzanin zaśmiał się na to zapytanie i odrzekł:

— Mieszkałby tu, gdyby się nie lękał...

— Strachu nie zna, powiadasz, a lęka się...

— O młodą żonę Laszkę... w las się z nią schował...

— Pobudował sobie zamek obronny.

— Nie... zamku nie pobudował, ale wybrał ustroń taką, którą odszukać trudno w głębi lasu, pod górą, nad strumieniem, co do Prutu niżej ujścia Czeremony wpada, w głuchym zakątku.

— Byłeś tam?...

— Nie byłem nigdy i nie bywa tam nikt z wyjątkiem Mirczy starego...

— Musi to być gdzieś pomiędzy Seretem a Czerniejowcami... — rzekł Kołtun.

— Tak jakoś, w bok, na lewo... nieopodal od tych drożyn leśnych, co wymijają i Seret i Czerniejowce, prowadząc za Prut w głuche lasy bukowe.

— I czemuż to hetman tak się ukrył?

— Ha!... żona młoda i, jak powiadają, niby słońce jasna.

Kołtun westchnął. Po westchnieniu rozmowę na inny zwrócił przedmiot.

Nazajutrz, skoro świt, wysłańcy nasi Suczawę opuścili i, wciąż idąc, byliby na czas do Lwowa powrócili, gdyby z Seretu zamiast trzymać się traktu, w lewo nie zwrócili. Ignacy uwagę z tego powodu uczynił:

— Czyż tędy—rzekł—droga nasza?

— Rotmistrz polecił nam tąm jedną, z powrotem inną jechać drogą...—odrzekł Kołtun.

Tak było w samej istocie. Eksmnich trzymał się instrukcyi, młodemu więc Kapuzińskiemu nie pozostawało nic innego, jak nieodstępować towarzysza. Dostali się w lasy, na drożyny wązkie, na ścieżki. W lesie Kołtun okazał zadziwiającą oryjentowania się zdolność. W najgłuchszym ostępie wiedział w której stronie północ, w której

południe, z załamów gruntu wymiarkować umiał odrazu, jaki będzie dalszej drogi kierunek. Zdawało się, że człowiek ten w lasach tych się zrodził, obracał się w nich bowiem jak w alejach znanego ogrodu. Pomimo to jednak, po upływie dnia pierwszego, drugiego i trzeciego, Ignacemu wydało się, jakoby obłęd z boru ich nie puszczał.

— Błądzimy chyba...—rzekł.

Kołtun głową jeno na to rzucił, a gdy młody człowiek nalegać począł, odpowiedział:

— Waszmości się zdaje, że w lesie pospieszać można, jak na drodze bitej.

Jechali więc jeszcze dzień jeden, drugi i trzeci. Wyczerpały im się nareszcie zapasy żywności, które w torbach mieli. W czasach atoli owych, w których sposób życia bliższym był nieco do pierwotnego, aniżeli w naszych, łatwo w wypadkach podobnych znajdowały się środki zaradcze. Konie znajdowały pożywienie pod kopytami, ludzie mieli zwierzynę, owoce leśne, grzyby a w ostateczności—korzonki. To też podróżni nasi, na pierwszym noclegu, jaki po zjedzeniu ostatniego chleba kęsa nastąpił, obracali nad ogniskiem jelonka młodego, piekli w popiele jaja ptasie i mieli poziomek obfitość. Lasy obfitowały w zwierzynę, z którą się co moment spotykać można było. Tu sarna zdziwiona ludzi widokiem, stawała w zapomnieniu niby, ówdzie odzywała się maciora w legowisku lub odyniec sapał, tam głuszec tokował, dokoła gołębie gruchały. Zwierzynę zabijało się mimojazdem, co nie małą sprawiało Kapuzińskiemu przyjemność, pochłaniając całkowicie uwagę jego. Tak go zajęły sarny, jelenie, dziki, głuszce i gołębie, że niepostrzeżenie dla niego dzień po dniu w lesie upływał, a on już więcej towarzyszowi uwag nie czynił.

Zresztą, wszelkie czynienie uwag, nie przydałoby się na nic. Kołtun albo wcale nie odpowiadał, albo też odpowiadał dla tego jedynie, ażeby się zbyć. Naprzykład:

— Czy wyjedziemy z lasu tego kiedy?

— Jużci wyjedziemy.

Gdyby Ignacy, lub też z pachołków który, był nieco z naturą pozycyj leśnych oswojony, z łatwością mógłby poznać, iż jazda odbywała się w koła szerokie, zakreślane jedno obok drugiego.

Koła podobne zakreślają gatunki pewne psów legawych z rasy

angielskiej, wietrząc bekasy w trzęsawiskach albo kuropatwy na błoniach. Kołtun więc widocznie wietrzył coś, szukał czegoś, czego dane mu przez rotmistrza zlecenia nie obejmowały bynajmniej, w lesie tym bowiem nię było ani dróg do prowadzenia obozów przydatnych, ani ludzi, którychby się o co rozpytywać można. Tylko buki odwieczne nad głowami szumiały, wtórując gwarowi mieszkanców leśnych, których rozmowa, chociażby takową wysłańcy nasi rozumieli, w najmniejszej rzeczy objaśnić ich nie mogła.

Buki szumiały, jelenie pobekiwały, ptactwo szczebiotało, a rycerze nasi, prowadzeni przez Kołtuna, w ponurem jakiemś pogrążonego milczeniu, krążyli i krążyli.

Tak krążyli przez tydzień cały.

Aż raz, na popasie, Kołtun opodal nieco od towarzyszy leżący, zerwał się nagle, poskoczył, giestem milczenie nakazał, i w następujący sposób do Ignacego i pachołków szepnął:

— Pyski koniom torbami pozatykać, ażeby, broń Boże, nie zarżał który!...

Słowa te wymówione były tak pospiesznie i z takim naciskiem, że Ignacy i pachołkowie rzucili się wnet do koni, wykonywając polecenie Kołtuna.

Wkrótce potem rżenie końskie słyszeć się dało.

— Psss...—syknął Kołtun, trzymając konia swego za nozdrza z sił całych.

Toż samo czynili Ignacy i pachołkowie.

Po rżeniu nastąpił niebawem tentent głuchy, dochodzący zdaleka. Kołtun ucho nastawił i, potrzymawszy je przez chwilę w stronę tententu zwrócone, rzekł:

— Dwa konie...

I głową rzucił, jakby, za pomocą giestu tego, podkreślał w myśli uwagę lub postanowienie jakieś.

Po niejakim czasie tentent głuchnąc stopniowo, oddalił się, Kołtun puścił pysk konia, który mocno prychać począł, i krótko a cicho odezwał się do Ignacego:

— Chcesz ze mną?...

Ignacy posunął się w celu spoprężenia konia.

— Piechotą...—dodał eksmnich.

Młodzieniec, nic nie mówiąc, zarzucił łuk na plecy, w garść czekan ujął i poszedł obok Kołtuna, który się spiesznym puścił krokiem.

Szli w milczeniu. Uszedłszy pół ćwierci mili z górą, natrafili na świeże ślady kutych kopyt końskich, wyciśniętych nie na drodze, ani nawet na ścieżce żadnej, ale na niedeptanej ziemi. Ślady szły w kierunku linij prostej, ginąc niekiedy pod liścianemi nasypami i pokazując się znowu. Rycerze nasi, trzymając się śladów tych, albo raczej linii prostej, szli godzin dwie przeszło, aż ujrzeli nagle palisadę, a po za nią dworek, cacko istne, świeży, jasny, różami, bzami i malwami otoczony i wyskakujący naprzód gankiem, na słupach wspartym. Słupy i ganek zazieleniał chmiel całkowicie. Przez otwarte na ścieżaj wrota widzieć się dawał podworzec obszerny ze stajniami i zabudowaniami dla służby. Po podwórcu człek stary oprowadzał dwa konie spotniałe. Na ganku, w bok się ręką jedną ująwszy, stał mąż tuszy wspaniałej i wąsów ogromnych, spoglądający z uśmiechem na zawieszoną na ramieniu jego i w oczy mu wpatrzoną niewiastę.

Rycerzom naszym z poza drzewa się wychylającym, obraz ten rzucił się w oczy, niby widzenie cudowne. Stanęli w osłupieniu.

— A!...—westchnął Ignacy, częścią ze zmęczenia może, w większej atoli części z zachwytu.

— Piekło!...—odezwał się eksmnich.

Niewiasta dłonią białą wąsatego męża po policzku i po pod brodę głaskała.

Kołtun zębami zgrzytnął.

Mąż na ganku odchrząknął tak mocno, aż echo leśne chrząknięcie to podchwyciło i na parowy poniosło; niewiasta coś do niego z przymileniem mówiła. Postali jeszcze chwilkę i wsunęli się w głąb białego dworku.

Kołtun westchnął głęboko, głową pokiwał i rzekł:

— Ot tak...

I dodał po chwili, ujmując młodego towarzysza za rękę:

— Chodźmy!... chodźmy prędzej!... spieszmy... Pora wracać do Lwowa.

Słowa tę rzucał jakby w obłąkaniu, ciągnąc Ignacego za sobą.

## VII.

# POŻEGNANIA.

Kondycyja królewska pełną jest przyjemności i słodyczy wszelkiego rodzaju; zdarzają się w niej jednak i gorycze. Przytrafia się to wówczas zwłaszcza, kiedy sprawa jaka, obchodząca monarchę żywo, układa się nie pomyśli. Mogłaż sprawa jaka obchodzić monarchę którego żywiej, jak obchodziła wyprawa wołoska Jana Olbrachta? Wyprawa ta, będąca całkowicie pomysłem króla, dziecko marzeń jego, względem którego stawał jako rodzic i piastun, układała się niekoniecznie obiecująco. Wieści z Węgier zwiastowały, że na spółdziałanie Władysława liczyć nie można. Wieści z Mazowsza poparcie niedostateczne, z Prus zwłokę wróżyły; książę mazowiecki uskarżał się na brak środków, wielki mistrz zapowiadał, iż dokłada całych usiłowań w celu przyspieszenia wyciągnięcia w pole i nie wyciągał. Wieści z Litwy były nieco lepsze: wielki książę wyprawił wojska, te atoli, zdążając leniwie, zbierały się pod Bracławiem, przez co przybierały taką minę, jakby, albo chciały wystąpić z pretensyjami Litwy do Podola, albo też zamierzały nadać wyprawie kierunek doradzany przez Stefana. Były te aspekta wcale niepomyślne, najniepomyślniejsze atoli pochodziły z obozu. Szlachta za długo, bo od pierw-

szych dni Maja, pod namiotami trzymana, zaczynała już głośno sarkać. Przyczyniały się do tego znacznie szlachcianki.

— Co to!...—wywoływały—król jegomość żartuje chyba sobie... Czerwiec się dalej kończy... już na niebie... a my w obozie!...

Wyliczały na palcach wszystkie deszcze, wszystkie niewygody, wszystkie wypadki, jakie od założenia obozu zaszły, i wołały do niebios o pomstę na głowę króla.

— Albo niech nas rozpuści, albo co!...

Taką stawiały alternatywę.

Król, któremu o tem raporta składano, rzucał się w gniewie i krzyczał:

— A to niech jejmoście rozchodzą się na cztery wiatry, jeżeli ich taka wola!... Nie trzymam ich!...

Nie odważał się jednak publicznie decyzyi tej ogłaszać, z obawy zawikłania spraw publicznych sprawą z babami. Krzyczał i rzucał się w obec poufnych swoich, na zewnątrz jednak występował tak potulnie, iż do obozu nie zaglądał wcale, przypatrując się onemu jeno zdala z okna zamkowego, w ten sposób, o jakim sprawę zdaliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów. Przypatrywał się mu oczami gołemi, nie mogąc takowych w szkła przybliżające uzbroić. Widział go więc tylko ze strony pięknej, zachwycał się nim, opierał na nim nadzieje świetne, mające ziścić się nie inaczej, jak pod tym warunkiem, ażeby jak najrychlej w pole wyruszyć. Z tego powodu od dnia 15-go Czerwca, zrazu rzadziej, następnie coraz to częściej, zapytywał królewicza Zygmunta o Kołtuna i Kapuzińskiego.

Tych jak nie było, tak nie było.

Krążyli właśnie po lesie, opisując kółka i polując.

Król wpadał momentami w wściekłość prawdziwą. Odgrażał się, że na pal tych zbrodniarzy wsadzić każe. Pogróżka ta daje jeno miarę rozdrażnienia, w jakiem pozostawał Jan Olbracht. Król polski nie posiadał władzy tak rozległej, ażeby na pal kogo wsadzać miał prawo.

Co jednak było robić!

Wojewodowie poświadamiali, że, jeżeli tak potrwa dalej, chorągwie wojewódzkie opustoszeją.

— Eh!...—zawołał tedy król razu pewnego— Co tam!... Nie będę już dłużej powrotu wysłańców wyczekiwał. Niech się dzieje wola boża!... ruszamy!...

— Kiedy?...—zapytał królewicz Zygmunt.

— Jutro...

Chwalebne to postanowienie, powzięte wieczorem dnia 21 Czerwca, było nie do spełnienia. Obóz ruszyć w przeciągu godzin dwunastu—obóz zwłaszcza taki, jak ten pode Lwowem — należało do rodzaju niepodobieństw absolutnych. Królewicz jednak nie powiedział bratu tego. Uczynił jeno uwagę, iż należałoby zwołać wojewodów na naradę. Król uwagę tę uznał i, użnawszy, sam zmiarkował, że narada, ą nie dopiero ruszenie, odbyć się wcześniej nie może aż nazajutrz. Rozesłano dworzan do wojewodów z zawezwaniami na zamek jak najraniej. Stawili się o naznaczonej godzinie. Otoczyli króla gronem poważnem. I uradzili wymarsz za dni cztery.

Decyzyją tę tegoż jeszcze dnia opublikowano w obozie.

„Pochód za dni cztery!...“—gruchnęła wieść.

Wieść ta sprawiła zdumienie powszechne. Chociaż bowiem każdy na bezczynne leżenie sarkał, na zwłokę utyskiwał i wymarszu się domagał, ale jakoś tak się do bezczynności przyzwyczajono, że się zdawało, iż się już ona odmienić nie może. Niektórzy z ziemian rycerzy zagospodarowali się nawet potrosze, wierząc twierdzeniu, które się było ustaliło i rozpowszechniło, że nic z tego nie będzie. To też opublikowanie po powiatach uniwersału, tyczącego się pochodu i zalecającego porządek, sprawiło wrażenie spadającego w dzień jasny pioruna.

— Co to?...—zapytywał ten i ów.

— Nie rozumiecie?... no... ruszamy...

— Nie zdaje mi się...

— Stoi przecie jak byk napisano...

Niedowierzano jeszcze, aż po powiatach rycerstwo spisywać poczęto.

— Spisują!...—zawołano z pewnym rodzajem przerażenia.

Spisywanie uchodziło za coś nakształt cyrografu, zobowiązującego na czasy wieczyste. Pisanie otaczał obłok mistycyzmu, któremu przyznawano moc tajemniczą.

— Spisują głowy...

Głowy szlacheckie ceniły się wysoko.

Przekonano się przeto, że to już nie przelewki.

Więc dalej sejmikować.

Zawrzało w obozie i dzień ten cały upłynął na radach i naradach, na stawianiu konjunktur i wyprowadzaniu z takowych wniosków, na konsumowaniu w ilości większej jak zwykle piwa, miodu i wina, i zakończył się rozanimowaniem wielkiem we względzie wyprawy. Pod wieczór gwar się spotęgował, przybierając zacięcie heroiczne. Szlacice rękami wymachiwali i odgrażali się.

— Hej, ha!... Turrrczyn!... Pod kopytami zgnieciemy!... Jak mnie waszmość panowie, mili sąsiedzi i bracia widzicie, biorę na siebie tuzin jeden.... Hej, ha!...

— Tuzin, to mało!...—wykrzykiwał sąsiad.—Tuzin i pół... dwanaście a sześć, ośmnaście!...

— Dodaj dwu jeszcze!...—odzywał się inny — będzie dwadzieścia... Co waszmość żałować masz tych pogan!...

— Bisurmanów dwudziestu na jednego szlachcica!... to jak orzech zgryść...

— A nas tu ilu?...'

— Ćma!... tysięcy z... tysiąc...—odezwał się jeden

— Oho!—zawołał inny.—Tysięcy ze sto najwięcej...

Zawiązała się krótka o wysokość cyfry dyskusyja, która się tem roztrzygnęła, iż się zgodzono na liczbę sto tysięcy rycerstwa obecnego w obozie. Z tego wywiązało się zapytanie, które ktoś rzucił:

— Jeżeli nas sto tysięcy, to licząc dwudziestu Turków na jednego szlachcica, iluż pogan *ad infernas* wyprawimy?...

Przyszło do obliczania. Cyfra wydała się za nadto wielką, a to dla tego jedynie, że przekraczała milijon, który w wieku XV-m nie uważał się za taką drobnostkę, jak obecnie. Milijon dla przodków naszych był prawie bezmiernością. O milijonie, wziętym we względzie majątkowym, naprzykład, nikt ani marzył. Nie rzucano nim niby piłką, jak my dziś. Nie wielu znajdowało się takich, coby się podjęli, zaczynając od jeden, dwa, trzy, porachować aż do milijona. Szanowano wyraz ten, jako taki, w obec którego ceni się rozum człowie-

czy, i nie jeden nie przypuszczał, ażeby na niebie mieściło się milijon gwiazd, ażeby morze zawierało w sobie milijon ziarn piasku.

Aha... milijon!...

Inne były czasy.

Milijon, bilijon, trylijon, kwadrylijon, istniały w imaginacyi tylko: o milijardach nie słyszano zgoła i, wątpliwości nie ulega, że, gdyby w wieku XV-m powiedział był kto, iż nastaną takie czasy, w których na milijardy obliczać się będą kontrybucyje, podatki, majątki, toby go poczytano za waryjata.

Ponieważ więc do obliczań szlacheckich, we względzie mających pójść do piekieł Turków, wmieszał się milijon, zaniechano przeto takowych i—zapito sprawę.

Wieczorem miejsce nastroju heroicznego, zajęło rozrzewnienie Rycerstwo schroniwszy się pod namioty, żegnało się z małżonkami które przycichły były dnia tego. Opublikowanie uniwersału królewskiego, w oniemienie je wprawiło. „Albo co“ przedstawiło się pod postacią rozstania, kto wie, na wieki może. Tej i owej łzy do ócz się pocisnęły i serce wezbrało. Mężowie sejmikowali, sejmikowały i białogłowy, pierwsi w akompanijowaniu kufla, drugie bez takowego, skąd to wypłynęło następstwo, że te ostatnie do praktyczniejszych aniżeli pierwsi doszli rezultatów. Pomyślały o wyprawieniu małżonków, braci i synów, o wyprawieniu powtórnem, raz już bowiem odbywało się takowe, gdy opuszczali progi dworków modrzewiowych. Namioty jednak, z racyi długiego w nich przebywania, stały się niby dworki drugie. Z racyi tegoż przebywania, wyprawienie pierwotne zburzyło się. Roztasowano się, rozgospodarowano, należało więc pomyśleć o powtórnem ściąganiu, układaniu i porządkowaniu przedmiotów różnych, zapewniających wygodę w podróży dalekiej, w podróży zwłaszcza takiej jak wyprawa wojenna.

Pomyślenie o tem, było rezultatem sejmikowania niewieściego w dniu pierwszym, wieczór zaś sprowadził przed oczy białogłów małżonków podochoconych. Z zetknięcia się tego wynikły sceny rzewne, rozmaite a jednakowe, których teatrem były namioty. Małżonki płakały i małżonkowie płakali. Każda niemal para z osobna brzmiała „jak dwie lutnie do jednego nastrojone tonu“. Szlachcic i szlachcianka, za ręce się trzymając i w oczy sobie patrząc, prowadzili rozmowę:

— Idziesz?...

— Idę...

— Daleko?...

— Za góry, za rzeki, za morze!..

— Och!... czy powrócisz?...

— Nie sam... przyprowadzę niewolników i niewolnice.....

— Niewolnice?...

— Turcy mają po dwanaście żon... Zabiję męża i zabiorę dla siebie żon dwanaście.

— Na cóż ci tyle!.. A ja?..

— Ty?.. hm.. o! ty... ja ciebie kocham...

— Nie zabieraj-że żon dwunastu...

— Przydądzą się...

— Do czego?..

— Do... hm... do rozmaitych rzeczy: do noszenia wody, do prania bielizny, do pielenia w ogrodzie, do piastowania dzieci....

Były jednak namioty, pod któremi odegrywające się sceny odmienny miały nastrój. Znajdowali się i małżonkowie trzeźwi, którym branki tureckie na myśl nie przychodziły; znajdowały się i małżonki trzeźwe (w sensie moralnym), które zadanie wyprawy brały w znaczeniu obowiązku obywatelskiego i do pełnienia takowego przystąpiły natychmiast; znajdowały się nawet takie małżonki, które w obozie nieobecnością świeciły, jak na ten przykład, pani Czurylina.

Pani Czurylina do obozu pode Lwowem ani zajrzała—ani zajrzała, pomimo, że mogłaby przyjeżdżać dnia każdego. Dom rotmistrza znajdował się w niewielkiej od stolicy Czerwonej Rusi odległości, o mil dwie, nie więcej, w stronie Szczerzca, nieopodal od źródeł tej rzeczułki, nad którą Szczerzec leży, a która do Dniestru wpada. Uroczysko nazywało się Czuryłowską osadą. W późniejszych najściach tatarskich i kozackich nazwa ta zaginęła. Lecz w epoce opowiadania naszego znano dwór biały pod strzechą słomianą, służący za gniazdo rodzinie ziemianina rycerza, składającej się z głów siedmiu: z ojca, z matki, z trzech synów, najstarszy lat dziewięć, i z dwu córek, najmłodsza dziewięć miesięcy. Do rodziny zaliczała się podówczas i czeladź jeszcze, uważana bardziej po ludzku aniżeli dzisiejsza służba. A było tego sporo w Czuryłowskiej osadzie, pod patryjarchalnem

berłem jegomości, bawiącego się rzemiosłem wojennym, i z tej przyczyny wyręczanego przez jejmość, która też na barkach swoich dźwigała brzemię całe gospodarstwa. Pod tym względem była ona typem polskiej z XV wieku niewiasty, dopełnieniem męża, integralną jego połową, prawdziwą *połowicą* — obywatelem w spódnicy. Nadeszły wici.

— Masz — rzekła — Romanie...

I zwiastowała mu takowe ze spokojem dłużnika, posiadającego fundusz leżący do uiszczania się z długów na pierwsze zawołanie.

Porobiła węzełki, upakowała wóz, przysposobiła wszystko i wyprawiła małżonka krzyżem na drogę, bez długiego gadania, bez lamentów, bez płaczu.

— Z Bogiem...— powiedziała ona jemu.

— Z Bogiem...— odpowiedział on jej.

Wprawdzie, łez kilka kroplistych na policzki jej spadło, lecz nie płakała—owszem, ofuknęła się na niektórych z czeladzi i na dzieci starsze, co w płacz uderzyły:

— Cichoż-bo!.. czego tu się mazać!..

A gdy dzieci wołały za odjeżdżającym:

— Tatu!.. Tatu!.. dokąd ty znowu?..

— Tato powinność pełni, dług krajowi płaci... — powiadała — odjeżdża po to, ażeby dla was dziedzictwo imienia poczciwego gromadzić... Módlmy się...

Uklękła pod figurą, z pod której widać było drogę, a na drodze kurzawę, jaką rozbijały wóz i konie pana Romana; do koła niej uklękło dzieci pięcioro, do koła dzieci uklękła czeladź, i popłynęła z tego grona do niebios spólna, krótka modlitwa o zdrowie, o podróż pomyślną, o usunięcie przeszkód w pełnieniu powinności i o szczęśliwy powrót dla pana Romana.

— A teraz, do roboty!... — rzekła, z klęczek wstając.

Na tem skończyło się wszystko, co wychodziło z trybu zajęć zwykłych, i trosk powszednich. Kiedy dochodziły wieści, że obóz leży i że zatem możnaby rotmistrza odwiedzić, pani Czurylina wymawiała się od tego temi słowy:

— Gdybym wiedziała, że mu w czem pomódz mogę...

Posyłała jednak od czasu do czasu na koniu z węzełkami, w których zawierały się krupy, jagły, słonina, wędliny, ażeby wzięty z domu zapas podróżny znajdował się w całości w chwili wymarszu w pochód. To więc, co się mogło przez dni kilka skonsumować, dopełniała, posyłając przez karbowego ustne przełożonemu nad prowizią Ostapowi przekązy, tyczące się czuwania nad tem, ażeby nie szła marnie ani jedna krupa, ani jedno ziarnko.

— Niech zjedzą — mówiła — na zdrowie im, ale niech nie marnują...

Powracającego karbowego zapywała jeno:

— Zdrów?..

— Bogu dzięki...— była odpowiedź zapytanego.

Pan Czuryło zaś, ze swojej strony, także w rozmowach z posłańcem czasu dużo nie tracił.

— A co tam?..

— Bogu dziękować, wszystko dobrze... Sira się ocieliła, raba ośmioro sypnęła...

Zdawaćby się mogło, że pomiędzy małżeństwem tem panowała obojętność zupełna, obojętność do tego dochodząca stopnia, że rotmistrz nie uwiadomił żony o dniu wymarszu. Karbowy dowiedział się o tem w obozie od ludzi; przez karbowego dowiedziała się pani Czurylina i wymiarkowała tak, ażeby we wigilją dnia oznaczonego posłać jeszcze po raz ostatni krup, jagieł, słoniny, wędliny etc. Karbowy, wyprawiony równo z dnia witaniem, przybył około ósmej i wychodził właśnie z namiotu, kiedy przed takowym zsiadali z koni dwaj jezdce, na widok których wyrwało się rotmistrzowi z piersi głośne, pół radośne, pół gniewne:

— Aaa!..

Jezdcami owymi byli: Kołtun i młody Kapuziński...

— Cóż to, waszmoście?...—zapytał surowo—Żarty?..

— Jechaliśmy wciąż...— była odpowiedź eksmnicha.

— Zabawiając się kuflem tu i ówdzie...

— Szukając dróg przez lasy...— odparł Kołtun; i w krótkości zdał sprawę z tego co słyszał i co widział, przemilczając jedynie o zachwycie, jaki jemu i towarzyszowi jego sprawiła niewiasta, widziana w ustroniu leśnem.

Zachwyt ten zresztą do rzeczy bynajmniej nie należał.

Rotmistrz wysłuchał w milczeniu i odrzekł.

— Dobrze... Spocznijcież waszmości dziś, a jutro w pochód...

Kazał sobie konia osiadłać i natychmiast udał się na zamek, zkąd powróciwszy niebawem, przywołał Kołtuna do siebie, zalecił mu ażeby z północka był w pogotowiu do stawienia się przed królewiczem Zygmuntem, i zajął się ze zwykłą sobie gorliwością przygotowaniem chorągwi do jutrzejszego wystąpienia. Zajęcia miał dużo, nie tyle wszakże co inni rotmistrze, z powodu, że chorągiew swoją w lepszym trzymał porządku; nie odkładał przygotowań do chwili ostatniej. Jednakże... Od rana do wieczora czas upłynął, niby z bicza trzasł, rotmistrz schodził się, zgadał, skrzyczał i, gdy słońce ku zachodowi się miało, znużony do namiotu swego wszedł. Wszedł, zastał pościel przysposobioną i pachołka czekającego na rozkazy. Baltazar z Kręga Kręgarski znajdował się już w objęciach Morfeusza. Oczekiwanie pachołka odnosiło się do rozbierania rycerza—zadania, które, z powodu komplikacyi jaka zachodziła w odzieniu rycerskiem, wymagało koniecznie pomocy obcej. Rotmistrz kazał ze siebie zdjąć żelaza, które się na sprzączkach i haczykach przypinały na ramionach, pod pachami, z boku, w pasie, nad goleniami, w stawach, i pozostawszy w kaftanie łosiowym, w następujące do pachołka, ku niezmiernemu jego zdziwieniu, odezwał się słowa:

— Podaj mi żupan, pas i kołpak i pójdź powiedz Ostapowi, niech włoży na kasztana siodło lekkie, niech go ochełzna i tu wnet przyprowadzi...

Chłopak poskoczył. Za chwilkę koń osiodłany przed namiotem się pojawił. Rotmistrz wyszedł, kasztana lewą ręką za grzywę ujął, lewą nogę w strzemie włożył, wzniósł się, nogą prawą przez grzbiet koński przerzucił, cugle ściągnął i nikomu słówka nie rzekłszy, ruszył przez obóz.

Przed rotmistrzem, na kroków sto nie więcej, posuwał się ktoś także stępem.

Ten ktoś, jakby Czuryle za przewodnika służył, w jednym i tymże samym podążał kierunku. Nie widać na nim było broni żadnej. Zrazu jeździec ów nie zafrapował dowódzcy chorągwi, nie zwrócił nawet uwagi jego na siebie. Czy się to mało jezdców kręciło! Zape-

wne był to ktoś z powracających z miasta; nawróci w któryś z zakrętów obozowych i z oczów mu zginie. Nic—jednak; Czuryło jechał i ów ktoś jechał; Czuryło z obozu wyjeżdżał i ów ktoś wyjeżdżał; Czuryło wyjechał i ów ktoś wyjechał. Na skraju obozu rotmistrz począł się mu pilniej nieco przypatrywać i najprzód okiem znawcy rozpoznał dziwną lotność konia, który szedł jako sarna, ziemi prawie nie tykając.

— Tęgi koń... czyjby to był!.. — pomyślał sobie.

Najprostszym sposobem dowiedzenia się było zapytać. W tym celu Czuryło kasztana łydką trącił, lecz zaledwie ten kroków kilka kłusem zrobił, aliści jeździec nieznany rzucił konia swego od razu ze stępa w czwał.

— Czyżby odemnie uciekać chciał!...

Myśl ta błyskawicą przesunęła się w głowie rotmistrza i sprowadziła taki rezultat, że uległ wpływowi konia na którym siedział. Kasztan wzniósł się. Konie mają w naturze swojej pomykanie jeden za drugim. Rotmistrz popuścił mu cugli i stało się w chwili jednej tak, że jeden jeździec uciekał, drugi gonił. Uciekający obejrzał się po za siebie i pokazał śniadą twarz, błysnął białkami oczów, wyszczerzył białe zęby, wydostał z pod okrywającej go opończy biczyk pleciony i smagnął nim konia swego po piersi. Koń rzucił się odrazu skokiem gwałtownym naprzód, następnie wyciągnął się jako chart i pomknął wichru pędem.

— Ucieka... wyraźnie...— rzekł rotmistrz do siebie, ściągając nieco cugli kasztanowi — ucieka, jak mi Bóg miły!..

Pędził.

Pogoń jednak trwała krótko. Rotmistrz minął drogę, w prawo się od traktu wołoskiego odłamującą, prowadzącą do Szczerca, oparł się w siodle i kasztana zatrzymał.

— Tfu!.. — splunął.

I w prawo nawrócił.

Powodów zaniechania pogoni było dwa, a bodaj czy nie trzy, pomiędzy któremi najpierwszy tyczył się szybkości konia pod jeźdzcem nieznajomym. Sunął jak strzała z cięciwy puszczona i, ażeby go doścignąć, rotmistrz potrzebowałby z kasztana siły wszystkie wydobyć, nie będąc pewnym skutku pomyślnego. Możeby doścignął, mo-

że nie, w każdym zaś razie straciłby czasu dużo i — na co? Jeździec ów, w najgorszym razie — tak się rotmistrzowi wydawało — był to sobie prosty złodziej, umykający ze zdobyczą.

— Co mi tam!.... — i ręką machnął.

Dał wytchnąć kasztanowi po chwilowym pędzie gwałtownym, jechał stępem czas jakiś i wprowadził konia w kłus rzęsisty. I kłusem wciąż pomykał, nie zważając ani na ciemność nocy, której nie rozpraszały migające w górze gwiazdy, ani na drogę, która biegła raz do góry, znów na dół, to wzgórzami, to lasami. Snadź znaną mu była dokładnie droga owa. Posuwał się po niej z pewnością całą i, po godzinach paru szybkiej jazdy, zatrzymał się przed wrotami zamkniętemi. Kasztan zarżał. Na rżenie kasztana odpowiedziała psów gromada, która z głośnem ujadaniem do wrót się rzuciła. Rotmistrz z konia zeskoczył i, gdy do otwierania bramy przystąpił, psy z radosnem skomleniem pogarnęły się do niego, skacząc do koła, spinając się i ręce mu liżąc. Czuryło po łbach je głaskał, postępując zwolna przez podwórzec, w głębi którego czernił się budynek spory. Doszedł do ganka. Otworzyła się kwaterka w jednem z okien i słyszeć się dało zapytanie:

— Kto tam?...

— To ja...

— Roman!..— zabrzmiał okrzyk.

Po okrzyku tym nastąpiło stukanie drzwiami wewnętrznemi, rozwarły się na ścieżaj podwoje od ganku i wypadła z takowych postać w bieli, która się rotmistrzowi w objęcia rzuciła. Była w bieli, to jest, miała na sobie, za strój cały, koszulę nocną i na głowie czepiec nocny, zresztą—ubrania żadnego, ani nawet trzewików na nogach. Otoczyła ramionami szyję rycerza, on ją w pół ujął; przyciskało dopiersi jedno drugie, i tak, w opleceniu wzajemnem pozostawali przez chwilę, powtarzając jeden i ten sam przymiotnik w dwu rodzajach. On mówił „miła“, ona „miły“. Nie mówili sobie nic innego, aż on i ona razem ramiona rozwarli i z objęć się puścili.

— Dzieci?..—zapytał rotmistrz.

— Spią... — odparła niewiasta.

— Nie budź że ich, ale daj mi na nie popatrzeć... Nie budź z czeladzi nikogo.., niech spoczywają...

— Spracowali się... kosiliśmy na ugorze... — były słowa niewiasty.

— A polana?..

— Już skoszona... siano jak ruta, zgromadziliśmy je w kopiec...

To mówiąc, poszła przodem, rotmistrz za nią. Wnet sień zajaśniała pokilkakrotnie błyskawicami iskier, sypiących się z uderzanego krzesiwem krzemienia. W czasach owych ani przeczuwano jeszcze wynalazku siarniczków i zapałek fosforycznych. Krzesano ognia do hupki, obwijano hupkę kłakami i wydmuchiwano w takowych płomień, lub też wygrzebywano go z zachowanego w popiele zarzewia za pomocą suchych skałek z drzewa żywicą napojonego. Niewiasta do hupki ogień krzesała, lecz rotmistrz przerwał jej.

— Nie trzeba.. — rzekł.

— Zapalę kaganek, albo łuczywo...

— I... nie... Chodźmy...

Weszli do izby na prawo, następnie do przyległej, w tej się zatrzymali. Rotmistrz ognia skrzesał. Iskry oświeciły wnętrze izby, ukazując w niej łoże szerokie za kotarą, obok łoża kołyska z łyka na sznurach zawieszona; w jednym kącie pościel z siana, na sianie kilimek, na kilimku prześcieradło z płótna grubego, na prześcieradle kapą domowej roboty przykryci dwaj chłopcy z zamkniętemi powiekami i z otwartemi ustami; w drugim kącie łóżeczko schludnie zasłane a w niem dziewczynka uśpiona.

Pan Czuryło podszedł najprzód do chłopców i po chwilce ognia skrzesał. W oświetleniu iskier ukazał się, on klęczący, niewiasta stała obok niego ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, w oczach miała łzy. W ciemności, jaka nastąpiła, słyszeć się dały dwa pocałunki, po nich zaś wyrazy:

— W imie ojca i syna i ducha świętego... Niech Bóg miłosierny czuwa nad wami...

Wnet potem odezwało się postąpienie kroków kilku, stal o krzemień stuknęła i iskry się posypały nad łóżeczkiem. Dał się słyszeć pocałunek, a po nim wyrazy te same co wyżej, z jedyną co do ostatniego zmianą, zależącą na tem, że zamiast „nad wami“, rotmistrz wymówił: „nad tobą“.

Zwrócił się następnie do łoża, na którem w poprzek za kotarą na wznak rozwalony, z rączką jedną odrzuconą do góry, leżał chłopak trzyletni, tłusty, rumiany, białowłosy, ogorzały; zwrócił się w ostatku do kołyski, i tu i tam pocałunek złożył, błogosławieństwa wyrazy powtórzył i odstąpił. Chwilkę pozostał w milczeniu, które przerwał westchnieniem i następującemi wyrazy:

— No, Zofijo... bożej was opiece polecam... bądź zdrowa...

Niewiasta nie pytała, dla czego tak spieszy, nie pytała o nic, coś tylko szeptała głosem w którym łzy czuć było, w końcu rzekła:

— Z Bogiem... och!..

I wyszli oboje po ciemku do izby przyległej, z tej do sieni, z sieni na podwórzec; rycerz konia odwiązał, udali się do wrót odprowadzeni przez psów gromadę, tam jeszcze raz w gorącym złączyli się uścisku. Czuryło konia dosiadł, krzyż w powietrzu nad domem nakreślił, ona go krzyżem przeżegnała i w bramie pozostała tak długo, aż scichł w dali tentent kopyt końskich.

Nasz rotmistrz w krótce po północku był w obozie z powrotem. Gdy mijał namiot młodego Kapuzińskiego, przesunęła się przed oczami jego postać jakaś niewieścia w ciemnem ubraniu.

— Kto tu?.! — krzyknął.

Postać wstecz się rzuciła i biedz szybko poczęła.

— Czego się do namiotów skradasz?.. hej!..

Konia pocisnął; lecz postać wpadła pomiędzy sznury i znikła w ciemnościach.

— Co tu paskudstwa tego!...— rzekł sam do siebie i, powróciwszy przed namiot Kapuzińskiego, wołać głośno począł:

— Mości Macieju!... hej!.. mości Kołtun!.. północ minęła, wstawaj waszmość!.. a no!.. a nuże!..

— Słyszę!.. słyszę!..— odezwał się głos ze środka. Wnet gotów będę....

— Pospieszaj waść... na zamku już światła gorej; niebawem na pobudkę obożni w trąby uderzą...

## VIII.

# W POCHODZIE.

---

Dokąd Czuryło po nocy jeździł? Co za postać na szybkim koniu przed nim uciekąła, gdy wyjeżdżał? Co za postać w ciemnem ubraniu uciekała, gdy powrócił? Wszystko to są zapytania, na które odpowiadać nie będziemy.. Bo i na cóżbyśmy odpowiadać mieli? — dla dogodzenia chyba łaskawym na nas krytykom, zarzucającym nam „niewykończanie“, domagającym się przeto, ażebyśmy pióro nasze w łopatę zmienili i takową w głowę czytelnikowi wkładali wszystkie co, jak, dla czego, zkąd, dokąd, którędy, po co, na co, etc. Mamy lepsze, aniżeli krytycy, o czytelniku wyobrażenie i pewni jesteśmy, że bez podpowiadania z naszej strony, sam się domyśla, dokąd nasz pan Czuryło jeździł, kogo spotkał wyjeżdżając, i jakąto istotę zoczył powróciwszy. Ktoby się zaś nie domyślał od razu, niech... trochę pomyśli. Od czegóż głowa! My tymczasem nić opowiadania pochwycimy.

Zarumieniła się jutrznia na wschodzie; odezwało się trąb granie i zabrzmiało rozgłośnie, osiadając na trawach, chwastach i krzewach pełnych rosy nocnej, odbijając się od takowych i idąc echem hucznem na rozłogi, na dąbrowy, na parowy. Huk słaniał się niby i ciągnął

i wlókł, pod namioty się wkradął i budził spoczywających w snu objęciach.

— Hu—ha!...

Zrywali się rycerze jeden po drugim i oczy przecierali.

Zrywały się szlachcianki jedna po drugiej i dłonie załamywały.

Tu westchnienia, tam płacz, ówdzie lament.

Zawrzało pode Lwowem, zakipiało na błoniu szerokiem. Nastąpił odmęt wielki, chaos istny.

Z chaosu świat powstał.

Z odmętu wycisnął się niebawem ład jaki taki; namioty pozwijano, do wozów pozaprzęgano i szeregami je poszykowano wedle województw, powiatów, ziem i chorągwi, harmaty wysunęły się naprzód, a na lewo ustawiło w dali wojsko w linii błyszczącej, gotowe na powitanie króla hetmana, mającego przegląd odbyć. Słońce zeszło i oświeciło widok iście wspaniały. Szeregi rycerskie prezentowały się pysznie.

— Co za ludzie! co za konie! co za oręże! co za pozór marszowy!

Sama Bellona, rozradowałaby się wielce na widok tego rycerstwa w żelazo zakutego, a nie dopieroż wychowanek jej, Jan Olbracht.

Jan Olbracht nie kazał na siebie czekać długo. Między dziesiątą a jedenastą, licząc godziny wedle obecnie przyjętego zwyczaju, wyjechał z miasta na czele licznego z wodzów i dworzan złożonego orszaku. Tuż przy królu jechał królewicz Zygmunt. Pierwszy siedział na koniu jako mleko białym, drugi na cisawym. Król miał na sobie na lewe ramie przesunięty płaszcz hiszpański ciemno szkarłatnej barwy, gronostajami wyłożony, z pod którego przeglądał łuszczkowy pancerz na piersiach wydatny, w pasie klamrą ujęty, ku kolanom w kształtach zaokrąglonych schodzący; golenie osłaniała blacha stalowa okryta misternem rzeźbieniem; nogi opierały się o złote strzemiona, a zdobiły je złote ostrogi; u boku wisiał mu miecz z bogatą rękojeścią w pochwie jaszczurowej; na hełmie pozłocistym o przyłbicy podniesionej wahały się pióra strusie; z pod hełma spływały na ramiona włosy w pukle zawinięte; od osoby królewskiej rozchodziła się dokoła woń subtelna i cudna, z oblicza bił wyraz odwagi połączonej z pewnością siebie a wzbudzającej zaufanie u tych, na czele których stawał ten wnuk Jagiełły, i prawnuk Olgierda, praprawnuk Giedymina.

Droga, którą król przejeżdżał, prowadziła przez most, wysoko nad urwistym wzniesiony potokiem. Orszak królewski poprzedzała trzoda wołów, pędzonych za wojskiem, częścią dla zapewnienia regularności w posuwaniu pociągów naprzód, częścią jako niosące siebie, samo mięso, na wypadek gdyby żywności zabrakło. Woły gęstą szły kupą. Król na bok zjechał i przyglądał się rogatemu zastępowi, który się na most wchodząc stłoczył i nagle, panicznemu niejako ulegając postrachowi, zmieszał się w depczącą się wzajemnie masę. Woły jedne na drugie wbiegały, deptały się i rogami bodły. Zamięszanie powiększał ryk przeraźliwy, którym spłoszone w orszaku królewskim konie, unosić jezdców poczęły. Rumak pod królem spiął się razy kilka, drżał, chrapał i rwał się. Jan Olbracht napróżno uspokoić go usiłował, cmokał i po grzywie głaskał, widząc nakoniec że daremnemi są usiłowania jego, krzyknął:

— Niech mi kasztana podadzą!...

Kasztan był to koń bojowy, wypróbowany, doświadczony, silny, śmiały, zwrotny i szybki, a odczuwający niejako każdą siedzącego na nim myśl.

Przyprowadzono go. Jan Olbracht zesiadł z białego, lecz zaledwie się garścią za grzywę kasztana ujął, gdy ten w bok skoczył, luzakowi się z rąk wydarł, zadarł do góry głowę, nakicił ogon, puścił się na oślep ku urwisku, na dnie którego wezbrany potok pieniąc się płynął, i znikł nagle.

— Trzymaj!... ratuj!... — krzyczał król.

Pachołkowie, luzacy, dworzanie poskoczyli, sam król ku brzegowi pospieszył i tam oczom wszystkich przedstawił się widok walki bydląt z żywiołem. Woda, podmywając brzegi unosiła woły w mnóstwie. Rogate łby sterczały przez chwilę nad jej powierzchnią, widać w nich było opór pochodzący z instynktu samozachowawczego, lecz woda przełamywała takowy. Łby jeden po drugim chowały się w toniach. Śród łbów bydlęcych ukazało się i parę głów ludzkich; pachołkowie, luzacy, dworzanie i król zoczyli jeszcze łeb kasztana; król zawołał w rozpaczy prawie:

— Indygienat temu, co nie szlachcic i starostwo w dodatku, za kasztana!...

Młodzik jeden skoczył i utonął.

Utonął i kasztan.

Król dłonie załamał, oniemiał i tak stał w smutnem zamyśleniu, aż go z takowego wyrwały wyrazy, wymówione przez człowieka, co pojawił się przed nim tak nagle i niespodzianie, jakby z ziemi wyrósł. Włos siwy, broda długa, postawa dumna, wzrost słuszny i suchy, na nim ubranie mizerne i wyszarzane, w oczach zaś wyraz jakiś mętny, znamionowały człowieka egzaltacyjom podległego. Stanął, rękę wyciągnął i odezwał się:

— Omen... pierwsza przestroga królu... Jak to bydło się rozbiło, tak rozbije się wojsko polskie... Jak twój koń zginął, tak zginą nadzieje twoje...

Wyrzekłszy słowa te, palec do góry podniósł, ku niebu ukazując, lekko głową kiwnął i oddalił się przez most, który się oczyścił tymczasem w ten sposób, że z trzody całej pozostało jeszcze wołów ośm.

Przemówienie to, przykre na Jana Olbrachta wrażenie wywarło. Zwrócił się do najbliżej stojącego dworzanina z zapytaniem:

— Kto to?...

— Szlachcic Sropski...— odrzekł zapytany — *mente captus*...

Król dłonią kiwnął.

— Niech mi białego podadzą...

Przyprowadzono białego drżącego jeszcze, uszami niespokojnie strzygącego, i nozdrza szeroko rozdymającego. Król zbliżył się do niego i po grzywie go pogłaskał. Koń się uspokoił. Jan Olbracht go dosiadł, cugle w garść zebrał, językiem o podniebienie cmoknął, ostrogą lekko tknął i dzielny rumak paru susami przez most się z królem przeniósł.

Król z orszakiem swoim zatrzymał się przed jedynym namiotem, jaki na obozowisku jeszcze pozostał.

„Kto z Bogiem — Bóg z nim.“

Pod namiotem znajdował się ołtarz, który, z powodu wysoko podniesionych płócien, widnym był wojsku całemu.

Kapłan czekał jeno na przybycie monarchy ze mszą, która się też wnet rozpoczęła, jak skoro Jan Olbracht zajął siedzenie adamaszkiem wybite, na przeciwko ołtarza ustawione. Msza była śpiewana. Nabożne tony daleko się rozlegały. Rycerstwo kornie słucha-

ło; przy czytaniu Ewangelii, król a za nim wszyscy, dobyli z głuchym szelestem mieczów do połowy; przy spożywaniu Ciała i Krwi Pańskiej, wszystkie głowy pochyliły się ku ziemi.

Ale — co się stało!

Przy ołtarzu cóś nadzwyczajnego zaszło.

Ksiądz trzykrotnie się nachylał i trzykrotnie coś jakby z ziemi podejmował. Oblicze miał blade, dłonie mu drżały, ręką za ołtarz ujął i głęboko westchnął. W chwili tej, z po za jednego ze słupów podtrzymujących płótno namiotu, wystąpił Sropski, i wyciągając do Jana Olbrachta rękę, przemówił:

— Omen... przestroga druga... Odeszlij królu rycerstwo do domu....

Dzwonienie przy ołtarzu przerwało mówienie dalsze. Król wysłuchał mszy do ostatka, ucałował patynę, przykląkł na kolano jedno, przeżegnał się i dosiadłszy konia wyjechał przed szeregi.

Za ukazaniem się jego przed szeregami, we wszystkie naraz trąby i tarabany uderzono, i z wszystkich naraz ust wydarł się jeden potężny okrzyk:

— Wiwat!...

Królowi łzy w oczach stanęły. Miecza dobył, w powietrzu jasnym błysnął brzeszczotem i gromko zawołał:

— Rycerstwo niech żyje!...

Okrzyki: — wiwat król!.. wiwat Jan Olbracht Jagiellonides!.. zawrzały po raz wtóry, nacechowane akcentem znamionującym zapał.

Zapał w rycerstwie wywołał widok osoby królewskiej.

Zapał w królu wywołał widok rycerstwa.

Jan Olbracht zapomniał o prognostykach złowrogich, zaznaczonych przez szlachcica *mente captus*. Widząc szeregi w stal zakute, długie „jako morza brzegi“, błyszczące jako gwiazd rzędy, widząc dzid las proporcami powiewający i utkany barwistemi, z wiatrem igrającemi sztandarami, widząc patrzące z pod hełmów, misiurek i kołpaków twarze marsowe, wąsate, odwagą tchnące, poczuł w sobie uniesienie, które mu jasnem w oczach zaświeciło płomieniem. Nie dziwmy się — i królowie unosić się zdolni. Wszak ludźmi są. Jan Olbracht rękojeść miecza silnie dłonią ścisnął, konia ściągnął, ostrogami go podrzaźnił i przejechał w podskokach wzdłuż szeregów

z końca do końca, od skrzydła lewego do prawego, zatrzymując się przed chorągwią ostatnią, przed którą na siwym koniu, w pełnem uzbrojeniu, stał pan Czuryło.

— A... mości Czuryło... i cóż?... — zapytał.

— Najjaśniejszy panie...— odrzekł zapytany, zapytaniem w kłopot niejaki wprawiony.

— Z siłą taką ważyć się można?

— O, najjaśniejszy panie...

— Choćby na świata podbicie?...

— Tak... gdyby... — zaczął rotmistrz.

Lecz król mu kończyć nie dał.

— Ciągniemy... — przerwał. — Chorągiew waszmości na czele.. Dalej więc, w drogę... z Bogarodzicą...

Rotmistrz znak dał do marszu.

Baltazar z Kręga Kręgarski, który stojąc za panem Czuryłą chorągiew dzierżył, podniósł takową do góry, wionął nią i głośno odchrząknąwszy, zaintonował hymn św. Wojciecha.

Rycerstwo w szeregach podchwyciło.

Hymn zabrzmiał, — zagrzmiał chórem, w którym udział brało piersi tysięcy ośmdziesiąt — jak w kronikach stoi. Ziemia głucho zadudniła pod kopytami końskiemi. Do dudnienia dołączył się skrzyp wozów i zgiełk woźniców, pachołków, ciurów, zlewając się we wtór bojowej przodków naszych pieśni.

„Boga rodzica, dziewica,
Bogiem wsławiona, Maryja,
U twego syna, hospodyna
Matko zwolona, Maryja!“

Jan Olbracht włożył miecz do pochwy i, spoglądając w zamyśleniu w dal tumanną, tak długo jechał przodem na czele orszaku, póki hymn brzmiał. Zwrotka ostatnia była okolicznościowa, dorobiona snadź przez pana Baltazara z Kręga Kręgarskiego, śpiewaną bowiem przez niego była z osobliwym naciskiem i ze szczególną wyrazistością. Gdy ta przebrzmiała, król z traktu w bok zjechał, konia zatrzymał i, stojąc w miejscu, przypatrywał się ciągnącym jedna za drugą chorągwiom. Przypatrywał się i powtarzał do stojącego obok królewicza Zygmunta:

A co!..

Serce królewskie przepełniała otucha, ukazująca mu w perspektywie szereg tryjumfów, mających go postawić na stanowisku monarchy w chrześcijaństwie najpierwszego i najznakomitszego.

I mogłoby przyjść do tego... gdyby...

„Gdyby“ owo olbrzymie miało rozmiary i stron kilka, z których jedną dotknąć chciał pan Czuryło, lecz mu król mówić nie dał.

Rotmistrz dwa tylko na języku miał wyrazy. Zamierzał do „gdyby“ dodać jeno: „nie niewiasty“, z czego to pozostałoby założenie, iż Jan Olbracht mógłby z wojskiem któremu przewodniczył, świat podbić... „gdyby nie niewiasty“.

Zkądże w myśli rotmistrza wzięła się uwaga podobna! Co do niej powód dawało?

A oto co. Na dziesięć niewiast, które obóz zapełniały, jedna zaledwie opóściła rycerstwo w pochodzie. Co wóz niemal, to i białogłowa. Jedna, przerażona myślą o owych żonach dwunastu, mających małżonkowi jej w zdobyczy przypaść, pociągnęła za małżonkiem, druga pociągnęła... za wojskiem. Gorzko na to uskarza się kronikarz, powiadając o białogłowach: *ferunturgue ipsi primores et duces, nocturna libidine non saciati, clara luce publicis balneis, et tina, inter amplexus mulierum voluptatibus indulsisse.* Czy król tego nie widział, cośmy wyrazili pod niecycerońskiej łaciny osłoną? Widział... ale—częścią nie pozwalały mu przeciwko obecności kobiet tam, gdzie one zgoła potrzebnemi nie były, wystąpić względy wyższe, częścią sprzeciwiała się temu ta okoliczność, że Jan Olbracht — człek grzeszny — lubił oko monarsze zatrzymać na gładkiem licu i jasnej źrenicy. Lubił to może dla rozmaitości w życiu, idącem po cierniowej panowania drodze.

Jan Olbracht lubił gładkie lice, jasne źrenice i ponętne uśmiechy.

W tej atoli chwili nie do lic, nie do zrenic i nie do uśmiechów mu było. Umysł jego zaprzątały całkowicie myśli ważne. Ruszył z miejsca wojsko ogromne i prowadził je na boje: miał przeto zadanie do rozwiązania nie lada jakie; nad rozwiązaniem więc onego głowę sobie łamał i troski pełen towarzyszył posuwającemu się powoli naprzód rycerstwu, które, dla niepoznaki, postępowało dwiema drogami: część jedna szła na Bóbrkę, traktem halickim, druga na Przemyślany i Brzeżany niby ku Kamieńcowi. Dwie te połowy zejść się

miały na gruncie mołdawskim i, wykonując zwrot niespodziany, rzucić się na Suczawę.

Pochód odbywał się powoli. Pociągi pośpiechu nie dopuszczały. Króla to niecierpliwiło, ale rady na to nie było, a jedyny na niecierpliwość środek przedstawiał się w rozmyślaniu nad zajść mogącemi wypadkami. Tak czynić zwykł wódz każdy, doświadczony a przezorny. Jan Olbracht rozmyślał i obmyślił wszystko, tak że się już z góry uważał za pana Multan. Pozostawał jeno punkt jeden, który z następującej poznamy rozmowy.

— Jak na imie szlachcicowi temu?...— zapytał król królewicza.

— Któremu, wasza królewska mości?... zapytał królewicz króla.

— Ach, temu, jak tam jego... Kołtunowi... czy jak?...

— Kołtunowi Kołtun chyba na imie, najjaśniejszy panie...

— Ach tak!... nie pomyśleliśmy o tem...—rzekł król. Co to, kiedy człowiek ma głowę zaprzątniętą... Prawda, Kołtun nazywa się nie inaczej, jeno Kołtun... ten Kołtun jednak nie podobał się nam...

— Z czego, najjaśniejszy panie?...

— Z niczego... a raczej ze wszystkiego... Niejasno tłómaczył się względem drogi leśnej.

Królewicz ramionami ścisnął i głową skinął, jakby chciał przez to wyrazić, że uznaje trafność uwagi brata.

Cóż wasza książęca mość na to?... — zapytał Jan Olbracht po chwili.

— Podzielam w zupełności waszej królewskiej mości zdanie...

— A do zamiarów naszych znajomość tej drogi jest nam koniecznie potrzebną...

— Możnaby o nią Kapuzińskiego rozpytać...—odparł Zygmunt.

— Kapuzińskiego... jakiego Kapuzińskiego?.. — zagabnął król.

— Czuryło dwu był wyprawił...

— A tak... dwu...

— Kołtuna i Kapuzińskiego...

— Aaa!... — zawołał król—kogóż drugiego?...

— Kapuzińskiego...

— Więcby tego jeszcze rozpytać należało, — podchwycił Jan Olbracht. — O, jakto nam natychmiast na myśl przyszło!... Gdzież ów Kapuziński?

— W chorągwi Czuryły.

— O! a zatem nic łatwiejszego jak do Czuryły posłać, niech nam tego Kapuzińskiego przyszle.

Dociągano właśnie do noclegu, który w piątym dniu pochodu wypadał pod Bursztynem, w łożysku Lipy wpadającej do Dniestru, dano więc jeno rozkaz jednemu z dworzan, ażeby, gdy wojsko się roztasuje, udał się do Czuryły i, oznajmiwszy mu wolę królewską, posłużył Ignacemu za przewodnika.

Wojsko się zatrzymało i roztasowało; króla ulokowano na probostwie i wyprawiono dworzanina w celu wyszukania młodego Kapuzińskiego.

Dworzanin, człek młody, zabawił się trochę po drodze; tu kuflem, owdzie gawędką, ztąd poszło, że Ignacy stanął przed królem o szarej godzinie, kiedy ten, przyjąwszy łaskawie skromny posiłek, jaki mu proboszcz ofiarował, był, znajdując się pod wpływem spożytych i wypitych darów bożych, rozweselony nieco. Skutek ten sprawił szczególnie miodek bernadyński, przechowywany w piwnicy od lat trzydziestu, miodek tak znakomity, że jego królewska mość skosztowawszy go jeno, wnet uznał proboszcza kanonii godnym, po spełnieniu zaś kielicha, bratu tegoż proboszcza jedno z wakujących starostw nadał. Po dokonaniu tych czynów i spożyciu posiłku, znajdował się Jan Olbracht w humorze różowym, odpoczywał, marzył, chciał kazać zawezwać przed siebie błazna nadwornego, kiedy mu przybycie Ignacego oznajmiono.

— A... Kapuziński... tak... tak... Kapuziński... — przemówił.

— Towarzysz z pod chorągwi imćpana Czuryły.

— Aha... tak...

— Przyszedł, najjaśniejszy panie, i czeka na rozkazy waszej królewskiej mości.

— Czeka na rozkazy... to dobrze... O cóż mu chodzi?...

— Wasza królewska mość zawezwać go kazać raczyłeś...

Jan Olbracht pomyślawszy przez chwilę, przypomniał sobie.

— A!... — zawołał — tak... Tyle trosk na głowie!... niech wejdzie...

Ignacy wkroczył do izby i, złożywszy pokłon głęboki, zatrzymał się nieopodal od progu. Wyraz twarzy jego znamionował po-

mieszanie niejakie, pochodzące ztąd zapewne, iż po raz w życiu pierwszy znajdował się oko w oko w obec monarchy. Jan Olbracht siedząc w głębi, okiem go najprzód zmierzył, następnie uśmiechnął się do niego, w końcu zapytał:

— Waszmość z chorągwi imćpana Czuryły?...

— Tak jest, najjaśniejszy królu, — odrzekł, zasłaniając usta dłonią, z powodu że mu się na kaszlanie zebrało.

— Waszmość nazywasz się?...

— Ignacy Kapuziński.

— W potrzebach bywałeś?

— Nie jeszcze...

— Ale, gdy się zdarzy, animuszu nie zabraknie waszmości?

Zapytanie to, tonem łaskawym zadane, ośmieliło młodego człowieka. Odpowiedział uśmiechem i gestem, oznaczającym: zdaje się.

— W chorągwi—jak dawno?

— Pięć niedziel, najmiłościwszy królu... i to... — zaciął się.

—Co i to?

— Pięć niedziel niecałych... Pan rotmistrz posyłał mnie...

— Dokąd?

— Aże do tej Suczawy...

Młody człowiek stawał się coraz to śmielszy i rozmowniejszy.

— Jeździeliśmy tam we dwu, ja i imćpan Maciej Kołtun , towarzysz z chorągwi imć pana Czuryły, rodem z Litwy...

— I zabawiliście tam... — wtrącił król.

— Bylibyśmy nie zabawili, ale wleźliśmy w lasy i jak poczęliśmy się kręcić, ta kręcić i kręcić, ot... i zabawa się stała...

— Kręciliście się?.. — rzekł król w rodzaju pół zapytania.

— Za drogami... Szukaliśmy dróg a znaleźliśmy... e...

Odchrząknął i ślinę połknął.

— Co?.. — zapytał król.

— Znaleźliśmy... — zaczął Ignacy i zaciął się w sposób taki, jakby mu wyraz, który miał na języku, przez gardło przejść nie chciał.

— I cóżeście znaleźli?..

— Znaleźliśmy...

— No?..

— Ta, co tam!.. — odparł, dłonią machnąwszy:

— Cóż przecie?.. mów waszeć... — odezwał się król, zaciekawiony nieco.

— Znaleźliśmy, najjaśniejszy panie...

— Cóż takiego?...

— Hm...—dłonią usta zasłonił. Zna—le...

— Mów śmiało... — zachęcał Jan Olbracht.

— Czy to się waszej królewskiej mości przyda na co!...

— Wszystko się nam przydać może... Prowadzimy wojnę wielką i las ten wielce jest dla nas ważnym... Potrzebujemy wiedzieć, co on zawiera w sobie...

— Ale, kiedyż bo to... nic...

— Jakże nic owo wygląda...

— Jak wygląda?... Wygląda tak, że na widok onego skamieniałem... i gdyby nie pan Kołtun, co mnie za rękaw pociągnął...

— Meduza chyba... — rzekł król, śmiejąc się.

— Gdzie tam, Meduza:.. Nie Meduza, ale białogłowa...białogłowa taka nadobna, jaka...

Jaka co?...— zapytał Jan Olbracht, zaciekawiony mocno.

— Chyba druga taka nie znajduje się pod słońcem...—odpowiedział Kapuziński tonem, w którym zabrzmiał akcent zachwytu.

— O?.. — podchwycił król. Białogłowa w lesie?..— nimfa leśna dryjada?...

— Nie, mości królu... to nie dryjada żadna...

— Spotkaliście ją błądzącą po lesie?..

— Nie mości królu...

Była to więc może hamadryjada...— rzekł Jan Olbracht, w księgach oczytany.

— Nie wiem... — odrzekł młody człowiek. To tylko wiem, że gdyby nie pan Kołtun, co mnie za rękaw pociągnął, byłbym jak wkopany na miejscu pozostał i patrzał i patrzał i patrzał... patrzał wówczas nawet jeszcze, kiedy ona z ganku odeszła...

— W lesie?.. w ganku?.. — podchwycił król mocno zdziwiony i mocno zaciekawiony.

— Z ganku, najjaśniejszy królu panie... był bowiem dwór za częstokołem, i brama otwarta, i tak podwórze, a tak ganęk na słu-

pach zielonych, a tak ona po za słupami temi... Przyjmowała swego...

— Kogo, swego?...

— Hetmana jego wojewodzińskiej mości... nie wiem jak mu... z wąsami okrutnemi.

— Czy nie Kierdeni?...

— Coś tak... Widziałem go dwa razy: raz za stołem hospodarskim w Suczawie, znów na ganku owym...

— Uhhhm... — mruknął król przeciągle, lekko się uśmiechnął, lekko przez nos czmychnął i na chwilkę w zadumaniu się pogrążył. Po chwili:

— Daleko to od Suczawy?.. — zapytał,

— W bok od Seratu...

— Waści droga znana?..

— Nie trafiłbym z oczami zawiązanemi, ale... trafiłbym, gdyby przyszło co do czego...

— Hm... — zamyślił się król znowu i po niejakiemś czasie zagabnął: Na ile waszeć koni w chorągwi?...

— Na pięć, miłościwy królu...

— To pięknie... I jakże w chorągwi podobasz sobie?..

— Niczego... Bogu dzięki... cale niczego:.. podoba mi bardzo...

— Bardziej nawet, aniżeli w orszaku naszym?...

— Ja nie wiem... — odparł Kapuziński zakłopotany nieco.

— Byłbyś jednak rad temu, gdybyśmy cię do orszaku naszego wkluczyli?..

— To jest... tego... miłościwy królu... byłbym ja rad, ani słowa... ale gdyby...

— Gdyby co?..

— Gdyby nie to, że nas tam dwu, w chorągwi: ja i mój towarzysz, pan Maciej Kołtun...

— Toż pan Maciej Kołtun sam pozostać nie może?..

— Mógłby, ale...

— Co za ale?..

— To że ja na pięć koni, a on ma jeno pachołka... koło niego kuso...

— Wiesz tedy waszeć co... odstąp mu na nasz rachunek jednego z twoich pięciu koni a sam *ex nunc* przenieś się do orszaku na-

szego... Damy co do przyjęcia waszeci do pocztu dworskiego, rozporządzenie stosowne... Zostajesz od tej chwili dworzaninem naszym...

Ignacy do nóg królowi się pokłonił. Oblicze jaśniało mu rozradowaniem wielkiem, zrozumiał bowiem, że spadająca na niego tak niespodzianie łaska należała do rodzaju tych zdarzeń, które fortuna na wybrańców swoich tylko zsyła. Orszak królewski składał się z paniąt samych: z Melsztyńskich, Kurozwęskich, Górków, Odrowążów, Tenczyńskich. O wejściu w ich grono ani marzył. Kiedy więc wyszedł od króla, ziemi pod sobą nie czuł; stąpając po powietrzu niby, dostał się do namiotu swego, pod którym Kołtun leżał na wznak: z ręką pod głową, z okiem w płótna górne wlepionem, milczący i blady, zamyślony. Wejście młodego Kapuzińskiego z zamyślenia go nie wyprowadziło. Nie wyprowadziły go z takowego ani nawet wyrazy następujące, wypowiedziane z przyciskiem radośnym:

— Niechże kto powie, żem się pod szczęśliwą nie urodził gwiazdą!.. Przed chwilką byłem towarzyszem, a to już jestem dworzaninem jego królewskiej mości...

Pozostąwał w letargu niby i nie ocknął się, aż go młodzieniec wręcz zaczepił.

— Mości Kołtun, hej!.. mości Kołtun, czy spisz waść?..

— No?.. — odezwał się.

— Zostawiam waszmości na rachunek królewski konia jednego z rzędem i pachołka, a sam... idę do boku królewskiego...

Kołtun przyjął wiadomość tę obojętnie, tylko pozycyją zmienił; leżał na wznak i oczy miał otwarte — przewrócił się na bok i oczy zamknął.

## IX.

# PANNA SALOMEA.

---

W górach nieraz się zdarza wedle przysłowia: „błyżko wydaty dałeko dybaty.“ Zdarzyło się to w odniesieniu dwu domów, położonych w Karpatach, z tą atoli, co do przytoczonego przysłowia różnicą, że pomimo, iż w linii prostej odległość pomiędzy niemi mil dwu nie przenosiła, widać wszakże jednego z drugiego wcale nie było, odległość zaś rzeczywista wymagała co najmniej dni paru podróży, i to podróży nie lada jakiej.

Domy te powinnibyśmy właściwiej nazwać zameczkami z powodu obronnego onych pozoru, tłómaczącego się pobliżem granicy węgierskiej.

Leżały one nieopodal od źródeł dwu rzek, toczących wody swoje do dwu przeciwległych mórz: do Baltyckiego i do Czarnego. Rzekami temi były: San i Stryj; pierwszy, jak wiadomo, wpada do Wisły, drugi do Dniestru, a obadwa wychodzą z jednej i tej samej góry, tylko pierwszy z zachodniej, drugi ze wschodniej pochyłości onej, odłamującej się od głównego Karpat grzbietu i odskakującej ku północy na to, ażeby się postrzępić na grzbiety pomniejsze, na łożyska Sanu, Dniestru, Bystrzycy, Kłodnicy, Stryja i mnóstwą rze-

czułek, spływających do spólnego zbiornika, jakim w stronie zachodniej jest San, we wschodniej Dniepr. Głębiej aniżeli ten ostatni wrzyna się w Karpaty lewobrzeżny przytok onego, Stryj, i bliżej też siedliskami sąsiaduje ze Sanem.

Owóż, nieopodal od źródeł tych, w tej okolicy jak Ustrzyki Górne i w tej jak Smorza Niższa, wznosiły się zameczki dwa, wielce jeden do drugiego podobne. Jakby jeden je budował architekt. I ten i ten stał na urwisku, i ten i ten otaczał mur w zęby, i nad tym i nad tym wyskakiwała do góry wieża kwadratowa, we wąziutkie zaopatrzona okienka, i do tego, i do tego prowadziła droga kręta przez most zwodzony i bramę kutą; różniły się jednak we względzie, tak urządzenia wewnętrznego, jako też sposobu życia mieszkańców swoich. W pierwszym nadsańskim, panowała cisza, pomiwo że go zamieszkiwała rodzina liczna; w drugim, nadstryjskim, brzmiały uczty ustawiczne, pomimo, że zamieszkująca w nich rodzina składała się z trzech tylko osób—z ojca, matki i córki jedynaczki.

Głową licznej rodziny był imć Wojciech Brudziński, mąż siły olbrzymiej, który łamał podkowy, wołu uderzeniem pięści pomiędzy rogi zabijał, sztaby żelazne giął, konia rozhukanego jedną ręką poskramiał i siły swojej na gwałcenie praw nie używał. Miał ją na obronę własną.

— Nikt mnie nie zaczepi... — powiadał.

Ufnym był w siebie i, w spokoju, chwaląc Boga, pędził żywot

Dwa zameczki przedstawiały — dwa światy różne.

Pana Wojciecha obdarzył los synami i córkami. Synów miał. dziewięciu, córek trzy, co razem czyniło dwanaścioro dzieci i dawało panu Wojciechowi nadzieję dojścia do liczby wyższej, ą mianowicie do synów dwunastu.

Synów dwunastu spodziewał się i pragnął, dla starostwa, którego posiadanie uważał jako słuszne wynagrodzenie za zasługę, polegającą na dostarczeniu krajowi poważnego obrońców zastępu. Ojciec synów dwunastu, jeżeli n. b. szlachcicem był, wynagradzał się w czasach onych, w których liczba głów była figurą retoryczną, oznaczającą liczbę pięści. Figura ta utrzymuje się po części i dziś jeszcze, nie w takiej jednak jak dawniej mocy. Lepsze też dla ojców

były dawne czasy — i lepsze i dogodniejsze; do dawnych też czasów odnosi się przysłowie:

„Daje Bóg dzieci, daje i na dzieci.“

Przysłowie to jest archaizmem obecnie, dawniej zaś brało się w znaczeniu literalnem — literalnem tak dalece, że rodzice tyle się jeno o dzieci troszczyli, co ptaki o pisklęta swoje. Hodowali je. O wychowaniu wówczas jeszcze i mowy nie było, a raczej, istniało formułek kilka, osłonionych powagą kościoła: w takowe dziecko wkładano i reszta już przychodziła sama. Praojcowie nasi, pod względem tym, nie byli tak wymagający jak my.

— Jest co jest, a będzie co Bóg da...

I mieli też sumienie spokojniesze, aniżeli my, a to z tego powodu, że jeżeli co złego zrobili, składali to na dopust boży, nie poczuwając się zgoła do odpowiedzialności osobistej.

Z tego to powodu, pan Wojciech, pragnąc synów dwunastu, poprzestawał tymczasowo na dziewięciu i tych dziewięciu *hodował*, to jest, karmił ich, odziewał, przy sobie trzymał, pozwalał im uganiać po górach, nastawiać sidła na kozice i świstuny, wydzierać z gniazd ptaszęta młode, wprawiać się do łuka, dosiadać konia, i słuchać nauk od zwiedzającego zamek po parę razy na tydzień księdza proboszcza, który ich wprawiał w katechizm. Nazywało się to wychowywaniem dzieci w bojaźni bożej.

O córki pan Wojciech mniej się troszczył, zostawiając to matce; i one jednak, jak bracia, w bojaźni bożej się chowały.

Do wychowywania takiego przyczyniało się dzielnie samo zameczka położenie. Góry lepiej aniżeli płaszczyzny świadczą o wielkości, potędze i grozie Stwórcy wszechrzeczy. Grozą mianowicie potęgują one w wyobraźni człowieczej, czyniąc wyrazistszemi czynniki zniszczenia, jakiemi są ogień, woda i powietrze. Płomień jaśniej i majestatyczniej pali się na górze aniżeli na równinie, ulewy są i częstsze i gwałtowniejsze, wiatr na rozłogach szumi i śpiewa—w górach huczy i wyje. A grzmot!— mieszkańcy równin, tłómacząc fenomen ten, powiadają, że to św. Piotr kołacze po niebie wozi, mieszkańce zaś gór utrzymują, że to Bóg się gniewa. Wszystko to skłonnemi czyni górali do wierzenia w siły nadprzyrodzone i nastraja fantazyją ich na ton wysoko poetyczny.

Pod wpływem nastroju tego hodowała się gromadka pana Wojciecha.

Gromadka ta, w chwili, w której do zamku wkraczamy — a chwila ta poprzedza datę wyprawy Jana Olbrachta o lat parę — ustawiona rzędem według starszeństwa, przedstawiała się pod postacią schodów, sformowanych z głów, na szczeblu najwyższym, młodocianych, na najniższym, dziecięcych. Przodek w szeregu trzymała dziewczyna jak kalina, lat ośmnaście, smukła jak topola, giętka jak trzcina, szykowna jakby utoczona, jagody krew z mlekiem, w postawie siły, w oczach życia pełno. Pierworodnej tej państwa Brudzińskich na imie było Salomea. Wołano na nią Salka. Po niej następowała Walka (Waleryja), po Walce Halka — siostrzyczki jej młodsze, obie śliczne, aniołki istne, których widok w najgorszy pana Wojciecha wprawiał humor. Gniewał się na córki, za to, że na świat przyszły.

— Gdyby nie te dziewki!... — wywoływał — ha! gdyby nie dziewki!.. Mój Boże!.. mój ty mocny Boże!.. gdyby nie dziewki!..

Chodziło mu o to, że, gdyby zamiast trzech córek urodziło się było trzech synów, byłby — słowa jego — „koniec mozołom",

— A tak... hm...

Nie można powiedzieć, ażeby dla córek nie miał serca ojcowskiego, ale gniewał się na nie. Upatrywał w nich przeszkodę do osiągnięcia *panem bene merentium.*

— Gdyby nie dziewki.... — uskarżał się.

Uskarżał się mianowicie przed księdzem proboszczem, który pretensyją jego wzmacniał faktem, wziętym z pisma świętego, a podającym niewiastę za początek i przyczynę wszelkiego złego na świecie. Wiadoma historyja o Ewie i jabłku.

— Już to, co mnie — utrzymywał pan Wojciech — gdybym był na miejscu Adama, żadna Ewa byłaby jabłkiem nie skusiła...

— Złote jabłko...— ksiądz uwagę czynił.

— Złote... hm...

Uwaga ta zabijała niejako ćwiek panu Wojciechowi w głowę, miał do złota słabość. Jeżeli przeto jabłko było złote, to czuł, iżby się pokusie i on może nie oparł.

— Tylko — robił tę objekcyją — czy było one w samej istocie złote?...

— No, a jakże... — odpowiadał ksiądz.

— W księgach tak stoi?..

— W księgach, wiarą...

— Jeżeli tak... no... to była to czysta na biednego Adama napaść...

Wzdychał głęboko i głową kręcił.

— Co to niewiasty!.. Gdyby nie te dziewki, ot... miałbym już chłopców dwunastu, jak oko... byłbym już starostą...

Stanowiło to jego troskę główną, obok trosk pomniejszych, które się dwojako układały: w ciułanie grosza i w czuwanie nad takowem.

Miał pan Wojciech — rzekliśmy wyżej — do złota słabość. Zbierał grosz, ale zbierał takowy nie na sposób dzisiejszy, bogaty w środki, ale po staremu, na wzór pająka, który sieć rozpiąwszy, czeka cierpliwie, aż mucha się w nią uwikła. Siecią pana Brudzińskiego były ziemie jego, opierające się z jednej strony o węgierską granicę i obejmujące przestrzeń milową niemal, zapełnioną górami, lasami i skałami. Dochód z tego nie mógł być znaczny. Przemysł owoczesny nie umiał spożytkować gruntów jałowych. To też grosz do kalety pana Wojciecha napływał cale nie obficie, ale ten co się zabłąkał, nie wydostawał się już na światło dzienne. Pan Wojciech posiadał w zamku skrzynię kutą, która podwójną pełniła służbę — była zarazem i skarbem i łożem. Do niej grosz każdy, co mu w ręce się dostawał, składał, na niej sypiał. Łożę maskowało skarbiec, a o skarbcu nie wiedział nikt, z wyjątkiem pana Wojciecha i pani Wojciechowej. Ta na torturach tajemnicyby nie wydała, ukrywała zaś ją w ten sposób, że sama funkcyją pościelniczą pełniła. Dzieci nawet nie domyślały się niczego: służbie ani się śniło o niczem. Pan Wojciech trzy razy do roku do skarbca zaglądał: w dzień św. Wojciecha, patrona swego, w dzień św. Antoniego, patrona od złodziejów i w dzień Wszystkich Świętych, zaznaczający koniec roku roboczego. W przerwach pomiędzy terminem jednym a drugim pieniądze wpływające chował do trzosa, a trzos na gołem nosił ciele, i miał ten zwyczaj, którego się święcie trzymał, iż co do trzosa wpadło, to się tylko do skrzyni dostawało, ale nie gdzieindziej, pod żadnym pozorem. Z trzosa ojcu rodzonemu byłby grosza nie dał. Był to kapitał żelazny, nienaruszal-

ny, nietykalny, który przechodził przez trzos, niby przez alembik i tonął w skrzyni, jak w otchłani, która też z tego powodu odgrywała rolę tajemniczej arki przymierza, obsługiwanej przez dwoje ludzi. Pan Wojciech był przy niej arcykapłanem i jako taki w obec dzieci stawał.

Dzieci nie wiedziały wprawdzie nic o skarbie i o skarbcu, ale widziały w ojcu depozytora tajemnicy jakiejś — istotę wyższą, niby wybrańca, niby pomazańca. Z tego powodu bały się go i szanowały. Szacunek zaś ten, oddziaływając wprost na nie, stanowił węzeł wspólny, wzmacniający ten szacunek wrodzony, jaki dzieci mają dla rodzica i tę miłość, która członków rodziny w organiczną spaja całość. Szanowały i bały się ojca i kochały się pomiędzy sobą bardziej, aniżeli się zwykle rodzina kocha, a to dla tej przyczyny, że tkwiła śród nich tajemnica jakaś, czczona przez ojca, czczona przez matkę, a ubrana w ramy zamku, otoczonego pełną tajemniczości naturą.

Pomiędzy nami mówiąc, skarb ów w skrzyni przechowywany, nie było to nic wielkiego. Wszelki skarb jednak, ceni się przez porównanie. Dla pana Wojciecha przeto, który skrzynię z razu pustą, napełniał powoli, wydawał się on coraz to droższym. Wartość onego wzrastała z latami, była atoli czysto domniemalną, pan Wojciech bowiem, składać składał, co się jednak rachowania tyczy, nie rachował. Nie wdawał się w to — czemu?

— Składać, wartować... jeszcze i rachować?... eee... — myślał sobie.

Nie rachował więc, tylko składał i dozorował; — dozorował zaś w ten sposob, że we dnie spoglądał na skrzynię, przykrytą siennikiem, prześcieradłami, kapą, poduszkami; w nocy zaś kładł się na niej i po przeżegnaniu się w celu sprowadzenia snu spokojnego, powiadał do siebie w duchu:

— Dyjabła zje, ktoby się pode mnie dostać zechciał...

Dufał w siły własne, i dowody takowych złożył niejednokrotnie. Zameczek ponuro i na ustroniu leżał, odwiedzanym bywał przez ludzi różnych, a pomiędzy temi zdarzali się i tacy, co na cudzą dybali własność i targali się na takową zbrojną ręką. Przedsiębiorcy tego rodzaju zaglądali razy kilka do zamku, o zamku bowiem krążyły rozmaite pogłoski, wysnute z owej tajemnicy, której się dzieci nie

domyślały, o której służbie się nie śniło, która atoli na zewnątrz występowała pod postacią monety brzęczącej, otoczonej urokami skarbu zaklętego, pozostającego pod strażą smoka. Imaginacyja ówczesna lubiła się zabawiać rzeczami podobnemi. Rolę smoka odegrywał pan Wojciech i odegrywał ją znakomicie, kiedy bowiem pojawili się w zamku, raz, drugi i trzeci, amatorowie skarbu zaklętego, dał im taką naukę, iż dziesiątemu, setnemu zakazali. Jedna banda składała się z mężów sześciu, druga z dwunastu, trzecia z dwudziestu. Sześć a dwanaście, to ośmnaście, ośmnaście a dwadzieścia, to trzydzieści ośm; owóż, na trzydziestu ośmiu, którzy po skarb zaklęty rękę wyciągnęli, pan Wojciech pozbawił żywota trzech tylko, i to przypadkiem. Za mocno ścisnął — udusił. Innych zaś wszystkich wypuścił żywcem, obdarzywszy ich pamiątkami na życie całe; jednym powykręcał ręce, drugim połamał nogi, innym powybijał oczy, innym poobrywał uszy. Takich trzydziestu pięciu, rozszedłszy się po świecie, roznieśli o panu Wojciechu famę, zabezpieczającą skarb w skrzyni przeciwko wszelkim napaściom.

— Dyjabeł nie człowiek... a co za psy!... — rozpowiadali kulawi, bez rąk, ślepi i z uszów ogołoceni.

Pan Wojciech trzymał na łańcuchach psy czujne, które stanowiły całą załogę zamkową. Wieczorem, po zamknięciu bramy, psy się z łańcuchów spuszczały i na tem ograniczały się wszystkie środki ostrożności. Mieszkańcy zamku sypiali spokojnie, pan zaś onego cierpliwie zbierał grosze i z równąż cierpliwością wyglądał starostwa.

Cierpliwość nie przeszkadzała temu, że się gniewał na córki, albo raczej na los za córki.

— Gdyby nie te dziewki!... — stało się w ustach jego przysłowiem.

— Co one waszmości winne!... — w rodzaju refleksyi rzekł do niego ksiądz razu pewnego.

Pan Wojciech ramionami ścisnął.

— Winne?... jaż ich nie obwiniam, jednak... gdyby nie one!...

— Toć one nie wiecznie z waszmością... — wsunął proboszcz.

— Ta... grobowa deska nas rozłączy...

— Pierwej atoli za mąż powychodzą...

— Prawda!... — zawołał pan Wojciech, jakby słowa księdza były objawieniem.

— Za mąż powychodzą... — powtórzył ksiądz, nos po szlachecku ucierając.

— Prawda... ale za kogo?

— Ano... ktoś się tam trafi, wedle tego jak powiadają: śmierć i żona od Boga sądzona... Komuś tam pan Bóg przysądzi najprzód Salkę..

— Dziewczynie lat ośmnaście...— rzekł pan Wojciech sposobem głośnego myślenia.

— O, w sam raz wydać pora...

Hm... — mruknął pan Wojciech i po chwili milczenia odezwał się: — Ot, ojcze wielebny, gdybyście tam napytali jakiego człowieka uczciwego...

Ksiądz się uśmiechnął i odrzekł:

— Ta i gdzież mnie wdawać się w rzeczy takie światowe!...

— A komuż!... — opryskliwie nieco zaczął Brudziński. — Mnie chyba?... Ja nosa za bramę wytknąć nie mogę... bo by tu... bo by te... bo by wnet tego... — jąkał — bo by się tu wszystko przewróciło nogami do góry... Wy zaś, zaglądacie do Liska, dojeżdżacie do Sanoka... wam by to nie przyszło z wielką trudnością napytać tam kogo...

Ksiądz oko jedno przymrużył i za uchem się podrapał, jakby wyrazić przez to chciał, że nie ochoczo przyjmuje kłopot, albo też, że ma jeszcze dotknąć czegoś w rodzaju drażliwej materyi.

— No?... ojcze wielebny... — dorzucił pan Wojciech.

— Toćby... toby... — odparł ksiądz, marszcząc się — możeby się co i dało tam zrobić, a przynajmniej tentować, ale...

— Co za ale?...

Ksiądz ramionami ścisnął.

— Czy to dziewka nie z rodu dobrego?...

— Ani słowa...

— Czy nie poczciwie chowana?...

— Ani słowa...

— Czy nie nadobna?...

— Ani słowa...

— Jakież więc tam może być ale?...

— Nie ma żadnego... ludzie jednak ciekawi, będą pytali...

— O co?...

— Będą pytali nie tylko o wdzięki, ale jeszcze i o dźwięki...

Pan Wojciech sapnął i brwi namarszczył.

— Bo to — ciągnął ksiądz — świat taki zepsuty... kto o ożenku pomyśli jeno, wnet o wiano się dowiaduje...

— Wiano... wiano... Pracuję i jeszcze, Bóg da, pracować będę, a jak umrę, nic ze sobą na tamten świat nie zabiorę... Wiano w sperandzie...

— Gruszki na wierzbie... — mruknął ksiądz.

— Cóż więc chcecie, ojcze wielebny!... — ofuknął się pan Wojciech, miarkując się jednak, dodał: — Ha!... dziewki!... Gdyby nie te dziewki, człek nietylkoby już starostwo posiadał, ale by i o wianach żadnych myśleć nie potrzebował!... Skaranie boże!... Ha!... ot co— dam wyprawę, bydełka nieco, gruntu kawał i po szlubie, wytrzęsę pannie młodej pod poduszkę wszystko, co będę miał w trzosie... wypatroszę się, ojcze wielebny...

Wyrazy ostatnie wymówił z przyciskiem mocnym,

Ksiądz odparł:

— Nie przyrzekam, będę się jednak oglądał... Po imćpanu łowczym został chłopak pod wąsem...

— On że miał trzech...

— Trzech synów i dwie córki... Córki powydawał, starszych dwu pożenił za życia, najmłodszy zaś, Jan, posunął był do Czurylanki, ale... jak prędko posunął, tak prędzej jeszcze odskoczył... Tam się wysoko noszą i wysoko strzelają...

— Cha cha cha — grubo się pan Wojciech zaśmiał.

— Zachciewa się im kasztelana, wojewody, hetmana...

— Cha cha cha...

— Szumią...

— Jak szumieć nie mają — podchwycił pan Wojciech — kiedy im za durnicę starostwo spadło!... Taka to na świecie sprawiedliwość... Ja mam synów dziewięciu i czekam a czekam na *panem bene merentium,* a pan Hryhor za córkę jedną jedyną, jak palec, starostwo dostał... Szumiałbym i ja... No!... ale... nie zazdroszczę... nie zazdroszczę... Bóg z nimi!... niech tam sobie szumią... Życzę im, ażeby się starostwem nie udławili, a łowczyca przyjmuję na konkurenta do mojej najstarszej i pierworodnej, którą wyposażę, *honeste* wyposażę... Niech łowczyc przybywa, mile będzie widziany... Dziewka niczego... gdy się z nią skojarzy, nie będzie za starościanką żałował...

Dziewka ta, panna Salomea Brudzińska, w rzeczy samej niczego była. Niczego była i zewnętrznie i wewnętrznie. Lica gładkie, warkocze czarne, oczy szafirowe, kibić szykowna i wysmukła, i jakiś rodzaj harmonii pomiędzy nią, a otaczającą zamek naturą, tak, że się wydawała, jakby była genijuszem, uosobiającym dziką piękność gór. Oblicze jej i postać całą, obwiewała smętność jakaś poetyczna, dziwnie ponętna i o miłości mówiąca. Patrząc na nią, niepodobieństwem się wydawało, ażeby ona nie kochała. Jakoż pożar ten nie zawodził zgoła. Pannę Salomeę natura obdarzyła sercem przepełnionem potrzebą kochania, sercem nawskróś niewieściem, bijącem dla wszystkich razem i dla każdego z osobna z tych co jej otoczenie składali. Kochała ojca, kochała matkę, kochała piastunkę, kochała służebników i służebnice, kochała rodzeństwo, a każdy z braciszków co przy niej na świat przybywał, był dla niej gościem pożądanym, którego wnet iście macierzyńską otaczała miłością, przy kołysce jego zasiadała i dosyć się nim nacieszyć nie mogła, i życieby za niego oddała. Matka chyba nie kochała tak jak ona. Piastowała, chuchała, karmiła, poiła, z wyjątkiem trojga starszych, całe zresztą rodzeństwo swoje na rękach własnych wynosiła, była dla nich siostrzaną opatrznością; była więc niczego pod względem każdym.

W tygodni parę po przytoczonej powyżej rozmowie pomiędzy panem Wojciechem a księdzem, na zamek przybył łowczyc, człek młody i nie odznaczający się niczem osobliwem. Pan Wojciech przyjął go uprzejmie i przez trzy dni na zamku przetrzymywał. Młody człowiek z ochotą przetrzymywać się dawał, raz dla gościnności z jaką go przyjmowano, powtóre dla oczów panny Salomei, które mu się wielce podobały, potrzecie dla osobliwości pewnej, z którą się niespodzianie spotkał.

Osobliwością tą był dziad pielgrzym, idący od grobu świętego i od ojca świętego, który do wrót zamkowych zakołatał i o gościnę prosił; dziad, gołąbek istny, stareńki, białeńki, pochylony, z długim w ręku kosturem, z torbami na plecach i z lirą pod pachą. Brząkając na lirze, śpiewał pieśni nabożne głosem ochrzypłym, gdy zaś nie śpiewał, rozpowiadał dziwa o krajach dalekich, o narodach, o podróżach na lądzie i na morzu, o monarchach, o grodach, o kościołach. Głos jego był drżący i cichy, mówił jednak dość wyraźnie, tyl-

ko się nużył prędko i odpoczywał. Pątnik ten zajął żywo wszystkich, nie wyjmując i księdza proboszcza, który niedowierzając z razu podaniom jego, na egzamen go brał, mianowicie co do ojca świętego.

— Jak mu na imię, — zagabnął.

— Aleksander szósty... — odpowiedział pielgrzym.

— Od jak dawna na pontyfikacie?

— Wstąpił na stolicę apostolską w tym samym roku, w którym Jan Olbracht został królem polskim. Byłem w Rzymie podówczas...

— Co?... Jak?... — zawołało głosów kilka na raz.

Pielgrzym opowiadać musiał o konklawe i o tem, że papieże tak samo umierają jak i zwykli śmiertelnicy.

Proboszcz przemówił po łacinie, on po łacinie odpowiedział. Próba ta przekonała ostatecznie o pątniczej dziada autentyczności i zjednała mu zaufanie rodziny. Chciał odejść nazajutrz, lecz go takiemi subtelnemi otoczono prośbami, że pozostał dzień i drugi i trzeci, wypoczął sobie i znikł nagle. Zniknięcie to zasmuciło wszystkich, dzieci zwłaszcza, serdecznie go żałowały.

— Dziadek tak śpiewał pięknie... — powiadało jedno.

— Dziadek tak cudne prawił bajeczki... — mówiło drugie.

— Dziadka tak wszyscy pokochali... psy nawet... — dodawało trzecie.

Rzecz, w samej istocie, osobliwa: w ciągu trzydniowego pobytu swego w zamku, potrafił zjednać sobie dzieci, które się zwykle dziadów boją, i przywiązać do siebie psy, które są nieprzejednanemi gości tego rodzaju wrogami. Ujął jednak i jedne i drugie, — prawda, że się o to szczególnie starał, dokładając w tym celu usiłowań, które, gdyby nie roztargnienie, jakie domownikom sprawiał pobyt łowczyca, mogłoby się podejrzanemi wydać. Łowczyc neutralizował uwagę i dziadek kazał się dzieciom oprowadzać po zamku, zwiedzał komnaty, przypatrywał się pilnie drzwiom, oknom, wiązaniom zrębów, probował mocy zasów i zawiasów, słowem, badał zamek we wszystkich tajemnicach onego. Rozpytywał dzieci o to szczególnie, gdzie kto sypia. To go obchodziło tak dalece, że w czasie pobytu swego, każdej nocy robił obchód wewnątrz zamku, przesuwał się po izbach bosemi nogami, stawał, nasłuchiwał, zamyślał się. Panu Wojciechowi ani się śniło, że pielgrzym kilkakrotnie tak się był nad nim na skrzyni śpią-

cym nachylił, iż od oddechu pana Wojciecha, ruszały się włosy na brodzie pielgrzyma.

Z psami obchodził się w sposób dziwny, a wdawał się z niemi i w dzień i w nocy. Recytował im *pater noster*, mrucząc pod nosem, i przytem ciskał im jakieś gałeczki, na które się one łakomie rzucały. Powtórzywszy to kilkakrotnie, oswoił je tak, że jak tylko mruczenie zasłyszały, natychmiast uszy nadstawiały, ogonami kiwały i szły niby do domownika. Staruszek je głaskał po głowach, po grzbietach i po podbrzuszkach. Dzieci się dziwowały poufałości takiej, a on im tak ten fenomen tłómaczył:

— Ileż to razy w pielgrzymkach moich dzikieby mię rozszarpały bestyje, gdyby nademną nie czuwało oko Boże... Jak te oto psy, tak samo ułagadzałem lwy, tygrysy, niedźwiedzie, wilki...

— Jakże to, dziaduniu, jak? — zapytywała dziatwa ciekawa.

— Paciorkiem... paciorkiem dziatki... patrzcie jeno...

Zaczynał pater noster i psy garnęły się do niego.

— Pokażę wam jeszcze inne dziwa, które za pomocą paciorka zdziałać można...

— A pokażcie dziadku!... — domagały się dzieci.

— Poczekajcie...

Dzieci czekały, nie doczekały się jednak. Dziadek znikł.

W zniknięciu jego nie było cudu najmniejszego. Zachodziła jednak osobliwa pewna okoliczność, która mogłaby podejrzenie niejakie obudzić, a na którą pan Wojciech nosem czmychał i głową kręcił.

— Kto dziadowi bramę otworzył?.. — rzucił pomiędzy służebnych zapytanie.

Na zapytanie te odpowiedź się nie znalazła. Bramy nikt nie otwierał i otwieraną nia była. Dziad wylazł z zamku przez mur, co nie było rzeczą niepodobną, ale bardzo trudną i niebezpieczną, po nocy, zwłaszcza dla człowieka starego.

— Licho nie dziad... — rzekł pan Wojciech sam do siebie — mógł kark skręcić, a nie skręcił...

— Paciorek zapewne odmawiał... — zauważył z chłopaków jeden.

Juhas, który około południa do zamku zajrzał, opowiadał, że o świtaniu widział dziada na ścieżce prowadzącej przez połoninę.

— Szedł czepko... — słowa juhasa — z koszturem w ręku, ale kosztura nie używał do podpierania się..! Licho nie dziad... z pozoru, starzec zgrzybiały, z ruchów młodzik... Zmierzał ku węgierskiej granicy...

Wszystko to mogłoby podejrzenie niejakie obudzić, gdyby podejrzliwości nie neutralizowały dwie okoliczności, z których jedną była autentyczność pątnicza przez księdza stwierdzona, drugą obecność łowczyca.

Łowczyc osobą swoją dystrakcyją niejaką sprawiał. Starsi zwłaszcza, jak pan Wojciech, pani Wojciechowa i czeladź cała lat dojrzałych, mieli go na oku. Nie dziw — brał się do panienki. Człek w zalotach zawsze bywał i na zawsze ponoć pozostanie przedmiotem ciekawości. Śledzono za nim, przypatrywano się mu i zadawano sobie zapytanie, które stanowiło przedmiot troski ogólnej: co też to za para będzie z łowczyca i panny Salomei?

Panna Salomea, niekiedy jak wiśnia kraśniała, znów jak chusta bladła i doznawała dziwnego wewnątrz niepokoju.

Czy był to niepokój kochania? — Tak, nie inaczej! Kochanie, jak rzekliśmy wyżej, stanowiło treść niewieściej jej istoty, pojawiło się więc pod postacią łowczyca tak samo, jak się pojawiało za każdym razem, gdy na ten świat przybywał braciszek nowy. Pomiędzy braciszkiem atoli a zalotnikiem zachodziła różnica pewna. Tamtego można było wziąć na ręce i piastować, hołubić, całować, huśtać, tego —nie. Człek pod wąsem, mina od stu kaduków. Dziewczyna przelękła się zrazu na widok jego, lecz przelęknienie wnet przeminęło, ustępując miejsca nieokreślonym jakimś rojeniom i pragnieniom, pociągom i niepokojom, drżeniom i płonieniom. Salusia wyobrażała siebie na rękach u łowczyca i, gdyby jeno wiedziała była, co się z nią właściwie stało, byłaby zawołała:

— Ach! jakże ja go kocham...

W rzeczy samej, pokochała łowczyca, który tę posiadał zaletę, że nie był ani lepszym, ani gorszym od ogółu śmiertelników płci męzkiej, kwalifikujących się do ożenienia, i tę jeszcze, że przybył do zamku w tę właśnie porę, kiedy serce panny Salomei otwierało się nakształt kielicha kwiatu, dla zagadnień życia. Pokochała łowczyca

jakby pokochała była kogo innego, gdyby, tak jak on, pojawił się w samą porę i gdyby, tak jak jej, innej jakiej na jej miejscu dziewczynie do ucha szeptano:

— Młodzieniec ten... dla ciebie..:

— Pan Wojciech przy pożegnaniu z łowczycem, dał mu do zrozumienia, że przysłać może dziwosłęby, kiedy się spodoba... „chociażby jutro“.

## X.

# MARYNA.

---

W zamku u źródeł Sanu czekano na dziewosłęby i zamyślano o szyciu wyprawy dla tej, co w nieoznaczonym jeszcze bliżej czasie panną młodą zostać miała; w zamku u źródeł Stryja hulano na łeb na szyję.

Tam bo nie było we zwyczaju czynić co innego.

Starosta lubił gwar; starościna nie lubiła osamotnienia; starościanka — hej!... Muzy!... pośpieszajcie jeno i podpowiadajcie mi słówka jak najpiękniejsze, ażebym odmalować zdołał starościanki nadobność. Nadobną była Salka Brudnicka — gdzież jednak! — ani się, jak to powiadają, umywała do tej. Jeżeli ta z nad Sanu była nadobną, to ta z nad Stryja—cudną. Starzy nasi (patrz u Górnickiego) piękność niewieścią „cudnością" zwali. Nazwa ta stosowała się do niej literalnie. Przyodzianą była w cudność taką, że ta czyniła z niej istny klejnot, pod postacią białogłowy w pełni dziewiczego rozkwitu. Cudną była zupełnie, skończenie, nie brakło jej niczego, wszystko zaś, co część jej stanowiło, wydawało się całością w sobie skończoną. Zachwycać się było można: paluszkiem jej ręki, brewką z nad jej oka, uszkiem, noskiem, nóżką, kruczym połyskiem warkocza, łabędzim wy-

tokiem szyi, nie dopieroż nią całą, przedstawiającą najdoskonalszą, jaka tylko pod słońcem istnieć może, harmoniją kształtów. Patrzeć na nią, a nie zachwycać się, było rzeczą niepodobną, jak również niepodobną było rzeczą, raz ją widząc, nie zachować w pamięci na zawsze jej postaci, owianej urokami od góry do dołu. Jej wejrzenie paliło, jej uśmiech do duszy wnikał, jej głos serce drżeniem przejmował, jej poruszenie każde czarowało. Łączyła się w niej powaga dziewicy królewskiej z prostotą naiwną dziewczęcia wiejskiego; była zarazem majestatyczną i miłą, lubą, słodką, ujmującą przylepeczką, na którą patrząc, myślało sią o raju, o błogosławieństwie, o szczęśliwości bezgranicznej, albo też o bezdennej a tajemniczej otchłani, sprawiającej głowy zawrót.

O! i zawracałaż głowy ona.

Sam król...

Król jednak — dodać pośpieszamy — nie widział jej w życiu nigdy. Słyszał jeno o niej i od samego słyszenia głowa mu się zawrócić nie mogła; z wielką atoli przyjemnością słuchał opowiadań o cudnej starościance, którą mu opisywano jako fenomen, zaznaczający panowanie jego. Jan Olbracht, w poczuciu zapewne ojcowstwa monarszego, ciekaw był wielce fenomen ów oglądać. Nie przyszło jednak do tego. Zamierzał, pod pozorem łowów, udać się w Beskidy i — jak powiadano — nie dla czego innego, jeno *ex re* łowów owych, Hryhorowi Czuryle, który się niczem innem, jeno pięknością córki odznaczał, starostwo nadał. Kłopoty jednak różne sprowadzały zwłokę w doprowadzeniu zamiaru tego do skutku. Skończyło się zatem, że ciekawość pozostała w królu nakształt apetytu, pobudzonego a niezaspokojonego, i przy każdej powracającego okazyi. To wszakże samo, że wieść o starościance aż do króla doszła, daje dokładną jej piękności miarę. Królom nie rozpowiadają o lada czem.

Starosta lubił gwar, co pochodziło, w części z towarzyskości natury ludzkiej, w części zaś ztąd, że natura w ogóle próżni nie znosi. Gdyby nie goście, panowała by próżnia około niego, a to z tego powodu, że należał on do tej śmiertelników kategoryi, co to ma widoki i cele życia, ale nie ma do czynienia nic. Bezczynność absolutna—to śmierć. Człowiek żyjący musi coś robić — cokolwiek — chociażby to coś było kiwaniem palcem, albo puszczaniem kamyków

w studnię głęboką. Starosta, gdyby nie posiadał starostwa, które mu znaczne niosło dochody, kiwałby palcem, puszczałby kamyki w studnię; posiadając atoli starostwo, żył na stopę pańską i miał się za człowieka znakomitego. Pojęcie o znakomitości własnej w ten wyrażało się sposób, że dla praw jakie sobie przysądzał, granic nie znał, obowiązki zaś upatrywał w przestrzeganiu praw owych. Okazy podobne trafiają się i obecnie, w ofitości większej jak potrzeba. Z braku równowagi pomiędzy pojęciem o prawach, a pojęciem o obowiązkach, wyradza się tak zwane poświęcenie, wprowadzające odmęt w pojęcia. O odmęt tego rodzaju posądzamy pana starostę, który też był poważny, dumny, ale gościnny.

Na zamku wieczne brzmiało wesele.

Nie należy brać wyrazów tych w znaczeniu ścisłem. W wiecznem weselu zdarzały się dłuższe i krótsze przestanki, które atoli, jako wyjątki od reguły ogólnej, reguły nie osłabiały — przeciwnie, wzmacniały takową. Zdarzało się więc niekiedy, że za stołem zasiadali: starosta, starościna i starościanka. Wypadki atoli podobne zachodziły rzadko i nie przeciągały się nigdy dłużej nad dni dwa, trzy, nad tydzień najdłużej. Zamek posiadał magnes, który ludzi pociągał, a były nim: stół obfity, uprzejmość wielka, rozrywki różne, nadewszystko zaś liczko jasne, nadające zamkowi urok nieba, o świecącem na niem wieczyście słonku. Samo przytem położenie ściągało gości. Zamek leżał nieopodal od traktu, który idąc ode Lwowa, przechodzi przez Stryj, przerzuca się przez Karpaty pomiędzy szczytami Rohacz a Gwiazdoń i, na węgierskiej pochyłości, prowadzi do Ungwaru i Muńkacza. Z traktu widać go nie było, wiedzieli jednak o nim ludzie tak dalece, że nie jeden z tych co przejeżdżali z Polski do Węgier, lub z Węgier do Polski, nawracał tędy z drogi na Duklę, a nawet z gościńców na Sącz i na Nowy Targ. Nakładali, ale się im to opłacało sowicie. Dodawać nie potrzeba, że ludzie w ten sposób drogę prostujący, nie należeli wcale do klasy pracującej. Niekiedy handlarz z kramem zawitał, częściej zaglądali cygani z niedźwiedziem i z orkiestrą, czasem trafił się zakonnik wędrowny z błogosławieństwy, najczęściej atoli przybywali rycerze, którzy zjeżdżali się nieraz w takiej liczbie, że się improwizowały turnieje, będące jeszcze we zwyczaju podówczas.

Rycerze, od czasu jak starościanka doszła do lat dziewiczych, nie opuszczali prawie gościnnych progów. Jedni odjeżdżali, drudzy przyjeżdżali, z odjeżdżających zaś wielu powracało po razy kilka. Znajdowali się atoli i tacy, co więcej już nie powracali. Byli to nieszczęśliwi — do takich naprzykład należał łowczyc — którzy cofali się na wzór motylów, osmalających sobie skrzydła w płomieniach. Takich liczba była niemałą. Starościanka nie robiła sobie skrupułu najmniejszego we względzie gachów. Na afekta strzeliste, jakie u stóp jej ten i ów składał, zadawała pytanie:

— Co waszmość za jeden?...

— Jestem ten a ten... — odpowiadał zapytany.

Na odpowiedź, jaką zazwyczaj otrzymywała, a która zawierała nomenklaturę tytułów i majątków, nosem krzywiła, dygała i odchodziła, rzucając w dali na powietrze głosy śmiechu, który dzwonił srebrzyście.

Odprawionemu w ten sposób gachowi, starosta tłómaczył znaczenie śmiechu:

— Waszmość nie możesz brać córce mojej za złe, że się nie śpieszy... Młoda jeszcze... trzeba żeby użyła życia w dziewiczym stanie... Smieszkiem jest...

Śmiech ten atoli oznaczał cale co innego. I ojciec i córka strzelali wysoko, wszelkie więc pokuszenia rycerzy, należących do rodzaju kogucików, wydawały się im śmiesznemi. I ojciec i córka czekali, pewni, że w tym tłumie przybije nakoniec do ich wybrzeża tuz jakiś, któremu można będzie zaufać.

O jakiegoż tuza im chodziło?

Trudno na zapytanie to odpowiedzieć. Dziś ludzie wysoko strzelający, mają zazwyczaj program osnuty, bądź około imienia, bądź około fortuny. Albo żydówka idzie za księcia, albo księżniczka za żyda. Programowość, we względzie spraw matrymonijalnych, stała się, rzec można, chorobą wieku i zależy na łataniu męża przez żonę, lub żony przez męża. Anioły, znane pod nazwą panien na wydaniu, roniąc westchnienia, kładną takowe na ważki i ważą je, jak aptekarze sól glauberską, w celu dawania pacyjentowi dóz odpowiednich, aż do skutku. Westchnienia stały się artykułem handlu, jak pieprz i liście bobkowe. Rzecz cała zależy od popytu, oferty i gatunku towaru.

Księżniczka uboga ceni się mniej trochę, aniżeli córka zbogaconego łapserdaka, ceni się atoli i, co najważniejsza, ma program ozdobiony cyfrą, złożoną nie z liter, a z liczb. Tuz dla niej wyobraża pewną wyraźną dotykalność, przedstawiającą się pod postacią szeregu zer, poprzedzonych przez jednostkę na lewo.

Tuz w owym wieku przedstawiał się nie tak wyraźnie, a to dla tego, że stanowiska społeczno-towarzyskie nie były jeszczę na dzisiejszy sposób zdeterminowane. Zachodziła jeszcze, we względzie tym pewna w pojęciach mylność. Rzezimieszka nie rozumiano; pik-poket nie istniał wcale; o giełdowym heroizmie wyobrażenia nie miano; bohaterstwo występowało brutalnie, z pałką w ręku, oskrobaną na buławę hetmańską. Była to epoka kondotierów, pułków czarnych, korpusów żebraczych, raubritterów i Aleksandrów VI. Bohaterów włóczyło się po świecie mnóstwo. Naśladowali oni kruków, wałęsających się za żerem, gdy zaś gdzie przybywali, to trudno było rozpoznać, czy to książe panujący pod postacią prostego rozbójnika, czy też rozbójnik pod postacią księcia panującego. Ztąd panna na wydaniu, co się wysoko nosiła i wysoko strzelała, byłaby zakłopotaną wielce, gdyby ją zapytano: o jakiego właściwie tuza jej chodzi.

Ztąd też i staraścianka nasza, wiedziała czego nie chceć, nie wiedziała czego chcieć.

Zachciewało się jej czegoś... obłoczystego.

Nie chciała zaś żadnego z gachów w rodzaju łowczyca, co to miał dach nąd głową i pod nogami ziemię własną — dach przyciskający z góry, i ziemię przytrzymującą z dołu.

Starosta z odmiennego nieco punktu, tak jednak samo na tęż samą zapatrywał się sprawę. Wychodził on z punktu miłości własnej połączonej z miłością rodzicielską, który mu nakazywał zgotować dla jedynaczki los... jakiś pewny.

I on wiedział jeno czego nie chcieć, tak, że pomiędzy „obłoczystością“ starościanki, a „pewnością jakąś“ starosty, zachodziło pokrewieństwo bardzo blizkie.

Pokrewieństwo to objawiało się w ten sposób, że tak ojciec jak córka odprawiali łowczyców jednego po drugim, a odprawiali tem spokojniej, że na miejsce jednego odprawionego, stawało dwu przynajmniej nowych.

Starościanka w aspirantach przebierała niby w ulęgałkach. I stało się z nią tak, jak ze smakoszem, któremu stół samemi wyszukanemi zastawiają potrawami. Smakoszowi takiemu, jak wiadomo, potrzeba w końcu zaostrzać smak bodaj asafetydą. To samo staje się i z pijakiem wybrednym: zaczyna od fine-szampanów, lacrima-christi, szartrezy, kończy na prostej siwusze. Smak tępieje w jadle i w napojach, w skutek zbytku w takowych — tępieje, psuje się i dochodzi do tego rezultatu, że wymaga zgnilizn cuchnących i szczypiących. Wybór ludzi na przyjaciół, na kochanków, na małżonków, powoduje się także smakiem *sui generis*. I w tym względzie zbytek fatalne często sprowadza rezultaty.

Starościankę otaczał zbytek, pod względem aspirantów o jej cudną rączkę.

Przebierała i odpalała jednego po drugim łowczyców, starościców, chorążyców, sędziców, etc. etc.

I czekała.

Aż zawitał mąż jeden szeroki w plecach i ogromny w wąsach.

Aż zawitał mąż drugi, szczupły w plecach i hydki na twarzy.

Mąż wąsaty i mąż hydki odznaczali się tem, że nie należeli do spospoliciałych łowczyców, starościców, sędziców etc.

Jeden się mienił hetmanem i drugi hetmanem.

Jeden mówił głośno, chrząhał hucznie, używał często klątw, był wielce miniasty, odwoływał się do stosunków zażyłości z Maciejem Korwinem, ze Stefanem-wodą, z Tekielim i Zapolami i posiadał tę pewność siebie, którą człowiekowi najgłupszemu nadaje trzos pełny.

Drugi dziwnie był cichy i skromny, ale że, przestępując w charakterze cudzoziemca próg zamkowy, musiał przedstawić kwalifikacyje swoje, więc się wykazał stosunkami bezpośredniemi ze Sforcami, z Medyceuszami, z Borgijami, a szczególnie z Ojcem świętym.

Jeden i drugi przeto przedstawili się, jako mężowie znakomici, posiadający za sobą przeszłość pełną i przed sobą przyszłość świetną. To ich podobnemi czyniło; zresztą zaś we wszystkiem innem byli kontrastem zupełnym: ten pokaźny, ow widny zaledwie, ten głośny ów cichy, ten zuchwały, ów skromny.

Przybyli na zamek razem, nie znali się jednak przedtem.

Przybyli, i od razu na jednym i tym samym zeszli się gruncie, na gruncie, którym było zapatrzenie się w starościankę, niby w tęczę, niby w obraz cudowny.

Wielki oczy zawracał i brwi marszczył.

Mały mrużył powieki i wzdychał.

Obydwa pokochali cudną dziewczynę.

Pokochali ją tą żądzą, jaką w ludziach łakomych obudza widok skarbu.

Pokochali ją tem pragnieniem, od którego ludzie usychają.

Bawili na za zamku tydzień i drugi i trzeci, błądząc jako dwa cienie za starościanką, która, zdawało się, nie zważała na nich wcale, jakby ani dostrzegała tych atencyi, z jakiemi oni przed nią stawali. O!... wiedziała ona doskonale — filutka. Wiedziała, że ci dwaj mężowie, zaufańce potentatów, są to dwaj ludzie, gotowi w niewolę się jej zaprzedać.

Wiedziała to i ona sama i wszyscy, co ją otaczali, nie wyjmując starosty i starościny:

Starosta też, wezwał razu pewnego córkę na rozmowę w obecności matki i tak do niej przemówił:

— Nietajnemi są mi zamiary dwu cudzoziemców, co na zamku naszym goszczą... zamiary te mają ciebie na względzie...

— Czy powiedział co wam ojcze który?...— podchwyciła starościanka.

— Nie powiadał mi ani jeden, ani drugi, ale ja mam oczy do patrzenia i uszy do słuchania i, zaprawdę mówię ci: strzeż ty się ich...

— W jakim względzie?...

— We względzie dawania mowom ich posłuchu...

— Czemu to?... — zapytała dziewczyna naiwnie.

— Oto temu, że ani oni dla ciebie, ani ty dla nich...

— Hm... — mruknęła starościanka, i uśmiechnęła się filuternie,

— Są to ludzie niebezpieczni...

Starościanka znów się uśmiechnęła.

— Brat mój, a twój stryj, którego o przybyciu ich uwiadomiłem, pisze mi właśnie, ażebyśmy się, co do nich, na baczności mieli albowiem są to *magnos łotros*, dla których świętego nie masz nic...

— Rycerze... — wtrąciła starościanka.

— *Tanquam bestias drapieżnas*... pisze mi brat a twój stryj... — ciągnął dalej starosta. — Należy z nimi obchodzić się ostrożnie, jak z drapieżnikami, nie dawać im powodu i, gdy się oddalą nareszcie, dom po nich wykadzić...

— A jeżeliby który... a jeżeliby... — zaczęła dziewczyna i wyrazów, które jej na języku wisiały, wykrztusić nie mogła...

Starosta jednak wiedział, co córka na myśli miała: Zawołał więc z naciskiem:

— A! włosy mi pierwej, na dłoni porosną!

— Starościanka chrząknęła i uśmiechnęła się.

Starościna, rozmowie tej obecna, brała w niej udział milczeniem wymownem, z którego jednak domyślić się trudnoby było czy i o ile podziela małżonka zdanie. Odezwała się dopiero po odejściu starosty.

— Grzeczni kawalerowie, ani słowa, ale... niebezpieczni, o! niebezpieczni...

(Starościna mówiła „nie*przez*pieczni," dziś atoli wyraz ten nie używa się w języku piśmiennym.)

— Niebezpieczni!... — odparła starościanka — jak dla kogo...

— Jak to, jak dla kogo?... — zapytała matka.

— Dla stryjka może, nie mówię... Stryjek zapewne ma coś tam do nich na ostrzu miecza... Ale co innego sprawy rycerskie, a co innego niewieście...

— Jak to, jak?... — zapytała starościna powtórnie.

— A cóż w nich niebezpiecznego dla mnie?... czy to ja z niemi mieczem się ścinać, albo na kopije gonić będę?... Ot!...

Starościna ramionami ścisnęła.

Starościanka usteczka skrzywiła, rączką machnęła i odeszła do okna, które na podwórzec zamkowy wychodziło.

Na podwórcu rycerze na koniach harcowali.

Harcowali, w koło jeździli, panoszyli się i wciąż to ku krużgankom, to ku oknom zamkowym spoglądali, azali nie ukaże się oblicze starościanki.

Ukazała się nakoniec, i wnet rumak pod jeźdzcem każdym — a było ich ze dwunastu, łowczyców, starościców, etc. z dwoma cu-

dzoziemcami włącznie — jakby odczuwając na sobie wpływ oczu ognistych, drgnął, poskoczył, uszami zastrzygł i w susach sadził. Rozkosz była patrzeć. Miecze szczękały, ziemia dudniła, proporce na kopijach burczały, pióra na hełmach z wiatrem się chyliły. Rycerze byli w pół-uzbrojeniu: na lewych ramionach tarcze lekkie, na piersiach kirysy, na głowach hełmy podniesione. Gdy się starościanka ukazała, harce zmieniły się w gonitwy: zdejmowali pierścienie, ścinali łby drewniane, przesadzali przez baryjerę, popisywali się ze szczęściem różnem, które jednego tylko nie odstępowało, a tym jednym był hydki przybysz. Ten jeden tylko nie chybił ani razu. Po nim szedł mąż wąsaty, po tym następowali rycerze domorośli.

Uśmiechy starościanki spływały na przybysza z italskich krain.

— He!... — krzyknął chrapliwie wąsacz, konia pod sobą osadzając. — Sprobujmy się inaczej!...

To mówiąc, skłonił się ręką ku italczykowi, posyłając mu w ten sposób wyzwanie turniejowe.

Ten słowa nie rzekł, uśmiechnął się jeno i na skłonienie ręką, odpowiedziawszy skłonienem głową, odjechał w przeciwną podwórca stronę.

Pomiędzy łowczycami znalazł się wnet jeden, co funkcyją herolda wziął na siebie. Uderzył w róg raz i drugi. Za trzecim razem, przeciwnicy z miejsca kopnęli się ku sobie, w siodłach się naprzód nieco pochylając i kopije w toku składając. Kurzawa wzbiła się z pod kopyt końskich, zjechali się, stal o stal zgrzytnęła, otarli się goleniami jeden o drugiego i przenieśli się w dwie przeciwne strony. Starcie się to, miało na celu wysadzenie z siodła, a przynajmniej ze strzemion. Nie dopięło celu jednakże. Kopije jednak w drzazgi poszły.

— A no... jeszcze! — krzyknął wąsacz.

Że innego już oręża przy sobie nie mieli, jak tylko miecze, więc dobyli takowe i tarcze z ramion ku łokciom spuścili. Znów trąbka znak dała, znów się zjechali, ale nie od razu do ścinania się przystąpili. Pozdrowili najprzód dziewicę w oknie na łokciu wspartą, pozdrowili następnie siebie, krążyli czas niejaki, utrzymując ru-

maki w podskokach i nagle z wzniesionem w górę żelazem, jeden na drugiego natarli.

Na formalnym turnieju nie dopuszczonoby do niczego podobnego. Szło bowiem na ostre, a jedyny środek ostrożności polegał na tem, że rycerze polacy stanęli z boku jako świadkowie, w pogotowiu rzucić się pomiędzy walczących w charakterze rozjemczym, gdyby się tego potrzeba okazała.

Natarli więc na siebie i odbyli formalny pojedynek konno. Miecze szczękały, zbroje chrzęst wydawały; konie cuglami stosownie zrywane, to przysiadały na nogach zadnich, to się przedniemi wspinały. Ciosy gęsto i szybko jedne po drugich następowały; zapaśnicy rozjeżdżali się razy parę, aż się w ostatku zwarli i w zwarciu tem czuć się dało coś takiego, że świadkowie i widzowie oddech w sobie niejako zaparli, oczekując na wypadek. Starosta z krużganka patrzał w osłupieniu, starościna dłonie załamała, starościanka rękę jedną podniosła, usta się jej rozchyliły, oczy dziwnym jaśniały blaskiem — oczekiwała.

Ostatnie zwarcie się, jak na ten rodzaj walki, trwało bardzo długo. Wąsaczowi oczy krwią nabiegły, policzki nabrzmiały, sapał i cięcia zadawał. wzniósł sie w końcu na strzemionach, ramię z mieczem do góry podniósł, spuścił, zdawało się że przeciwnika na wpół rozpłata; ten jednak cios ów straszny zręcznie na miecz swój przyjął i rozległ się dźwięk szklanny. Swiądkowie i widzowie krzyknęli z podziwu. Stała się rzecz niesłychana: obabwa miecze prysnęły. Obadwaj przeciwnicy pozostali z rękojeściami w garściach.

Nie pozostawało im nic innego, jak zaniechać walki.

Z koni pozsiadali. Rycerz wąsaty wypił piwa konew całą, spluwał i klął po węgiersku, po wołosku i po turecku. Rycerz skromny ochłodził się wodą, odetchnął głęboko razy kilka, obtarł czoło ze znoju i milczał.

Współczucie wszystkich otoczyło tego ostatniego, pomimo że oblicze jego wstręt budziło. Okazał jednak wartość, która w czasach owych ceniła się wysoko.

— W mizernem ciele wielka dusza... — powtarzano.

— Co za dusza!.. co za zręczność!... co za spokój!.. co za krew zimną!...

Rozhowory o pojedynku pociągnęły się w nieskończoność. Rozprawiano i zastanawiano się nad cięciem każdem, nad każdym ciała i ręki ruchem, nad każdym koni zwrotem. Przyznawano doskonałość wąsaczowi, lecz palmę pierwszeństwa przypisywano temu drugiemu.

— Trafiła kosa na kamień...

Kamień atoli, czyli ów rycerz postaci mizernej, opuścił zamek nazajutrz po dniu, co go tak wsławił. Wyniósł się równo z dnia świtaniem; dokąd się udał, nikt nie wiedział, bo się nikomu nie opowiadał. Zadziwiło to wszystkich, starościankę zwłaszcza, która w oczach jego czytała wyznanie miłości bezgranicznej. Mając często z wyznaniami tego rodzaju do czynienia, znała porządek cały. Spodziewała się słów płomiennych, zaklęć i przysiąg, i wierzyć nie chciała, gdy jej oznajmiono, że rycerz odjechał.

— Być nie może!... — zawołała.

Przekonała się jednak, że tak było w samej istocie.

— A ten drugi?... z wąsami?...

— Ten został...

Odetchnęła, i w chwilę później w roztargnieniu słuchała następujących słów starosty:

— Bogu podziękować, żeśmy się pozbyli jednego.., Żebyż to jeszcze i ten drugi poszedł za tamtym!...

Nic na to nie rzekła, ani się skrzywiła nawet. Nie tak za to obojętną okazała się na słowa rycerza, który ją prosił o chwilkę rozmowy.

— Mów, waszmość...

— Nie przy ludziach... we cztery oczy... — odrzekł tenże błagającym głosem.

— Cóż mi powiedzieć masz?...

— Ach!...

Westchnął wąsacz, i oczy zawrócił, ona zaś mu na to:

— Cóż robić!... U nas tu tak trudno, że przez dzień cały nie znaleźć, ani miejsca, ani momentu do rozmowy we cztery oczy...

— Więc chyba w nocy... — odezwał się rycerz, głosem od wzruszenia drżącym. — Chyba w nocy... gdy się wszyscy uśpią...

— Chyba w nocy... — odrzekła starościanka obojętnie.

— O której porze?... gdzie?...

— Nim kur zapieje... pod bukiem...

W nocy więc, kiedy księżyc srebrzył drzewa ogrodu zamkowego, kiedy gwiazdy pełgały, a powietrze oddychało balsamiczną wonią macierzanek i tymianków, ona pod bukiem siedziała w bieli na darniowem siedzeniu, on klęczał przed nią, bił się w piersi i przysięgi składał:

— Bodajby mię piorun zabił, bodajby kości moich ziemia nie przyjęła, bodajby mi nogi pokurczyło, bodajby mi oczy powyłaziły, bodajby mi język usechł... o! na krzyż ten święty — palec na krzyż założył — na koście matki co w grobie, na Boga co w niebie, na wszystkich świętych i na patrona mojego, przysięgam tobie na kolanach, żeś mi milsza nad wszystko na świecie, nad konia mego, nad psa, nad sokoła, nad giermka, nad ostrogi moje rycerskie... Czy chcesz przysiąg straszniejszych?...

Starościanka chrząknęła.

— Powiedz!... skiń!... uderzę czołem przed tobą i ziemię gryźć będę...

— Któż zaręczy że przysiąg nie zapomnisz?... — zapytała.

— Zaklnę się piekłem i niebem, ogniem i wodą, że nie zapomnę... o! nie zapomnę!...

Dłonie i oczy podniósł do góry.

Będziesz dla mnie panią, królową, świętą... będę niewolnikiem twoim... Dla ciebie obrożę na szyję wezmę, grody poburzę, na gruzach tron złoty postawię i przed tron tysiące ręką moją pomordowanych rzucę... Ohrr!...

Zaryczał i dłoniami trząsł.

— Tron... — szepnęła dziewczyna, jakby przez sen mówiła i głos podnosząc, rzekła: — Czy to się tron tak łatwo dostaje!...

— Nie łatwo, ale ja... silny jestem jak niedźwiedź, odważny jak lew...

— Czy to silnych i odważnych na świecie mało?...

— Mało takich jak ja...

— A tenże rycerz italczyk?...

— Byłbym go rozpłatał, gdyby mi ten miecz przeklęty w ręku nie pękł...

— A gdyby był nie pękł i jemu?...

— A... hrm... — chrząknął rycerz, — No... ale... Ale... powiedz mi... rozkaż, czego odemnie chcesz...

— Chcę... — odparła starościanka, cedząc wyrazy, — ażebyś mi waszmość o tronach opowiadał... Boć wiem ja, trony są różne... polski, czeski, węgierski, litewski, moskiewski, siedmiogrodzki...

— Wołoski... — podchwycił rycerz.

— I wołoski...

— Na którym byś miała, sług mnogość, klejnotów bez miary, jedwabne szaty, tyftykowe zasłony, drogie futra, miękką pościel, złote naczynia, wytworne jadło, słodkie wina, konie z czubami, pozłociste rydwany...

— Na którym bym zasiąść mogła?... — wtrąciła od niechcenia niby.

— Gdybyś jeno zechciała... gdybyś mnie się oddała... Wojewoda stary, dziś jutro do trumny się położy, a gdyby z tem się marudził, to... — tu dłonią machnął. — Po nim zostaje błazen jednooki, pół-człowiek, poł-gadzina, którego zdmuchnąć można... Tron wołoski pozostaje do wzięcia, i ja go — dokończył z mocą, znamionującą wolę silną — wezmę dla ciebie...

Siarościanka westchnęła.

— Rzeknij słówko jedno... pokłonię się staroście i...

— Oh!... nie!... — zawołała dziewczyna, dłoń wyciągając.

— Odrzucasz więc mnie?...

— Nie...

— No?... — zapytał, nadając zapytaniu wyraz podziwu.

— Nie kłaniaj się ani ojcu, ani matce...

— A jakże?...

Starościanka na zapytanie to nie od razu odpowiedziała. Chwilę milczała i, oddychając z głębi piersi, jak czynią ludzie obawą przejęci, zaczęła:

— Pojedź do Turki i tam... — znów odetchnęła — niech czeka ksiądz ze stułą... Tam ja... hm... przyjadę... Weźmiemy szlub... z wieczora i na noc całą... hm...

— *Terem te tem!... terem tiszeń!... Azania!...* — wykrzykiwać począł rycerz w radości niepowściągnionej. — Hu ha!... Hu hi!...

— Cicho... — syknęła dziewczyna — Ludzi w zamku pobudzisz.

Rycerz się z klęczek zerwał. Starościanka odskoczyła i dobrze zrobiła, byłby ją bowiem w objęcia pochwycił i, kto wie, z ukontentowania wielkiego żebra połamał, lub udusił może.

W dni kilka później, na zamku wielki był hałas, tartas i rwetes. Starosta dłonie załamywał, starościna włosy rwała, służba i goście wyglądali jak powarzeni, echa górskie powtarzały wyraz jeden:

— Maryno!... Maryno!... Maryno!...

Dnia tego właśnie wjeżdżał do zamku rycerz postaci mizernej, w otoczeniu orszaku nielicznego, ale dobranego. Konie dzielne, rzędy bogate, chłopy pokaźne. On wjeżdżał, jeden z łowczyców wyjeżdżał. Spotkali się w bramie.

— Nie ma już po co!... — zawołał ten ostatni. — Starościankę porwał Lajosz Kierdeni!...

Rycerz osłupiał. Po chwili konia na miejscu zwrócił i do ludzi z orszaku przemówił:

— Idźcie na cztery wiatry!... mnie samego zostawcie...

Sam konia ostrogami spiął i, otoczywszy się kurzu tumanem, w tumanie tym zdziwionemu orszakowi z oczu znikł.

---

## XI.

# ZBRODNIA.

Pieśń gminna opowiada o strasznej zbrodni: „Pani zabiła pana," przemilcza jednak o tej, której teatrem był zamek nad Sanem, sprawcą— pielgrzym.

Pielgrzym ów a rycerz italczyk, była to jedna i taż sama osobistość, w dwu postaciach.

Człowiek jest istotą, różniącą się od zwierząt wielu rzeczami, a między innemi i tem, że przybierać może na siebie dowolnie postacie rozmaite. Jestto właściwość człowiecza specyjalna. Aktorowie doprowadzają ją do wysokiego doskonałości stopnia. Wszelako i nieaktorowie aktorami bywają, nie na deskach scenicznych, ale w życiu całem, ulegając w tym względzie dwu pobudkom: potrzebie i zamiłowaniu. Potrzeba i zamiłowanie w połączeniu ze zdolnością, wytwarzają doskonałość.

Rycerz-pielgrzym był doskonałością w swoim rodzaju. Posiadał przeto i zamiłowanie, o którem nie ma co mówić, albowiem *de gustibus* etc. i potrzebę, nad którą zastanowić się wypada, chociażby dla tego tylko, ażeby skutek usprawiedliwić przyczyną.

Nic się nie dzieje bez przyczyny.

Przyczyna zbrodni wszelkich tkwi w potrzebach, rzeczywistych lub urojonych, prostych lub kombinowanych.

Rycerz-pielgrzym pokochał starościankę całą potęgą namiętności dzikiej, a długo tłumionej. Nie znamy życia jego poprzedniego, domyślamy się jeno, że było ono życiem awanturnika, przebiegającego od przygody do przygody, jak ptak przeskakuje z prątka na prątek. Człowiek atoli nie jest ptakiem i pomiędzy ludźmi zdarzają się tacy, którym w pochodzie życiowym towarzyszy refleksyja. Zastanawiają się, myślą, obrachowują.

W rachunkach o nic łatwiej, jak o omyłkę.

Pokochał tedy rycerz-pielgrzym, a pokochawszy, zastanawiał się, myślał, obrachowywał.

Zbadał starościankę na wylot, i do tego doszedł wniosku, iż wziąć ją można, ale na lep odpowiedni, którym nie jest ani piękna postawa, ani czułe serce, ani wysoki rozum, ani żadna z zalet, zawracających głowy dziewczętom pospolitym, lecz jedynie taka rękojmia, któraby stanowiła poręczenie we względzie próżności. Nietyle małżonka starościanka na widoku miała, ile stanowisko w świecie. Słabość tę rycerz poznał, i poznał, iżby ją wyzyskać można, do czego, *conditia sine qua non*, były i być musiały pieniądze. Rycerz nie jedną zapewne omyłkę w życiu swojem popełnił, albowiem pieniędzy nie posiadał. Była prezencyja, była sława, było męztwo, był szyk — pieniędzy nie było.

Znajdowały się one — jak fama niosła — u pana Brudzińskiego, ale nie w trzosie rycerza mizernej postaci.

Brudziński, pod strażą psów i własną, przechowywał skarb w zamku swoim.

Kombinacyja przeto, mająca na celu zapanowanie nad ambicyją starościanki, nastręczała się sama przez się. Była ona prosta. Rzecz cała zależała od rekonesansu, dokonanego z tą ścisłością, do jakiej zdolnym jest jeno człowiek żywo a osobiście zainteresowany.— Pielgrzym, w którego przeistoczył się rycerz, dokonał rekonesansu takiego; dzieło zaś samo spełnił nie pielgrzym, ani rycerz, ale prosty zbój, który wkradł się na zamek po północy, odmawiając *pater noster* otworzył bramę i wpuścił sześciu opryszków, uzbrojonych w buławy, noże i topory. Sam on nie miał przy sobie oręża innego, tylko krót-

ki a szeroki sztylet, zawieszony w pochwie na pasie skórzanym. W ręku niósł latarenkę krytą. Postępowali gęsiego, jeden za drugim; szli cicho nogami w płótno poobwijanemi; w ciemności nocnej wyglądali jak szereg duchów mknący po powietrzu. Ex-pielgrzym poprzedzał, zaplecznik jego trzymał się go za pas, tego następny, następnego trzeci i tak do końca. Na podwórzu zamkowem nie zamienili ze sobą ani jednego słówka. Udali się najprzód do zabudowań stajennych, dalej do izby czeladnej, załatwili się tu i tam, tem rychlej i łatwiej, ile że pan Wojciech przez oszczędność, służby licznej, którą „darmozjadami" nazywał, nie trzymał. Chłopcy trzej starsi sypiali letnią porą pod lamusem. Opryszki znaleźli ich tam i zajrzeli następnie do izby gościnnej. Ta była pustą. Tu odpoczęli nieco i po chwili, nie przeze drzwi, które z wewnątrz były zaryglowane, ale przez otwór w poddaszu, dostali się do domu, i po ciemku przeszli przez pokojów parę.

Miało się na świtanie, kiedy pana Wojciecha obudziło ukłucie. Zerwał się, blask mu w oczy uderzył, krzyknął:

— Wszelki duch!...

Przed nim stała postać, z twarzą zasłoniętą płatą czarną, z której przez dwie dziury przeglądały dwie źrenice, szklanne niby.

Wnet się domyślił, że ma przed sobą amatora własności cudzej. Nie była to dla niego pierwszyna. Nie zmięszał się, nie zląkł, ani zdziwił — nie tracąc chwilki podał się ciałem naprzód w celu ujęcia przeciwnika w ramiona, rzucił się, stanął i przerażenie przejęło go nawskróś. Ramię prawe zwisło mu bezwładnie.

— Jezus Maryja!... — krzyknął

— Nie wrzeszcz, jak opętany... — rzekł człek zamaskowany.

Pan Wojciech osunął się w pościel; lecz, jak prędko się osunął, tak prędzej jeszcze wyskoczył, wysadzony sensacyją taką, jakby wsiadał do kąpieli ciepłej. Łoże całe zalewała krew, tryskająca z pani Wojciechowej, która się ani ruszała.

— Matko Boża!...

— Gdzie pieniądze?... — zapytało razem głosów kilka.

— Pan Wojciech, po tem dopiero zapytaniu, spostrzegł, że izbę zapełnia ludzi więcej niż jeden, trzymających topory i krwią obryzganych.

— Buszowali już!... — zawołał. — Sługi moje!.. dzieci moje!...

— Gdzie pieniądze?... — zabrzmiało zapytanie powtórnie.

Opanowała go wściekłość — wściekłość dzika zranionego, obskoczonego przez psów zgraję.. Wytężył muskuły ramienne, uczuł że włada ręką lewą, podniósł ją z szybkością błyskawicy, objął nią człowieka zamaskowanego i do siebie przycisnął.

— Och!... — stęknął uścisnięty głucho.

W chwili tej na głowę pana Wojciecha spadło kilka uderzeń obucha. Pan Wojciech jęknął, w oczach mu się zaćmiło, zachwiał się i runął.

Jeden z opryszków zamachnął się na leżącego.

— Nie bij go!... — zawołał drugi.

— Czemu?...

— Żeby nam śpiewał...

— Tak go zdusił, że mu już ślipie na wierzch wylazły... — rzekł jeden, na zamaskowanego oczami wskazując.

— Już nie zdusi więcej, a jak nie będzie komu śpiewać, to tak się może trafić, że z próżnemi odejdziem rękami...

— Nie troszcz się o to... — odezwał się jeden. — Sąć tam pisklęta jakieś, to wyśpiewają... Pal go, aby nie ożył...

Kilka nowych nastąpiło uderzeń, czerep pękł i mózg bryznął.

Zamaskowany, który wodza szajki funkcyją pełnił, wyciągnął rękę, jakby na danie znaku by zaniechać dobijania, ale było już poniewczasie. Spóźnił się z powodu, że potrzebował czasu chwilkę, ażeby przyjść do siebie po ściśnieniu pana Wojciecha. Odchrząknął więc jeno, jak się chrząka po zadławieniu i ręką machnął.

W chwili tej pojawiła się na progu postać w bieli — pojawiła się, krzyknęła i w tejże chwili przez dwu opryszków za ręce ujętą została.

— Ot i pisklica... — odezwał się jeden — niech nam śpiewa...

Panna Salomea — ona to bowiem była — krzyknęła powtórnie. Akcent okrzyków jej wyrażał przerażenie, ale nic więcej, nie wiedziała bowiem o ogromie nieszczęścia, jakie na nią spadło. Wywołana z łóżka odgłosem szamotania, z izby rodzicielskiej dochodzącego, wyskoczyła, pobiegła, ujrzała oblicza obce, przestraszyła się, ale nie widziała, czasu widzieć nie miała, ani matki zarzniętej, ani ojca za-

mordowanego. Szarpnęła się w tył, nie zdołała atoli wydrzeć się z rąk, co ją trzymały.

Człek zamaskowany wyszedł z sypialnej izby państwa Wojciechowstwa i udał się spokojnie do izby, w której, pod dozorem siostry najstarszej, sypiały wszystkie dzieci młodsze. Było tego ośmioro, ona dziewiąta. Za nim poszli opryszkowie wszyscy. Krzyki siostry i obecność kilku ludzi, którzy nie mając już powodu cicho się zachowywać, mówili głośno, rozbudziły z dzieci niektóre. Z dziewcząt jedna usiadła na pościeli i przecierała oczy przerażone blaskiem latarki.

— Gdzie tata pieniądze trzyma? ...— zapytał jeden z opryszków, podnosząc obuch skrwawiony.

Na zapytanie to odpowiedziała cisza. Dzieci szeroko otworzonemi oczami na zbójców patrzyły.

— Gdzie pieniądze?...

Przewódzca skinieniem ręki nakazał milczenie podwładnym, i sam głos zabrał.

— Odzywam się do was po dobremu... Nie zrobimy wam nic, jeżeli powiecie gdzie pieniądze.

Dzieci, zdaje się, nie rozumiały żądania.

— Gdzie pieniądze?... zapytał z groźby naciskiem.

Milczenie było odpowiedzią; panna Salomea łkać poczęła.

— Puście ją!..—dał opryszkom rozkaz i wnet powtórzył: Gdzie pieniądze?...

Łkaniu siostry starszej zawtórowały dzieci młodsze, a niektóre z nich wołać zaczęły:

— Tatu!.. mamo!..

— Powstał płacz.

— A no!.. a ci — wołać począł z opryszków jeden, jak się woła na szczenięta. Oto mi muzyka ale!..... A cichoż no!..

Dzieci ojca i matki wzywały.

— Dobrym sposobem nic nie wskóramy... Trzeba tu się wziąść do skóry odezwał się inny.

— Nie ma czasu do zabawy...— domówił jeszcze inny.

— A no!.. dał znak przywódzca.

Rozpoczęła się scena okropna, straszliwa, przeraźliwa, dająca miarę wysokości, do jakiej zbrodnia dojść może. Salka, niby kwoka broniąca

kurczęta przed jastrzębiem, zgarnęła rodzeństwo za sobą i w obronie onego stanęła.

— Precz! krzyknęła— precz! reta!.! o reta! Niech-no jeno jegomość!..

Biedactwo— na ojca jeszcze liczyła.

— Tatu!.. a przybywajcie no!.. Ludzie, czy się Boga nie boicie!.. Boże!...O!...

Okrzyki ostatnie towarzyszyły temu, że opryszkowie z kupy dziatwy wyciągnęli młodszą panny Salomei siostrę, dwunastoletnią dziewczynę i. podczas kiedy dwu przytrzymywało pannę Salomeę, dwaj inni przysposobili Waleryją do zarznięcia. Jeden wziął ją na ręce, drugi brodę jej do góry podnosząc, nóż do gardła przyłożył.

— Gdzie pieniądze?..

— Nie wiem!... jak mi Bóg miły, nie wiem!..— wołało dziewcze. Salko! ratuj!

— Puście ją!— wołała panna Salomea.

Zapytania zbójów i odpowiedzi dziewcząt powtórzyły się razy kilka, aż koniec im położył nóż. Na znak przez zamaskowanego dany, opryszek ręką pociągnął, krew dziewczęcia bryznęła, głowa zwisła, ten co ją trzymał, na ziemię trupa rzucił.

Panna Salomea osłupiała, zdumieniem i zgrozą przejęta, wnet jednak oprzytomniała, gdy zbóje po drugie sięgnęli dziecko.

— Na Boga! ludzie!.. litości!.. to dzieci!..

Ręce rozstawiała, sobą osłaniała, obronić nie zdołała chłopca ośmioletniego.

— Pieniądze?

— U taty! u taty— wołały dzieci wszystkie, co wyraz „tata" wymawiać umiały.

— Gdzie stoi ta skrzynia, w której ojciec pieniądze składa?..

— U taty!.. u taty!..

Chłopak wił się i wrzaskiem dom napełniał, dla tego też prędzej skończył aniżeli siostra. Jeden go zarznął, drugi na podłogę cisnął i po nową ofiarę siągnął.

— Czy się kary bożej nie boicię, ludzie!..— przemawiać poczęła panna Salomea. Ludzie, zlitujcie się... Ludzie, dzieci nie gubcie!.

co one wam winne?... co one wiedzą?.. co one wiedzieć mogą?.. Ludzie, zlitujcie się!

Na kolana się osunęła, dłonie złożyła, prosiła, błagała, chcąc wybłagać życie drugiej siostrzyczce, która nie miała więcej jak lat pięć.

— Gdzie pieniądze?...—powtarzali opryszkowie, niezmiennie dodając do zapytań śmiechy głośne, uwagi i spostrzeżenia obrażające wstydliwość dziewiczą.

Panna Salomea prosiła, błagała, zaklinała, Boga na pomoc wzywała, wreszcie krzyknęła przeraźliwie i ręce wyciągnęła. Powodem krzyku tego było to, że jeden ze zbójców wyjął z kołyski dziecinę co jeszcze przy piersi była i, za nóżki ją ująwszy, do góry podniósł. I chwiał nią.

Ręce wyciągnęła...

— Ludzie! ludzie!

Najmłodsze to, a zatem najukochańsze z jej rodzeństwa było.

— Ludzie!— zaklinała — ludzie!.,

— Cha cha cha...— zaśmiał się jeden i drugi. Jęczy niby za własnem...

— Ludzie!.,— powtarzała głosem, w który usiłowała wlać akcent refleksyi. Człek zamaskowany wpatrywał się w nią z wyrazem dzikiej pożądliwości w oczach.

— Gdzie pieniądze?..

— U tata... przy tacie... w trzosie... Och!...

Wydała okrzyk —jęk —jęk struny zerwanej, serca pękającego. Wydała jęk, oczy dłoniami zasłoniła i zemdlała. Opryszek zamachnął się dzieckiem i główkę mu o odzwierek roztrzaskał.

Panna Salomea nie widziała już nic więcej.

I my na tę dzikiego mordu scenę zasłonę rzucamy. To cośmy opowiedzieli, dostatecznem jest do scharakteryzowania człowieka, który temu przewodniczył. Straszny człowiek! Trzeba jednak przenieść się myślą w owe wieki, a straszliwość ta nie wyda się tak jaskrawą, jakby się dziś wydała. Trzysta lat, zaprowadziły zmiany ogromne. Dziś sumienie coś znaczy, sumienie, źródło i podstawa moralności, pod naciskiem którego złagodniały obyczaje. Dawniej sumienie zastępowała obawa, brana w znaczeniu jak najbardziej materyjalnem, obawa kary doczesnej lub wiecznej, stryczka albo piekła. Kto się

jej pozbył, temu nie pozostawało nic. Na odważnych nie było hamulca. Kto jeno wyzwał Boga do walki i za pierwsze przestępstwo którego ludzie nie dopatrzyli, nie ściągnął na siebie gromów niebieskich, ten brnął dalej a dalej, nie wzdragając się przed zbrodnią żadną. Postęp wiedzy ogólny, usuwając obawę, wydobywa na wierzch sumienie i nadaje mu znaczenie moderatora, widne zwłaszcza tam, gdzie okrucieństwo znajduje się niejako na swojem miejscu. Porównajmy jeno wojny dzisiejsze z dawniejszemi. Co za różnica! Wojny dawniejsze był to rodzaj lupanariów dla zwyciężców, upoważnionych do wszelakich gwałtów, na które się użalano, ale którym się nie dziwiono wcale. Były one w porządku rzeczy, w duchu czasu, następstwem nieodzownem usunięcia obawy, albo raczej, zawieszania takowej *ex officio* na czas mniej lub więcej ograniczony. A zdarzali się i tacy, co zawieszali ją, w odniesieniu do siebie, na zawsze, i rozpasywali się, i nie doznawali zbytecznych w duszy zgryzot. Wiek ów, ba nawet ów dziejowy moment, do którego się powieść nasza odnosi, dostarcza nam historycznych postaci liczbę niemałą, mogących się nadać do poparcia przykładami mnogiemi tego, cośmy o moralności powiedzieli.

Znajdowała się ona, dzięki powijakom, jakie rozum uciskały, w rozluzowaniu zupełnem.

Niech więc nas oburza zbrodnia w zamku nad Sanem dokonana, ale niech nas nie zadziwia.

Rozum wyzwolony, wyzwalając sumienie, do pomyślniejszych doprowadził i, da Bóg, do jeszcze pomyślniejszych w przyszłości doprowadzi rezultatów. Nim to jednak nastąpi, dużo jeszcze zapewne wody upłynie, boć i w naszych czasach rozum ma niemało do usunięcia przeszkód, ażeby sumienie, w całej onego czystości, na jaśnię wyprowadzić. To jednak już dobrze, że się stara o to. Przy schyłku wieku XV, ani o tem myślano.

Panna Salomea, ujrzawszy kwilącego najmłodszego swego braciszka, z rączkami wyciągniętemi, wymachniętego w powietrzu — ujrzawszy to, uczuła zimno śmiertelne, doznała ociemnienia i obezwładnienia, postradała świadomość i czucie — obumarła.

Z obumarcia tego przebudziła się na sposob senny. Przebudzała

się stopniowo, powoli; odzyskiwała przytomność umysłu i zdawało się jej, iż ją sny przez noc straszne trapiły. Na powiekach czuła jasność dzienną, a nie śmiała powiek otworzyć, sama nie wiedziała dlaczego. Czuła się na łóżku i to ją w tem utwierdzało przypuszczeniu, iż wszystkie te okropności, był to sen tylko. Ale:

— Ta jasność?... — zapytała siebie.

Nigdy jej dzień biały w pościeli nie zastawał. To ją zdziwiło. Poruszyła się i nagle oczy otworzyła, zerwała się, przybrała postawę skulonej na łóżku w pozycyi pół klęczącej, ręce wpół wyciągnęła, oblicze jej oblał wyraz zgrozy i przerażenia, oczy się zaokrągliły, usta otwarły, usiłowała krzyknąć i głosu z piersi wydobyć nie mogła.

Na pościeli obok niej leżał człowiek uśpiony, lat średnich, blady, spotniały, ruszający ustami i policzkami na sposób drgawki konwulsyjnej.

Wlepiła w śpiącego wzrok osłupiały.

Po chwili śpiący drgnął ciałem całem, zerwał się i usiadł, przecierając oczy, a raczej rozdzierając dłoniami powieki.

Ruch ten, jakby odepchnął ją. Rzuciła się w tył, z łoża wyskoczyła i uciekać poczęła.

Wypadła najprzód do izby przyległej, w której stół długi w pośrodku, ławy do koła i komin obszerny, świadczyły, że była to tak zwana „rycerska komnata,“ służąca, w czasach kiedy zamek pozostawał w rękach przodków pana Wojciecha, do przyjmowania i podejmowania gości. Uderzyły ją szczątki uczty na stole: mięsiwo wędzone, chleb, ser, dzbany i kufle powywracane, naczynia w nieładzie; za stołem zaś, jeden tylko biesiadnik siedzący, innych kilku na podłodze. Ten co siedział dziwnie wyglądał: brodą i łokciami o stół był oparty, twarz miał zczerniałą, oczyma otwartemi patrzał nieruchomie. Ci co leżeli, leżeli niby skamieniali — jednemu ręka sterczała do góry.

Panna Salomea rzuciła się w bok przerażona i przypadkiem czy też z umysłu, wbiegła do komory, która służyła za skład odzieży. Przypuszczamy umyślność z tego powodu, że widok ludzi obcych zniewolił ją spojrzeć na siebie. Spojrzała i zawstydziła się. Była w koszuli nocnej, poznaczonej piętnami krwawemi. Pospieszyła więc przyodziać się co rychlej i pospieszyć, bądź do rodziców, o których

losie nie wiedziała, bądź do czeladnej, w celu spotkania się z ludźmi swojemi, przygarnięcia się do takowych i rozpytania. Nie umiała bowiem jeszcze zdać sobie sprawy z zaszłych w nocy wypadków. Nie wierzyła wspomnieniom, które jej krwawe przed oczy stawiały obrazy. Miała to wszystko jeszcze za sen, nie wyjmując tego człowieka bladego, którego zbudziła, i tych ludzi nieruchomych, których przelotnie zoczyła. Ten człowiek blady trwożył ją bardziej, aniżeli ci sczerniali. W oczach jej stał; wydawało się jej, że idzie za nią; drzwi za sobą zatrzasnęła i spieszyła się z ubieraniem.

Podczas kiedy się ubierała, naszło na nią zdziwienie.

Zdziwiło ją najprzódto, że w komorze, w której panował porządek wzorowy, znalazła wszystko porozrzucane. Nieład był nie do opisania. Ubiory męzkie i niewieście, szaty droższe i suknie do użytku codziennego, odzież wierzchnia i bielizna, stanowiły kupy porozwlekane po wszystkich kątach.

— Co to się stało?...— zapytala, wydobywając części potrzebnego jej odzienia i wkładając takowe na siebie pośpiesznie.

Zdziwiła ją następnie cisza w zamku.

— Dzień biały... — rzekła — mój Boże!... mój Boże!...

Spieszyła się, chwytała co pod ręką znalazła, wdziewała swoje i matczyne, i kiedy już prawie była ubraną całkowicie, doznała nowego zdziwienia. Ciszę dotychczasową zmienił osobliwszy jakiś huk, z szumem i z trzaskiem połączony.

— Co to?... na Boga!... co to?..

Schwyciła okrycie jakieś i wyskoczyła do sieni.

Sień dym napełniał — dym, który ją dusił. Wybiegła na podwórze i, ubiegłszy kroków kilkanaście, odwróciła się.

Zamek ochwytywały płomienie.

— Gore!... — krzyknęła z siły całej,

Krzyku tego echo nawet nie powtórzyło, echa bowiem górskie zajęte były powtarzaniem huczenia ognia i łoskotu belek.

— Ratujcie!..

Kto miał ratować! Istotą ludzką była panna Salomea sama jedna; z istot zaś żyjących, jedne, jak bydło i konie, czekały na śmierć w płomieniach, drugie, jak psy i koty, uciekały z palącej się budowli. Pomimo to, dziewczyna w rozpaczy powtarzała:

— Ratujcie!... Boże!...

Nikt na ratunek nie śpieszył.

Ogień bezprzeszkodnie ciągnął dzieło zniszczenia, buchając przez okna i lufty i wysyłając pod pogodne, porankiem cudnym jaśniejące niebo, dymu kłęby i iskier zawieję.

Dziewczyna, wypotrzebowawszy niejako cały zapas głosu, jaki pierś jej mieściła w sobie, zamilkła w końcu. Od poranka do południa serce jej przebiegało ilość razy niezliczoną przez wszystkie stopnie rozpaczy, z dołu do góry i z góry w dół. Pękało; nie pękło— doszła w końcu do tego, że już tylko patrzeć mogła. Patrzała, jak się dach zawalił do środka, jak się mury rozpadały, jak płomień, wyszukując niejako pastwy, załatwiwszy się z głównym budynkiem, czepiał się przybudowań i przystawek oddalonych i pożerał wszystkie do koła spichrze, lamusy, serniki, chlewy i szopy. Nie ocalało nic, co się znajdowało w obrębie zamkowym. Wszystko z dymem poszło przed tem, nim się pojawiła pomoc pierwsza.

Około południa przybiegło juhasów kilku i wkroczyło na podwórzec, oglądając się za kimś z domowników. Zoczyli pannę Salomeę. Siedziała po lipą od dymu poczerniałą, głowę zwiesiła i w ziemię patrzała. Podeszli do niej nieśmiało i jeden z nich przemówił głosem zmiękczonym:

— Panno miłościwa...

— Ha?... — ocknęła się ze snu niby.

— Ta co to, oto?...

Panna Salomea spojrzała na pytającego okiem zdziwienia pełnem. Oczy jej były krwią zaszłe.

— Czyż ratować nie było komu?...

Twarz panny Salomei skrzywiła się uśmiechem gorzkim.

— Gdzież jegomość?...

— Gdzie?... — odparła zapytaniem.

— Jejmość?...

Westchnęła westchnieniem, które się ciągnęło długo i drżało.

— Panicze?... panienki?... czeladź?...

Na słowa te panna Salomea wstała i, zsuwając z głowy chustkę, którą przykryta była, poczęła się przypatrywać zgliszczom dymiącym, jakby wyglądała, ażali kto ztamtąd nie wyjdzie.

Snadź juhasy zrozumieli tę odpowiedź niemą. Spoglądali i oni na zgliszcza, spoglądali jeden na drugiego, ramionami ściskali, wreszcie półgłosem rozmowę ze sobą zawiązali.

— Ja dopiero, gdy słońce już wysoko było na niebie, ujrzałem dym... — odezwał się jeden.

— Ja dym widział od rana, alem myślał sobie, że to ognisko takie Szymko nałożył... — rzekł drugi.

— A i ja — odrzekł trzeci — dym od rana widziałem, alem spotkał na połoninie rycerza, co z zamku jechał i pytałem go, co to, a on ręką jeno machnął, jakby nic takiego nie zaszło...

Słowa Juhasa ostatniego zafrasowały pannę Salomeę. Zwróciła się do niego z zapytaniem:

— Rycerz z zamku?... przez połoninę?...

— Tą ścieżką, co prowadzi na węgierską stronę...

— Rycerz?... — powtórzyła.

— Blady jakiś i nikczemny sobie.

Zasłoniła oczy dłoniami i, głowę podnosząc, jęknęła westchnieniem.

Juhasy znów po sobie spoglądali w milczeniu. Po chwili jeden milczenie przerwał.

— Może wam, panno miłościwa, potrzeba czego?...

— Wody... ah! wody...

Poskoczyło dwu do studni i przynieśli wiadro pełne.

Dziewczyna piła, piła, piła.

A podczas kiedy ona piła, jeden wydostał z torby kawał spory chleba owsianego i, kiedy się od wiadra oderwała, podał jej takowy.

Pochwyciła i gryść poczęła.

Znów ją juhasy rozpytywali, lecz dopytać się niczego nie mogli. Bądź wcale nie odpowiadała, bądź też dawała odpowiedzi, które się do zapytań nie odnosiły. Pochodzili około zgorzeliska i odeszli, pozostawiając ją samą. Nie mogli dla niej o trzodach zapominać.

Panna Salomea spędziła na pogorzelisku dzień ten i noc pierwszą, dzień następny i noc następną, i tydzień, i miesiąc i miesięcy kilka, wciąż smutna, cicha i zadumana — zadumana w sposób taki, jakby zamiary jakieś w myśli ważyła. Raz jeden tylko oblicze jej rozjaśniło się niby. Ksiądz, który usiłował wyciągnąć ją ze zglisz-

czów i w tym celu przyjeżdżał kilkakrotnie to sam, to w towarzystwie dalekich jej krewnych, przyjechał razu pewnego z łowczycem. Na widok łowczyca podrosła niby, wyprostowała się, i oblała oblicze słodyczy wyrazem.

Łowczyc jednak, jak od zapowietrzonej, cofnął się od niej.

— Co, ojcze wielebny!... — zawołał, odciągając księdza za sobą — patrzcie jeno na nią!...

— Bory, łąki, mostowe, kopytkowe, czopowe... ona sama jedna dziedziczy... — reflektował proboszcz.

— Ale ona nie sama jedna!...

— Praaawda... — odrzekł ksiądz przeciągle, oczy szeroko otwierając i w ucho się jednym palcem drapiąc. — A jakie to waszmość masz oko!... jam tego nie zauważył...

— Ba!... — była łowczyca odpowiedź.

Odeszli.

Odwiedziny te głęboko poruszyły biedną niewiastę. Wkrótce potem została matką, przedtem zaś opuścili ją wszyscy, i łowczyc, i ksiądz proboszcz, i dalecy krewni, i ciekawi nawet, z wyjątkiem juhasów, którzy dla niej mieszkanie w rumowiskach urządzili, i donosili jej chleba owsianego, sera owczego, mleka, niekiedy koźlęciny, w stosownej zaś porze orzechów laskowych i soku brzozowego. Czuwali nad nią i opiekowali się nią. Dziecię rozpogodziło jej oblicze. Kiedy na świat przyszło i ona je do piersi przytuliła, zapłakała po raz pierwszy od tej strasznej chwili, po której wyryła się jej w pamięci i przystygła niejako do takowej jedna tylko twarz człowieka uśpionego. Twarz ta, blada, spotniała znikła, gdy dziecię niebieskiemi na nią spojrzało oczętami. Zapłakała.

W dni kilka później, płakała i uśmiechała się.

Z upływem czasu, coraz to mniej płakała, coraz to częściej się uśmiechała i ciała już nabierać poczynała, aż poranku pewnego wybiegła na podwórzec z roziskrzonemi rozpaczą najwyższą oczami. W ramionach ściskała trupek dziecięcia i powtarzała:

— On!... on!... znów go widzę!... znów mi w oczach stoi!... Boże!...

Zatrzymała się na chwilkę. Dłoń do czoła przycisnęła.

— Boże!... — zawołała raz jeszcze.

I pobiegła z trupkiem dziecka na ręku.

Juhasi nie zastali jej o południu dnia tego, nie zastali wieczorem. Zostawili dla niej chleb i mleko i przyszli nazajutrz — znów jej nie zastali.

Gdzieby się podziała?... — pytali jeden drugiego.

— Gdzieżby się podzieć miała!... — była odpowiedź, na którą wszyscy się zgodzili.

Odwiedzali więc codziennie, przez miesięcy kilka, zgliszcza zamkowe, poprawiając mieszkanko które urządzili, i zostawiając chleb i mleko; w końcu odwiedzać zaprzestali.

— Przepadła... — zadecydowali.

— I ojcowizny odbiegła...

To ostatnie jednak wydawało im się rzeczą podejrzaną, i z tego powodu przypuszczenia jakieś, jedne od drugich dziwniejsze, po głowach im się snuły. Na pewno nie wiedział nikt coby się z nią stać mogło.

## XII.

# NIE-RUBIKON.

---

Pochód wojska polskiego byłby pochodem iście tryumfalnym, gdyby w nim większy panował ład. Hufce, włokąc za sobą wozów mnóstwo ogromne, posuwały się z wielką powolnością. Upały też wielkie nie mało pośpiechowi przeszkadzały, zniewalając iść dzień jeden, dwa zaś lub trzy odpoczywać. W marszach zachowywano porządek jaki taki w chwili wyruszenia z miejsca. Chwila ta jednak prędko przemijała. Wnet następowało rozprzężenie. Towarzysze opuszczali szeregi, konie poruczali luzakom, sami zaś przesiadali się na wozy, i, uwolniwszy sie od hełmów a kirysów, rozpieczonych od słońca, szukali ochłody: ten w winie, ów w piwie, inny w tuleniu się do niewiasty nierzadko nie swojej, w cieniu, jakiego użyczały powtykane do koła wasągów gałęzie. W czasach onych parasoli nie znano: John Hanwey nie urodził się był jeszcze. Od deszczu ochronę dawały tułuby i wojłoki z kapturami, od słońca gałęzie w lesie wyłamywane, które, umajając pociągi, sprawiały efekt cale dobry. Zdawało się, jakby las był w pochodzie. Nie żenowano się bowiem w wyłamywaniu; wyrąbywano konary najbardziej rozłożyste i najmocniej liściami okryte — w ocienieniu usiadał rycerz, a obok niego amor skrzydlaty.

W cieniu drzew, w towarzystwie amorów, ciągnęli praojcowie nasi na podbicie Wschodu. Nieśli oręż i miłość.

Jedna tylko chorągiew porządku przestrzegała. Była to chorągiew pana Czuryły. Rotmistrz jechał przodem, pan Baltazar ze sztandarem w pochwie i z karbami za cholewą obok, a za niemi koni z górą sto rycerstwa w pełnem uzbrojeniu, podzielonego na dziesiątki, które tworzyły dwie półsetnie, a cztery ćwierćsetnie, trzydziestkami zwane. Każdy z tych poddziałów miał przełożonego swego. Dziesiątki zostawały pod wodzą dziesiątników, trzydziestki prowadzili namiestnicy, ci zaś stanowili cztery numery starszeństwa, wedle którego obejmowali dowództwo, na wypadek gdyby część jakaś chorągwi od całości oddzieloną została. Podziałów podobnych używali grecy i rzymianie w formacyi falang i legijonów. Były one wspólne wszystkim chorągwiom, kroczącym pod wodzą Jana Olbrachta, ale w jednej tylko spajała je karność, która chorągiew pana Czuryły zmieniała w rodzaj centaura, mającego sto głów, sto par ramion, czterysta nóg a jedną wolę. Pan Czuryło umiał karność utrzymać — jak? — sam on tego nie wiedział: przez to może, iż sam przykładem świecił — zbroi nie zdejmował, na wóz z konia nie przesiadał, amorów nie stroił, piwska nie żłopał i wedle koguta życie regulował.

Kapuzińskiego mu zabrali; skrzywił się i rzekł jeno:

— Przy osobie królewskiej wygodniej... no!... niech waszmości Pan Bóg sekunduje...

Nie lubił towarzyszów z chorągwi tracić inaczej, jak na placu bitwy.

Skrzywił się i pan Baltazar, a to z tej przyczyny, że go to przeniesienie w ambaras wprawiło we względzie karbów. Wiedział jak na karbach znaczyć, gdy człek zginie, gdy zachoruje i z szeregów wypada, gdy wreszcie stchórzy i ucieknie. Przeniesienie było dla niego wypadkiem całkowicie nowym.

— Lichoż jego wiel.. — zawołał. — Co ja na karbownicy z Kapuzińskim zrobię?... Ciąć go jak tchórza nie godzi się, zakarbować jak słabującego nie wypada... krzyżyk mu chyba postawię, jakby umarł...

Pan Czuryło głową trząsnął, na znak, że się nie zgadza na to.

— A cóż?... do boku królewskiego poszedł...

— Alećsię w grób nie położył... — była uwaga rotmistrza.

— W grób-ci to się nie położył, ale... przepadł...

— Przy boku królewskim?...

— Ano... nie zapadniaż to?... Ztamtąd człek, albo nie wraca, albo wraca nie człowiekiem...

— Czemże tedy?... — zapytał rotmistrz z pół-uśmiechem.

— Czubatym dudkiem, czupiradłem, ale człowiekiem... nigdy...

Rotmistrz brwiami ruszył.

— Zwłaszcza — dodał pan Baltazar — że ten Kapuziński od kapuzy dostał się pomiędzy karmazyny i, jeżeli mu karku nie skręcą, to nosowi jego niebezpieczeństwo wielkie grozi...

— Jakie?...

— Takie, że się w nim mucha zagnieździ, i będzie się roiła, jak pszczoła w ulu...

Rotmistrz mimowolnie spojrzał na nos pana Baltazara.

— Nie przymierzaj waszmość do mojego... odezwał się ten ostatni. — Na moim maliny dojrzewają, ale w nim nie znajdzie muchy na lekarstwo... nie bywałem przy boku królewskim...

Po chwili zapytał:

— Koniec końcem: cóż z nim zrobić na karbownicy?...

— Ponacinaj waszmość karby jego na ukos... — odrzekł rotmistrz.

— Będzie to cóś nowego... ha!... niech więc i tak będzie, kiedy inaczej nie można...

Wyjął laskę z karbami z za cholęwy, wyjął puginał z pochwy i, jadąc obok rotmistrza, odbywał operacyją odnotowania w kontroli chorągwianej, przeniesienia jednego z towarzyszy z szeregów do orszaku królewskiego. Gdy to skończył, dodał w formie uwagi:

— A teraz temu mizerakowi dorzucić potrzeba konia jednego...

Rotmistrz, nie rzekłszy na to nic, odezwał się po chwili:

— Ten Kołtun, jak się pokazuje, i bywały, i sposobów świadomy... Należałoby go na dziesiętnika posunąć, ażeby w razie czego, był z niego w pogotowiu namiestnik, któryby w potrzebach nie stukał palcem w głowę, gdy o głowy chodzi...

— Hm... — mruknął pan Baltazar — to jeno zawadza, że się wziął niewiedzieć zkąd...

— Toć on nie winien temu...

— Kto to wie!...

— Powiada, że go dzieckiem w świat wypchnięto...

— Alboż to się znało co powiadał...

— Masz waszeć niechęć do niego...

— Bo mu z oczu tak jakoś patrzy, jakby miał na sumieniu wszystkie grzechy główne, wszystkie powszednie i dużo innych jeszcze... Na sumieniu jego, widzi mi się, musi być sporo tego nakarbowano... Ale... Bóg z nim...

— Nie sądź człowieka z pozoru... wtrącił pan Czuryło.

— Ja też powiadam: Bóg z nim... Nie sądzę, a tylko... ot... zgadało się... Zresztą... co tam!... Dosyć okiem na niego rzucić, ażeby widzieć, że przyrósł do zbroi i do konia, a miecz mu do ręki przypada, jak księdzu kropidło... Nimby go się jednak na dziesiętnika posunęło, czyby też pierwej nie wypadało przekonać się o sercu, z jakiem staje w potrzebie?... Boć to trafiają się ludzie zającem podszyci...

— Zobaczymy... — odparł rotmistrz.

Dotknął konia lekko cuglem prawym, zjechał z drogi, na miejscu zwrócił, zatrzymał i powiódł okiem wzdłuż po kolumnie traktem ciągnącej. Konie koniom szły w tropy, łbami kiwały i od kurzawy, niby od tabaki, prychały. Każdy z towarzyszy znajdował się na miejscu swojem. Kolumnie tej w pochodzie do przyganienia nie było nic. Wprawne jednak rotmistrza oko zachmurzyło się trzykrotnie, dostrzegło bowiem trzech uchybień, trzech wykroczeń przeciwko porządkowi, wziętemu w ścisłem znaczeniu. Jeden z rycerzy odpiął podpinkę pod brodą i hełm sobie, snadź gwoli wentylacyi, na tył głowy zsunął; drugi siedział na koniu bokiem, dla tego zapewne że cóś mu tam dolegać musiało; trzeci kiwał się na siodle, znudziło mu się i drzemał biedaczysko. Gdy przeto pierwszy doszedł na wysokość punktu przez niego zajmowanego, zawołał gromko:

— Mości Gębaszewski, jeżeli waszmości hełm na głowie zawadza, lepiej było z chałupy się nie ruszać!... Hełm do głowy rycerskiej przyszrubowany, a nie to przypięty być winien!... Proszę waści nie pozwalać sobie więcej na bezeceństwa podobne!...

Do drugiego krzyknął:

— He tam!..! wilka gliną zalep waszmość, lub go łojem zatynkuj, a nie rób dziwowiska ze siebie...

Na trzeciego huknął:

— Dzień dobry waszeci!... Snadź waszmość nie dospał w kołysce, kiedy cię ruch konia do snu kłonił... Szkapę odsednisz!...

Przesunął się i Kołtun przed jego oczami. Rotmistrz wzrok na nim zatrzymał. Ex-mnich siedział na koniu wedle reguł, prosto a swobodnie, pięty w pole; dłoń ręki prawej na biodrze, w garści lewej cugle krótko zebrane, konia prowadził równo — znać w nim było jeździca doświadczonego. Rotmistrz głową skinął na znak zadowolenia i, zwróciwszy oczy w prawo, puścił wzrok w dal, w której wężowym skrętem płynęło wojsko, otoczone tumanem kurzawy. Jak wzrok zasięgnął, nie było widać czego innego, jeno wozy i wozy i konie luzem prowadzone. Chorągiew taką jak Czuryły—żeby jedna. Westchnął rotmistrz i ręką machnął, a gdy już konia zwracał w celu wyjechania na czoło hufca swego, ujrzał pędzącego ku sobie jeźdzca, którego z daleka po koniu poznał. Był to Kapuziński. Zrównawszy się z rotmistrzem, konia na miejscu osadził.

— Od króla do miłości waszej...

— A... cóż tam?...

— Jego królewska mość kazał mi, ażebym waszmości uprzedził, iż widzieć się z nim będzie...

— Ja zawsze na czele chorągwi mojej...

— To też jego królewska mość za mną tuż jedzie...

Rotmistrz spiął ostrogami konia i w chwilkę później znalazł się obok pana Baltazara. Z nim razem przyjechał i Kapuziński.

— Jego królewska mość daleko?... — zapytał Czuryło.

— Ćwierć mili, nie więcej...

— W tej chwili, z pagórka, na który droga wchodziła, pokazała się połyskująca wstęga rzeczki płynącej w głębokich a urwistych brzegach.

— Otóż i Prut... — odezwał się pan Baltazar. — Na tamtej stronie Wołosza...

Tamta strona przedstawiła się pod postacią wzgórzystą a zieloną. Bliżej pola, w dali lasy, jeszcze dalej zarysowujące się na horyzoncie góry.

— Dla waszmości — dodał zwracając do Ignacego mowę — Wołosza nie nowina...

— A tak... byłem już tam z polecenia miłościwego rotmistrza...

— Kraina piękna... wina huk, i chleba, i miodu, i mleka...

— I zwierzyny... — dorzucił Ignacy.

— Hrm!... takiej zwłaszcza, co na dwu chodzi nogach... Waść zapewne czasu tam nie zmarnował...

Młody człowiek uśmiechnął się, ramionami ruszył i na insynuacyją tę żartobliwą nic nie odpowiedział.

— O, wiem ci ja, że to okwita kraina...

— Waszmość tam bywał?... — zapytał Ignacy...

— Ph... Gdzie ja nie bywał... Nawłóczyliśmy się z panem Czuryłą nie mało...

Zawiązała się gawędka, w której rotmistrz udziału nie brał. On spoglądał ku „tamtej stronie,“ jakby go ciekawość drażniła. Przypatrywał się polom, załomom gruntu, drodze szczególnie, jakby kogoś lub czegoś tam oczekiwał; ale na polach było pusto, na drodze także pusto — tuman nawet harców nie wyprawiał. W powietrzu cisza, która byłaby absolutną, gdyby nie skowronki w górze i nie chruściele w dole, które się odzywały w taki sposób, jakby piosneczce pierwszych wtórowało derkanie drugich.

A kiedy się tak rotmistrz przypatrywał, słyszeć się dał z tyłu tentent — ukazał się w kurzawy obłoku orszak liczny, na czele którego jechał mąż w sile wieku, okryty lekkim kirysem i mający na głowie kapelusz o kryzach szerokich, przyozdobiony piórami różnobarwnemi. Włosy w puklach trefionych na barki mu spadały, wąsy i broda uczesane starannie i ułożone tak, ażeby obliczu marsowy nadawały wyraz; przy boku miecz na bandolierze misternie tkanej, przy butach ostrogi złote; na odzieży i na twarzy kurzu warstwa gruba. Mąż ów, zrównawszy się z rotmistrzem, ręką skinął.

— Stać!... — zawołał.

Czuryło cugle koniowi ściągnął, toż pan Baltazar; chorągiew się zatrzymała.

— Nie widać czego?... — zapytał mąż.

— Nie widać, najjaśniejszy panie... — była odpowiedź Czuryły.

Mąż, którym był nie kto inny, jeno Jan Olbracht, wpatrywać

się począł w okolicę z tąż samą ciekawością, jak wpatrywał sią w nią rotmistrz.

— Rzecz dziwna, rzekł po chwili. — A przecie wojewoda ma sławę szczwanego lisa... Spodziewaliśmy się, iż odgadnie zamiary nasze...

Przypatrywał się jeszcze; wreszcie:

— Cóż waszmość na to, mości Czuryło?... — zapytał.

Zdaniem mojem najmiłościwszy panie, należy nam na kroku każdym oglądać się na wszystkie strony...

— Trudno jednak zaprzeczyć temu co się widzi... — rzekł król.

— Cóż się widzi?... — było rotmistrza zapytanie, wyrzeczone tonem, w którym lekkie brzmiało zdziwienie.

Król uśmienhnął się uśmiechem samozadowolenia i odrzekł:

— Nie... Trawy i krzaki nie staną w obronie wołoskiej granicy... Ztąd się pokazuje, żeśmy podeszli szczwanego lisa...

— Najjaśniejszy panie... — zaczął rotmistrz.

— Powinien był Stefan wysłać na drogę bodaj koni kilka, a z niemi, na wypadek wszelki, perkałaba na powitanie nas... Widocznie wojewoda, pewny iż do Kamieńca zmierzamy, ani przypuszcza naszego do Wołoszy wkroczenia... Nie spodziewaliśmy się tego po znanej przezorności jego... Zastawił sieci na nas i sam się pojmał w takowe... Wołosza przed nami: dalej więc, naprzód!... Co za szkoda że tu rzeczki żadnej nie ma, którąbyśmy rubikonem nazwali...

— A Prut, najmiłościwszy panie!... — odezwał się ktoś z orszaku.

— Prut, Hierassus... — odrzekł król — nie przekraczamy go przecie... Granica sucha!... Gdyby tu rzeka drogę przepływała, kazalibyśmy na pamiątkę dnia dzisiejszego postawić... postawić... po... o...

Jan Olbracht, nie wiedząc snadź coby postawić, powtarzał wyraz ten po razy kilka i namyślał się, co widząc pan Baltazar, pospieszył królowi z pomocą — podpowiedział:

— Most...

— A nie... — odrzekł król.

— Młyn...

— Nie...

— Więc browar, najjaśniejszy panie...

A!... — odparł król z akcentem lekkiej niecierpliwości — Potrzebaby postawić cóś takiego, coby w najpóźniejszych wiekach potomkom naszym o nas przemawiało...

— W takim razie — podchwycił pan Baltazar — nic innego, jeno, jak miałem honor waszej królewskiej mości wyrazić, browar, albowiem potomkowie nasi w wiekach najpóźniejszych będą piwo pili i, pijąc piwo, jeżeli nota bene będzie dobre, będą zapytywali: kto ten browar postawił?...

Król chciał cóś odpowiedzieć, lecz mu pan Baltazar do słowa przyjść nie dał...

— Co jeszcze... — dodał — dobre piwo rozchodzi się po kraju, a zatem, sława waszej królewskiej mości, podlewana ustawicznie, nietylko w tem miejscu, gdzie browar stoi, ale wszędzie do koła, kwitłaby szeroko i dotrwała do świata skończenia... Na sądzie ostatecznym, ludzie, zdając z uczynków swoich sprawę, odpowiadaliby sędziemu najwyższemu: pijałem piwo z browaru postawionego przez jego królewską mość, Jana Olbrachta...

— Byłżeby to uczynek dobry?... — ktoś zagabnął.

— Co?... alboż zły?... — ofuknął się pan Baltazar. — Zły uczynek, dobre piwo?...

— Ależ tu nie ma rzeki żadnej... — odezwał się z orszaku jeden.

— A Prut, to nie rzeka?...

— Nie graniczna...

— Co to znaczy!... Czy to piwo o granicę pyta?... A przytem, ot co: Wołosi piwa nie znają, jeżeli przeto jego królewska mość pan nasz najmiłościwszy, dobrodziejstwo im wyświadczyć pragnie, a zarazem wyryć imię swoje we wdzięcznej pamięci...

— Dosyć tego!... — przerwał król z humorem.

— Jeżeli powiadam... — ciągnął pan Baltazar.

— Ciiicho!... — dały się słyszeć głosy z orszaku.

— Jeżeli...

— Hrm!... — chrząknął pan Czuryło i szepnął: — Skończ już waszeć!...

Pan Baltazar gębę zamknął i wąsy kułakiem rozgładził.

Chwilowe milczenie, które zapanowało, przerwał król, mówiąc tonem takim, jakby głośno myślał:

— Piramida?... obelisk?... kolumna?... hm?... Każę tu, w tym punkcie, z gruzów warowni i zamków piramidę wznieść, ażeby przez to imię Sezostris z imieniem Jan Olbracht związać... Każę na piramidzie tej wyryć i grubo pozłocić te słowa: *Jacta est alea*, ażeby mówiono: *Coesar dixit*, *Joannes Albertus scripsit*...

W orszaku słyszeć się dały wykrzykniki:

— Co za pomysły wysokie!... co za animusz wspaniały!... ile nauki!... co to za monarcha wielki!...

— Możeby kościół... — odezwał się z dworzan jeden, człek w wieku podeszłym.

— Kościół swoją drogą... stanie tam... — odparł Jan Olbracht, palcem wskazując — zadedykujemy go Michałowi archaniołowi, hetmanowi sił zbrojnych niebieskich i zafundujemy przy nim klasztor, na pamiątkę wieczną i na pożytek niewygasły...

— Wielki monarcha!... — rzekło na raz głosów kilka.

Pan Baltazar chrząknął i ramionami ruszył.

— Na sucho tedy przekraczamy Rubikon — zaczął król — i wołamy słowy Cezara: *Jacta et alea*... Naprzód!... — zawołał, zwracając do rotmistrza mowę. — Suczawa—Rzym, Stefan—Pompejusz... kroczymy na Farsalskie pola, na których przy pomocy bożej zwycięztwo wiekopomne odniesiemy... Cezar, Pompejusz, Kleopatra..

Przy wymówieniu imienia ostatniego, Jan Olbracht uśmiechnął się pół-uśmiechem i rzekł sam do siebie:

— Maryna Czurylanka...

I zawołał powtórnie:

— Naprzód!...

Rotmistrz jednak, zamiast wykonać rozkaz królewski, podjechał do Jana Olbrachta.

— Wasza królewska mość pozwolić mi raczy przedstawienie jedno uczynić...

— Pozwalamy... — odrzekł król.

— Wojewodę ja znam... chytry jak wąż, przebiegły jak lis, odważny jak lew...

— Więc?...

— Należy na śmieciskach jego krok za krokiem z jak największą stawiać ostrożnością...

— Tak... tak... Widocznie jednak ubiegliśmy go na śmieciskach onych... Niczego się nie domyśla, kiedy nie wysłał na spotkanie nasze ani poselstwa, ani wojska...

To też to najbardziej zastanawia mnie, najmiłościwszy panie.. Wojewoda Stefan miałby się nie domyślać?...

— Widzisz waszmość przecie...

— Widzę, najmiłościwszy panie i w niedomyślaniu się tem, domyślam się... fortelu jakiegoś...

— Jakiegoż fortelu?... zasadzki?... W zasadzkę wprowadzić można oddział pomniejszy, ale nie siłę taką, jaka pod rozkazami naszemi kroczy...

— Przynajmniej — podchwycił rotmistrz — niechby kilkanaście, kilka chorągwi biegło przodem bez wozów i w pogotowiu do rozprawy...

— A — przerwał król — co to, to można... ostrożność nie zawadzi.. Obeszlemy rotmistrzów chorągwi dworskich i niektórych ziemskich, i rozkażemy im iść pod rozkazy waszmości... Tymczasem zaś, naprzód!...

— Naprzód!... — huknął Czuryło.

Chorągiew ruszyła, wkraczając na ziemię nieprzyjacielską, za jakową uważać należało Wołoszę, będącą celem wyprawy nie ostatecznym wprawdzie, takim jednak, bez dopięcia którego, dopięcie celu ostatecznego stałoby się niemożliwem.

Prut w tem miejscu, dążąc ku ujściu Czeremoczy, wygięcie formuje. Zagina się w kabłąk ku południowi i odchyla od drogi prowadzącej ze Sniatyna do Czerniejowic, tworząc poniżej kolano, wklęsłość którego zarasta oczeret, osoka, wierzbina i łozina. Droga idzie po pochyłości, wznoszącej się ku wybrzeżom Dniestru, stanowiącym północną Bukowiny granicę i rozpadającej się w parowów kilka, będących łożyskami trzęsawisk i jeziorek, w których zamieszkiwało wodne ptactwo w mnogości ogromnej. Przerwy pomiędzy parowami zarastały lasy dziewicze, które zajmowały całą niemal pomiędzy Dniestrem a Prutem przestrzeń, przerzucały się przez Prut i szły ku Seretowi, przerzucały się przez Seret i ciągnęły się w góry. Dziś są

one, w pierwszej zwłaszcza części, pomiędzy Dniestrem a Prutem, przetrzebione; na miejscu gdzie się rozlegały, rozlegają się pola wydające kukurydzę i produkujące w ilości znacznej tytoń, który zasila potężnie skarb austryjacki. Wówczas jednak okrywały je lasy, dopierające do wybrzeży Prutu. Skrajem lasów tych, wzdłuż brzegów rzeki, szła droga, którą ciągnęło wojsko polskie.

Rotmistrz, jak tylko minął słup graniczny, spojrzał na pana Baltazara i odezwał się tonem ponaglającym:

— No!...

Pan Baltazar odparł:

— E...

I dłonią z oznaką niechęci machnął.

— I czemuż to?...

— At... bo widzisz, mości rotmistrzu, człek, zamiast śpiewać po ludzku, miauknie po kociemu, kiedy ma frasunek na duszy...

— Zkądże frasunek waszeci?...

— Jąk zkąd!..: Czyż to nie zmartwi człowieka, kiedy się przekona, że królowi w głowie pstro?... At!...

Znów dłonią machnął.

— I — co tam!... —perswadował rotmistrz.

— Zachcięwa się mu kolumn, obelisków, piramid... kiego licha!.. albo kościołów... czy to kościołów mało na świecie?... czy to klech nie za wiele?...

— Ale bo żeś się z tym browarem waszmość wyrwał...

— Nie browar, to młyn... nie młyn, to... u!... szkoła bodaj, albo co tam... Ja nie kozioł, przy swojem się nie upieram, ale obstaję przy tem, ażeby nie było nic takiego, na co by się ludzie gawronili, niby wilcy na gwiazdy, a żadnego ztąd pożytku nie mieli... Przyszedł mi browar na myśl, bo, prawdę powiem, w gardle mi wyschło...

— Dla tegoż to i pieśni nie będzie... — rzekł pan Czuryło.

— Nie koniecznie dla tego, a bardziej dla frasunku, powiadam waszmości... Zresztą — obejrzał się po za siebie — granica już daleko, słupa nie widać, niech więc dosyć będzie tego, co król jegomość po łacinie powiedział...

Gawędka się urwała, jechali dalej w milczeniu, mając lasy na ewo, a na prawo trzęsawiska, i strasząc żaby, które się za ich zbli-

żeniem w bagna z pluskotem rzucały. Nie wychodził na ich spotkanie nikt. Do koła rozlegała się głusz jakaś dziwna, w której, niby w próżni, dudnił tentent koni i odbijało się skrzypienie wozów, budząc echa dalekie, odzywające się przedrzeźnianiem niby. Do tego dołączało się od czasu do czasu hukanie puhaczów leśnych. Zdawało się, że z lasów, z trzęsawisk i z gór szatani spoglądają na pochód wojska polskiego i chychoczą się półgłosem.

Wojsko, uszedłszy połowę drogi pomiędzy granicą a Czerniejowcami, stanęło na noc. Zatoczono obóz. Porozbijano namioty, poustawiano wozy w tabór, opierając róg jeden takowego o wioskę jakąś, w której nie znaleziono nie już człowieka, ale ani psa, ani kota, ani żadnej rzeczy która jego jest. Mieszkańcy pouciekali z dobytkiem całym. Nie było w tem nic dziwnego. Wypadki podobne zwyczajne są dziś nawet, w okolicach do krain wschodnich przymykających. Widywaliśmy je na oczy własne. Mieszkańcy bez względu na to, jakie wojsko, swoje czy obce, byle wojsko, jak jeno zoczą takowe, natychmiast wynoszą się jak najdalej, unosząc ze sobą wszystko co mogą i zostawiając na łup rycerstwa same jeno nagie ściany. Zwyczaj dzisiejszy jest zabytkiem z czasów dawniejszych. Rycerstwo w wiekach minionych łupieżyło, i trzeba się było dobrze przed niem chronić. To też nikogo nie zadziwiły pustki we wsi. Przenocowano i nazajutrz skoro świt, trąby dały hasło dalszego pochodu, kresem którego dnia tego były Czerniejowce.

Obóz wyruszył wcześniej jak zwykle, to jest, wcześniej rycerstwo w pogotowiu do drogi stanęło, dla dwu powodów: raz dla tego, że król obesłał rotmistrzów rozkazem, polecającym im przestrzeganie porządku w kraju nieprzyjacielskim; powtóre dla tego, że Czerniejowce, jako miasto, z którego rozchodziły się bakalije i tkaniny wschodnie, obudzało ciekawość ogólną. Była to w pochodzie ze Lwowa pierwsza etapa znaczniejsza, podająca nadzieje niejakie na wina cypryjskie, na figi, na daktyle, na rożki, na tyftyki perskie, na dywany tureckie, na olejek różany i na wiele innych artykułów z opowiadań znanych. Po za szeregami poczyniło się obietnic nie mało, zaręczonych słowem rycerskiem, w części małżonkom, w części nie-małżonkom, obietnic danych na granicy, a opartych na tem przypuszczeniu, że los Czerniejowiec będzie losem miasta zdobytego.

Nie jeden w myśli układał sobie planik operacyjny, osnuty około srebra, złota i drogich kamieni.

Ha—planiki tego rodzaju stanowiły część nieodłączną istoty wojny w czasach onych. Dla przekonania się o tem, czytaj Machiawela „O sztuce wojennej," albo też, z daty grubo późniejszej, Paska „Pamiętniki." W czasach naszych pożądliwość rycerską budzą zegary ścienne (wojna francuzko-niemiecka 1870—71); w epoce Jana Olbrachta wyprawiano się na wojnę jak na łowy i, z czystem sumieniem, zabierano wszystko, co się zabrać dawało. Niemcy gniewają się za wspominanie im zegarów. Wówczas przyznawano się otwarcie do zdobyczy wszelkiego rodzaju.

Czerniejowce zawiodły oczekiwania ogólne, króla nie wyjmując.

Jan Olbracht wyprawił rotmistrza Czuryłę przodem, dodawszy mu chorągwi kilka, w celu obeznania grodu. Spodziewał się starszyzny miejskiej z chlebem, z solą i z kluczami, albo też oporu orężnego. Nad miastem panował zamek drewniany, murem obwiedziony.

Nie stało się, ani jedno, ani drugie.

Oczekującemu królowi posłaniec od rotmistrza, którym był pan Maciej Kołtun, przyniósł wiadomość, że Czerniejowce pustkami stoją.

— Co?... — krzyknął król. — Waszeć nie przy zdrowych chyba zmysłach!...

— Najjaśniejszy panie...

Poszlę ja tam kogoś pewniejszego... Hej! mości Kapuziński!... skocz-no waść, dotrzyj do rotmistrza Czuryły i przywieź mi relacyją szczegółową!...

Kapuziński kopnął się cwałem z miejsca i w godzinę niespełna był z powrotem. Król przez ten czas ochłonął—pierwsze wrażenie przeminęło.

— Cóż tam?.. — zawołał, gdy ten spienionego konia przed nim w miejscu osadził.

— Nic, najmiłościwszy panie!..

— Cóż waść widziałeś?..

— Pana rotmistrza Czuryłę...

— A więcej?..

— Rycerstwo nasze...

— A więcej?..

— Nikogo... Mieszkańce, jakby ich wymiótł... tylko...

— Tylko co?..

— Zostawili napis na bramie...

— Jaki?..

— Napis jakiś po łacinie... Brama otwarta, domy pozamykane, w domach żeby duch żywy... Smiecia jeno pełno... Pan rotmistrz oświadczyć kazał waszej królewskiej mości, że zajął pozycyją na drodze do Seretu...

---

## XIII.

# RYCERKA.

Opuszczenie Czerniejowiec należało do rodzaju manifestacyj nieprzyjacielskich, dla animuszu rycerskiego Jana Olbrachta bardzo dotkliwych. Próżnia, jaką przeciwnik przed nim tworzył, obrażała go. Wydawało się mu, iż miał pełne prawo do względów ze strony Stefana—tego Stefana, co ojcu jego hołd na kolanach składał. Gniewny też i chmurny wjeżdzał do miasta przez bramę, przed którą się zatrzymał dla przeczytania napisu na wielkiej nakreślonego desce. Przeczytał — do głowy uderzyła mu krew wszystka, oczy się zaiskrzyły. Napis składał się z dwu wyrazów:

*Via stultorum!*

Wyrazy te zabolały go. Była to obelga w żywe ciśniętą oczy. Żądza zemsty zawrzała w nim. Dałby za to wiele, gdyby w tej chwili mógł mieć Stefana przed sobą i zmierzyć się z nim na rękę.

Nie było jednak, ani Stefana, ani wojsk jego, ani najmniejszej wieści o nim. Na horyzoncie nie widać było nic, z wyjątkiem krajobrazów ręką natury malowanych.

W Czerniejowcach, po ścislejszem przeszukaniu, znaleźli się ludzie: stare baby i starzy dziadowie, którzy na zapytania nie umieli odpowiadać inaczej, tylko że nie wiedzą o niczem.

— Gdzie się mieszkańce podzieli?..

— Nie wiemy...

— Co się z perkałabem zrobiło?..

— Nie wiemy...

— Czy był ze strony wojewody rozkaz jaki?..

— Nie wiemy...

Łupić nie było co. Bogactwa, jakie miasto zawierało, zostały wyniesione. Fakt ten zdradzał zamiary jakieś, jakieś plany, które zniewoliły króla zwołać radę wojenną, w celu obmyślenia dalszego postępowania. Co tu jednak do obmyślania było? Zamiary przeciwnika nie podawały danych żadnych. Pokazywało się jeno, że wojewoda uchodzi, ale— z czém? dokąd?... Wodzowie miarkowali i wymiarkować nic nie mogli; rotmistrz głową kręcił; królewicz Zygmunt nieśmiało rzucił zapytanie:

— Czyby nie wracać?.

Dał się jednak z łatwością przekonać, że wracać nie wypadało już.

Stanęło na tem, iż zanim przyjdzie co do czego, potrzeba najprzód stolicę zdobyć.

— Po zajęciu Suczawy, zobaczymy...— były słowa królewskie, które jednogłośne uzyskały uznanie.

Przypuszczano jednak, że Stefan stawiać będzie przeszkody w dójściu do stolicy, a może nawet odważy się i na stoczenie bitwy, w pozycii z góry upatrzonej. Przypuszczenie to stało się powodem wniosku, postawionego w formie gorącego życzenia, a mogącego się streścić w dwu wyrazach:

— Ostrożność... porządek...

Rotmistrz życzenie to określił bliżej jeszcze:

— Zacząć potrzeba od tego, ażeby się pozbyć podwik, najjaśniejszy panie... Bo to, licho wie do czego... Rycerze, zamiast patrzeć naprzód, oglądają się po za siebie, zamiast dosiadywać na siodłach garną się do wozów... stroją amory, a ztąd i zwad co nie miara.., i zgorszenie... i nieład...

— Uwzględnimy to ...— rzekł król.

Potrzeba uporządkowania wojska zatrzymała Jana Olbrachta w Czerniejewcach przez dni kilka. W tym czasie wydanem i ogło-

szonem zostało surowe rozporządzenie, tyczące się porządku w ogólności, a w szczególności obecności niewiast. Powstał ztąd szmer wielki.

— Co?.. jak?.. — wołano. Mądre rozporządzenie! ale... czemu nie ogłoszono go pode Lwowem?..

Małżonkowie prawowici ujęli się za małżonki.

— I cóż my poczniemy teraz?.. Mamyż żony w pustych rzucać Czerniejowcach na pastwę niepokojom, głodom a może i nieprzyjacielowi?..

Połowa rycerstwa zagroziła powrotem do domów. O pogróżce tej rotmistrze donieśli wojewodom, wojewodowie królowi i ten, ręką machnął. Przez zęby wyrazów kilka niezrozumiałych rzucił. Rozporządzenie pozostało literą martwą.

Do pochodu dalszego wystąpiło wojsko tak samo, jak z pode Lwowa.

I ruszyło ku Seretowi.

Z Czerniejowca do Sereta ciągniono dni dwa.

W Serecie znów pustki.

Podjazdy, wyprawianę w głąb kraju, ani się z nieprzyjacielem nie spotykały, ani języka dostawały. Szły i powracały z niczem.

Nic dziwne i jakieś zagadkowe otaczało armiją, która, jak na czasy owe, była ogromną. Rycerstwa samego tysięcy ośmdziesiąt, ciurów połowa tyle, kobiet kilka tysięcy: tak historyja podaje—summa summarum, sto trzydziesci do stu czterdziestu tysięcy głów, licząc w to zaciągi cudzoziemskie, chorągwie piesze i obsługę przy harmacie.

W Serecie, albo raczej, pod Seretem, przenocowano, spędzono dzień cały, przenocowano powtórnie, spędzono dzień drugi, i w trzecim dopiero o świcie ruszono dalej.

Chodziło o to, co też to stanie się z Suczawą: czy wojewoda stolicę opuści tak samo, jak opuscił Czerniejowce i Seret? Anglicy natychmiast zakładyby robili. Polacy tak kombinowali.

— Opuścił Czerniejowce, opuścił Seret: czemużby opuścić nie miał i Suczawy?..

Tak rozumował gmin rycerski. Król rozumował prawie tak samo, tylko zamiast zapytania stawiał twierdzenie, które opierał na tem, że Stefan, lękając się stawiać czoło takiej potędze, jaką przed-

stawiało wojsko polskie, szuka ratunku w dyplomacyi. Spodziewał się lada moment posłów od brata, króla węgierskiego, z przedstawieniami, a nawet i z pogróżkami. Węgry zaginały parol na Multany. Jan Olbracht wiedział o tem. Przewidywał więc interwencyją dyplomatyczną, której przeciwstawić zamierzał czyn dokonany, nie biorąc w rachunek warunków strategicznych, w jakich stawiał siebie i armiją swoję.

Nieprzezorność ta nie była winą króla polskiego, ale raczej winą wieku, w którym wiadomości gieograficzne, stanowiące podstawę strategii, pozostawały jeszcze w kolebce.

Wojownicy, poszukając wzorów dla siebie, udawali się po takowe do odległej starożytności i znajdowali głosne imiona: Aleksandra Macedońskiego, który szedł, szedł i zwyciężał, Ksenofonta, który przeprowadził dziesięć tysięcy Greków przez kraje nieznane; Julijusza Cezara, który, niosąc oręż w dalekie strony, nie oglądał się po za siebie.

Jan Olbracht w dziejach oczytany, sądził, że idąc, czyni zadość obowiązkom wojownika. Nie zważał na gieografiją— o tej wyobrażenia nie miał; nie zważał na topografiją, pomimo że ta w oczy się mu rzucała i niejako głosem wielkim krzyczała do niego:

— Królu hetmanie!.. patrz na prawo!.. patrz na lewo... oglądnij się...

Jan Olbracht nie patrzał ani na prawo, ani na lewo; nie oglądał się też. Patrzał przed siebie—podążał do stolicy Multan, przedstawiającej się pod postacią, nie stolicy w pojęciu dzisiejszem, ale gniazda orlego.

Ta postać, pod jaką przedstawiała się stolica, pochodziła z położenia osobliwego, w jakiem znajdowała się Mołdawia. Państwo to dopiero się tworzyło. Data początku onego odnosiła się do połowy wieku XIV, a ginęła w mgle, nierozproszonej promieniem bądań dziejowych. Mgła ta nie jest rozwianą dziś jeszcze. Istniał fakt nagi: naród, pozostający pod władzą wojewodów i wylewający się na ziemi, którą uważały za własność swoją, w jednej części Polska, Ruś i Litwa, w drugiej Węgry. Punktem, z którego się ów naród wylewał, były góry. Wołosza dalsza gnieździła się gdzieś w siedmiogrodzie, Wołosza bliższa, czyli Mołdawia, u zródlisk Seretu, w dzi-

siejszej Bukowinie, u zródlisk tryskających z zawęźlenia górnego, z którego rozchodzą się wody we wsze miasta strony, z którego się biorą przytoki Maroszy, Cissa, Czeremosz i Seret, ten ostatni poczwórnie, pod nazwą Bystrzycy, pod nazwą Mołdawy, pod nazwą Suczawy i pod nazwą Seretu. Zródło główne najbardziej północne obchodzi półkolem odskok łańcucha Karpat i, idąc równolegle do Czeremszy, wchodzi następnie pomiędzy Prut a Seret, maleje, rozczepia się w widła i niknie nad Dunajem. Łożysko Seretu na prawym onego brzegu ma za granicą łańcuch, stanowiący granicę naturalną Siedmiogrodu od strony wschodniej, a poczynający się w zawęźleniu bukowińskiem, ze zródlisk Seretu, ze zródlisk, będących zarazem zarodem rzeki i gniazdem narodu. Mołdawija ze słusznością odwoływać się może do macierzyństwa nimfy zródlanej. Naród zeszedł z gór, posuwał się i szerzył, z biegiem rzeki, zajmując ziemie, na których żadna wyraźna tamy mu nie stawiała linija demakracyjna. Z tego powodu nie przekracał ani Czeremoszy, ani Dniestru; naturalną pochyłością, schodzącą ku morzu Czarnemu, toczył się niejako ku ujściu Dunaju i ostróżnie krok za krokiem stawiał. W wieku piętnastym przeważnie jeszcze gór się trzymał. Suczawa, jako stolica, nie ogniskowała w sobie ani handlu, ani przemysłu, ani oświaty, ani życia; była niczem innem jeno gniazdem, a raczej, schronem leżącym na uboczu i unieprzystępnionym dostatecznie dla najbliższych sąsiadów. Komunikacyja z Węgrami, przez Siedmiogród, prowadziła przez góry strome (Borgo-pass) i zniszczoną być mogła z łatwością. Komunikacyja z Polską wymagała zboczenia znacznego, odrywającego wojsko, któreby pod stolicę podstąpiło, od podstaw onego naturalnych, od dostaw, od posiłków, od związku z krajem. Suczawa, miasto, nie był to punk strategiczny, o którego posiadanie ubiegaćby się należało.

Jan Olbracht jednak o strategii wyobrażenia nie miał najmniejszego.

Spoglądał na prawo, lecz nie wpatrywał się w te siniejące na horyzoncie góry, które, na wypadek niepowodzenia, zagradzały mu drogę do odwrotu, w razie zaś powodzenia, zmuszały go powracać do Czerniejowca, jeżeliby chciał wojnę prowadzić dalej. Dzień pierwszy oddalił go od Seretu, dzień drugi zbliżył do Suczawy, w dniu trze-

cim, równo ze świtem, pan Czuryło na czele kilku chorągwi ruszył w celu zrekognoskowania stolicy.

Wojsko pod bronią stało w pogotowiu; Jan Olbracht pod baldachimem, w otoczeniu orszaku, oczekiwał na wiadomości.

Oczekiwanie przewlekało się. Minęła godzina, minęło godzin dwie. Nagle słyszeć się dał huk, który przeciągłym grzechotem odbił się w górach.

— Grzmi!... — ktoś się odezwał.

Król wstał, brew lekko zmarszczył i szyję wyciągnął.

Grzmot odezwał się powtórnie.

Mimowolnie oczy wszystkich zwróciły się na niebo; na niebie chmura żeby jedna.

Grzmot odezwał się po raz trzeci.

— Biją się... nasi!... — krzyknął młody Kapuziński; oczy mu zajaśniały.

— Konia!... — krzyknął król.

W jednem oka mgnieniu, Jan Olbracht i orszak cały siedzieli na koniach.

Król rozkazy stosowne rozesłał do wojewodów, sam zaś, wziąwszy ze sobę chorągiew jedną, ruszył przodem, pośpieszając w celu dowiedzenia się rychlej, co zajść mogło pod murami stolicy. Ciekawość jego tem większą miała racyją, że po trzech grzmotach, które były niczem innem, jeno wystrzałami działowemi, nastała cisza.

Orszak królewski wyciągniętym podążał kłusem, trzymając się traktu, który prowadził lewym brzegiem Suczawy. Król jechał na przedzie; tuż za nim Ignacy, czyniący wysiłek jak największy w celu pohamowania ochoty, która go z własnej jego wysadzała skóry i przeklinający w duchu tę okazyją, co go z chorągwi pana Czuryły do orszaku królewskiego przeniosła.

— Biją się... — powtarzał nieledwie z płaczem.

Lewym brzegiem prowadził trakt, a prawym biegła drożyna dla wozów niedostępna. Ściągano nią snadź drzewo z lasów i wyganiano trzody w góry. W każdym razie nie służyła ona do komunikacyi rozleglejszej, ale szła wprost do miasta, wówczas kiedy jadąc traktem, potrzeba było rzekę przebywać.

Na drożynie tej ukazał się poczet jeźdzców, koni kilka, na czele niewiasta szykownie wyglądająca i uzbrojona.

Król, któremu widowisko to pierwszemu w oczy wpadło, ściągając koniowi cugli, zawołał:

— Aa!... Ooo!... Czyja wola, niech na ochotnika skoczy i języka dostanie!...

Dworzanie się rzucili, Ignacy najpierwszy, i kręcić się poczęli nad brzegiem, brodu szukając. Ignacy na bród nie zważał. Posunął wprost w wodę, wpadł po uszy, zanurzył się, spłynął, dobry koń prądowi unieść się nie dał, dostał kopytami gruntu i po chwili wyniósł jeźdzca na brzeg przeciwny. Młodzieniec, jak był, wodą ociekając, zwrócił się w prawo i natarł na nacierającego na niego rycerza, który, jak się zdaje, uprzątnąć go prędko chciał, ażeby pocztowi drogę otworzyć. Natarcie było gwałtowne, dla tego zapewne bój trwał krótko. Złożyli się kopijami i w chwili jednej Mołdawianin na ziemi już leżał. Ignacy go z siodła wysadził. W tej samej jednak chwili rozprawiać się musiał z drugim, a gdy tego strącił, najechała na niego niewiasta, z podniesionem do góry żelazem. Młody człowiek zasłonił się raz i drugi od cięć, które następowały szybko, ale spadały nie nader silnie i przemyśliwał nad tem, ażeby przeciwniczce oręż z ręki za pomocą młyńca wytrącić, gdy ta nagle, konia na miejscu zwróciwszy, umykać poczęła.

Ignacy za nią. Spojrzał jeno w prawo i ujrzał na brzegu przeciwnym króla, ręką znaki pochwalne dającego. To mu bodźca dodało. Scisnął konia ostrogami. Obejrzał się powtórnie po chwili. Króla już widać nie było. Załom gruntu zasłonił go.

Roztropność nakazywała pogoni zaniechać.

Roztropność atoli i lat dwadzieścia parę, nie zwykły chodzić w parze, zwłaszcza w warunkach podobnych, podszytych romantycznością tak wyraźnie. Ignacy, bez zawahania się, dałby życia połowę, za dostawienie królowi języka, przedstawiającego się pod postacią niewiasty w pół-kirysie, w hełmie, z mieczem przy boku i z zasłoną z leciuchnej tkaniny na twarzy, siedzącej na koniu z gracyją niewysłowioną. Młodzieniec nie był tak ciemnym, ażeby o amazonkach słyszeć nie miał. Może zresztą roztropność byłaby się w nim odezwała, gdyby nie ta okoliczność, że po powaleniu dwu, pozosta-

wało jeszcze przy uciekającej obrońców czterech. Odnieść zwycięztw cztery i przyprowadzić przed oblicze królewskie jeńca tak niezwykłego, wydawało się młodemu Kapuzińskiemu czynem tak heroicznym, iż rozwagę, gdyby mu się takowa w tej chwili nasunęła, byłby z pewnością brutalnie odepchnął. Pociskał więc konia ostrogami i pędził.

Pędził z góry na dół, z dołu pod górę, po drożynie ledwo widnej i kamieni pełnej. Koń pod nim sapał i wyciągał się. Ci uciec nie mogli, on dogonić nie był w stanie.

Powinien był nawrócić od lasu. Ale — gdzie też! Oni w las, on za nimi.

— Stójcie!... — wołał — zwróćcie się obliczem do mnie!... Czoło postawcie, czterej mnie jednemu!... Jeśli tego nie uczynicie, nazwę was tchórzami!...

Nie pomagały słowa te wyzywające.

— Pani!... czemuż uciekasz?...

Niewiasta uciekała.

— Zatrzymaj się na chwilkę!...

Nie zatrzymywała się. Koń pod nią lekki i rączy, odsadzał się od młodzieńca na odległość, która się wciąż zwiększała.

— Nie zrobię ci nic złego!...

Nie słuchała.

— Pani!... poczekaj!... Będę cię ścigał, chociażby na kraj świata, a gdy cię ujmę, zaprowadzę cię do króla!...

Niewiasta oglądnęła się. Nie zaniechała ucieczki, jednakże koń jej, jakby ze znużenia, ustawać począł od tej chwili. Kapuziński począł się zbliżać i przemawiać nie zaprzestawał:

— Do króla, pani!... Król mnie posłał!... Z królewskiego jestem orszaku!...

Nagle czterej towarzyszę niewiasty, razem, jakby na rozkaz dany, zwrócili się i zaatakowali Ignacego. Spadło to na niego prawie niespodzianie, bo po wypowiedzeniu obelg różnych, któremi napróżno starał się ich przeciwko sobie zwrócić. Nawrócili i rzucili się, jeden z przodu, dwaj z boków i jeden z tyłu i, kiedy się z pierwszym, mieczem ścinał, uczuł uderzenia spadające mu na głowę, na ramiona i na plecy. *Nec Hercules contra plures.* Pociemniało mu w oczach. Ma-

chał mieczem na oślep, czuł jeszcze, że koń pod nim raz i drugi słupa dał i czucie w końcu postradał. Myśl ostatnia, jaka mu przed postradaniem przytomności do głowy przyszła, była ta, iż wielkie popełnił głupstwo, zapędzając się tak daleko. Myśl ta, niestety! przyszła zapóźno. Wypadki podobne przytrafiają się statystom poważniejszym aniżeli Ignacy, zwłaszcza jeżeli podnietą do takowych jest chęć popisania się w obec króla.

Jan Olbracht z zajęciem żywem przypatrywał się widowisku tak długo, póki się takowemu przypatrywać było można. Bawiły go koziołki, jakie dwaj wołosi wywrócili; zafrasowała go niewiasta, drogę sobie żelazem torować probująca; zaciekawiła go jej postać, którą pomimo iż się dokładnie oglądać nie dawała, obwiewał urok młodości i siły. Gdy podniosła miecz do cięcia, zatrzymał oddech w sobie, w obawie ażeby dworzanin jego nie roztłukł tej lalki błyszczącej, jako kryształ, nie uszkodził tego motyla, przebranego za rycerza. Chciał już sam wpław się rzucać, gdy zaszła zmiana akcyi. Motyl wstecz się uniósł, król naprzód ruszył, i myślał o tem co zaszło.

Jawnem było, że niewiasta podążała do grodu, czemuż się cofnęła tak nagle? Przeszkoda, jaką jej Ignacy postawił, nie była nie do usunięcia. Miała za sobą ludzi zbrojnych czterech, którzy, jeżeli nie pokonać, to zatrzymaćby młodzieńca mogli. Czemuż pierzchła?

Zagadka wyjaśniła się niebawem.

Na wyżynie, obok drożyny, którą rycerka, dla dostania się do Suczawy, przejeżdzaćby musiała, ukazał się hufiec polski, zajmujący snadź posterunek przez Czuryłę wyznaczony.

Wkrótce i goniec od rotmistrza nadbiegł, a wiadomości jakie przywiózł, wytrąciły królowi z pamięci i widowisko i rycerkę i Ignacego.

— Suczawa bramy zamknęła, najjaśniejszy panie!... Gdyśmy się bliżali, powitano nas z murów trzema wystrzałami... Rotmistrz wysłał herolda w imieniu waszej królewskiej mości... Odpowiedziano...

— Kto odpowiedział?... — przerwał król.

— Wódz załogi broniącej grodu...

— Wojewoda?...

— Wojewody nie ma w stolicy...

— Któż jest namiestnikiem jego?...

— Nie było o tem mowy... Dość ten, do kogo to należy, zapowiedział, iż będzie grodu bronił do ostatniej krwi kropli...

— Cóż się z wojewodą dzieje?...

Goniec nie umiał na zapytanie to odpowiedzieć w sposób zadawalniający. Mógł jeno domysłu własnego udzielić, poczem zdawał sprawę z postrzeżeń przez rotmistrza poczynionych i z kroków przez niegoż przedsięwziętych. Rotmistrz odbył rekonesans do koła miasta, które znalazł w stanie obrony zupełnej. Na murach widział ludu mnogo i armat podostatkiem; przedmieścia popalone, drzewa powycinane, palisady poodnawiane, szczerby ponaprawiane, bramy pozamykane.

— Wołosi — słowa rotmistrza przez gońca powtórzone — zamyślają, jak się zdaje, bronić się do upadłago... A że obrona warowni polega na tem, ażeby korzystać z każdej wolnej chwili i uzupełniać środki odporne, pozajmowałem przeto wszystkie prowadzące do miasta drogi i poustawiałem na takowych posterunki, które wymagają wzmocnienia jak najśpieszniejszego...

Goniec w imieniu pana Czuryły, prosił króla o posiłki.

— Wracaj waszmość do rotmistrza i oznajm mu, że my tam pospieszamy osobiście...

Po odpowiedzi tej, goniec cwałem odjechał, a król ruszył dalej traktem, z którego niebawem ukazała się oczom jego stolica Multan, najeżona działami i obsadzona obrońcami. Z baszt i z wież cerkiewnych powiewały sztandary; z murów połyskiwały hełmy. Rzekę Jan Olbracht przebył w bród i na brzegu onej spotkał jedną chorągiew, ustawioną za wzgórzem, które ją od strzałów działowych ochraniało. Na wzgórzu stała czata — rycerz na koniu. Rotmistrz, dowódzca chorągwi, dał królowi przewodnika, który go do najbliższego odprowadził posterunku, bacząc na to, ażeby orszaku królewskiego na ogień forteczny nie wystawiać. Od tego udał się Jan Olbracht do następnego. Posterunki wiązał łańcuch czat, których rozstawienie świadczyło, że ten co się tem zajmował, jest wojownikiem nie od parady. Król, który się znał na tem, nie znalazł nic do przyganienia, owszem, rozstawienie to przedstawiło się mu jako zaznaczenie linii, której się trzymać należało przy obsaczaniu twierdzy. Posuwał się wzdłuż linii i dawał co moment oznaki zadowolenia.

— *Bene.... bene.... valde bene....*

I układał sobie, że gdzie stają chorągwie pojedyńcze, tam staną województwa. Plan ten podobał mu się tem bardziej, że nie zważając na to, iż szyk oblężniczy pan Czuryło wyliczył niejako, miał go za pomysł własny.

— Tę stronę od rzeki zajmie Wielkopolska...— mówił do księcia Zygmunta — tu stanie województwo Poznańskie, tu Kaliskie, tu Inowrocławskie, etc.... Tę stronę zajmie Małopolska: tu stanie województwo Krakowskie, tu Sandomierskie, tu Lubelskie, etc.... tu Ruskie, Bełzkie, Bracławskie... Obozy z tyłu, w miejscach zakrytych...

— Będziemy oblegali?..— zapytał królewicz.

— Zobaczymy... Myślimy, że jak tylko Suczawie pokażemy siły nasze, to się i bez krwi rozlania obejdzie... Zamiary nasze wymagają dostania grodu jak najrychlej...

— Oh tak...— westchnął królewicz, przypomniawszy snadź sobie te zwłoki w pochodzie, dzięki którym Stefan miał czas obronę obmyślić i do takowej się przygotować.

— Ściśniemy go i, jeżeli nam bram nie otworzy, szturm przypuścimy...— dodał Jan Olbracht, dojeżdzając do stanowiska zajętego przez chorągiew pana Czuryły.

Stanowisko to wypadało na drożynie ornej, na której Ignacy rycerkę do odwrotu zmusił.

Chorągiew stała w szyku bojowym.

Rotmistrz wysunął się przed front i, przyłożywszy dłoń do czoła, przypatrywał się ciemni w dali.

Ujrzawszy króla, konia nawrócił, złożył mieczem pozdrowienie rycerskie i na zapytanie czekał.

— I cóż tam, mości Czuryło?... — odezwał się Jan Olbracht Doczekaliśmy się nareszcie tego, że nam nieprzyjaciel chociaż z po za murów drogę zastąpił?..

— Doczekaliśmy się najjaśniejszy panie... — odparł stary żołnierz.

— Cóż to znaczy, że waszmość chorągiew sprawił?...

Rotmistrz mieczem na stronę grodu ukazał i odrzekł:

— Cóż się niby święci...

Król spojrzenie wytężył i popatrzywszy przez chwilę, rzekł od niechcenia:

— Wycieczka... dla języka...

Zwracając się zaś do orszaku, dodał:

— Uszykujecie się, waszmoście, w odwodzie... Jeżeliby się potrzeba okazała, poprowadzi was królewicz...

Dawszy to rozporządzenie, wysunął się na czoło chorągwi i przez to samo objął dowództwo nad całą siłą zbrojną w tym punkcie zgromadzoną, składającą się z chorągwi pana Czuryły i z orszaku królewskiego. Było to w porządku. Rotmistrz się usunął; oznajmił jeno królowi, że posłał do chorągwi zajmujących stanowiska na prawo i na lewo, ażeby się i one w pogotowiu miały. Król słowa rotmistrza do wiadomości przyjąwszy, obserwował nieprzyjaciela, który przez bramę parami wylegał i wzdłuż murów się szykował. Kierunek linii frontu nie pozostawiał najmniejszej, co do zamiarów jego, wątpliwości. Szykował się naprzeciwko chorągwi pana Czuryły. Było to oczewistem, tém bardziej iż wyjątkowo, w miejscu tem, rozlegało się błonie, nadające się do spotkania jazdy.

Wybiegło jezdców setni ze dwie, uszykowali się i czekali przez chwilę, aż się pojawił przed szeregami rycerz, który, pomimo odległości, zwrócił na siebie uwagę powszechną ze strony wojowników polskich. Człek niby dąb, na hełmie kita czerwona, wąsy jak dwa wiechcie, sterczące na boki. Po szeregach polskich przebiegł wyraz: Kierdeni. Każdy z towarzyszy mimowolnie w siodle się poprawił, jeden zaś tak zbladł, że Czuryło spostrzeg to i, podjechawszy do niego, zapytał półgłosem:

— Co waszmości?..

Zapytany odchrząknął.

— Pomnij waszmość—dodał rotmistrz w formie życzliwego napomnienia—że kto ze strachu umiera, temu b....... dzwonią...

Napomniany westchnął i po chwili odpowiedział:

— W życiu swojem nigdy, przed nikiem i przed niczem, strachu nie zaznałem...

— Zobaczymy...—odparł rotmistrz, a zbliżając się do pana Baltazara, w ucho mu wsunął: Uważaj no waszeci na Kołtuna, jak się prowadzić będzie.

Pan Baltazar okiem z ukosa na ekszakonnika rzucił i ramionami ruszył.

Kierdeni tym czasem przed szeregami się przejeżdżał, utrzymując konia w ustawicznych podskokach. Ruchy jego znamionowały niepokój żywy. Niekiedy zatrzymywał się i na strzemionach wspinał, puszczając wzrok po drożynie, którą maskowała chorągiew pana Czuryły. Przykładał dłoń do czoła i patrzał; targał konia cuglami i klątwy po węgiersku rzucał.

— Cóś w nim świdruje...—zauważył pan Baltazar. Czy nie oczekuje on na posiłki tą ścieżką?..Ale—dodał w okolicy się rozglądając, tędy mu chyba w pomoc kozy nadciągnąćby mogły...

Król na harcownika wyzwał, a jak tylko znak dał, natychmiast z szeregów wyskoczył pan Kołtun najpierwszy, po nim dwu jeszcze. Byłoby się znalazło więcej, gdyby Jan Olbracht ochoty nie powściągnął. Ci trzej jednak napróżno wyzywali giestami i słowem, napróżno wywoływali:

— Wyjdź jeno który!.. spróbuj się!.. Ach!.. wy... bycze łby!. swińskie mordy!.. cygańskie pasynki!.. A wyjdź-no który, niech ci szlachcic polski łeb na bigos posieka!.. Ha ha!.. drży wam skura!.. w kupie się trzymacie, niby owce!.. Czyż się żaden nie odważy ze szlachcicem pójść na rękę?..

Za odpowiedź całą były klątwy węgierskie Kierdeniego na wiatr rzucane.

Wołosi stali, niby w oczekiwaniu na cóś, i polacy stali, nie mogąc nieprzyjaciela pod osłoną murów uszykowanego atakować.

Wreszcie Kierdeni przed środek szyku wyjechał, dał znak mieczem, trąby się ozwały, hufiec ruszył naprzód.

— Naprzód!..—krzyknął Jan Olbracht.

— Stać!.. — podchwycił pan Czuryło, podjeżdżając do króla, zdziwionego i okiem go surowem pytającego. Najjaśniejszy panie! nie tobie życie ważyć... Chorągiew nie ruszy, chyba na to, ażeby ciebie przemocą uprowadzić!..

— Mości rotmistrzu!.. odezwał się król groźnie.

— Zejdź, mości królu!.. przerwał rotmistrz tonem rozkazującym. Wzywam cię w imieniu rzeczypospolitej!..

— Ależ... tylko...—zaczął Jan Olbracht prośby tonem.

— Nie masz ale!.. Spiesz się!.. bo nie, to przemocy użyję!.. Nie ma czasu do tracenia!..

Jak niepyszny, Jan Olbracht, konia nawrócił i w tejże chwili pan Czuryło w garść splunął, trębaczom znak dał, na pana Baltazara skinął i przed środek wyskoczył.

Trąby zagrały: pan Baltazar sztandarem w powietrzu wywinął.

Kopie spadły na wysokość uszów końskich i uczyniły konie grotami rogate a proporcami strojne; hufiec podał się naprzód, ciała rycerzy pochyliły się nad grzywami.

— Za mną!..— słyszeć się dał okrzyk gromki.

Ziemia kopytami rwana zadudniła, zastękała niby; łoskot szczękającej stali w powietru drżenie sprawił; tuman gęsty kurzawy rycerzy osłonił.

Zwarcie się szyków nastąpiło wnet i trwało nie długo. Polacy wołochów złamali, wywrócili i w tył odrzucili. Udziału w rozprawie nie wziął orszak królewski, pomimo ochoty wielkiej: stał jeno i patrzał i nic widzieć nie mógł, z wyjątkiem sceny jednej, która przesunęła się przed oczami króla, królewicza i dworzan i napełniła ich zdziwieniem nie małem, a wywinęła się z pośrodka walczących, nakształt owych widzeń fantastycznych, które się na obłokach kreślą.

## XIV.

# W CHOROBIE.

Obłokiem kurzawy otoczony, tak iż się w powietrzu wydawał, w hełmie błyszczącym, nad którem pływała kita czerwona, z mieczem w dłoni, wynurzył się z odmętu bitwy rycerz i pędem zmierzał ku orszakowi królewskiemu. Pęd przewidywać kazał uderzenie tak silne, jakiem bywa uderzenie taranu, od którego mur pęka. To też dworzanie królewscy ścisnęli sie, tarczami się osłonili i dzidami szereg najeżyli. Nie wydawało się wątpliwem, ażeby impet iście burzliwy, z jakiem rycerz pędził, powstrzymać się dał. Był to wicher, huragan, piorun w postaci człowieczej. To też zdumienie wszystkich ogarnęło, gdy impet ów powstrzymał się nagle. Rycerz konia na miejscu osadził, a z taką tego siłą dokonał, że koń, worawszy się w ziemię kopytami tylnemi, przysiadł niby pies.

— Co to będzie?..— zapytał siebie w duchu dworzanin każdy, i królewicz, i król.

Rycerz oczy miał wlepione w dal, na drożynę ową, na której Ignacy z rycerką się spotykał.

Król, królewicz i kilku jeszcze mimowolnie zwrócili wzrok w kierunku oczów rycerza i mimowolnie też wpatrzyli się, tak jak on. Widok, jaki się przed nimi rozwinęł, był iście wspaniały. Szla-

kiem głównym płynęło wojsko i wyglądało niby wąż olbrzymi, pokryty łuską mieniącą się świetlanemi barwami; pola i wzgórza roiły się ludem zbrojnym; kolumna jedna posuwała się na lewo, otaczając miasto od strony wschodniej; kolumna druga, odłamawszy się na prawo i przeprawiwszy się przez rzekę gdzieś powyżej, ciągnęła krajem lasu, w który za rycerką pogonił młody Kapuziński i przecinała drożynę z ukosa. Pola, puste przed chwilą, napełnił ruch niezwykły; ludzie śród krzewów, traw, drzew, w wąwozach, na wzgórzach roznosili błyski i wyglądali niby roje motyli barwistych, tu skupione, ówdzie rozprószone i zajmujące zbrojną ręką wszystkie przejścia i przesmyki wszystkie.

Rycerz, powiódłszy przez chwilę oczami podającej się promieniem wzroku zachwycić okolicy, dłoń do piersi przycinął, wyciągnął się, głowę podniósł do góry, gębę otworzył szeroko i zawył.

I wył przez chwilę, przeplatając wycie wyrazami i frazesami pojedyńczemi:

— Au au au.., gdzie ty?.. Au au au... luba!.. Au au au... i cóż ja na świecie wart bez ciebie?.. Au au au... och!.. Au au au...

Było to wycie żałobne. Dłoń do góry podniósł, trząsł nią w powietrzu i wył, wyrzekając na losy, a dodając do narzekań dosadne klątwy po węgiersku. Nagle konia zwrócił i uciekać począł. Wpadł w odmęt, w którym, po złamaniu szyku wołowskiego, odbywały się gonitwy i walki pojedyńcze, i z przed oczu patrzących znikł w kurzawy obłokach. Każdy zapytał siebie w duchu.

— Co to było?..

To wycie i to wyrzekanie cóś przecie znaczyć musiały.

Potyczka rozstrzygnęła się na korzyść chorągwi pana Czuryły. Wołosi pierzchli i schronili się pod mury, z których palba wstrzymała pościg polski. Trąby zagrały do odwrotu. Pan Czuryłło królowi sprawy zdawał.

Dobry początek, najjaśniejszy panie...—mówił. Każdy spełnił powinność swoję, mianowicie zaś odznaczył się imć pan Maciej Kołtun... W oczach moich dwu włochów zgładził, ale biedaczysko sam oberwał...

Król w roztargnieniu rotmistrza słuchał i nagle zapytał:

— Nie wiesz waszmość, co stało się z tym wołochem, co wył?

— Ja nic, najmiłościwszy panie, o żadnem wyciu nie wiem...

— A no...— tu król opowiedział rzecz całą i zakończył opowiadanie opisem postaci rycerza: chłop duży, z wielkiemi wąsami i z czarną na hełmie kitą...

— Aaa!..— zawołał Czuryło— To Kierdeni!.. od niego to Kołtun oberwał... Toć to wściekły człowiek!.. Niby kula z harmaty wpadł w szeregi nasze, przebił je na wylot i, kiedy wracał, drogę mu Kołtun zastąpił, ale nie powiodło się biedakowi: dostał buławą między oczy i w kolano, a przytem dźgnął go wołoch jakiś pod ziebro...

Na pobojowisku leżało trupów kilkanaście i rannych nieco, którzy jęczeli i o politowanie błagali ciurów co ich opatrywali'!

Opatrywali. — Nie chcemy o opatrywaniu tém rozpisywać się szeroko, przypominamy jeno czytelnikowi, że rzecz dzieje się w wieku, w którym miasta w pień wycinano, ambulansów z lekarzami i aptekami za armiją nie wożono i zdobycz wojenną za krwawo zapracowaną własność uważano.

Rycerstwo polskie poniosło straty małe, w rannych jedynie, pomiędzy któremi najmocniej poturbowanym był eks-mnich.

Uniesiono go z placu potyczki; pan Baltazar rany mu opatrzył i zadecydował, że... „może się wyliże"..

Nie było czasu z nim się długo korowodzić. Pan Baltazar miał coś ważniejszego do czynienia: chorągiew poniosła straty, musiał takowe na karbach znaczyć, zostawił więc Kołtuna w rękach pachołków i, zaleciwszy im wyszukanie barwierza z zalantami i dragantem, zajął się czynnością swoją.

Wojsko nadciągało. Zajęcie rosło i mnożyło się, a polegało przedewszystkiem na gadaniu. Król z rotmistrzem odjechał w celu wytykania stanówisk, a tu tymczasem wojewodowie przyjeżdzali i, powiadomieni o zaszłej potyczce, rozpytywali o szczegóły takowej. Trzeba było każdemu opowiadać, i to, temu tak, drugiemu owaki z waryjantami, zastosowywanemi do pojęcia i temperamentu. Żywy i, pomimo wieku sędziwego, trzpiotowaty wojewoda inowrocławski lubił waracyją obrazową a opieprzoną. Temu więc tak pan Baltazar prawił.

— Staliśmy ot tu, tak, Bogu ducha winni, aż, patrzymy...co to?.. Kłody się walą... E nie... to nie kłody... Wołochy jeden po drugim

smyk, smyk... i oto tam, do muru się kleją... ławą stają... a tak szykownie, mości wojewodo, iżem się oblizał do nich, ustawili się bowiem, niby dziewki na weselu...

— Dziewki na weselu... powtórzył sobie wojewoda.

— Uhm...

I w tym guście prawił dalej.

Wojewodzie rzeskiemu, mężowi poważnemu, opowiadał inaczej. Temu zdawał sprawę formalną, wyliczał ilość koni, opisywał rodzaj oręża.

Przytem, każdemu z wodzów trzeba było dać relacyją krótką w względzie zamiarów królewskich. Powiadał przeto, że chodzi o to, ażeby Suczawę „ścisnąć“.

W celu więc „ściśnięcia“ Suczawy odbywał się do koła miasta, przez dzień cały, ruch ustawiczny wojska, które zajmowało stanowiska.

Dziś, kiedy organizacyja wojskowa doprowadzoną jest do najwyższego stopnia doskonałości i dokładności, zadanie takie, jak obsadzenie warowni, nie rozwiązuje się bez zamieszania pewnego. Kolumny idą i wracają, naprzód się posuwają i cofają, jedne są w ruchu bez końca, drugie pozostają na miejscu w zapomnieniu, te się już rozłożyły i nagle zbierać się muszą, inne chwilki spoczynku doczekać się nie mogą — rozkazy się krzyżują, nieporozumień mnóstwo powstaje co moment, błędy i omyłki mniejsze naprawiają się błędami i omyłkami większemi. Tak bywa i dziś, w armijach regularnych i wyćwiczonych, a pozostających pod kierownictwem sztabów matematyką nadzianych! Łatwo przeto wyobrazić sobie, co to być musiało lat temu czterysta, w armii takiej, jak ta, którą Jan Olbracht pod mury Suczawy przyprowadził.

Wojska zajmowały stanowiska. Stosownie do rozporządzenia, województwa wielkopolskie powinny były, wziąwszy się z traktu na lewo, otoczyć Suczawę od wschodu i południa, województwa zaś małopolskie z ruskiemi, pójść w prawo i zająć pozycyje na północ i na zachód. Tak się też i zrobiło. Łatwiej jednak było rozporządzenie dać, aniżeli takowe wykonać. We względzie wykonania znalazło się tysiące przewidzianych, więcej zaś jeszcze nieprzewidzianych trudności i przeszkód, pochodzących głównie ztąd, że Stefan dla ar-

mii oblęgającej terenu nie przysposobił, natura zaś gruntu nie nadawała się do wygodnego rozłożenia. Dokoła murów gładko było, ale niedogodnie, z powodu że cała ta przestrzeń ostrzeliwać się dawala z łuków, z samopałów i harmat; dalej zaś grunt, to się garbił we wzgórza strome, to się rozpadał w jary głębokie, to był zanadto twardy, ówdzie zanadto miękki, tu nagi lub skalisty, gdzieindziej tarniną kolącą, krzewami ostu, wreszcie lasem porosły. Trudności też ogromnych doznawano na każdym niemal kroku. Gdzie koń przejść nie mógł, tam wozy prowadziś trzeba było, a nierzadko zdarzało się, że na miejsce wyznaczone dla województwa jednego przychodziło drugie, na piechotę właziła artyleryja, na artyleryją jazda, i t. d. Ztąd krzyki i wyzywania, brzmiące głosami męzkiemi i niewieściemi, i zmieniające się w szarpaniny, popychania, potrącania, w bójki na kułaki i w rozprawy orężne. Krew płynęła, łzy płynęły, rozsypywały się zęby, wypadały oczy, wyskakiwały guzy i sińce, padały nawet trupy, wytwarzały się nienawiści familijne i zawiści międzywojewódzkie. Drobna szlachta wielkopolska upatrywała despekt dla siebie w tem, że ją posłano na lewo, panów zaś małopolskich na prawo; małopolanie z swojej strony czuli się obrażonemi z tego względu, że stanowiska wielkopolan przylegały do okolic uprawnych, obfitujących w furaż dla koni i w artykuły pożywienia dla ludzi, znajdowały się przytem w większej połowie za rzeką, która im za osłonę służyła.

Ustawianie się na stanowiskach trwało do późna i nie zakończyło się dnia tego. Nazajutrz poszedł na to dzień cały. W dniu zaś następnym pokazało się, że linije obsaczenia posunąć należy w tył nieco, znajdowała się bowiem tak od murów warowni w punktach niektórych blisko, że kule działowe pomiędzy namioty wpadały. Ustawianie przeto znów się rozpoczęło i znów dzień cały zajęło. Koniec końcem, tydzień upłynął zanim się armija usadowiła należycie, przedstawiając narys koła wielkiego, prawie regularnego, opasującego sześciokąt nieregularny, biały, zębaty, utkany basztami i poznaczony strzelnicami, wewnątrz którego widzieć się dawały dachy domów, wieże kościołów i sztandarów kilka. Koło opasujące bieliło się gromadkami namiotów, które zdaleka miały łabędzi pozór, i odbijały niewinnie, tu na tle ciemnej zieleni lasów, tam wśród jasnego szmaragdu łąk, owdzie na czarnym gruncie ról.

W ustroniu, na wzgórzu, z którego widok obejmował Suczawę i większą połowę linii zajętej przez wojska polskie, w pobliżu tego lasu, w który się zanurzył Kapuziński ścigając rycerkę, wznosił się namiot królewski. Zdobiły go gałki złote, szlaki w zęby i sztandar państwowy. Poniżej nieco przestrzeń znaczną zalegały namioty dworzan królewskich i chorągwi dworskich, które dostarczały wart przy osobie monarchy. Opodal, w szałasach, mieściły się stajnie, po drugiej stronie kuchnie. Namiot królewski, nosząc nazwę namiotu, był w istocie domem płóciennym, obszernym i wygodnym, któremu nie brakowało na niczem. Płótno grube osłaniało od zmian powietrza, otwory u dołu i w górze utrzymywały chłód w dnie upalne, podziały wewnętrzne zapewniały spokojny spoczynek w nocy. Królewicz miał pokój swój, król swój; oddział środkowy tworzył izbę obszerną, w której za stołem pomieścić się mogło osób trzydzieści. W dwu izbach przyległych mieściły się szatnia i zbrojownia. Namiot przypierał do lasu bukowego, który pełnił funkcyją parku cienistego. Pod rosochatemi drzewami Jan Olbracht ustawić kazał ławy i ławeczki drewniane i na nich zażywał wczasu po trudach hetmaństwa, mającego nareszcie cel wyraźny przed sobą—zdobycie Suczawy.

Natychmiast po rozbiciu namiotów królewskich, a zatem przed usadowieniem się ostatecznem wojska oblegającego, król posłał miastu somacyją formalną z żądaniem otworzenia bram i ze zwyczajną w razach podobnych pogróżką surowego ukarania uporu. Somacyja wystosowaną była do wojewody Stefana. Odpowiedź na nią, udzielona przez perkałaba, brzmiała w treści jak następuje:

„Grozisz nam, królu, ukaraniem surowem w razie, jeślibyśmy ci miasta nie poddali; takiem samem ukaraniem zagroził nam Stefan-woda, w razie, gdybyśmy je poddali. Stefana-wody nie masz śród nas, zapowiedział nam jednak powrót swój i przepowiedział przyjście twoje z wojskiem mnogiem i z groźbami. Przepowiednia jego sprawdziła się, spodziewać się przeto należy, że się sprawdzi i zapowiedź. Zważ więc, królu, co nam czynić wypada? Kto na miejscu naszem nie czekałby na powrót Stefana-wody? Postanowiliśmy przeto czekać i prosić ciebie, o królu potężny, ażebyś odstąpił; a jeżelibyś prożby naszej nie wysłuchał, bronić miasta i Bogu się modlić. Albowiem napisano jest...“

Następowały cytaty z pisma świętego, bez których nie obchodził się w wieku owym żaden akt obleczony charakterem publicznym. Była to kopalnia, której skarby służyły zarówno stronom przeciwnym we wszelkich sporach. I somacyja zawierała w sobie cytat kilka wyjętych z kopalni pisma świętego.

Po załatwieniu tej formalności, nie pozostawało jak tylko przedsiębrać sposoby, zmierzające do dostania miasta siłą.

Jan Olbracht zgromadził wodzów na radę wojenną, na której, jak zwykle w razach podobnych, opinije się podzieliły Wystąpiło cztery do wyboru: szturm niezwłoczny, szturm przygotowany, oblężenie i obsaczenie. Jednogłośnie zgadzali się wszyscy na to, że z Suczawą trzeba się załatwić jak najrychlej, i dla tego dwa pierwszutrzymały się wnioski, z tych zaś pierwszy usunięty został z powodu podwójnego: raz, pociągał za sobą wielki krwi rozlew, powtóre, mógł się nie powieść i w takim razie wywołałby w wojsku nieukontentowanie niemałe. Postanowiono przeto bateryje ustawić, w murach wyłom zrobić i, gdy takowy dostatecznym się okaże, szturm przypuścić.

Od chwili, w której Bertold Szwarc wynalazek swój uczynił, upłynęło było z górą półtora wieku, i w przeciągu tego czasu broń palna znaczny w udoskonaleniu postęp zrobiła. Sposób zabijania bliźnich stanowił, po wszystkie wieki, przedmiot bardzo żywego zajęcia ludzi. Nowe narzędzie, niosące pocisk śmiertelny na odległość wielką, przyjęło się i rozpowszechniało, ale w jednym szczególnie kierunku. Zastępowało ono z korzyścią ciężkie i nieobrotne maszyny przekazane przez cywilizacyją starożytną, mianowicie zaś—taran i kuszę. Taran, używany do rozbijania murów i kusza, służąca do zabijania ludzi, znalazły się w armacie. Armata podwójną oddawała usługę. Była to już korzyść wielka, zwłaszcza że narzędzie to zużytkowywać było można, nie tylko przy obronie i dobywaniu twierdz, ale i w bojach w otwartem polu, a przytem, czyniąc zadość warunkowi celności i pozwalając się umniejszać we względzie rozmiarów, zapowiadało się, jako zasępca łuku. To atoli ostatnie zastępstwo przewidywać się dopiero dawało. Doskonalenie palnej broni szło powoli. Działa ukazały się w 1338—strzelano z nich kulami kamiennemi; kule żelazne wprowadzać poczęto przy końcu wieku XIV, i krok ten nowy na

drodze wydoskonalenia sprowadził wynalazek śmigownic (1410). Ze śmigownicy powstała strzelba ręczna (samopał, arkiebuz), która się pojawiła w siedmdziesiąt lat później (1480), ciężka i niezgrabna, opierana na koziołku i zapalana za pomocą lonta. Wynalazek kurka odnosi się do początku wieku XVI (1517), nie figurował więc jeszcze pod Suczawą.

Pod Suczawą, ze strony oblegających, rolę główną odgrywały harmaty, którym pomagały śmigownice i samopały. Oblężeni, ze swojej strony temi posługiwali się narzędziami, z tą wszakże różnicą, że śmigownice i samopały, trzymając przeciwników w oddaleniu, ważniejszą im usługę oddawały, aniżeli harmaty, które, z powodu nieruchomości swojej posyłały pociski na metę wprawdzie odległą, ale w punkta jedne zawsze i też same, i dla tego szkody nie sprawiały i przystępu do murów nie broniły.

Artyleryja polska miała za zadanie wyłom zrobić — wyłom w murze, w owym bowiem czasie siła rzutu kuli działowej nie była tak potężną, ażeby wymagać miała wałów ziemnych. Mury opierać się jej jeszcze mogły. Rowy służyły dla utrudnienia przystępu do takowych. Suczawa też, opasana murem i rowem, zaopatrzona w żywność i amunicyją, broniona przez załogę nietyle liczną ile waleczną, złożoną przeważnie z rzemieślników w fachu wojskowym — z wołochów, węgrów, bulgarów, czechów, szlązaków, etc. — znajdowała się w warunkach, dopuszczających bronienie się długie i skuteczne przeciwko armii, przyprowadzonej przez Jana Olbrachta. Zapominać nie należy, iż sztuka oblężnicza była jeszcze w pieluchach. Tak zwane paralelle i aprosze zaledwie przeczuwano, sposobu prowadzenia podkupów zdaleka jeszcze nie znano, a do zabezpieczenia przeciwko wycieczkom służyły tabory.

Wojsko polskie stało województwami w taborach, połączonych ze sobą łańcuchem wart, które trzymał lud pieszy. Dla rycerstwa wartowanie uważało się za poniżenie. Rycerze pod namiotami czas pędzili na zajęciach rozmaitych, na rozrywkach, na wypoczywaniu i na wyczekiwaniu chwili powołania. Tu zabawiano sią kuflem, tam w kości, ówdzie gawędką. Zgromadzali się po namiotach sąsiedzi i znajomi i rozprawiali *de publicis* z początku, *de quibusdam aliis* następnie. Tu podbijano świat, tam układano plany wojny, gdzieindziej

krytykowano prowadzenie kampanii. Krytyka wiodła się najlepiej, tak że, gdyby według niej sądzić, ile szlachciców, tyle byłoby wodzów zdolnych.

Dobrze czas upływał pod namiotami, zwłaszcza gdy nowa przybyła rozrywka: gdy po dniach kilku przygotowań bateryje na wzgórzach wzniesione ogień otworzyły. Stało się to o świtaniu. Wystrzał pierwszy zagrzmiał — w obozach wszystkich rycerze na równe pozrywali się nogi i przed namioty się wysypali. Pachołkowie konie posiodłali. Powszechném było przekonanie, że się bój rozpoczął.

Bój się rozpoczął, ale oblężniczy.

Bateryj było ośm, w każdej po dział cztery. Ustawiono je w sposób taki, ażeby bić warownią z czterech stron, w celu zrobienia wyłomów w czterech punktach, a to dla tego, ażeby przeciwnik nie domyślił się, które mianowicie miejsce upatrzoném zostało do szturmu. Po dwie więc bateryje strzelały w punkt jeden i niekiedy tak się zdarzało, że ośm wystrzałów padało na raz, zwykle zaś ogień szedł ustawicznie, huk nie ustawał, powietrze drgało od grzmotu ciągłego, który rozłożony na echa odbijał się od gór, od wąwozów i od lasów okolicznych.

— A co?.. — zapytywali szlachcice niewiast, co za niemi aż pod Suczawę przyciągnęły.

— Sądny dzień... — odpowiadały pytane.

Suczawa nie bywała jeszcze w opałach podobnych.

Król, który plan ataku sam ułożył, objeżdżał bateryje, badając skuteczność takowych, i dając instrukcyje stosowne. Po pierwszym objeździe, w dobrym wracał humorze i, gdy już blizko był namiotów królewskich, zoczył pana Czuryłę, który na prawem skrzydle linii namiotów chorągwi swojej na pieńku siedział. Obok pana Czuryły znajdował się pan Baltazar. Przypatrywali się dymom, które się układały w wianek obłoczny. Pan Czuryło był zamyślony. Pan Baltazar uwagi czynił.

— Ot i pioruny... — powiadał — istne pioruny!.. Trzask i grzmot... I czego to ludzie nie wymyślą!.. Że jednak w tem, co się harmaty tyczy, nieczysta być musi siła, to głowę bym dał... Ale, chybaż to już kres: coś dziwniejszego wymyslić nie sposób... Mój Boże... mój Boże... Trzęsienie ziemi... Mury Jerycho rozpa-

dły się od trąbienia: nie musiało być trąbienie to silniejszem od tego huku, od którego mury Suczawy rozpaść się muszą, nie licząc kul, które przecie coś znaczą... Toć to w uszach pęka...

W tej własnie chwili król z konia zsiadł. Pan Czuryło i pan Baltazar na powitanie jego powstali. Jan Olbracht odwrócił się, w bok ręką się wziął i przez chwilę w milczeniu okiem powodził po zadymionej okolicy. Wreszcie:

— Idzie... — odezwał się. Cóż myslisz, mości rotmistrzu, długo Suczawa bicie to wytrzyma?...

— Jak długo, nie wiem...— odparł zagabnięty. To pewna, iż nie wytrzyma w końcu — bylebyśmy wytrzymali my...

— Jakto?.. — zapytał król, jakby uwagą tą zafrasowany.

— Czy starczy nam czas?.. czy nie zabraknie nam prochów?..

Jan Olbracht, jakby zapytaniem tem zmięszany, oczami zamigotał i milczał przez czas jakiś; po chwili odchodząc, rzucił odpowiedź:

— Po prochy... poszlemy...

Rotmistrz wsunął pod kołpak palce i w głowę się podrapał. Pan Baltazar chrząknął i, pas na sobie poprawiwszy, mruczał pod nosem:

— Prochy... prochy... królewskie hetmaństwo... Ot — głośniej się odezwał — dobrze przynajmniej, żeśmy ludu nie natracili... W chorągwi naszej, ci co oberwali, już się wylizali, z wyjątkiem jednego Kołtuna...

Na wzmiankę o Kołtunie, rotmistrz poszedł powoli wzdłuż namiotów i, zatrzymując się przed jednym, zajrzał do środka.

We środku, na pościeli, złożonej z siana, wojłoków i siodła, leżał człek chory. U wnijścia drzemał wyrostek lat ośmnastu. Ten ostatni ocknął się i na nogi skoczył, gdy rotmistrz, głośno chrząknąwszy, zapytanie mu następujące zadał:

— No... i jakże?..

— A nic, miłościwy panie... jednako zawsze...

— Barwierz był?..

— Tylko co wyszedł... knot zapuszczał, parzył, zalanty odmienił, plastry poprzykładał...

— Jedzenia się napiera?..

— Barwierz kazał kontuzem zalewać, ale licho wie zkąd tu kontuza wziąść...

— W nocy spał?..

— Jak zabity, proszę miłości waszej...

— Mówi przytomnie?..

— Ba nie.... bredzi.... Wciąż mu na języku, to jakaś Maryna, to znów....

W tej chwili chory głowę podniósł, okiem po rotmistrzu i po pachołku powiódł, wpatrzył się w punkt jeden i rzucać począł wyrazy oderwane:

— Ty?.... ty znów?.... Salomea... salamandra....

— O!...—podchwycił pachołek — coś nowego... Dotychczas była Maryna, teraz Salomea...

— Zostawiłem cię w płomieniach... w płomie—e—niach... Płomień... ogień... trupy... trupy... sześć, ośm, dziesięć, szesnaście... dwadzieścia dwa... dwadzieścia dwa... dwadzieścia dwa, a ty, to dwadzieścia trzy...

— Nigdy jeszcze nie liczył... liczy poraz pierwszy...—zauważył pachołek.

— Rachunek jakiś na sumieniu mu ciąży...—rzekł rotmistrz do siebie.

— Trupy... dwadzieścia dwa, a ty... dwadzieścia trzy... Oh!... —westchnął chory i oczy zamknął.

Blade oblicze jego miało trupi pozór.

— Znów ona...—powiedział po cichu, i mówił coś dalej, ale ruszając jeno ustami bez wydawania głosu, jak to mówią niekiedy ludzie przez sen.

— Nie żądał jeszcze księdza?...—zapytał rotmistrz po chwili.

— Nie...—odpowiedział chłopak.

— Trzebaby poprosić kapelana chorągwianego, ażeby go odwiedził...—rzekł Czuryło sam do siebie.

Rotmistrz się oddalił i wkrótce po odejściu jego, pachołek, którego obowiązek zatrzymywał przy łożu pana chorego, wpadł w drzemkę poprzednią i oddawał się takowej tak długo, aż do namiotu wszedł przysłany zapewne przez rotmistrza ksiądz.

— Niech będzie pochwalony...—pozdrowił wchodzący.

— Na wieki wieków...—odrzekł pachołek.

Chory oczy otworzył, na księdza spojrzał i uśmiechnął się. Uśmiech jego, znamionujący przytomność umysłu, był drwiący. Ksiądz się zbliżył i, usiadając obok, zawiązał rozmowę, która wychodząc z ogródków, zmierzała do namówienia chorego do przygotowania się na drogę wieczności.

— Na drogę wieczności...—powtórzył chory, podchwytując kapłana ostatnie słowa.

— Pokarm ten nie zabija...—odparł tenże. Przeciwnie... jest on rękojmią życia... Przez ostrożność jednak...

— O!... przerwał chory — jam się zabezpieczył na przypadek wszelki...

— Nie zaszkodzi atoli sakramenta przyjąć....

— A nie zaszkodzi... pomimo—dodał z mocą—że się w drogę wieczności nie wybieram jeszcze... nie, ojcze wielebny...

— Wszelako... człek jest istotą ułomną... grzechy, grzeszki...—zaczął ksiądz—warto pozbywać się takowych, ile razy okazyja się zdarzy...

— Pozbyłem się już wszystkich, o!... wszystkich, powszednich i śmiertelnych... — odrzekł chory — oczyściłem się za przeszłość całą i zapewniłem sobie przebaczenie na przyszłość... Jestem tak czysty, tak czysty—dodał z akcentem ironii w głosie—że się mnie szatan boi...

— Szatan krąży około śmiertelnika zawsze...—podchwycił ksiądz, poznawszy iż ma do czynienia z człowiekiem, zaopatrzonym w indulgencyją plenarną.

— Odemnie jednak zdaleka się trzyma... Grzeszyć nie mogę, choćbym chciał...

— Wszelako...—zaczął z nim ksiądz, jąkając się nieco—zawsze tam... coś się znajdzie..., *in extremis*... dla pana Boga...

— Uiściłem podatki i zapłaciłem długi wszystkie z góry... Ale... —rzekł po chwilce namysłu—nie odwracam się od stołu pańskiego...

— Wierzysz, synu?...—zapytał kapelan.

— Albo co?...

— Poznaję, a raczej przeczuwam, że u waszmości dusza chora... Wiara wzmacnia i uzdrawia...

— Powiedz, ojcze: jest samotrzaskiem, uspokajającym duszę, gdy ją złapie... Wiem o tem, ale to do rzeczy nie należy... Nie o zdefinijowanie wiary chodzi, ale o nastawienie samotrzasku... Rób, ojcze wielebny, swoje...

Kapelan wezwał chłopca z dzwonkiem, czekającego przed namiotem, wyjął z węzełka komeszkę i stułę, włożył na siebie jedną i drugą i przystąpił do słuchania spowiedzi chorego. Grzesznik nie wiele snadź miał do wyznania, spowiedź bowiem odbyła się krótko. Ceremonija cała nad kwadrans się nie przeciągnęła. Dzwonek się ozwał i wszędzie dokoła namiotu, gdzie jeno głos onego doszedł, ludzie na kolana padali i w piersi się bili, powtarzając:

— Moja wina... moja wina... moja bardzo wielka wina...

Maciej Kołtun przyjął wiatyk na podróż wieczną.

Wszystkich to poruszyło. On jeden obojętnym pozostał. Pogrążył się w milczeniu, zamknął powieki i nad wieczorem usnął snem twardym, ukołysany niejako do takowego hukiem dział, który, po krótkim o południu przestanku, wzmógł się ku wieczorowi i trwał długo po słońca zachodzie, rozświecając co moment ciemność błyskami wystrzałów.

Maciej Kołtun spał.

W błyskawicznem oświetleniu ukazywała się postać jego na pościeli opończą przykryta, a obok niej postać niewieścia, na ziemi siedząca, na kolanach własnych łokciami oparta i w blade chorego oblicze wpatrzona. Tej ostatniej wyraz twarzy dawał się schwycić niekiedy. Uśmiechała się boleśnie, zresztą spokojna była i cicha. Zdawało się, jakby nad rycerzem czuwała. Oprócz nich dwojga, nie było w namiocie nikogo więcej. Chory oddychał zrazu ciężko; stopniowo jednak oddech jego stawał się coraz to swobodniejszy i równiejszy, tak, że w końcu spał już, jak sypia człek znajdujący się w stanie zdrowia normalnym. Nastąpiło to zapewne w skutek sfolgowania gorączki. Sen spokojny, uzdrawiający trwał tak długo, jak długo artyleryja strzelała. Huk ustał i chory się obudził—westchnął, chrząknął i:

— Wody...—przemówił.

Głos jego był cichy; w namiocie, z powodu że ustały błyski wystrzałów, ciemność zapanowała zupełna.

— Wody...—powtórzył.

Przy nim, nie słyszeć, ale czuć się dał ruch lekki, do ust chorego dotknął się krawędź czerepiany, Kołtun rękę wyciągnął, zdawało mu się jakby ręka jego otarła się o szatę niewieścią, ale palące go pragnienie nie dozwoliło mu zastanawiać się nad niczem; pochwycił dzbanek oburącz i pił, pił, pił. W ciągu picia nasunęło mu się do głowy zapytanie:

— Kto też mnie spragnionego napoił?...

Odrywając od ust próżny dzban, podał takowy ręką wyciągniętą. Ręka jego wyciągnęła się w próżnią. Powiódł nią dokoła—dokoła była próżnia. Zawołał:

— Kto tam?...

Odpowiedziało mu milczenie.

Zawołał na pachołka po imieniu i ucho nastawił. W ciemności panowała cisza; w namiocie oprócz niego nie było nikogo.

Niepokój jakiś nieopisany Kołtunem owładnął, trzymał go do rana i przywołał wzmożenie się gorączki, która się była ułagodziła.

O dnia switaniu huki wystrzałów z podwójną wznowiły się gwałtownością. Były bowiem podwójne w stosunku do wczorajszych. Milcząca wczoraj warownia ogień rozpoczęła. Suczawa pierwsza zaczepiła i zawiązała rozhowor grzmotowy.

## XV.

# WARUNKI.

Oblężenie Suczawy nie miało historyjografa swego: nie było więc tak szczęśliwem jak niektóre inne oblężenia, pomimo że dziejowe onego znaczenie nie blednieje bynajmniej wobec najsławniejszych—nie blednieje z tego względu, że, zdaniem naszem, stanowi ono punkt zwrotowy w losach narodu, który niemałoważną w historyi odegrał rolę. Punkt ten kronikarze w cieniu pozostawili. Mówiliśmy o tem powyżej i nie będziemy się powtarzali. Powiemy tylko, iż brak podań, odnoszących się do szczegółów oblężenia, nie pozwalając nam zatrzymywać się przy takowem długo, zmusza nas od treści dziejowej przejść do powieściowej i zaprosić czytelnika na świadka losów młodego Kapuzińskiego.

Zostawiliśmy go w lesie, ogłuszonego i z konia zwalonego. Byłaby to jego chwila ostatnia, gdyby nie rycerka. Eskortujący ją ludzie już się do dobijania go zabrali, gdy ta krzyknęła:

— Stójcie!...

I wyciągnęła nad młodzieńcem dłoń opiekuńczą, i przemówiła tonem rozkazu:

— Podnieść go ostrożnie i zabrać...

Natychmiast rozkaz spełniony został. Wsadzono nieprzytomnego jeszcze Ignacego na jego własnego konia, dwaj jezdce wzięli go

pomiędzy siebie i orszak ruszył lasem tak szybko, jak na to miejscowość pozwalała. Jechano bez drogi. Wkrótce po ruszeniu z miejsca potyczki, dzięki młodości i ruchowi, Ignacy do siebie przychodzić począł. Odzyskawszy przytomność, poznał, że jest jeńcem wojennym, pozbawionym oręża i pozostającym w otoczeniu. Dwaj jezdce towarzyszyli mu z boku, jeden jechał przed nim, drugi za nim, a na przodzie pomykała niewiasta z wdziękiem niewysłowionym na koniu siedząca.

Położenie jeńca wojennego było, w wieku XV, położeniem wielce drażliwem. Życie ludzkie nie wydawało się w czasach owych rzeczą tak szacowną jak dziś, i dla tego to, młody człowiek, jak tylko przytomność umysłu odzyskał, natychmiast zapytał siebie:

— Cóż teraz ze mną będzie?...

Zapytanie to powtórzył głośno, zwracając się do jednego z dwu najbliżej przy nim będących jezdców i nie otrzymał odpowiedzi żadnej. Zwrócił się do drugiego—toż samo. Zaklął więc w duchu, a następnie polecił się opiece Matki bożej i świętego Ignacego. Dla człowieka młodego, do którego życie uśmiecha się całą potęgą czarów i ponęt, śmierć nie ma powabów najmniejszych. Ignacemu przedstawiała się ona pod trojaką postacią: albo pod obuchem, albo pod nożem, albo też, o zgrozo! na sznurku. Ten ostatni obraz śmierci nasunął mu do myśli widok drzew, śród których przejeżdżał. Drzewa nastawiały konary, jakby umyślnie na to, ażeby na nich jeńca zostawić. Milczenie pytanych wydawało się mu złowrogiem, tem bardziej, że i miny ich nie wróżyły nic dobrego. Miny jakieś zakazane!—oblicza pokiereszowane, porozbijane—ten z nosem spłaszczonym, ów o jednem oku, inny z zębami na wierzchu z powodu wargi odciętej. Nie ludzie — bestyje raczej. Widok ich pobudzał młodzieńca do zastanawiania się nad losem własnym, do przebiegania w myśli krótkiego życia, którego droga od początku do tego momentu różami usłaną była. Stanęli mu na pamięci stryj, stryjenka, stary Głąb, ach! i Maryna—Maryna białoskórniczówna, z którą go serdeczny, bardzo serdeczny łączył stosunek, która mieszka na rogu ulicy i na odjezdnem powiedziała mu po cichu „kocham,“ a obiecała pocałować po powrocie z wojny.

— Och!... obiecała...— westchnął młodzieniec, poglądając na gałęzie i przywodząc sobie na pamięć koralowe usteczka, służące za schowankę dla pereł ząbków, pokazujących się zawsze w towarzystwie uśmiechu czarownego, wyciskającego dołki na policzkach i oblewającego oblicze Marysi urokiem nieopisanym.

Marysia była to sobie dziewczyna prosta, ale prześliczna—jasnowłosa, modrooka, a zalotna przez to, że miała lat siedmnaście i kochała Ignacego sercem całem, które od lalek i kwiatków skoczyło do kochanka. Ignacy odpłacał jej wzajemnością, a raczej, wzajemność w niej obudził i wywołał, miał ją przeto niejako na sumieniu. Przypomnienie więc o niej w tej chwili było pod pewnym względem obudzeniem się sumienia. Stanęła mu w oczach śmierć i wraz z nią stanęła mu w oczach Marysia. Do tej chwili, ani mu przez myśl przeszło, ażeby z wojny nie powrócić miał. Obecnie kwestyja ta przedstawiła się mu w całej szkaradzie konania na powrozie.

— Cóż ona?... cóż ona?...—począł zapytania zadawać sobie. Cóż się stanie z nią biedaczką?...

Rzewność go dziwna opanowała. Żal mu się zrobiło losu Marysi, następnie zaś wydało się mu, że los Marysi zasługuje przecie na jakieś u Opatrzności względy. I wydało się mu, że to niepodobna, ażeby on zginąć miał tak marnie.

— Stryj, stryjenka, Głąb, Marysia... ich aż czworo!...

Oznaczało to, że zadawanie boleści czworgu ludziom byłoby to krzywdą za wielką.

Przypomiał sobie, że stryj dał wotum do ołtarza św. Ignacego; przypomiał sobie, iż stryjenka podjęła się pościć środy na intencyją jego; przypomniał sobie, że stary czeladnik zobowiązał się co niedziela krzyżem leżeć przed ołtarzem wielkim; przypomniał sobie że Marysia zapowiedziała, iż oczy by, gdyby on nie wrócił, wypłakała.

Zapowiedź ta szczególnie otuchą go natchnęła.

— Takie śliczne oczy... wypłakałaby!...

Nadzieja mu do serca wstąpiła. Odmawiać począł po cichu: Ojcze nasz i Zdrowaś. W czasie owym, kto nie umiał po łacinie, nie miał modlitw dużo na rozporządzenie swoje. Modlono się krótko, ale gorąco. Nabożni namagali pacierzami, odmawianemi pod rachubą na paciorkach. Nasz Ignacy nabożnym nie był. Wyrecyto-

wał więc raz jeden i drugi modlitwę pańską, westchnął z głębi serca i uczuł się niejako bezpieczniejszym.

— No teraz...—rzekł do siebie.

Wydało się mu, jakby się znajdował pod puklerzem, którym go osłania Ojciec co jest w niebie. Westchnął jednak, pomyślawszy, iż obok puklerza tego wielceby mu przydatnym był miecz, czekan, oszczep i łuk. Pomyślawszy o tem, ważyć począł w myśli szanse ratunku i układać sposoby. Począł się wreszcie i oglądać, ażali nie udałoby mu się rzucić w bok, uskoczyć i uciec, albo też dorwać się do jakiego obucha, do jakiej kłody lub kamienia. Na drodze rozmyślań tych tak zaszedł daleko, że czuł się uzbrojonym na sposób rycerzy pierwotnych.

Wprędce jednak nowe nastąpiło rozbrojenie.

Stało się to w wąwozie nad strumieniem i w sposób niespodziany dla młodzieńca naszego. Rycerka spojrzała na niego.

Spojrzała i rozbroiła.

Co za oczy!...

Co za spojrzenie!...

Co za porównanie z oczami tamtej Maryny!

Tamto oczęta, a to oczy.

Gwiazdy zgasły, słońce zeszło. Jutrzenka — w pamięci, dodać pospieszamy—pierzchała w obec blasku, który młodzieńca nagle zaczarował, spływając nań z pod hełmu złocistego, z pod brwi w łuki czarne wygiętych, z poza rzęs, za któremi żarzył się i palił i iskrzył. Ignacy stanął osłupiały.

Mógłby tentować ucieczki—nie próbował nawet; pod ręką miał kamień, schylić się poń trzeba było tylko — nie schylał się. Oczy czarne urzekły go.

Eskorta na wypoczynęk się zatrzymała. Rycerka głosem surowym wydała rozkazy i sama odszedłszy na stronę nieco, przylegla w cieniu. Zdjęła hełm z głowy. Warkocze czarne z kruczym połyskiem, uwolnione z żelaznego ucisku, spadły na ramiona.

Ignacy od widowiska tego oczów oderwać nie mógł.

Nieznajoma wydała się mu znajomą. Widział ją już—gdzie?—nie trudno było przypomnieć sobie. Bez trudu też domyślił się, jakie go czeka więzienie. Stanął mu w pamięci niedawno oglądany

domek oparkaniony, ganek ozieleniony i obraz, jaki się na zamku tym oczom jego przedstawił. Ani wątpił, iż się znajduje w rękach małżonki Kierdeniego.

Wypoczynek trwał krótko. Ludzie się posilili, konie obrok zjadły, ze strumienia się napiły. I w dalszą ruszyły drogę, pospieszając wciąż lasami. Słońce zaszło, jechano jeszcze. Ciemno już było, choć oko wykól, kiedy słyszeć się dało psów szczekanie.

Po nocy, na dobrą—jak to powiadają—sprawę, Ignacy mógłby ucieczki próbować. Mógłby z konia się zsunąć, pomiędzy drzewa skoczyć i niechby go szukali. Pieszemu w lesie łatwiej, aniżeli konnym, którym ciasnota drogi często przeszkadzała blisko się trzymać obok niego. Ale, jakoś mu to na myśl nie przychodziło. Jadąca przodem rycerka pochłaniała uwagę jego, i to tem bardziej, im się mu ukazywała niewyraźniej. Cienie urok jej potęgowały. Fantazyja trzymała młodzieńca na śladach niewiasty, czyniąc z niego cień jej. Jechał i jechał, jakby go magnetyczna przyciągała siła; potrącał jeno konia, ażeby się jaknajbliżej od niej znajdować. Coś mu się po głowie niby w sennem snuło widzeniu. W pomroku nocnym postać kobiety olbrzymiała niejako.

Róg zabrzmiał, wrota zaskrzypiały, światło kagańca smolnego jasny rzucało blask, oświecając wnętrze podwórca, które Ignacy widział zdaleka.

Rycerka zatrzymała konia przed gankiem ochmielonym.

Na spotkanie jej wybiegło kobiet trzy i dziad jeden.

Jeden z eskorty z konia zeskoczył i do zsiadania jej pomagał; trzej inni, otaczając Ignacego, zatrzymali się opodal nieco.

Ignacy zasłyszał rozmową następującą:

— Ach!.. o!.. pani miłościwa!.. z powrotem?.. — odezwała się z kobiet jedna.

— Nie mogłam się przedostać... Druga wojskiem zastąpiona... Suczawa oblężona...—była rycerki odpowiedź.

— Boże mój miłosierny!... Główko-ż moja biedna!... Toć on chyba ze świata się spędzi!...

— Dam mu znać...—odrzekła rycerka od niechcenia i, głos podnosząc, dodała, zwracając mowę do ludzi pilnujących Ignacego: Jeńca osadzić w głuchej, zamknąć i klucz mnie wręczyć...

Powiedziała to tonem rozkazującym i znikła w głębi domu. Po odejściu jej zgasło światło kagańca, poczem nastąpiła ciemność zupełna. Z wartowników jeden ujął Ignacego za ramię i poprowadził przez ciemne sieni, przez krótki korytarz, do drzwi, przez które go do ciemnej wepchnął izby. Klucz w zamku zgrzytnął. Młody człowiek pozostał sam w pierwszem w życiu więzieniu. Wrażenie jakiego z tej racyi doznał, było dziwnem. Nie umiał sobie sprawy zdać. Nie wiedział co myśleć. Nie umiał nawet dla położenia swego odpowiedniej znaleść nazwy. Więzienie li to?... nie więzienie?... Przypuszczać należy, iż ptak, który w samotrzask wpadnie, podobnego wrażenia doznawać musi. Pierwszem poruszeniem jego była niecierpliwość, która się w ten wyraziła sposób, iż natychmiast po zamknięciu, zwrócił się na miejscu do drzwi z zamiarem wywalenia takowych. Zamiar ten atoli spełzł na niczem, a to dla tego, że do drzwi trafić nie mógł. Obmacał ścianę całą.

— Ki dyjabeł!...

Czyniąc poszukiwania za drzwiami, obszedł izbę do koła i znalazł ściany nagie, a pod ścianami pustki.

— Ki dyjabeł!...—powtórzył—przecież okno być musi...

Na wysokość człowieka okna nie było. Podniósł rękę do góry i, wodząc po ścianach dłonią, natrafił na otwór, który oknem być musiał. W otworze tym namacał kraty żelazne grube, a za kratami okienicę zamkniętą. W oknie szyb nie było, ani ram na takowe. Obmacując kraty, doszedł, że okienica zamykała się wewnątrz i to na sposób pierwotny, za pomocą sznurka uwiązanego do krat. Oderwał sznurek, pchnął deski i ujrzał niebo nad sobą, a na niebie gwiazd dużo. Od gwiazd do wnętrza dostało się światła nieco, które przyzwyczajonemu do ciemności oku pozwoliło rozpatrzeć się w izbie. Obejrzał się. Odkrycia nie zrobił żadnego, z wyjątkiem tego chyba tylko, że nie było na czem ani usiąść, ani się położyć, drzwi zaś, drzwi których poszukiwał, nie istniały, albo raczej, ponieważ wnijście istnieć musiało, zamaskowane być musiały w ścianie oknu, jak mu się zdawało, przeciwległej.

— Ha!...—odezwał się i głową wstrząsnął.

Po głowie kręciły mu się myśli różne bez ładu i związku. Wyobraźnia też działała. Postać rycerki unosiła się przed oczami jego,

niby w tańcu powietrznym. Postać Marysi ukazywała mu się także. Nie należy ztąd atoli źle o sercu młodzieńca trzymać, przypisując mu niestałość uczuć. Nie zachodziło nic podobnego. Rycerka przedstawiała się mu, jako istota osobliwa — podziwiał ją; Marysię kochał. Podziw kochania nie wyklucza, w tym zaś razie—ponieważ przedmiotem onego była niewiasta, która go pod zamknięciem miała—to sprawiał, że w sercę jego wlewał ufność, otuchę, nadzieję wydobycia się z położenia draźliwego, bez nadwerężenia zdrowia i czci. Nadzieja ta przyświecała mu w ciemności i dzwoniła w ciszy.

Bo też cisza panowała dokoła—cisza absolutna, co się tyczy głosów ludzkich, które Ignacy radby uchem zachwycić. Co się bowiem tyczy głosów innych, na tych nię zbywało. Te atoli młodzieńca nie obchodziły wcale, nie zważał na nie, tak dalece, że nie słyszał, ani szumu pododnego do łoskotu wody na łotokach, ani naszczekiwania psów odbywających straż nocną, ani trąbienia wilków, żałośnie odzywających się w ostępach leśnych. Tego wszystkiego nie słyszał, pomimo że słuch wytężał. Woda szumiała, psy szczekały, wilki wyły, Ignacy po izbie chodził powoli i ucho nastawiał, pragnąc ułowić dźwięk jeden mowy człowieczej. Napróżno jednak.

— W domu tym ludzie przecież mieszkają... — mówił sam do siebie. Widziałem ich .. Noc wprawdzie, ale tylko co przybyła ona.. Ani ona, ani służba tak prędko posnąć nie mogła...

Czynił sobie uwagi, te i tym podobne, wsłuchiwał się i czekał. Na oczekiwaniu zeszło mu czasu sporo, aż uczuł znużenie wielkie. Chciał najprzód usiąść — nie było na czem. Opierał się łokciem o ścianę na przeciw okna i w gwiazdy się wpatrywał. W ten sposób oszukiwał znużenie własne; sposób ten atoli nie mógł służyć długo. Ciężar dośrodkowy ciągnął go w dół. Kolana się pod nim uginały. Przysiadł na podłodze, następnie usiadł i głowę na dłoniach oparł, w końcu pochylił się, potęga jakaś nieprzeparta gniotła go z góry; ani się spostrzegł jak się wyciągnął i snem kamiennym zasnął.

I śniły mu się dziwa różne, ale nie to, co w czasie kiedy spał przy nim się działo.

A działa się rzecz taka. W jednym z kątów izby zrobiła się szpara i przez szparę tę wcisnął się smug światła, który posuwał się

przez chwilę po ścianach, suficie i podłodze i zatrzymał się w końcu na nim. Tam zkąd smug ten wychodził, błyszczało oko ludzkie. I oko się na nim zatrzymało. W chwilę później szpara się powiększyła—powiększyła się do tego stopnia, że wcisnęła się w nią postać niewieścia. Wsunęła się i odstąpiła w bok wzdłuż ściany, która się niejako złamała. Za pierwszą niewiastą weszła druga, za drugą trzecia, obie obarczone: druga niosła przed sobą zwój wielki pościeli, trzecia miała w ręku kobiałkę, z której wyglądały szyjki butelek i rozchodziła się woń świeżego pieczywa. Pierwsza skinęła, druga i trzecia położyły na podłodze ostrożnie zwój i kobiałkę i na palcach się wyniosły. Ta co pozostała zbliżyła się do leżącego na wznak, a sapiącego potężnie młodziana, popatrzała na niego przez chwilę, uśmiechnęła się i odeszła.

Nie będziemy opisywali zdumnienia Ignacego, gdy nazajutrz, obudziwszy się, ujrzał na podorędziu pościel i jadło. Zdumiał się, ale ani się zastanawiał, ani pytał, westchnął jeno, przeżegnał się i do kobiałki zajrzał. Znalazł w takowej: kurę pieczoną, chleb, ser, owoce i wino.

— No...—rzekł do siebie.

W chwilkę później, z kury kości pozostały, w butelkach zrobiła się próżnia.

I wówczas dopiero pomyślał sobie:

— Zkąd się to wzięło?...

Pomyślał, do pościeli się przysunął, poduszkę łokciem potrącił, siennik poprawił, położył się w zamiarze rozmyślania i powtórnie zasnął.

W czasie powtórnego jego snu, znów się w kącie izby szpara stała, znów się przez szparę tę niewiasta wsunęła i kobiałkę zabrała, a na miejscu takowej postawiła chleba czarnego bochenek i dzban z wodą.

Ignacego, gdy się poraz wtóry obudził, nowe opanowało zdumienie. Oglądał się dokoła i brwi marszczył.

— Była tu kobiałka... gdzież ona?... Ha, chyba że mi się śniło... Jadłem przecie, piłem... piłem wino jakieś pachnące... Hm?... chyba że mi się to wszystko śniło... Ten chleb?...—wziął bochenek do rę-

ki—ph... W dzbanie... woda?... ph... A pościel?... wczora pościeli nie było... Zkąd się ona tu wzięła?...

Wstał, wyciągnął się, ziewnął i westchnął. Chciałby wyjrzeć przez okno, w okolicy się rozpatrzeć, lecz sposobu nie było. Myśląc jednak o okolicy, zwrócił poraz pierwszy uwagę na szum wody i odezwał się tonem pytającym:

— Młyn?... hm?...

I wnet sobie odpowiedział:

— Do młyna byłaby droga, tu zaś drogi żadnej...—tu dodał po chwili—głusz taka!... prawdziwie, za górami, za lasami... I zachciało się w głuszy takiej zamieszkiwać!...

Pomilczał czas jakiś, nągle zapytał:

— Cóż, jeżeli zechce mnie tu trzymać i trzymać do dnia sądnego?... trzymać o chlebie i wodzie?...

Spojrzał na dzbanek i przypomiał sobie kobiałkę, kurę pieczoną i wino.

— Hm...—i ramionami ścisnął.

Byłby zaniechał tworzenia domysłów, gdyby nie to, że nic innego do czynienia nie miał. Domysłami przeto, przypuszczeniami, rozmyślaniem i fantazyjowaniem zabijał czas, który mu w samotności wlókł się leniwie, napełniając go to nadzieją, to trwogą, to rozpaczą zresztą. Rozpacz ogarnęła go wieczorem, kiedy po dniu całym oczekiwania, nie widząc najmniejszej w losie zmiany, przyszło mu do głowy zapytanie:

— I póki tego będzie?...

Więzienie jego, acz pięć kroków w kwadrat mające i w pościel zaopatrzone, wiele miało do grobu podobieństwa. Podobieństwo to nadawała mu szczególnie ta okoliczność, iż głos ludzki tu nie dochodził. Ignacy usnął przy szumie wody, przy wilków wyciu i przy psów naszczekiwaniu.

Nazajutrz powtórzyło się to samo, z tą jeno różnicą, iż kobiałka z kurą i winem nawet się mu nie przyśniła.

I dzień trzeci upłynął tak samo.

Za pożywienie miał Ignacy chleb i wodę, dostarczane w sposób zagadkowy.

Upłynął jeszcze dzień czwarty i piąty i szósty, upłynął tydzień

cały, w ciągu którego całą młodzieńca rozrywką było słuchanie szumu wody we dnie, szumu wody, wycia wilków i naszczekiwania psów w nocy. W ciągu drugiego tygodnia zafrasowała go rzecz jedna. Nocy pewnej zabrakło psów szczekania. Zastanowiło go to i przykrość mu sprawiło.

— Na Boga!...—zawołał—gdzież psy?...

Przez noc tę całą i przez następną i znów przez następną, wilki jeno wyły i woda szumiała.

Nudy w zamknięciu były straszliwe. Młody człowiek na rozmaite brał się sposoby, w celu rozegnania takowych. Kreślił rysunki różne na ścianie, do czego za narzędzie służył mu paznogieć; śpiewał; chodził po izbie; z chleba figurki lepił; z pościeli budynki stawiał; koziołki na podłodze wywracał; wreszcie za kratę ręką się imał, podnosił i tak długo póki mu ramie nie zemdlało w okolicy się rozpatrywał. Była to jedna z najmilszych jego rozrywek. Wyglądał na świat boży, pomimo że na świecie tym nic innego widzieć nie mógł, jak tylko bok góry, z wierzchu lasem porosłej, a spodem kamieniami najeżonej i urwistej. Widok ten naprowadzał go na domysł, że więzienie jego nad urwiskiem się wznosi, nad urwiskiem na dnie którego toczyć się musi potok górski.

Domysł ten odpowiadał rzeczywistości. Dom tylną stroną wychodził na urwisko, izba zaś o jednem okienku tworzyła kwadrat wyskakujący, któremu za podstawę służyła skała prostopadła na kilkanaście stóp wysoka i w wodach potoku stopy swoje kąpiąca. Nurt potoku załamywał się w tym miejscu w łuk i spadał kaskadą. Ztąd ten szum ustawiczny, który Ignacemu dniem i nocą przygrywał. Na brzegu sterczały kamienie rozrzucone w nieładzie, maskując przejście do groty, która się pod górę zagłębiała w taki sposób, że podejrzywać można było, iż się z domem pod ziemią komunikuje. Front domu wychodził na podwórzec obszerny częstokołem otoczony i przedstawiał się uroczo pod osłoną z chmielu, z poza którego wyglądały okienka jasne, ale w kraty zaopatrzone, co bynajmniej nie raziło, w wieku bowiem owym, w którym bezpieczeństwo osobiste ludzi i bezpieczeństwo ich mienia wystawionemi były na próby niespodziane, budowano się w celu podwójnym: mieszkania i pogotowia do obrony. Z poza splotów chmielu więc wyglądały okienka, a przez

nie dostawało się światło do izb, których urządzenie wewnętrzne i umeblowanie znamionowało przepych jaknajwiększy. Nie był to przepych dzisiejszy, łączący smak i wygodę. We względzie smaku mianowicie brakowało mu wiele: zastępowało go bogactwo, występujące pod postacią tkanin wschodnich, okrywających sprzęty, i naczyń, służących do użytku podręcznego. Gdzie się było zwrócić, wszędzie oko padało na kobierce perskie, na adamaszki, tyftyki, materyje jedwabne złotem przerabiane, na srebra rzeźbione, na złoto polerowane, na kryształy i kamienie drogie, na zbytkowność, słowem, przebijającą się we wszystkiem. Zbytkiem atoli odznaczała się jedna szczególnie izba—komnata, której pozór zdradzał przybytek niewieści. Tam dopiero warto było przypatrywać się kobiercom i jedwabiom! Tam dopiero dyszała rozkosz w pełni całej! Pod jedną ze ścian stało łoże firankami osłonione, podłogę zaścielały kobierce, na ścianach wisiały zwierciadła, na stolikach z kosztownych naczyń rozchodziły się wonie subtelne, w kątach ustawione były dywany miękkie do spoczywania i dumania. Wchodu do przybytku tego broniły drzwi dębowe, grube i mocno kute, a zamykające się ze środka na zasuwę żelazną, zdolną najsilniejszy odeprzeć napór.

Drzwi te, takie twarde, tak żelazem osnute, nie licowały z miękkością rozkoszną, jaką komnata dyszała. Stanowiło to kontrast uderzający. Pomiędzy żelazem a puchami zachodziła sprzeczność, która w podziw wprawiała i kazała się domyślać zagadki jakiejś, do komnaty tej przywiązanej.

Komnata rzeczona taką miała minę, jakby stanowiła schron w schronie—pytanie: dla kogo?

Na pytanie to odpowiedź łatwa. Zamieszkiwała w niej Maryna, owa sławna Maryna, która, Czurylanką jeszcze będąc, zawracała głowy wszystkim, co się zbliżali do niej.

Ona to uwiła sobie gniazdko takie.

Ona to była rycerką ową, co Ignacego do niewoli wzięła.

Historyja jej jest nam po części znaną, po części zaś wytłómaczyć się da historyją królowej lidyjskiej pamiętnej zmienieniem w prządkę Herkulesa. Różnica cała w tem, że Omfalija królową była i we względzie widoków ambitnych nic jej do życzenia nie pozostawało, ambicyja zaś Maryny miąła przed sobą całe, że się tak wyrazimy,

do przepłynięcia morze. Chciało się jej wielkości i wzięła sobie Kierdeniego za narzędzie takowej. Oparła się na Herkulesie, na maczudze, na podstawie mogącej być bardzo silną, albo bardzo kruchą. Hart onej zależał od sposobu zażycia jej. Kierdeni należał do tego rodzaju ludzi, co to niby wosk, zalepiać się daje, na lwa, na baranka, na gołąbka, na bohatera, na zbrodniarza, na anioła, na szatana, na co bądź, ale nie przez kogobądź. Najlepiej do fasonowania ludzi podobnych nadają się rączęta delikatne takich jak Maryna niewiast—niewiast wyższych, jaką właśnie była wdowa Omfalija—lubujących się w igranie z ogniem, z nożem i z drapieżnemi zwierzęty, nadewszystko zaś z Herkulesami, do których się uśmiechają ponętnie, których po głowie aksamitną dłonią głaszczą, których jednak jednem słowem, jednem spojrzeniem, skinieniem na uwięzi trzymają, a to ich słowo, spojrzenie, skinienie potężniejszem jest aniżeli łańcuchy najgrubsze, aniżeli sztaby żelazne. W igraszce tego rodzaju potrzebnem jest wędzidło do omunsztuczenia Herkulesa. Funkcyją wędzidła pełni obietnica—przynęta zdala ukazywana a opatrzona warunkiem, którego dopełnienie w takiej występuje konieczności, jak powietrze, bez którego człowiek żyć nie może.

Warunek postawiony przez Omfaliją—był to motek przędzy.

Warunek postawiony przez Marynę—był to kołpak książęcy.

Obietnica, jaką była, o tem mówić nie potrzeba. Na wszystkie Kierdeniego prośby, błagania, zaklinania, klękania, rąk składania, zębów zgrzytania, ócz zawracania, na wszelkie pogróżki, zapędy i pięści podnoszenia, miała uśmiech słodki, uroczy, zawsze jednakowy, a zawsze ponęt nowych pełen; na zapytanie zaś:

— Czyż ty mnie kochasz, Maryno?...—odpowiadała:

— Kocham ciebie...—i po przestanku dodawała: Lajoszu-wodo...

Warunek *sine qua non* stał, opromieniony ponętami, od których krew Kierdeniego kipiątkiem wrzała, stał niewzruszony i na drzwi kute zamknięty. Pod drzwiami temi ileż to razy hetman zębami dzwonił, skowyczał, pięści sobie do krwi gryzł i potęgi ramion próbował!—wołając:

— Otwórz!... łeb sobie o skały roztrzaskam!...

— Na cóż masz łeb roztrzaskiwać, Lajoszu kochany!... Na cóż

masz mnie w smutku i rozpaczy pogrążać!... odzywał się głos srebrzysty z po za drzwi.

— I cóż ja pocznę, nieszczęśliwy!

— Co masz począć?... ty... mąż!... ty... rycerz!...

Frazesów powyższych kilka, jestto esencyja rozmów, jakie w domku ochmielonym toczyli pomiędzy sobą małżonek i małżonka. Pokazuje się z tego, że byli to małżonkowie, których małżeństwo zależało od intercyzy ściśle opisanej. Zdarzają się małżeństwa podobne, w czasach nawet naszych. Gdy jedna strona i druga strona ma siebie jeno na względzie, wypadki tego rodzaju przychodzą same przez się. Maryna wyzyskać zamierzyła Lajosza, Lajosz wyzyskać pragnął Marynę: przewaga pozostać musiała po tej stronie, która lepiej rzeczy brała na rozum, a która nie była stroną Lajosza.

Lajosz jednak nie był tak dalece na umyśle upośledzony, ażeby rozumieć nie miał, że awanturnictwo jest sztuką, mającą pewne reguły, dokładnie określone. Pomiędzy regułami temi miejsce najpryncypalniejsze zajmuje ta, wedle której obala się człowieka wysokie zajmującego stanowisko, w celu wprowadzenia na stanowisko to siebie. Na to jest sposobów kilka, najpewniejszy jednak polega na tem, ażeby działać za pomocą bądź przyjaźni, bądź służby. Przyjaźń i służba najlepiej się nadają do obalenia mocarza.

Kierdeni był Stefana Wody sługą i przyjacielem.

Obalenie hospodara było zamiarem, powziętym jeszcze w zamku u źródeł Dniestru.

Zamiar ten atoli w chwili wymówienia onego (patrz powieści niniejszej, rozdz. VIII), znajdował się w stanie ziarnka gorczycy zapadłego w rolę. I w stanie tym pozostawał długo. Kierdeni z leśnego swego Eldorado często się udawał do Suczawy i powracał ztamtąd wciąż Kierdenim, sługą i przyjacielem hospodara, przywożącym podarunki drogie, pomiędzy któremi jednak nie było mitry książęcej. Nieobecność tej ostatniej wywoływała ze strony Maryny długie, na poły zdziwione, na poły pytające spojrzenie.

Hetman odpowiadał:

— Nie pora jeszcze...

A kiedyż pora przyjdzie nareszcie?...—zawołała razu pewnego.

— Tak bardzo zachciewa się tobie *domną* zostać!...—rzekł Kierdeni tonem wyrzutu.

— Nie... nie to, tylko... ale...—tu głębokie w oczach Kierdeniego utopiła spojrzenie—ale... rycerzu...—dokończyła z naciskiem—kocham ciebie...

— Ah!...— stęknął hetman.

— Czemuż pory nie sprowadzasz, o Lajoszu mój...

— Czekam na okazyją...

Jakoż razu pewnego — wówczas właśnie kiedy Kołtun i młody Kapuziński, z Suczawy do Lwowa wracając, dom w lesie znaleźli i z po za drzew się przypatrywali — przyjechał Kierdeni i powitał Marynę na ganku okrzykiem:

— Okazyja!...

— Okazyja!...—powtórzyła piękna niewiasta.

— Jan Olbracht idzie z wojną na Stefana-wodę... Wojna... burzy... w gruzy wali... Ja... — tu się dłonią po piersiach uderzył—na gruzach postawię tron...

— O, mój luby!...—zawołała Maryna.

On rozpowiadał:

— Wojna i burzy i buduje... jednego wali, drugiego podnosi..

Tłómaczył słowami i giestami.

Maryna dłoń mu na ramieniu położyła, przytuliła się do niego twarzą i w oczy mu patrzała.

Tęn to obraz, za drzewami ukryci, oglądali Kołtun i Kapuziński.

Kierdeni powiadał:

— Stefan ufa mi, jak samemu sobie... ufa... Rzuca królowi polskiemu na przynętę Suczawę i mnie bronienie grodu powierza, sam zaś w polu się trzymać będzie... Znam ja lachów w otwartem polu... ho ho!... Kpy do zdobywania warowni, w polu wichrem suną... druzgocą... łomocą... Wołosi im nie poradzą. Będę więc grodu bronił póty, póki oni Stefana-wody w puch nie rozbiją, a wówczas...

Dokończył giestem.

— O, Lajoszu mój! brońże ty grodu... — westchnęła niewiasta, dłoń z ramienia rycerza zdejmując.

Westchnienie to omusnęło Kierdeniemu wąsy i rozpłynęło się w powietrzu, niby dźwięk w próżni. Zadzwoniło w niem niedowierzanie.

## XVI.

# S I E C I.

---

Marynę opanowało rozczarowanie. Jestto otchłań. W otchłań tę wpada najmniej dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć ambicyj na milijon. Inaczej, z milijona podążających ku wzniosłemu jakiemu celowi, jedna zaledwie do takowego dochodzi, reszta zaś pozostaje w drodze z połamanemi skrzydłami. Coś podobnego wydarzyło się pięknej eksstarościance, tylko że ona była — jak to zaznaczyliśmy powyżej—„niewiastą wyższą,“ i dla tego posiadając położenia własnego świadomość, nie rozpaczała wzorem istot zwyczajnych.

— Oszukałam się...—powiedziała sobie.

Powiedziała to tonem tego spokoju naturalnego, z jakim bankier w domu gry wygłasza przegraną grubej stawki, ufny w potęgę kapitału bankowego.

I ona posiadała kapitał, który ją ufnością napełniał.

Oszukała się: więc zdjęła dłoń z ramienia rycerza, westchnęła i rzekła:

— To dobrze...

Wyrazu tego znaczenie zawierało się całkowicie w tonie, który tak delikatnym wyraził się dźwiękiem, że Kierdeni nie schwycił onego uchem, przywykłem do dźwięków twardych. Odezwał się więc:

— O luba!... a zatem!.. obietnica?...

W odezwaniu się tem dźwięczało zapytanie błagalne.

— Ziści się...—odparła Maryna poważnie. Zależy to od ciebie samego...

— Lis i lew...—rzekł rycerz na wpół do siebie. Lisem i lwem jest Stefan dla wszystkich z wyjątkiem mnie jednego, ja będę lisem i lwem dla niego i dla wszystkich.....

— I dla mnie?...—zapytała niewiasta.

— Dla ciebie?... o!... dla ciebie?...

Spokorniał jak baranek.

— Dla ciebie będę, czem zechcesz... Ty dla mnie jesteś wszystkiem... Tyś dla mnie na ziemi jedna, jak jednym jest Bóg na niebie...

Kląć począł straszliwie po węgiersku.

Maryna w chwilowe wpadła zadumanie, poczem odezwała się nagle:

— Rozpowiedź-że mi, jak to tam będzie?...

— Hę?...—zagabnął węgier, niezrozumiawszy zapytania.

— Bronić masz Suczawy?...

— No tak... Ja będę bronił, a wojewoda będzie się w polu trzymał...

— To znaczy, że jest nadzieja, iż lachy gród obsaczą...

— Jest ta nadzieja...

— A jeżeli nie obsaczą?...

— E...—zaczął rycerz i zaciął się. Jeżeli nie obsaczą... no... to... to... Ale—zapytał nagle—do czego zmierza pytanie twoje?...

— Do tego, co mam ze sobą zrobić...

— Przeniesiesz się ze mną do Suczawy...

— Jeżeli lachy gród obsaczą... Jeżeli jednak nie obsaczą, wolę pozostać tu...

— Po—zo—stać...—powtórzył rycerz machinalnie.

— Boć, jeżeli nie obsaczą, to pozostają te same powody, dla których osiedliliśmy się nie w stolicy, lecz w tem ustroniu... Wojewoda, wojewodzic...

— Wojewodzic!...—podchwycił Kierdeni. O!... tego ja się nie obawiam... Jednooki, czarny, hydki, nikczemny... Od tego, gdyby

się do ciebie zbliżył, odskoczyłabyś, jak od tąrantuli, albo jak od padalca.

Maryna uśmiechnęła się ironicznie.

— Tego ja się nie obawiam!... Tego ja bym w garści zgniótł!... —wykrzykiwał, wyciągając dłoń szeroką—i gdyby tacy jeno na świecie byli, to nie miałbym powodu najmniejszego kryć się z tobą w głuszy leśnej przed oczami ludzkiemi...

Niewiasta głową pokiwała i tonem wyrzutu z przymileniem rzekła:

— Nie ufasz mi...

— Nie to, ale... ale, ty musiałbyś, będąc w stolicy, do ludzi się wdzięczyć, uśmiechać, a każdy uśmiech twój, każdy twój uśmiech, któryby nie do mnie szedł, byłby wbijającym się mi w serce sztyletem... Ja chcę uśmiechów twoich tylko dla siebie!...

— Dla tego też spełniłam wolę twoję...—wtrąciła Maryna—i dla tego, gdy ty w Suczawie będziesz, mnie wypada pozostać tu...

— Jeżeli Suczawy lachy nie obsaczą... Ale jeżeli obsaczą?...

— Gdyby się na to zanosić miało — odrzekła—toć nic łatwiejszego, jak dać mi znać... przyjadę...

Kierdeni pomyślał przez chwilkę, jakby coś w głowie kombinował, wąs kręcił i odrzekł:

— Prawda twoja... tak... nic łatwiejszego jak dać ci znać, a raczej, przysłać po ciebie... Jak tylko na obsaczenie będzie się zanosiło, przyszlę po ciebie chorągiew całą...

— I... — przerwała Maryna — na co tyle!... Chorągiew uwagę zwróci...

— Prawda twoja!... — podchwycił rycerz. Wybiorę dwunastu wypróbowanych...

— I to za wiele...

— Dziesięciu...

— Dwóch, trzech .. byle tylko drogę dobrze znali...

— Przyszlę sześciu. .

Na tem stanęło. W dni kilka później nastąpiło pożegnanie, przy którem rycerz rozbeczał się i rozryczał, Maryna zaś zachowywała się czule, pozwoliła łzom zrosić lekko prześliczne swoje rzęsy i po mistrzowsku odegrała rolę pocieszycielki w rozpaczy pogrążonego

męża, który, wybeczawszy się, klął i przysięgał: klął los twardy na rozstanie go wskazujący, przysięgał że świat zburzy, Suczawę zburzy, Stafana zgładzi, Bohdana w czeluście piekielne wtrąci, lachów w pień wytnie i po gruzach a trupach do lubej się dostanie. Bodajto, mieć ramie silne i język obracający się łatwo! Wysypawszy po tuzinów parę—klątw i przysiąg, wsiadł na koń i odjechał. Maryna za odjeżdżającym spoglądała z uśmiechem, który gdyby go na pierwiastki rozebrać i na język ludzki przetłómaczyć, oznaczałby:

— Jedź, o! luby... na karku złamanie... Zawiodłam się na tobie...

Westchnęła, lecz westchnienie to nie odnosiło się bynajmniej do hetmana. Zwracało się ono całkowicie na wewnątrz. Kobieta myślała o sobie i tygodni parę spędziła w zamyśleniu, z którego obudziło ją przybycie sześciu jezdców z przekazem od hetmana. Przekaz tyczył się jej. „Przybywaj — brzmiał—lachy Suczawę obsaczą; posyłam ci sześciu wojowników, których pod twoje oddaję rozkazy. Każdy z nich innego narodu i nierozumie jeden mowy drugiego, ale każdy zrozumie skinienie twoje. Każesz im skoczyć w ogień—skoczą; każesz rzucić się w piekło—rzucą się. Przybywaj, mój świecie, mój skarbie, moje złoto, moja królowo—usycham bez ciebie. Spiesz się!!"

Maryna nie spieszyła się. Przygotowywała się, zbierała; zebrała się wreszcie i dostać się do grodu nie mogła. Powróciła z jeńcem.

Wiemy, jak to się stało.

Nie wiedzieliśmy jeno, że powrót ten, pozornie przymusowy, w istocie rzeczy był dobrowolnym. Piękna niewiasta nie miała, jak się zdaje, najmniejszej ochoty zamykać się w warowni z człowiekiem, który zaufanie jej postradał. Powróciła tedy dobrowolnie i kiedy otoczyła ją pozostawiona na straży domu służba, składająca się z kobiet i dziada jednego, taką jej sprawę zdawała:

— Sposobu nie było przedostać się... Lachy drogę zastąpili...

— Ach!... cóż on biedny pocznie!... odezwała się z kobiet jedna.

— Cóżby począł, gdybym lachom w ręce wpadła!... Lepiej dla niego, żem się uratowała zdrowo i cało...

— A tenże rycerz?...—zapytała inna, mówiąc o Ignacym.

— To zakładnik... dworzanin z orszaku króla samego... Mam w nim, na wypadek wszelki, rękojmią bezpieczeństwa...

— On—odnosiło się to do Kierdeniego—by go posiekał... Ten rycerz taki młody i...

— Nie przypatrywałam się mu... — przerwała Maryna. Młody czy stary, to mi wszystko jedno... Mnie chodzi o zabezpieczenie i zachowanie siebie dla hetmana... A chociaż dom nasz tak na ustroniu, że przypuszczać można, iż go nikt nie odnajdzie, wszelako, kto wie co stać się może... Zakładnik taki, w takich czasach może być przydatnym bardzo... Zresztą hetman o wszystkiem uwiadomionym będzie...

Nazajutrz tedy wyprawiła Maryna jednego z jezdców, poleciwszy mu do Suczawy się dostać i zdać Kierdeniemu sprawę dokładną ze wszystkiego co zaszło.

Jeździec ruszył i po upływie dni trzech powrócił.

— Cóż?...—zapytała, gdy przed obliczem jej stanął.

— Nie sposób...—była zapytanego odpowiedź. Lachy wiankiem gród otoczyli i wszystkie przejścia poobsadzali. Mysz się nie przesunie...

— Zmień się więc w ptaka i przeleć!... — zawołała gniewnie. Jedź!... jedź natychmiast!... dostań się do grodu koniecznie!...

Jezdziec znów ruszył i nie powrócił.

W dni parę później wyprawionym został drugi, z poleceniem temże samem, Za tym drugim pojechał trzeci, za trzecim czwarty, i po każdym z nich słuch zginął. Maryna pozostała sama, z Ignacym trzymanym w zamknięciu, z kobietami używanemi do posług domowych i z dziadem, który miał niejako dozór zwierzchni nad bezpieczeństwem zagrody.

Dziad ów, po odejściu ostatniego z ludzi orężnych, uważał za potrzebne przedstawić Marynie brak obrony.

— Pozostały baby same...—mówił, w łeb się skrobiąc—a z babami, broń Boże czego...

— Toć my tak schowani, w głębi lasów... — odparła. Kto tu zajrzy!... Gdyby się zaś kto zabłąkał, to psy...

— Psy!...—przerwał dziad. Psy dobre, gdy za niemi stoi załoga orężna, którą one w czynności utrzymują i o zbliżaniu się nie-

przyjaciela ostrzegają... Gdy jednak załogi nie ma, to psy szczekaniem do zagrody wabią...

— Cóż więc?...

— Oto, pani miłościwa—rzekł dziad, przybierając minę poważną—ja bym myślał, że trzebaby z psami coś poradzić...

Maryna po namyśle chwilowym odpowiedziała:

— Radź sobie, co i jak chcesz... Nie dobrzeby było, gdyby psy zwabiły szajkę jaką włóczęgów, którzyby kłopotu narobić mogli...

— Otóż to...—dziad na to. Mógłby być kłopot, którego nie będzie, gdy niczyje oko nie dojrzy, niczyje ucho nie dosłyszy... Pies idzie do człowieka, człowiek do psa...

Dziad odszedł i nocy następnej psy już nie szczekały. Domek otoczyła cisza, którą przerywały jeno, we dnie, krakanie kruków, lecących gromadnie z zachodu na wschód, w nocy wycie wilków, szum potoku i hukanie puchaczów; w nocy zaś i we dnie odgłosy jakieś dziwne, stękania jakieś, niby z głębi ziemi wychodzące. Stękania te trwożyły kobiety służebne; zapytywały dziada:

— Co to?...

— Ot—tłómaczył tenże—ziemia się mocuje... ziemi bowiem zdarza się tak jak człowiekowi: boli ją pod sercem, a gdy boli to ona i stęka biedna... Niekiedy trzęsie się, niby w zimnicy...

— Nibyż ona żywa?...—zagabnęła z kobiet jedna.

— Alboż nie żywa!...—odparł dziad. Gdyby żywa nie była, to by woli nie miała, nie wyrzucałaby z siebie kości, których przyjąć nie chce...

Tłómaczenie to, obok zaspokojenia ciekawości, ten jeszcze wpływ wywarło, że uspokoiło trwogę. Kobiety uznały to za rzecz całkiem naturalną, że ziemia stęka, kiedy ją boli i nie trwożyły się już, lecz litowały, znajdując powód bolów w wojnie, na którą hetman się udał.

Maryna nie podzielała obaw służebnic swoich, nie dla tego, ażeby podzielać nie miała ich przekonań, ale dla tego, że umysł jej zajmowało co innego. Myśli jej znajdowały się w stanie jakowejś fermentacyi, jakby przenikało je coś nakształt pragnienia lub oczekiwania. Wyrażało się to na zewnątrz w ten sposób, że się ustawicznie krzątała około przyozdobienia wewnątrz mieszkania swego. Odswieżała takowe, oczyszczała, przestawiała meble, drapowała zasłony, układała sprzęty.

Zatrudnienie to zajmowało ją wielce, tem bardziej, że i o własnej nie zapominała postaci, którą także przyozdabiała, czyniąc z niej niejako punkt środkowy w każdej z osobna izbie. Zmieniała więc strój często, układała sobie włosy raz tak znów inaczej, przybierała pozy rozmaite i przeglądała się w przezroczy zwierciadeł, raz z tym, drugi raz z innym na obliczu wyrazem. Rzekłbyś—aktorka studyjuje role przed wystąpieniem wobec publiczności. Wiadomo zaś, że niewiasta, byle jeno na tę weszła drogę, mało ma życia jednego do wydoskonalenia się w tym względzie. Pozowanie jest to rzecz — względnie rozumie się—nadzwyczajnie ważna i taka, co to wszystkie życia momenty pochłania.

Maryna doskonaliła się—więc czas jej upływał, zajęcia miała huk; wyprawiła jeźdców jednego po drugim i razu pewnego, usiadłszy na dywanie w izbie, co jej komnatę sypialną poprzedzała, zadumała się. Co było dumań jej przedmiotem, to oznaczyć trudno. Roiło się jej coś, to pewna—może o przeszłości wspominała, może obrazy przyszłości kreśliła, uśmiechała się sama do siebie i wzdychała niekiedy. Częściej jednak wzdychała, co może pochodziło ztąd, że była w tej chwili osamotnioną bardziej niż kiedy. W domu całym, z wyjątkiem jej w izbie i Ignacego pod zamknięciem, nie było więcej nikogo. Dziad poszedł sidła na zwierzynę zastawiać i zastawione opatrywać, kobiety udały się w las po jagody i grzyby i powrócić nie miały aż nad wieczór, do którego pozostawało jeszcze godzin parę. Cisza do koła panowała absolutna, i ta to cisza zapewne usposabiała niewiastę piękną do westchnień, które roniąc w zwierciadło spoglądała.

Trwało to czas jakiś. Nagle wstała, do sieni wyszła, do korytarzyka poprzedzającego więzienną Ignacego izbę wkroczyła, klucz od takowej we drzwiach obróciła, drzwi pchnęła i sama umknęła, powracając szybko do izby i usiadając w tej samej co poprzednio pozie, na tem samem co dawniej zajmowała miejscu. Gdy usiadła, zdawało się, że się ani ruszała, że, wsparta na dłoni, snuła wciąż dawno rozpoczęte tęskne dumanie.

Łatwo wystawić sobie, jakiem było jeńca zdumienie, gdy ręka niewidzialna drzwi mu od więzienia otworzyła. Poskoczył i wnet znalazł się w korytarzyku; z korytarzyka pospieszył do sieni i gdy się ku wyjściu na podwórzec kwapił, ujrzał z boku drzwi na wpół uchy-

lone, za drzwiami izbę wspaniale przybraną i w głębi postać niewieścią, usadowioną na dywanie od niechcenia, na łokciu wspartą i zadumaną. Przedstawił się oczom jego obraz zachwycający, utopiony w półświetle przedostającego się przez firanki blasku słonecznego. Jakkolwiek więc spieszno mu było na wolność, zatrzymał się, zatrzymawszy się zaś postąpił kroków parę, lecz nie w kierunku podwórza, ale w kierunku izby, i ku progowi takowej zbliżył się, i próg przekroczył.

— Ach!... — wydała niewiasta okrzyk, gdy młodzieńca zoczyła.

Ignacy się cofnął zrazu, wnet jednak powrócił i nieopodal od progu stanął.

— Kto waszeć?

— Ja... ten... ten... sam — odbąknął młody człowiek — ten ztamtąd... Ktoś mi drzwi otworzył...

— Jeniec?... — zawołała Maryna, głosem zdumienia.

— Cicho... — odrzekł Ignacy z przyciskiem — ktoś jeszcze usłyszy...

— Usłyszy?... któż usłyszy, kiedy nie masz nikogo?...

— Nikogo!... wykrzyknął Ignacy radośnie.

— Kto waszmości otworzył?...

— Czy ja wiem!... Drzwi się otwarły, wyszedłem i powracać już więcej do ciupy nie myślę... Ha-a... ...

Wyprostował się i wyciągnął.

— Uh... — odezwała się Maryna trwogi głosem.

— Nie masz czego miłość wasza lękać się mnie... Ja nie z takich, co by to bezbronnych, niewiasty zwłaszcza, napastować mieli... Ja dworzanin jego królewskiej mości...

Piękna kobieta spojrzała na młodzieńca wzrokiem wdzięczności pełnym.

— Nie długo też tu zabawię...

Kobieta znów na niego spojrzała.

— Chociaż... — dodał i nie wiedział co mówi dalej.

Tym razem wzrok kobiety wyrażał zapytanie. Odchrząknęła zlekka i na siedzeniu się poprawiła. Ignacy mimowolnie dłoń podniósł, w głowę się podrapał i po komnacie do koła oczami powiódł. Spieszno mu było wynosić się co rychlej, a jednakeż coś go zatrzymywało. Od widoku czarownego oderwać się nie mógł.

— No...— rzekł wreszcie — odchodzę już...

Kobieta przywstała nieco i znów chrząknęła, jakby się do przemówienia zabierała.

Ignacy się zatrzymał jeszcze, powtarzając:

— Odchodzę...

— Przynajmniej...— zaczęła Maryna nieśmiało.

— Co?...

— Przynajmniej miej waszmość wzgląd na to, żem niewiasta, żem sama jedna, żem bez obrony żadnej...

Głos jej dzwonił srebrzyście i tak, że do duszy młodemu człowiekowi przenikał. — ... że — ciągnęła dalej — całe bezpieczeństwo moje w tém, iż mieszkam na ustroniu, od ludzi z daleka... Zlituj się waszmość nademną...

Prośba ta niespodziana zadziwiłą Ignacego.

— Ehm...— zaczął.

— Liczę na szlachetność, na rycerskość waszmości...

— A to?... Alboż co?...

— Gdybyś waszmość rozpowiedział o schronieniu mojem, cóż ja bym nieszczęsna poczęła!...

Dłonie załamała i załamane ku młodzieńcowi wyciągnęła, nadając przytem obliczu błagalny wyraz, który ją uczynił zachwycającą bardziej jeszcze.

— Ależ ja nierozpowiadać nikomu mogę... — odrzekł Ignacy zakłopotany nieco.

— O! nie rozpowiadaj waszmość... nie rozpowiadaj...— zaklinała. Widzisz — ja sama, ja słaba, ja opuszczona niewiasta...

— Cóż... hetman... małżonek waszej miłości?... zapytał ze spółczuciem.

— A... — dłonią machnęła.

— Gdzież wojownicy owi, co mnie nie zabili omal?...

— Oh!... — westchnęła. Sama jestem... opuszczona... bez opieki..

— Toć miłości waszej — zaczął Ignacy ze spółczuciem coraz to wzrastającem — przydałaby się opieka jakaś...

— Boska chyba...

— Boska swoją drogą, ludzka swoją... Na ten dom, na to co w nim jest złakomić się kto może...

— Jeżeli waszmość drogi nie pokaże, to któżby w tęustroń trafił?..

— Wypadkiem... — podchwycił młodzieniec. Ja sam jestem tu już po raz wtóry...

— Czy to być może!... — żachnęła się niewiasta. Waszmość już tu byłeś?...

— I nie sam... Byliśmy we dwu; staliśmy tam — tu palcem na podwórze ukazał — pod bukiem i przypatrywaliśmy się, jak hetman z Suczawy przyjechał i z miłością waszą na ganku się witał..

— Któż waszmości towarzyszył?...

— Rycerz jeden, towarzysz z chorągwi rotmistrza imći pana Romana Czuryły...

— Stryjka mego!... — zawołała Maryna.

— Stryjka miłości waszej?... — rzekł Ignacy ze zdziwieniem O... ot i opieka dla miłości waszej gotowa... Rotmistrz, gdyby jeno wiedział...

— Tylkoż mu waszmość nie powiadaj... — podchwyciła kobieta.

— Jeżeli jednak o opiekę chodzi...

— Chodzi... w rzeczy samej bowiem, kiedy waszmość z towarzyszem ustronie nasze odnalazłeś, to nie masz rącyi dobrej, ażeby go odnaleść nie miał i kto inny... Ale — tu cedziła z przyciskiem niejakim wyrazy—opieka stryjka wyjśćby mi mogła na złe... Pomiędzy nim a mną zachodzi nieporozumienie... nieporozumienie—powtórzyła —z mojej winy... tak, z mojej; w takich jednak czasach, jak dzisiejsze, nie pora z win się usprawiedliwiać i nieporozumienia prostować... Stryjek zagniewany, lepiej więc nic mu nie powiadać...

Zamilkła, i milczenie, które zapanowało, przerwał Ignacy zapytaniem:

— A jakże?...

— Lepiej, niech już tak będzie... niech się mną opiekuje Bóg... Oczy do góry wzniosła i stała się taką, jak święta na obrazku.

— Bóg mnie chyba waszmości przysyła...

— O nie... — odrzekła z powagą. Ofiary takiej nie potrzebuję, niechcę... Niech się raczej stanie, co się stać ma...

— A gdyby... — zaczął młodzieniec.

— Gdyby co?... — zapytała młoda kobieta, widząc w rycerzu wachanie się niejakie.

— Stanąć muszę przed obliczem jego królewskiej mości i król zapyta, gdziem przez czasu tyle był i com porabiał... Gdybym przeto królowi rozpowiedział...

Maryna, przy słowach tych, drgnęła lekko i oczy spuściła, poprawiła się na siedzeniu, do ust dłoń podniosła, kaszlnęła i młodzieńcowi w oczy spojrzała. Po chwili odrzekła:

— I cóżby z tego przyszło?..

— Jego królewska mość możeby zechciał opiekę zarządzić...

— Czyżby zechciał!...

— Kto wie... Dopytywał się o was...

— Kiedy?... — zapytała z ożywieniem.

— Kiedym mu sprawę z powrotu z Suczawy zdawał...

— Jakże to było?.. jak?...

— No... dopytywał się...

— Siądź no waszmość, mości rycerzu, tu obok — rzekła, ukazując Ignacemu stołek — musisz być bowiem znużony...

— Wysiedziałem się... — odrzekł Ignacy.

— Siądź jednak...

— Mnie spieszno... Chciałbym jak najrychlej do obozu się dostać...

— Usiądź na chwilkę... Chwilka różnicy nie stanowi... Potrzeba zresztą, żebyś się na drogę pokrzepił nieco... Usiądź tu, obok stołu tego, natychmiast waszmości przekąskę przyniosę...

Z siedzenia się zerwała, ku drzwi poskoczyła, na chwilkę znikła i po chwilce powróciła, niosąc chleb, cąber sarni, butelkę i kubek.

Widok jadła, odmiennego aniżeli więzienne, wywarł na Ignacego wrażenie niejakie. Usiadł przy stole. Piękna gosposia oddaliła się jeszcze i wniosła tym razęm owoce, ser, sól i nóż. Ustawiwszy to, odezwała się z przymileniem:

— Prosimy... spożywajcie na zdrowie...

Ignacy wahał się niby.

— Bardzo prosimy... — przemówiła.

Nalała z flaszki do kubka i kubek w ręce Ignacemu wetknęła. Wziął, do ust poniósł, wychylił — jakieś ciepło ożywcze wewnątrz mu się rozlało; wziął nóż i z apetytem niepoślednim przystąpił do spożywania darów bożych.

Maryna zachęcała, podsuwała, przystawiała, dolewała i dogadywała:

— Na zdrowie... posilajcie się, jeszcze i na drogę was zaopatrzę...

Kiedy zaś po zmniejszonym w jedzeniu zapale widać było, że młody rycerz głód pierwszy zaspokoił, zaczęła od niechcenia niby:

— A możeby to i nie było najgorzej rozpowiedzieć jego królewskiej mości...

— Jego królewska mość zapyta mnie...

— Cóż mu powiecie?...

— A cóż?... powiem, że miłość wasza w lesie siedzi sama jedna, bez opieki żadnej...

— Powiedźcież jeszcze, że mnie wszyscy odbiegli, że, oprócz niewiast i dziada jednego, nie ma przy mnie nikogo, że mi smutno i straszno na odludziu...

— Do—brze... — odrzekł Ignacy przeżuwając jadła kawał.

— Powiedźcie, jak mój dom wygląda...

— Do—brze...

— Proście jeno, zaklinajcie jego królewską mość, ażeby miał nademną zlitowanie i tak wszystko urządził, aby mnie gniew stryjka nie dosięgnął... Bo... ja nie wiem... ja...— tu chusteczkę do ócz poniosła — ja... zawiniłam wprawdzie, ale... król sam, jeżeliby mnie wysłuchać raczył, przekonałby się, że wina moja nie taka wielka, jak się stryjkowi, jak się ludziom zdaje... Jabym przed królem, jak przed księdzem na spowiedzi, wszystko wyznała... Ja...

Płacz cichy przerwał jej mowę. Odeszła na stronę, oczy obtarłą i powróciła.

— Posilajcie się, mości rycerzu... — przemówiła.

Ale Ignacemu nie do jedzenia było. Rozrzewnienie go opanowało. Spoglądał na Marynę, skrzywił się niby na smutek, chciał ją pocieszać, lecz słów odpowiednich nie znajdował.

Maryna przeszła się po izbie i westchnęła.

— Posilajcie się... — znów rzekła. Droga przed wami daleka... Nie zajdziecie do jutra do wieczora...

— Zajadę...

— Czem?.. — zapytała.

— Na koniu moim...

Kobieta wykonała skinienie przeczące i dłonią kiwnęła. Ruch

ten dał Ignacemu poznać, że na podróż konną liczyć nie może. Obeszłoby go to może, gdyby nie dystrakcyja, jaką mu sprawiała ta niewiasta opuszczona, dla której czuł w sobie animusz wędrowania choćby na kraj świata, nie już *per pedes apostolorum*, ale w worku nawet. Perspektywa odbywania podróży pieszo do pośpiechu go jeno ponagliła. Wstał z za stołu i:

— No — rzekł — jeżeli tak, to mi w drogę pora...

— Nie zapomnijcież jego królewskiej mości powiedzieć, że w nim cała nadzieja moja...

— No!..

— I prosić go, błagać, zaklinać, ażeby przed wysłuchaniem mnie, ani stryjkowi, ani nikomu o mnie nie powiadał... i... i... A — zapytała nagle — jak się wam zdaje, czy jego królewska mość zlituje się nademną biedną?..

— Hm... — odrzekł Ignacy. Król, choć król, zdaje się jednak, że człek niczego...

— Dopytywał się o mnie, powiadacie?..

— Dopytywał się...

— Jak?.. w jakim względzie?.. w jakich słowach?...

— No... tak... to jest... we względzie tego; co się zaś słów tyczy... to... ot... przyznam się... zapomniałem... Dosyć, że się dopytywał...

— Kogo?..

— Mnie...

— Was samego?..

— Mnie samego...

— Krótko?.. długo?...

— Ni krótko, ni długo... Mówił o nimfach i o hamadryjadach; dowiadywał się, czy dom wasz daleko od Suczawy i czy mi droga znana...

— Pytał o drogę?..

— Pytał...

— Z pewnością?

— Z jaknajwiększą...

— Znacież wy drogę?

— Odpowiem waszej miłości słowami temi samemi, jakiemi je-

go królewskiej mości odpowiedziałem: nie trafiłbym z oczami zawiązanemi, wszelako...

— Ano... niech więc was pan Bóg prowadzi... W rękach waszmości dola moja... Drogi was nauczę...

Nastąpiło pożegnanie i w chwilkę później młody Kapuziński, wyprowadzony przez Marynę, szedł posuwiście lasem, kierując się ku temu punktowi, zkąd słońce wschodzi.

XVII.

# POWRÓT Z NIEWOLI.

W pieszej wędrówce nie przytrafiło się Kapuzińskiemu nic osobliwego. Znużył się, jakby się znużył każdy na jego miejscu; miał jednak to zadowolnienie, że nie błądził, trzymając się wciąż jednego kierunku, wedle wskazówek, których było trzy: dwie naturalne—słońce i mech, jedna sztuczna—znaki na drzewach siekierą narąbywane. Tych ostatnich tajemnicę odkryła przed nim Maryna w chwili pożegnania. Nie niepokoiła go też troska o niezbłądzenie w lesie; gdyby zaś niepokój jaki miał do niego przystęp, to neutralizowałaby takowy dystrakcyja, jaką sprawiało mu myślenie ustawiczne o dziwnej istocie, z którą los go zetknął.

— Dziwna białogłowa... — powtarzał często. A jaka cudna!..

Słowa ostatnie odnosiły się zarówno, jak do osobistości i otoczenia onej, tak nie mniej i do losu Maryny, który wydawał się młodzieńcowi interesującym w stopniu najwyższym i zasługującym na troskliwość jaknajwiększą. Bogata, piękna i opuszczona — trzy te okoliczności frapowały imaginacyją jego. Z tego też względu, czuł się niejako posłem, mającym do załatwienia sprawę niezmiernie ważną. To mu rozrywkę umysłową sprawiało i czas skracało. Ważył sprawę, oglądał ją ze stron różnych i układał sobie sposób, w jaki ją królowi przedstawi. Wszelki przeto niepokój, jaki by mógł się zrodzić, neutralizował się przez to z góry. Czas upływał

szybko. Dzień pierwszy podróży, którego pozostawało niewiele, zbiegł jak chwilka jedna; również szybko zbiegł i dzień następny; w trzecim zapytywać siebie począł:

— Kiedyż z lasów wybrnę?

I w odpowiedź niejako na zapytanie to obiły się o uszy jego huki, które echa powtarzały i w których z łatwością rozpoznał odgłosy strzałów działowych.

— Harmata!.. — zawołał, kroku przyspieszając.

Dzień miał się już ku wieczorowi; sądząc jednak po wyrazistości huków wydało się Ignacemu, że się w pobliżu obozu znajduje, że zatem noc tę już spędzi w namiocie własnym. Nie spodziewał się, ażeby zawód spotkać go miał w tym względzie. Szedł śmiało na odgłos wystrzałów, szedł prędko i ani się spostrzegł jak, echami złudzony, zabłąkał się. Zmiarkował się dopiero, gdy strzelanie ustało i słońce zachodziło. Zgubił znaki przewodnie — stanął, oglądał się, ruszył w jednym kierunku, który mu się po upływie pewnego czasu mylnym wydał, więc go zmienił i puścił się w drugim, po chwili jednak zmienił i ten drugi i kręcić się począł poomacku niemal, widząc z niepokojem zbliżającą się noc. Kręcił się i kroku coraz to przyspieszał.

— Obóz gdzieś tu niedaleko... — powiadał. Żeby też spotkać kogo!..

Życzenie to sformułował, gdy właśnie spuszczał się w jar, nad którym zatrzymał się w niepewności, czy ma zejść na dół, czy też trzymać się brzegu. Oglądał się do koła, wpatrywał się w gąszcz leśną i wydało się mu, że w punkcie jednym, w którym leszczyna rodzaj parawanu tworzyła, widzi coś nakształt budy czy też szałasu z gałęzi. Podszedł ku punktowi temu. W rzeczy samej, był to szałas, sformowany z gałązek, narzucanych na wiązanie, które tworzyło kilka grubych gałęzi. Przedstawiało się to pod postacią kopicy z gałązek liściami okrytych i zrazu myślał Ignacy, że nie jestto nic innego, tylko kopica. Zafrasowało go jednak znaczenie onej. Kto i w jakim celu, mógł ją ułożyć? Nikt nie składa kopic z gałęzi. Objawiała się w tem zagadkowość jakaś, która zmusiła młodzieńca obejść to dziwo do koła i naprowadziła go na odkrycie otworu, zformowanego z dwu pod ostrym kątem złączonych gałęzi. Ignacy

zaglądnął do środka — zaglądnął przez prostą ciekawość, nie spodziewając się wcale odkrycia, jakie zrobił. Buda nie była próżną. Oczom młodego człowieka przedstawiła się wyraźnie postać, skulona i przytulona do pnia drzewa, o które się buda opierała. Zrazu nie rozpoznał, czy to postać ludzka. Na próbę więc niejako, krzyknął:

— Kto tam?..

Odpowiedziało mu chrząknięcie. Chrząkniecie to brzmiało po ludzku i miało akcent niewieści.

— Kto tam?.. — powtórzył z naciskiem.

— Idź het... — idź... — była tym razem odpowiedź. Idź, przez litość nad istotą, u której nie znajdziesz nic... chodzę boso, okrywam się łachmanami, żywię się psiemi niedojadkami... Nie znajdziesz u mnie nic...

— Ja też szukam tylko drogi... — odrzekł Ignacy.

— Drogi?...— westchnęła kobieta, wymawiając wyraz ten w sposób taki, jakby go nie rozumiała.

— Drogi do obozu polskiego?...

— Do obozu?...— powtórzyła:

— Zabłąkałem się w lesie, nie wiem jak wyjść...

— Ach!.. idź..! idź...

— Pójdę, ale jeżeli mnie przeprowadzisz...

— Na propozycyją tę odpowiedziało milczenie.

— Nie jestem człowiek zły... Jestem dworzanin królewski; wracam z niewoli, idę już od dni trzech i chciałbym się dziś koniecznie do obozu dostać... Przeprowadź mnie, wynadgrodzę ci sowicie... Nie lękaj się mnie... Znasz drogę?...

Ton łagodny, jakim Ignacy przemawiał, przekonał snadź niewiastę, na ostatnie bowiem zapytanie, odrzekła:

— Znam...

— Wyjdź więc...

— Poruszyła się, odchrząknęła i odpowiedziała:

— Nie pora jeszcze...

— Na Boga!... niewiasto!... idę już od dni trzech...

— A ja, od trzech lat... — rzekła pół głosem i zakończyła westchnieniem.

— Przeprowadź mnie jeno, wrócisz potém... i nie zaniepokoi cię już nikt... — przemówił prożby milszej tonem.

Prożba skutek swój wywarła. Kobieta wysunęła się z budy. Ignacy ujrzał przed sobą postać ciemno odzianą i chustką nakrytą, która w oblicze mu spojrzawszy, dłonie podniosła i wydała lekki podziwu okrzyk:

— Ach!...

— Młodzieniec nie zważał na to.

— Chodźmy... — odezwał się.

— A... — zaczęłą niewiasta, jąkając się — a... dokąd-że?...

— Do obozu polskiego...

— Do... namiotu?...

— No tak...

— Do tego... w którym leży... on... chory?..

— Do mego... Nie wiem, czy w namiocie moim leży kto chory, bo nie wiem nawet gdzie namiot mój rozbity... Dostałem się do niewoli przed zatoczeniem obozu...

— Pode Lwowem zajmowałeś namiot z nim...

— Pode Lwowom zajmowałem namiot—odrzekł Ignacy, zdziwiony nieco — z imci panem Maciejem Kołtunem, towarzyszem z chorągwi rotmistrza Czuryły, rozstałem się z nim jednak, gdy mnie jego królewska mość do boku swego wezwał...

Kobieta głęboko westchnęła. Po chwili rzekła do siebie, jakby wyrazy w pamięci karbowała:

— Maciej Kołtun...

— Znasz go?... — zapytał młody człowiek.

— Czy go znam!... — zawołała głosem przerażenia i po chwilce, sciskając ramionami, dodała: Nigdym o żadnym Macieju Kołtunie nie słyszała... Maciej Kołtun... — powtórzyła po cichu i ciszej jeszcze; Maciej Kołtun...

— Chodźmy... — rzekł Ignacy.

— Maciej Kołtun... — szeptała kobieta, stojąc na miejscu i na młodzieńca patrząc.

— Chodźmy... — nalegał — późno już... nim zajdziemy...

— Och!... zajdziemy...

— Bylebyś mi jeno obóz ukazała...

Kobieta westchnęła, wpadła niby w zadumę, patrzyła przed siebie szeroko otwartemi a bez wyrazu oczami; nagle ruszyła.

Ignacy poszedł za nią, wnet jednak zatrzymać się musiał, przewodniczka bowiem jego stanęła.

— No... dalej... — naglił.

— Nie pora jeszcze... — rzekła podnosząc wzrok ku niebu, na którem za chwilę pokazać się miały gwiazdy — nie... nie chodzę przed północą...

— Dokąd?..

— Do niego... chorego... On chory...

— Kto?... — zapytał Ignacy.

— On... — wytchnęła głosem ledwo dosłyszanym.

— Maciej Kołtun?...

— Ja o Macieju Kołtunie nic nigdy nie słyszała...— odrzekła pospiesznie.

— Chodzisz jednak o północy do obozu polskiego?..

— Chodzę...

— Po co?..

— Po co?... — odparła, jakby zdziwiona nieświadomością młodzieńca. Po zemstę...

Wyraz ostatni wymówiła tonem tak spokojnym i naturalnym, jakby chodziło o rzecz zwyczajną i powszednią, jakby wyraz „zemsta” nie zawierał w sobie pojęcia wzburzenia namiętności, posuniętego do pewnego niezwyczajnego stopnia. Ignacemu wydało się, iż albo sam nie dosłyszał, albo też nieznajoma omyliła się, lub sama znaczenia wymówionego przez siebie wyrazu nie pojmowała. Nie chciał atoli wdawać się w rektyfikacyje i objaśnienia; spieszno mu było za katy, odezwał się więc:

— Doprowadź że mnie tylko do ścieżki jakiej pewnej, sama zaś pójdź o północy, po północy, kiedy ci się spodoba...

Kobieta znów ruszyła i, nie zatrzymując się już ani odzywając, szła przodem, przedzierając się przez zarośla i ostępy głuche. Na niebie tymezasem gwiazdy się zapalały, w lesie ciemniało — ciemniało tak dalece, że młodzieniec tracił przewodniczkę z oczów i zmuszonym był za rękę ją ująć. Nieznajoma ręki nie broniła. Prowadziła Ignacego długo, godzinę przeszło, — nagle rękę mu z dłoni wyrwała i znikła.

Ignacy poskoczył, zawołał, zrobił kroków kilka naprzód i stanął. Stanął, uderzony widokiem, jaki się mu ukazał, jakby za kurtyny podniesieniem. Znajdował się na wyżynie. Przed oczami jego zakreślała się w koło girlanda ognista, obejmująca przestrzeń jak okiem sięgnąć. Płomienie, łącząc się w łańcuch, poczynały się pod stopami jego i rozchodziły na prawo i na lewo, ażeby na krańcach widnokręgu zlać się w liniją długo a ciągłą. Tło, na którem rozwijały się dzwona łańcucha, przedstawiało kształty fantastyczne, połamane w urwiska, w przepaście, w wyskoki, w załomy, śród których, w odstępach regularnych prawie, ukazywały się, w płomiennem oświetleniu, białe brzeżki, niby szlaki tu i owdzie przyczepione. Za środkowy nocnemu temu krajobrazowi punkt służyła masa jakaś biaława, mgłą niby okryta, iskrami z rzadka osypana. Na lewo, w dali, połyskiwała nisko na ziemi wstęga, metaliczny odbijająca blask.

Widokowi temu przypatrywał się Ignacy przez chwil kilka w niemem zachwyceniu. Nie przypatrywał się jednak długo.

— To Suczawa... — rzekł do siebie, rzucając ręką w kierunku masy białawej. A to... nasz obóz...

Ruszył krokiem zdwojonym wprost przed siebie, ku ogniskom najbliższym; toczył się niejako po pochyłości i wprędce zatrzymał się, usłyszawszy tuż obok gromkie:

— Halt!.. wer da!..

Okrzyk ten odbił mu się w duszy głosem zbawienia. Poznał że natknął się na leżysko zaciągów cudzoziemskich, wnet więc zawołał:

— To ja!..

— Hasło?..

Wraz z zapytaniem tem ujrzał się otoczonym przez drabów z halabardami.

— O haśle ja nic nie wiem... — odpowiedział. Z niewoli powracam...

— Do kapitana z nim!... odezwał się ktoś rozkazu tonem.

Dwaj drabi pod ramiona go ujęli i poprowadzili. Prowadzili mimo ogniska ku szeregowi namiotów. Przed jednym z tych ostatnich zatrzymali się i, rozmówiwszy się z pachołkiem, który u wnijścia czekał, odprowadzili na strażnicę, mieszczącą się w zabu-

dowaniu, przedstawiającem się pod postacią zagrody przykrytej, przed którą przechadzał się szyldwach z bronią na ramieniu, a nieopodal przy ognisku warta w kości grała.

— A co tam?... zapytał z grających jeden.

— Hm...—odrzekł jeden z tych co Ignacego prowadzili—nowy w sidle ptaszek... Próbował do obozu się przez łańcuch czat wświdrować...

— Jak tamci czterej, co się jeszcze gałęzi trzymają?...

— Jak tamci...

— Byliście z nim u kapitana?...

— Byliśmy, ale kapitan kuflem i podwiką się zabawia...

— Niechże do jutra poczeka... Nic na tem nie straci, że będzie po dniu wieszany...

Ignacy nic z powyższej, prowadzonej w niemieckim języku rozmowy nie zrozumiał. Zrozumiał jeno sam fakt, który go wolności pozbawiał. Drabi wtrącili go do wnętrza strażnicy, w ciemność absolutną.

— Hej!... — krzyknął ze środka. Cóż to?... Gwałt wyraźny!.. Ja rycerz!.. ja dworzanin jego królewskiej mości!..

Z zewnątrz na okrzyki te żadnej nie było odpowiedzi. Odpowiedział ktoś z głębi izby strażniczej:

— Cicho byś był...

— Jak mam być cicho — odparł Ignacy w oburzeniu — kiedy pomiędzy swoimi spotyka mnie to, co by tylko u wrogów spotkać mogło!...

— Cóż z tego!... Krzykami nie pomożesz sobie, a nam tu spać przeszkadzasz... przytem zaś i sobie poszkodzić możesz: drabi gotowi zniecierpliwić się i uciszyć ciebie, mości rycerzu...

— Uciszyć?.. jak?...

— Po prostu: albo knebel w pysk wbijając, albo też szyję twoję powrózkiem łącząc z gałęzią, na której czterech już dynda...

— Nie rycerzy jednak... spodziewam się... — odparł Ignacy głosem protestu.

— Nie było im na czołach napisano, czy rycerze, czy nie, ale zą to byli poznaczeni: jeden bez oka, drugi bez warg, trzeci bez nosa, czwarty z brodą na dwoje rozpłataną...

— Jak raz oni!.. — wykrzyknął Ignacy.

— Jeżeli się znasz z niemi, mości rycerzu—odezwał się głos ten sam—to nie najlepsza dla ciebie zaleta...

— Znam się z niemi o tyle, że mnie oni wzięli byli do niewoli, z której właśnie powracam... No... no... — rzekł Ignacy zdziwienia tonem, postępując ostrożnie w izbie, w której sapanie i chrapanie znamionowały obecność osób kilku i zapytując interlokutora swego: Co ty za jeden?...

— Luzak jego miłości starosty zawichosckiego... wsadzili mnie licho wie zaco...

— Wielu was tu?..

— A jest z tuzin ciurów, pachołków i innej hałajstry... Co najgorzej, trzeba siedzieć cicho... bo huncfoty, draby niemieckie, nie żartują...

Na słowa te ucichł Ignacy, szukał po omacku miejsca, w któremby się mógł bodaj do ściany przytulić, znalazł takowe, oparł się i, na pół drzemiąc, na poły czuwając, spędził noc, całe po trudach pieszej wędrówki nie pożądaną. Wolałby przespać się wygodnie, w namiocie własnym, na posłaniu. Nieszczęście chciało, że się natknął na zaciągi cudzoziemskie i rozmówić się z kim nie miał. Nie było jednak rady. Uzbroiwszy się w cierpliwość, doczekał rana, a z niem kapitana, który poznawszy w nim dworzanina królewskiego zwymyślał podkomendnych swoich od donnerweterów i hundert-tausend-blitzów i sam osobiście do namiotu go jego odprowadził.

Nie podejmujemy się opisywać radości wielkiej pachołków i luzaka, gdy go wchodzącego ujrzeli. Popłakali się i wrzawy narobili. Wieść o powrocie jego, biegnąc z namiotu do namiotu, wnet rozeszła się w całej tej części obozu, którą hufiec przyboczny królewski zajmował. Koledzy dworzanie, którym tkwił w pamięci czyn jego heroiczny, zbiegli się tłumnie, otoczyli i powitaniami a pytaniami zarzucać go poczęli. Ten prawił to, ów owo. Ignacy z dawaniem odpowiedzi wyspieszyć ani podołać nie był w stanie, tak że z rzucanych przez niego wyrazów i urywkowych frazesów tworzyła się wobec niego relacyja, przybrana we wszystkie legendowego opowiadania ozdoby. Z domku ochmielonego nad potokiem zrobił się zaczarowany zamek; z niewiasty, której nazwisko młodzie-

niec przemilczał, utworzyła się zaklęta królewna; znalazł się smok, dziad czarnoksiężnik, baba czarownica, złote jabłka, koń skrzydlaty, święty Michał, ptaszek rajski, słowem, znalazło się wszystko, co do upiększenia legedy służy: — i to wszystko rodziło się, niby na drożdżach rosło w oczach Bogu ducha—jak to powiadają—winnego Ignacego, który zdrożony, znużony i nocą w więzieniu bezsennie przebytą znękany, ani wiedział na jakiego urasta bohatera. Półosowiałemi oczami powodził do koła i wyrazy rzucał. Pomiędzy wyrazami temi często związku nie było. Związek jednak słuchacze dorabiali sami, i sami opowiadaczami się stawali. Relacyja dziwna, cudowna, poetyczna wiła się niby girlanda z kwiatów i wiła się śród gwaru tak długo, aż granie trąby wywołało dworzan królewskich z namiotu Ignacego.

Pozostawszy sam, Ignacy odetchnął z głębi piersi.

— Ah....

Ziewnął szeroko, nadął się i zawołał:

— Przez Boga... spać!..

Pachołkowie nie zdążyli mu pościeli jak należy przyrządzić, kiedy on zwalił się, jak kłoda, ziewnął jeszcze razy parę, nogę na nogę założył, kułak pod policzek wsunął, odsapnął i zasnął.

Podczas kiedy on spał, Jan Olbracht, w towarzystwie królewicza Zygmunta, w otoczeniu obecnych w obozie senatorów, na czele wodzów i dworzan, udawał się do polowej kaplicy na nabożeństwo poranne. Takim był praojców naszych zwyczaj. Cokolwiek czynili, modlili się, uważając modły za panaceum ogólne, skutkujące na zawsze i we wszystkiem. „Kto z Bogiem z tym Bóg“ — takie mieli przekonanie, za które do odpowiedzialności pociągać ich nie można, pomimo że spuszczanie się wyłącznie na nie boleśnie się nam,potomkom, nieraz we znaki daje. Bóg jednak z nimi! Zaznaczamy fakt, jak się wyrażał. Starali się nadewszystko z Bogiem być, mieli się za sodalisów, funkcyją modlitewną pełnili z powagą pawią: król przodem, królewicz obok, za nimi wojewodowie, kasztelani, starostowie, za temi wojewodzice, kasztelanice, starościce, dwór cały, wystawa wielka. W porządku kroczyli przed ołtarz, w celu uchylenia czoła przed Panem zastępów. Wkroczyli do kaplicy, uszykowali się, monarcha zajął siedzenie z klęcznikiem i kolano ugiął; kapelan ze mszą wyszedł.

Śród dostojników, wyglądających jako papugi czubate i błyszczących barwami jasnemi (zkąd też „jasne państwo“ poszło) znajdował się punkcik jeden ciemny. Przy wniściu w kąciku, za plecami grona całego, klęczała kobieta w łachmanach. Kto tam jednak zważał na nią! Wspominamy o niej dla tego jedynie, że to znajoma nasza. Król, możni panowie i dworzanie znajomości z nią nie mieli, pomimo że od początku prawie oblężenia Suczawy, zawsze ją w kaplicy na jednem i tem że samem miejscu widywali; klęczała, modliła się zapewne: tego jej nie bronili — przed Bogiem wszyscy równi—pozwalano więc jej klęczeć w kąciku, gdzie nikomu miejsca nie zabierała. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby, opierając się na równości wszystkich wobec Boga, zajęła siedzenie królewskie, albo też miejsce z senatorów którego, gdyby zresztą uklękła tam, gdzie dworzanie stawali. Nie wiadomo — powiadamy — coby się stało w razie podobnym. Ona jednak zasady równości na próbę nie wystawiała i dobrze jej z tem było. Przebywające w obozie niektóre z wojewodzin, kasztelanowych, starościn i małżonek rycerzy, zaszczycających obecnością swoją nabożeństwa królewskie, nie wiedziały wcale o obecności jej. Wogólności, nie zważano na nią i nie wiedziano, że podczas kiedy wszyscy modlili się myślą, słowami i minami, ona modliła się... łzami.

Zasiadł król, zasiedli dostojnicy, dworzanie w półkole stanęli, kapelan mszę zaintonował, w stosownym czasie kaznodzieja po łacinie kazanie wygłosił—jedni słuchali, powiekami łypiąc, drudzy drzemali, inni ziewali, wszyscy zaś, króla nie wyjmując, z satysfakcyją niemałą powitali tę chwilę, w której z przed ołtarza odezwało się: *ite missa est.*

W kaplicy wnet słyszeć się dały chrząkania i nogami tupania. Łypiący powiekami sprężystość powiek, drzemiący przytomność, ziewający raźność odzyskali. Król powstał, powstali wszyscy; ruszył się, fala nabożnych ku drzwiom się podała i na zewnątrz upływać poczęła, poprzedzając Jana Olbrachta, który bardzo poważnie nogami suwał i frasobliwy na obliczu miał wyraz.

Z oblicza królewskiego biło zasmucenie.

Dworzanie, co się na wyjście jego w szpaler uszykowali, szeptanym głosem podawali do ucha jeden drugiemu przyczyny smutku. Mówili o jakimś gońcu od Władysława, czeskiego i węgierskiego,

przybyłym z wiadomościami niepomyślnemi. Mówili, że król noc bezsenną spędził, że z królewiczem długo się naradzał, że o zwołaniu senatorów wspominał, że kto nawet wie, ażali od oblęgania Suczawy nie odstąpi. Inni znów insze wymieniali smutku przyczyny: Jan Olbracht dla tego jakoby w nocy nie spał, że się na wieczerzę zbytecznie objadł i opił. Jedni więc smutek monarszy odnosili do gońca, drudzy do ogórków z miodem, a wszyscy nastawiali się w sposób taki, jakby każdy z osobna pragnął na siebie uwagę królewską zwrócić.

Król jednak, zajęty czemś, nie zważał, nietylko na dworzan, ale i na przesuwające się mimo niego białogłowy. Zatopiony w myślach, z głową pochyloną i ze wzrokiem w ziemię utkwionym, kroczył powoli z kaplicy ku namiotowi, wyminął szpaler dworzan, nie rzucił okiem na nikogo, szedł i kiedy się na czele znalazł, dworzanie uszykowawszy się w zastęp, posuwali się za nim. Posuwali się i gwarzyli—gwarzyli coraz to tłumniej i głośniej.

Jan Olbracht zatrzymał się nagle, głowę podniósł i ucho nastawił, jakby chciał słuchem złowić dzwięk jakiś, co go zafrasował. Gdy on się zatrzymał, gwar ustał. Zrobił kroków kilka, dworzanie znów zagwarzyli. Zanim do namiotu doszedł, przystawał król nasłuchając i znów ruszał razy ze sześć, aż, u wnijścia już samego, zwrócił się, po orszaku okiem powiódł i zapytanie rzucił:

— Co Kapuziński?... Czy mi się przesłyszało, czy w rzeczy samej waszmoście o Kapuzińskim prawicie?..

— Najjaśniejszy panie!.. Najmiłościwszy panie!.. Najjaśniejszy panie!.. odezwały się na wyścigi głosy, i dworzanie pogarnęli się, otaczając osobę królewską w półkole.

I mówić, opowiadać coś poczęli wszyscy na raz; ten prawił i ten prawił, jeden głośno, drugi głośniej jeszcze; powstał hałas, w którym Jan Olbracht nic rozeznać nie mógł. Aż rękę wyciągnął i zawołał:

— Cicho!..

A gdy cisza nastała, zapytał:

— Cóż więc się z Kapuzińskim dzieje?..

— Powrócił!.. — odpowiedziano chórem.

— Od zaklętej królewny... — dodał ze znajdujących się najbliżej króla dworzanin jeden.

Dodatek ten pokrył gwar, który się wnet wszczął ponownie, tak że król znów zmuszonym się widział zawołać:

— Cicho!..

I nie pytając już tym razem o nic więcej, do namiotu wszedł, pozostawiając dworzan u wnijścia.

— Ha!.. odezwał się jeden — goniec...

— Ha!.. rzekł inny — ogórki...

— Najmiłościwszy pan coś nie swój wyraźnie...— powiedział trzeci, głową kiwając — jeżeli niesamowitości tej jego przyczyna nie w gońcu i nie w ogórkach, to chyba i w gońcu i w ogórkach...

Skupili się i rozprawiali półgłosem, gdy w tem po upływie długiej chwili, ze środka namiotu królewskiego słyszeć się dało wołanie, wymieniające jednego z dworzan po imieniu i nazwisku.

— Król woła!.. do króla!..

Wymieniony poskoczył, wpadł we wnijście i znikł za płótnami.

— Po co to?..— zapytał jeden. .

— Po cóż, jeżeli nie względem Kapuzińskiego... — była dana przez kilku na raz odpowiedź.

— Czy on bodaj rozpowiedzieć porządnie potrafi!..

Po chwili, która się przeciągnęła nieco, wezwany wyszedł i, wymieniwszy po imieniu i nazwisku jednego z kolegów swoich oznajmił mu, że król go woła.

— I cóż tam?... i po cóż to?.. — otoczono go zapytaniami.

— A, względem Kapuzińskiego... Najjaśniejszy pan opowiadać sobie każe i o szczegóły rozpytuje...

Drugiego, po upływie czasu niejakiego, zmienił trzeci, po trzecim zaś przyszła kolej na Kapuzińskiego samego.

— Imć pan Ignacy Kapuziński!.. imć pan Ignacy Kapuziński!..— rozległy się nawoływania.

Nawoływania te brzmiały napróżno. Wzywany się nie pokazywał. Spał.

Kilkunastu młodzieży ruszyło pędem do namiotu Ignacego.

— Mości Kapuziński! wstawaj waszeć!.. do króla!..

Przemawiania, acz gromkie, obijały się o śpiącego jak o kłodę.

Nie pozostawało, jak przystąpić do budzenia czynnego. Poczęto Ignacego szarpać, ciągać, podnosić — on niekiedy powieki otwierał, niekiedy znów mruczał, ale spał. Spał leżący, siedzący, stojący. Spał i spał. Odsypiał w tej chwili wszystkie trudy, niepokoje i wrażenia, jakich zaznał w przeciągu ostatnich tygodni paru: potłuczenie obuchami przez eskortę Maryny, więzienie w domu Kierdeniego, wędrówkę pieszą, noc pod wartą drabów niemieckich — odsypiał to wszystko, i ta była przyczyna, dla której dobudzić się go sposobu nie było. Szarpano go, targano, ciągano, aż ktoś się odezwał:

— Zaczarowany...

— Zaczarowany!..—podchwycili dworzanie chórem.

I wnet, niby wymiótł — opuścili wszyscy namiot Ignacego, niosąc Janowi Olbrachtowi wieść nową a ciekawą:

— Zaczarowany! najjaśniejszy panie!.. Imć pan Ignacy Kapuziński zaczarowany na sen!.. Czary trzymają imć pana .Kapuzińskiego w mocy swojej!..

Jana Olbrachta zdziwiło to mocno, spojrzał na królewicza Zygmunta wzrokiem pytającym,—królewicz ramionami ścisnął.

— Hm... hm...—król na to i głową parę razy wstrząsnął. Toć nie dziw, że się jakoś pod Suczawą nie klei....

I jeszcze raz głową wstrząsnął, a następnie wstał i z namiotu królewskiego udał się w zamyśleniu i dworzan otoczeniu do namiotu Kapuzińskiego, nie wchodził jednak, ale przed otworem się zatrzymał i popatrzył.

Kapuziński leżał na wznak, ręce miał odrzucone i gębę otwartą. Sapał potężnie.

— Hm... hm...—rzucił król po chwili patrzenia. Tu się chyba nie obejdzie bez ewangielii i bez księdza kaznodziei...

Kaznodzieja należał do zakonu reguły ś-go Dominika, wsławionego już podówczas dwuwiekową praktyką, nie tylko w tępieniu herezyj, ale oraz w gromieniu sił nieczystych wszelkiego rodzaju. Zakon ten dostarczał egzorcystów najlepszych.

. Słowa królewskie znalazły uznanie powszechne i posłuch natychmiastowy. Dworzan kilka ruszyło wnet po księdza kaznodzieję, którego też odszukano niebawem i który przyszedł do namiotu Kapuzińskiego wkrótce po odejściu Jana Olbrachta.

Ignacy wciąż spał.

Zakonnik, patrząc na śpiącego i ręką się za brodę trzymając, z uwagą słuchał relacyi szczegółowej, przez jednego z dworzan czynionej. Wreszcie westchnął, głową z namaszczeniem pokiwał i rzekł.

— Poradzimy... poradzimy... Słowa bożego nie przemogą moce piekielne...

## XVIII.

# KRÓL W ZAKŁOPOTANIU.

W chwili powrotu Kapuzińskiego, w tej sferze w której krążą racyje i tajemnice stanu, a w której tkwił Jan Olbracht, pojawiły się w rzeczy samej punkty czarne, zdolne troską napełnić umysł króla-hetmana. Zachodziło pytanie zagadkowe: co porabia Stefan-woda? Podjazdy i dowiadywania się na drodze wojennej nie dawały o nim wiadomości pewnych. To jeno pewnem było, że z okolic pobliższych wyciągnął ludność zbrojną, powołał pod broń wszystkich mazyłów i usunął się dokądciś. Spodziewano się, że powróci, w celu dania stolicy odsieczy. Jan Olbracht powrotu wojewody wyglądał i pragnął, pragnąc stoczyć z nim bitwę w otwartem polu, do czego siły posiadał dostateczne. A nie chciał sił tych nużyć szukaniem przeciwnika, po wąwozach górskich, po trzęsawiskach seretskich, po stepach bezwodnych rozlegających się w widłach, jakie tworzy Prut u ujściu swego do Dunaju. Wolał więc zaczekać, jeżeli nie dlaczego innego, to dla tego, ażeby nie narazić się na los, jaki spotkał Henryka II cesarza niemieckiego, w wojnie z Bolesławem Chrobrym. I doczekał się wiadomości cale nie pomyślnych. Stefan-woda, rycerz chrześcijański, pogromca bisurmanów, zawiązał układy z turkami i z tatarami.

— Nie, to być nie może!... — zawołał król w pierwszem uniesieniu, gdy od Władysława czeskiego i węgierskiego przybiegł go-

niec z ostrzeżeniem i z ofiarą wypośredniczenia pokoju. To być nie może!.. To fortel ze strony Węgrów...

Zakrawało to na fortel w rzeczy samej. Węgierski dwór, czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, gabinet, całych dokładał usiłowań w celu wyrugowania wpływów polskich z Multan. Był to punkt sporny pomiędzy spadkobiercami Bolesławów a spadkobiercami Szczepana świętego. Polska i Węgry współubiegały się o posiadanie krainy, staczającej się ku ujściom Dunaju i zapewniającej wylot na morze Czarne. Spór trwał od dawna. Jadwiga zdobywać musiała grody czerwieńskie, które w celu zapewnienia Węgrom przewagi nad Multanami, rodzic jej do korony Ś-tego Szczepana przyłączył w czasie, kiedy Polsce panował. Przepuszczać więc było można, że i teraz ostrzeżenie Władysława nie ma na widoku czego innego, jak tylko zniewolić Jana Olbrachta do zaniechania zamiaru, wyraźnego od chwili przekroczenia przez wojska polskie granicy multańskiej.

— Nie, to być nie może!..—powtórzył razy kilka Jan Olbracht, patrząc na Zygmunta.

— Hm... — była niezmienna tego ostatniego odpowiedź, której niezmiennie towarzyszyło ściskanie ramion.

— Wasza królewiczowska mość nie przypuszcza, ażeby Stefan zdolen był dopuścić się czegoś podobnego!..

— Hm... nie wiem... nie... zdaje się...

Nie!... rzekł król stanowczo—a zresztą, czyżby Turcy sami zechcieli w układy z takim jak on wchodzić?..

Tak sobie Jan Olbracht tłómaczył; pomimo to ostrzeżenie węgierskie nie przestawało go trapić. Myślał, kombinował, plany różne zasnuwał, ale od wszystkich wnet odstępował, a to dla tego, że każdego z takowych punktem wychodnim było odstąpienie od Suczawy—odstąpienie od Suczawy, inaczej—przyznanie się do błędu.

Pójście pod Suczawę było błędem olbrzymim.

Jakiegoż króla, jakiegoż wodza — co mówimy! — jakiegoż to człowieka potrzeba, ażeby się do błędu przyznawał!...

Tu zaś takie zachodziły okoliczności, że inaczej sytuacyja naprawić się nie dawała.

Jan Olbracht przeto, nie chcąc zapewne w ostateczność wpadać, wolał i sytuacyi nie naprawiać, i do błędu się nie przyznawać.

Trapił się tylko strapieniem owem, które, widząc z jednej strony niemożliwość co do układania się Stefana-wody z Turkami, z drugiej strony niemożliwość co do przyznania się do błędu, z trzeciej strony niemożliwość co do wycofania się z kłopotliwego położenia, z czwartej strony niemożliwość co do dopięcia zamiarów, widząc, słowem, ze stron wszystkich niemożliwości same, staje się bezimiennem, rozstrzelonem niby, a szukającem skupienia w czemś, co niemożliwością nie będąc, do rubryki niemożliwości powyżej wymienionych nie wchodzi.

Jan Olbracht, przedsięwziąwszy dzieło wielkie podjęcia korony Paleologów z prochu, wskazał się był na pewien rodzaj postu. Przedtem, lubił żyć po rycersku: lubił i dno kufla zgłębiać, i elastyczność żołądka własnego na próby wystawiać, i koście rzucać, i do córek Ewy się przytulać. Na czele armii, prowadzonej na wojnę niemal krzyżową, musiał się w tem wszystkiem powściągać. Gdy jednak armiją tę z pod Lwowa ruszył, niemożliwości żadnych nie widział; przeciwnie, do samego Konstantynogrodu, na Suczawę, uścielała się przed oczami wyobraźni jego, prosto i jasno, droga tryjumfów, dla których z ochotą z zamiłowań swoich rycerskich ofiarę czynił. Gdy atoli ujrzał się w otoczeniu niemożliwości, strapił się srodze, strapił się strapieniem owem bezimiennem, o którem wspominaliśmy powyżej, i poczuł w sobie tęschnicę — tęschnicę do ofiar daremnych: do kufla, do stołu, do kostek i do cór Ewy.

I smucił się, i był niby nieswój.

Dworzanie frasowali się frasunkiem monarchy, przypisując takowy to gońcowi, to ogórkom z miodem.

Powód onego tkwił w czem innem.

Jana Olbrachta nudziło już oblężenie, będące błędem, do którego przyznawać się nie mógł.

Gniewało go nareszcie strzelanie ustawiczne.

Zapragnął w zajęciach jakiejś odmiany, jakiejś różnicy, jakiegoś roztargnienia.

W tej to właśnie chwili nadarzył się Ignacy z powrotem.

Gdyby się otoczenia nie wstydził, Jan Olbracht byłby zawołał:

— Hosanna Panu na wysokościach!.. panu o słudze swoim strapionym pamiętającemu!..

Nie zawołał tak, zainteresował się jednak wielce młodym człowiekiem w sen zaklętym. Wysłuchał z zajęciem i, dla sprawdzenia prawdziwości, trzykrotnie opowiadania o wypadkach, jakie przebył; chciał jeszcze, ażeby Ignacy sam relacyją uczynił, lecz, dowiedziawszy się o zaklęciu, chodził oglądać go osobiście i pierwszy wpadł na myśl egzorcyzmowania; następnie, dowiadywał się o rezultacie.

— Cóż tam... Kapuziński?..—zapytywał co godzina, co pół godziny.

Dworzanie zdawali mu sprawę;

— Spi najjaśniejszy panie...

— Cóż ksiądz kaznodzieja?..

— Przygotowuje się... krzyżem leży w kaplicy...

Dominikanin, w istocie samej, na osobności w modlitwie gorliwej czerpał siły, potrzebne do zapasów ze złym duchem. Ciekawi, co zaglądali, widzieli go, bądź klęczącego i w piersi się bijącego, bądź też krzyżem pod ołtarzem rozciągnionego.

Po południu dopiero zakonnik, w komeszce, w stule, z krzyżem w ręku i z chłopakiem, który za nim niósł kropidło i wodę święconą, udał się do namiotu Ignacego.

Ten spał jeszcze.

Kapłan przysiadł obok i palce podniosłszy, modlitwy stosowne odmawiać począł.

Dodawać zaledwie potrzeba, że wnijście do namiotu oblęgała ciżba, w której ci, co stali bliżej podawali wiadomości tym, co się dalej znajdowali. I tak:

Odzyw pierwszy brzmiał:

— Cicho... Zły duch czuje, że nie przelewki...

Drugi:

— O... w sedno go pater trafił... krzywi się... Djabła zje jednak jeżeli się wykręci...

Trzeci:

— Oho! wnet wyjdzie... ciekawa rzecz którędy: gębą, nosem, uszami, czy też?..

Czwarty:

— Cicho.. o!.. o!.. Jak się nazywa?.. Przyznać się nie chce.. Aha!... Lucyper!..

— Lucyper!... — powtórzył tłum chórem.

Ostatnią wiadomością był okrzyk tryjumfu, osnuty około wyrazów:

— Wyleciał niby z procy!..

Tłum oczy wzniósł do góry i wołać począł:

— O!.. patrz go!.. tam tam!.. o!.. widzicie!..

Jak na toż kruk właśnie przelatywał w tej chwili ku lasom. Kruka tego ścigały oczów seciny i byli tacy, co się zaklinali, że to Lucyper, który z namiotu wypadł pod postacią pary, do góry się wzbił i w górze z pary w kruka się zmienił.

Rzecz, w istocie samej, tak się miała. Gdy dominikanin rozpoczął modlitwy, Ignacy budzić się począł. Budząc się ze snu iście kamiennego, w jaki wpadł w uczuciu bezpieczeństwa, którego doznał po dniach niepokoju, wyciągał się, krzywił, marszczył, ziewał, i to tem bardziej, że w stanie półspania słyszał obok mruczenie, które mu zawadzało. Mruczenie to nawodziło senne marzenia. Pod tych wpływem rzucał się, rękę podnosił i kułaki zaciskał, to znów uśmiechał się i wyrazy niezrozumiałe rzucał. I tak, kiedy go, a raczej zaklętego w nim ducha, kapłan zapytał, jak się nazywa, odpowiedział:

— Zemsta...

Śniła mu się właśnie spotkana w lesie niewiasta, w ustach któréj wyraz ten zadziwił go.

Ksiądz na to:

— Nie prawda!.. kłamco i szkodniku, rozkazuję ci powtórnie, powiedz, jak się nazywasz...

— Hem lem niem... — zabełkotał śpiący.

— Nie wiesz?.. kłamiesz!.. Rozkazuję ci po raz trzeci, powiedz, jak się nazywasz...

— Luss tero... ahm... ahm...

— Lu-ci-fero... a!.. znam cię, Lucyperze... swiatłonosie... najnikczemniejszy, najpyszniejszy, najszkodliwszy z szatanów!.. Precz ztąd!.. Exorciso te!... Precz!... Masz!...

Tu umaczał kropidło w wodę święconą i lunął wodą w twarz Ignacemu.

Ignacy drgnął i cucił się.

Ksiądz lunął po raz wtóry.

Ignacy wydał głos do ryczenia nieco podobny i obcierać się półsennie począł.

Ksiądz lunął po raz trzeci.

Ignacy, zerwał się z okrzykami:

— Hu!.. uch!.. och!.. a!..

Usiadł, gębę otworzył i, oglądając się do koła w otumanieniu niejako, rzucał zapytania:

— Co to?.. ha?.. gdzie jestem?.. co się stało?..

— Nic się nie stało... — odrzekł ksiądz, rękę wyciągając— uspokój się, duszo chrześcijańska, coś na przepaście leciała; podnieś się myślą ku Stwórcy i podziękuj mu za zdroje łaski, jakie zlał na ciebie w nieprzebranem miłosierdziu swojem...

Ignacy obcierał w tej chwili twarz oblaną, zdumiony obecnością księdza i na pół ogłuszony wrzawą, wywołaną przed namiotem na widok kruka.

— Bądź spokojny... bądź dobrej myśli... przyjdź jutro do mnie do spowiedzi... odprawię mszą na intencyją twoję...— mówił ksiądz łagodnie, zabierając się do wyjścia.

Ciżba z uszanowaniem przed kapłanem się rozstąpiła, chyląc głowy przed pogromcą Lucypera.

Król w tejże chwili dostał wiadomość o wszystkiem co zaszło i, namyśliwszy się nieco, wydał rozkaz, ażeby Ignacy Kapuziński stawił się przed nim w dniu jutrzejszym, natychmiast po nabożeństwie porannem.

Rozkaz ten zakomunikowano wnet Ignacemu. Wypadł on dla niego arcypomyślnie, albowiem dał mu czas i wypocząć należycie i do siebie z zahukania przyjść. Pozostał resztę dnia w namiocie, posilił się, gdy wieczór nadszedł spanie powtórzył i nazajutrz, bieliznę zmieniwszy, obmywszy się i spowiedź odbywszy, udał się do namiotu królewskiego.

Jan Olbracht czekał na niego i pierwszy rozmowę zagaił.

— No i cóż, mości Kapuziński, byłeś waszmość w opałach nie lada...

— Tąk jest, najjaśniejszy panie...

— Wyszedłeś jednak cało, Bogu dzięki...

— Cało, dzięki Bogu...

— Rozpowiedzże nam, jak to tam było...

— To jest, rozpowiadać tak dalece, nie ma, proszę waszej królewskiej mości, o czém...— odrzekł młody człowiek—a tylko jest tu proźba do łaski wspaniałomyślnej waszej królewskiej mości...

— O tej białogłowie... — podchwycił król, jakby nie słysząc, słów Ignacego.

— Od tej białogłowy, najjaśniejszy panie... odparł młodzieniec, rękę ku kolanom królewskim wyciągając.

— A zaklęta jakaś, słyszę... zaczarowana?..

— Opuszczona... sąma jedna... bez opieki...

— Księżniczka... królewna?..

— Ba nie...— odparł Ignacy, niby z tropu zbity.

— W kryształowym pałacu?..

— I!..

— Sam przecie waszmość opowiadałeś...

— Jam nic nie opowiadał, dla tego że mi ona nakazała pod zaklęciem, ażebym o niej nie powiadał nikomu, tylko waszej królewskiej mości... i ażeby waszą królewską mość prosił, błagał, w jej imieniu, o zachowanie tego co powiem w tajemnicy...

— Więc to żadna zaklęta księżniczka?..

— Żadna, najjaśniejszy panie...

— Młoda... stara?..

— Młoda, najjaśniejszy panie...

— Gładka?..

— A!.. c...— cmoknął Ignacy—cudna!..

— No?.. cóż to za jedna?..

— Hm...— odrzekł młody człowiek głosem zakłopotania. Czy wasza królewska mość tajemnicy dochowa?..

— No...—rzekł król z uśmiechem.

— Bo ona bardzo o to prosi, błaga...

— O jakąż właściwie tajemnicę chodzi?..

— O tę, ażeby nie wyjawiać imienia jej...

— Nie wyjawiać imienia?.. hm... no... jeżeli o to tylko chodzi...

— Wasza królewska mość przyrzeka?..

— Niech więc i tak będzie... przyrzekam... Cóż to za jedna?...

— Kierdeniowa, mości królu, de domo Maryna Czurylanka bratanica rotmistrza Czuryły...

— Aa!..—zawołał król—a!.. ona?..

— Ona sama... pozostawiona bez opieki, opuszczona, porzucona w odludziu, w którem jeno wilki przebywają, trąbiąc po nocach całych, w głuszy...

— W jaskini?... — przerwał Jan Olbracht, zainteresowany obrazem opuszczenia.

— Nie, najjaśniejszy panie... Gdybyżto w jaskini!.. w jaskini zabezpieczonąby była przed łakomstwem złych ludzi... Ona opuszczona w domu pięknym, w którym złoto na złocie, jedwab na jedwabiu, kobierce, puchy, bogactwa, wonie... aż strach pomyśleć, że tego wszystkiego bronić niema komu... Lada kto zabłąka się i zabierze te klejnoty a z niemi i ją, świecącą nad klejnoty wszystkie... Ona też oddaje się pod opiekę waszej królewskiej mości, najjaśniejszy panie, błagając waszą królewską mość o łaskawe udzielenie jej posłuchania, ażeby wytłómaczyć się i usprawiedliwić mogła... wyspowiadać się, jak powiada, jako przed księdzem... Ona, śród bogactw, bardzo nieszczęśliwa, najjaśniejszy panie... Płakała przedemną... O!.. gdybyś wasza królewska mość łzy jej widział... Ona odwołuje się do wspaniałomyślności waszej królewskiej mości: rozciągnij nad nią opiekę swoję łaskawą, otrzyj łzy jej...

Jan Olbracht, który wymownego tego przedstawienia słuchał w milczeniu, zapytał nagle:

— A daleko to?..

— Tak... wyjechawszy równo ze świtem i jadąc ostro, można zajechać w jednym dniu...

— Drogę waszmość znasz dobrze?..

— Znam, najjaśniejszy panie...

— Bądź więc gotów do drogi na... — tu król pomyślał przez chwilkę — jutro...

Wybierz się bez pachołka i, o tém że masz jechać, nie wspominaj nikomu... Tajemnica zupełna...

— O!..—odezwał się Ignacy protestacyi tonem.

— Do podróży bądź gotów przed brzaskiem, ażebyś mógł wsiąść na koń, jak tylko poszlemy po waszmości...

Ignacy tego był przekonania, że wyprawiony zostanie w charakterze posła do pięknej hetmanowej. Nie małem też było zadziwienie jego, gdy, stawiwszy się nazajutrz na wezwanie przed namiotem królewskim, ujrzał Jana Olbrachta na koniu, a za nim oddział jazdy liczyć mogący głów ze dwadzieścia. Rzut oka, pomimo zmroku, jaki jeszcze panował, dał mu poznać, że oddział należał do zaciągu cudzoziemskiego rajtaryi niemieckiej. Król na powitanie odpowiedział mu krótko:

— No... prowadź waszmość...

Młody człowiek ruszył przodem.

— Kłusem!..— zawołał Jan Olbracht.

Ruszył kłusem i zanim na niebie zbladły barwy jutrzenki, przebiegł przestrzeń, dzielącą namiot królewski od tego miejsca, w którem stoczył walkę z eskortą Maryny. Dzień na prawdę świtać im zaczął w lesie, na scieżce, która kończyła się w bezdrożu. Na bezdrożu tem zabłądzić byłoby łatwo, gdyby nię znaki na drzewach. Świadomy tajemnicy tej Ignacy jechał śmiało, pilnując tego tylko, ażeby drzewa którego wytycznego nie prześlepić. Król naglił; podróż więc odbywała się wciąż kłusem, z wyjątkiem nadarzających się niekiedy gęstwin, które przebywać należało stępem. Na popasach i spoczynkach nie zabawiano się długo, tyle jeno, ile potrzeba było do wytchnięcia koniom, cała zaś rozmowa pomiędzy królem a dworzaninem polegała na odpowiedziach, jakie Ignacy dawał na zapytania, czy drogi nie zmylił i czy daleko jeszcze.

Drogi nie zmylił; na zapytania, co się odległości tyczy, odpowiadać dokładnie nie umiał, wszakże o słońca zachodzie zwrócił się na siodle i oznajmił dostojnemu podróżnemu:

— Najjaśniejszy panie... dom o staję, nie dalej...

Król zatrzymać się rozkazał i poczynił rozporządzenia, odnoszące się do bezpieczeństwa osoby jego. Rajtaryja podzieliła się na dwie połowy i ustawiła się na bokach w odległości takiej, ażeby być w pogotowiu na każde zawołanie, otaczając dom łańcuchem wart ustawionych w ukryciu. Następnie, wysłał Ignacego do domu, z poleceniem dokonania rekonnesansu i oznajmienia hetmanowej o przybyciu swojem.

Ignacy wjechał na podwórzec i, gdy przed gankiem konia

osadzał, ujrzał spieszącego ku sobie dziada z toporem w ręku. W ruchach, w minie dziadą tego było coś złowrogiego, jak w minie psa kąsającego milczkiem. Ignacy też miał się na baczności. Dziad podszedł i wnet toporem się zamachnął, chybił jednak, chciał poprawić, lecz czasu mu na to zabrakło. Rozbroiło go wołanie ze środka domu:

— Daj spokój, Mircza!.. Nie ma co!..

— Chroń się, miłościwa pani!..— była dziada odpowiedź— masz czas jeszcze!.. zabawię tego smyka!..

— Nie ma co!.. Potrzymaj rycerzowi konia!..

Dziad wykonał rozkaz w milczeniu i w chwilkę później oznajmiał Ignacy oczekującej na niego w pierwszej izbie Marynie, że jego królewska mość przychylić się raczyła do prożby jej, co się tyczy udzielenia jej posłuchania.

— O! jakżem wdzięczna jego królewskiej mości...— odrzekła z westchnieniem.

— Najmiłościwszy pan...— zaczął młody człowiek.

Trudność cała w tem...— przerwała — jak tu zrobić... jak tu się dostać...

— Dostać się?... dokąd?...

— Pod Suczawę... do obozu...

— Król tu...

— Tu!?... — krzyknęła kobieta

I zbladła, jako chustka; podniosła się i na powrót usiadła.

— Tu?...— powtórzyła poszeptem — król?...

— Za wrotami... czeka...

Odetchnęła i po chwilce milczenia zaczęła:

— Jego królewska mość... najmiłościwszy pan... Jan Olbracht...

Wymawiała wyrazy głosem ciągnionym, jakby się ich na pamięć uczyła.

— Czeka na mój powrót, ażeby... a-że-by... miłości waszej... posłuchanie udzielić...

— Po-słu-cha-nie u-dzie-lić...— powtórzyła, wymawiając sylabę każdą osobno.

Na blade lica kolory wracały powoli.

— Po-słu-cha-nie... — rzekła raz jeszcze. A... a więc... więc... Cóż waszmość na to?..

— A cóż ja?.. Jego królewska mość na mój czeka powrót...

— Więc... nie ma co... stało się... Idź waszmość...

— Pomiędzy odejściem Ignacego a przyjściem Jana Olbrachta upłynęło czasu nie więcej jak minut pięć. W przeciągu czasu tego Maryna potrafiła, dziada wraz z wpół żywemi ze strachu niewiastami służebnemi wyprawić za potok, na przeciwległą górę, nakazawszy im nie wracać aż nazajutrz i to nie inaczej jak na znak dany, sama zaś poprawiła na sobie włosy i odzież, przejrzała się w zwierciedle od stóp do głowy i przybrała pozę odpowiednią.

Jan Olbracht, przekraczając próg, ujrzał przed sobą niewiastę, klęczącą z wyciągniętemi do niego a jak do modlitwy złożonemi dłoniami.

Stanął i obrzucił ją okiem znawcy, oceniając od jednego oka rzutu: głębokość wejrzenia, cienistość rzęs, poprawność rysów, oblicza, jedwabistość warkoczy, wytoczystość kibici i ponętność kształtów postaci całej. Uderzony widokiem tym, przypatrywał się czas jakiś z zadowolnieniem. Wreszcie rzekł:

— Wstań, miłościwa pani...

— Panie mój!.. królu!.. opiekunie!.. zbawco!.. — przemówiła błagalnym głosem; błogosławionym niech będzie ten próg, na którym stopa twoja stanęła... błogosławioną niech będzie ta chwila, w której oczy moje oblicze twoje ujrzały...

— Wstań, miłościwość wasza... — powtórzył Jan Olbracht do klęczącej podchodząc i rękę jej podając.

Maryna rękę królewską do ust przycisnęła i zaczęła:

— O!.. błogosławionym niech będzie...

— Dajże już temu nareszcie wasza mość pokój!.. — przerwał król pół niecierpliwości pół żartu tonem — gotówem bowiem pomyśleć, że albo ja święty, albo imość wasza święta... Kadzidła dobre dla obrazów w kościołach, ale nie dla człowieka żywego w izbie takiej jak ta oto... Wstań—dodał—bo i ja klęknę przed mościwością waszą i będziemy się modlili jedno do drugiego...

Maryna z klęczek się podniosła i kroków parę wstecz zrobiła.

— Nie po to ja — król dalej — od świtu na koniu przez lasy darł się, ażeby mnie słowami karmić...

— Król mój zdrożony — racz usiąść, najjaśniejszy panie...— odparła na dywan ręką ukazując. Natychmiast przed waszą królewską mością posiłek postawię...

— Tak... to co innego...— król na to.

Postąpił kroków kilka, kapelusz zdjął, włosy długie, dłonią z nad czoła odgarnął i, w boki się ująwszy, po izbie do koła oczami powodził; wreszcie usiadł, rozparł się, nogi wyciągnął i razy parę odsapnął, policzki nadymając.

Maryna krzątała się około zastawienia posiłku, przychodząc i odchodząc, pochylając się i prostując, i dając przezto sposobność królowi oglądnięcia postaci swojej ze stron wszystkich. Jan Olbracht oka z niej nie spuszczał; wąsy jeno pogładzał i orłem, jak to mówią, patrzał.

Gdy stół zastawionym został, Maryna przemówiła:

— Najjaśniejszy panie, raczcie skosztować...

— Zaczynajcież, mościwa pani... — odrzekł król.

— A nie...

— A...— przerwał monarcha z uśmiechem — taki zakon nasz monarszy... Kto nam pożywienie podaje, musi pierwej sam spożyć z onego część...

— Czyż bym śmiała!..— zaprotestowała niewiasta, spoglądając królowi w oczy z przymileniem.

— Nie o śmiałość tu chodzi, ale... zakon taki... takie prawo...

Jan Olbracht tłómaczyć snadź racyi istotnej prawa tego nie chciał. Nastawał jednak:

— Takie prawo...— powiadał — a nie godzi się, ażebyśmy praw łamania przykład dawali... Nie możemy się dotknąć niczego, póki mościwość wasza nie zacznie...

Maryna, pod wpływem wzruszenia, jakie jej obecność gościa takiego sprawiało, nie znajdowała się przy apetycie. Nie było jednak rady. Musiała jeść i pić najprzód sama, następnie królowi podawać. Król z talerzy zmiatał i czarki wychylał z zacięciem człowieka wygłodzonego, a że Litwinem był z rodu, w milczeniu więc tę fuńkcyją żywotną pełnił. Zmuszonym był jeno oderwać się

raz tylko, kiedy gościnna gospodyni, przypomniawszy sobie o Kapuzińskim, który się jej pokazał i znikł, zająknęła:

— Toć by wypadało dworzanina waszej królewskiej mości do stołu zaprosić...

Jan Olbracht na słowa te ręką machnął i, obracając językiem dziczej szynki kawał, odparł:

— On o sobie pamięta...

Maryna jeszcze raz króla o Ignacego zaczepiła, po uprzątnięciu stołu, kiedy Jan Olbracht w zębach sobie palcami dłubał, wyciągając z takowych paznogciami włókna mięsne.

— Gdzież dworzanin waszej królewskiej mości—słowa jej—przenocuje?..

— Nie troszcz się mość wasza o to...— była odpowiedź królewska—poradzi on sobie...

Gdy szarzeć zaczęło, pojawiła się w komnacie lampa w alabastrowem naczyniu, dająca światło łagodne, a zarazem roniąca woń subtelną.

Jan Olbracht odchrząknął, wąsy pogładził i:

— Usiądź jeno mość wasza obok nas i... pogadamy...—rzekł.

Niewiasta nieśmiało zajęła siedzenie opodal.

— Bliżej... o... tu... tak... jeszcze troche bliżej... No?.. i cóż tam?.. Waszmość pani, jak słyszeliśmy, coś tam... jakoś tam... stanęłaś na bakier względem familii własnej...

— Królu mój, panie!.. — podchwyciła zagabnięta — pierwej wysłuchaj, a potem sądź!..

— Podobał się waszmość pani węgier wąsaty...— wtrącił król półżartobliwie.

— Przez Boga miłego!..— odparła z ironii akcentem — Węgier ten tak mi się dalece podobał, że od czasu jak ze sobą jesteśmy, proga mojej komnaty nie przestąpił... Patrz, najjaśniejszy panie...—tu wstała i rękę wyciągnęła—widzisz odźwierki zębami pogryzione... To tak węgier wąsaty chciał się wgryść do mnie!.. To tak on podobał się mi!..

W postawie tej, z ręką wyciągniętą, w alabastrowem półoświetleniu, była zachwycająco-imponującą, królewsko-piękną. Król też, olśnio-

ny niby, powiekami łypał, myśląc o tem, jak to musi być nie miło, zębami odźwierek gryść. Maryna prawiła dalej:

— Dałam się wywabić dla świata, który mi się ukazywał w dali z zamku rodzica, a na który mnie nie wyprowadzano. Dałam się wywabić... to grzech mój cały, cała moja zbrodnia, najjaśniejszy panie... Widziałam świat z zamknięcia, chciałam go oglądać na swobodzie i wpadłam w sidła, w których zachowałam całą duszy i ciała czystość, potrafiłam bowiem człowieka, co się zobowiązał świat mi otworzyć, trzymać od siebie zdaleka... Zawiniłam, rodzica i rodzicielkę rzuciłam... Zawiniłam... wyznaję... w piersi się biję... sądź mnie królu i... i... jeżeli względów twoich i przebaczenia godną mnie uznajesz, osłoń mnie skrzydłem monarszej opieki twojej...

Piękną była w suplikantki postawie. Sprawa jej na jaknajpomyślniejszej znajdowała się drodze. Król przebaczał — przebaczył z góry, ale... ale... Jan Olbracht, na sędziego wysztyftowany, nie w swojej czuł się skórze: — on przyjechał nie po to wcale...

---

## XIX.

# TRZYDNIOWE POSŁUCHANIE.

Piękna Maryna oczarowała króla.

Jan Olbracht jednak wcale nie oczarowania szukał.

Stało się z nim wedle przysłowia ludowego: „Złapał kozak Tatarzyna a Tatarzyn za łep trzyma". Złapał się samochcąc. Nazajutrz po przybyciu do domu ochmielonego, rano się obudziwszy, wzdychał i, odmawiając pater noster z ukosa spoglądał na odźwierek zębami Węgra pogryziony. Zadumany był czegoś. Wreszcie wstał i na podwórze wyszedł, pogwizdując przez zęby; obszedł dom do koła, o ile na to położenie onego nad urwiskiem pozwalało; zajrzał tu, zajrzał ówdzie, pogwizdywał, następnie wyszedł za wrota i, jakby sobie co przypomniał, przyspieszonym krokiem udał się na stanowiska rajtarów. Na stanowiskach znalazł wszystko w porządku: konie posiodłane i do kołków pouwiązywane, jadły w trajstrach obrok, żołnierze spoczywali z bronią, szyldwachy czuwały. Król zalecił czujność i spokój i pochwalił żołnierzy, w towarzystwie których noc spędził Ignacy.

— Cóż tedy?.. zapytał tego ostatniego—spało się smacznie?..

— Spało się, najjaśniejszy panie...

I—tyle. Jan Olbracht odszedł, nie dodawszy ani słowa więcej Ztąd wypadało, iż rozkazy wczorajsze w swojej pozostawały sile, rozkazy zaś owe zalecały pozostawanie na stanowiskach i czuwanie

nad domem zdala w dzień i w nocy, z gotowością spieszenia z orężem na pierwszy znak, dany za pomocą trąbki srebrnej, zawieszonej na królu.

Piękna gospodyni spotkała powracającego króla w ganku, ubrana w bieli, z perłami w warkoczach. Pachło od niej, dyszało rozkoszą. Nie można wyobrazić sobie nic ponętniejszego, pod postacią niewiasty. Jaśniała gołębią prostotą, świetniała królewską powagą i z wdziękiem niewysłowionym powitała dostojnego gościa, dowiadując się z troskliwością o zdrowie jego drogie.

— Eh... — król ręką machnął — z łożabym się dźwignął śmiertelnego na widok wasz, mościwa pani...

— Wasza królewska mość... taki łaskaw na służebnicę swoję niegodną...

— Och!.. niegodną!.. Pragnęlibyśmy my służebnicy tej w służbę się zapisać...

— Najjaśniejszy panie!..

— Ot!..—wstrząsnął król głową i westchnął.

— Wasza królewska mość trosk tyle ma na sercu...

— A nie ma ich komu osładzać... Brzemie panowania jest, wierz, ciężkiem, bardzo ciężkiem brzemieniem...

Rzekłszy to, głowę pochylił, jakby w rzeczy samej brzemie, o którem mówił, z góry go przytłoczyło. Westchnął.

I Maryna westchnęła.

W oczy jej spojrzał.

Ona mu patrzyła w oczy z wyrazem takiego rzewnego spółczucia, iż rzewności wyraz oblicze Jana Olbrachta oblał. Popatrzył przez chwilę, głową pokiwał i rzekł:

— A... co tu gadać długo!.. Ja ciebie miłuję, Maryno...

Maryna drgnęła, cofnęła się; z przerażeniem się w króla wpatrzyła i odparła:

— Najjaśniejszy panie!..

— Cóż?.. czy ja straszny taki?..

— Przeraża mnie ogrom zaszczytu i szczęścia... Miałażbym ja... ja?.. na takie ze strony waszej królewskiej mości względy zasłużyć?..

— Tyś cudna!..

— Czyż to dosyć dla króla, cudność niewieścia?..

— Jeżeli jest pieśnią do rozkosznego snu ukołysującą, ambrozyją upajającą, balsamem gojącym rany przez losy zadawane...

— Waszej królewskiej mości potrzeba... królowej...—rzekła prostując się i głowę podnosząc.

— Nie królowej, ale kochanki...— odparł Jan Olbracht z zapałem. Królowa to kanclerz w spódnicy, skarbnik w czepcu, instygator w łożnicy, kwas w życiu, wyrzut sumienia, wieczna pokutnica czepiająca się rąk i nóg monarszego małżonka i wyskubująca mu pióra ze skrzydeł... Królowę, gdybyśmy zechcieli jeno, moglibyśmy mieć od dawien dawna, gdybyśmy nie czuli w duszy pragnień do góry rwących... O nie!.. nie królowej nam potrzeba, ale kochanki, nie ucisku, ale uścisku, nie ciężaru, ale uskrzydlenia, nie chłodu, ale płomiennego tchnienia, rozgrzewającego nas ciepłem serdecznem i dodającego sił w chwilach upadania pod brzemieniem... Jowisz uciekał od Junony, Numa biegł do Egieryi, przodek nasz, Kazimierz, w objęciach kochanki, zarabiał sobie na przydomek „Wielki“ w potomności...

Przy słowach ostatnich postąpił ku hetmanowej, która oczy rzęsami zasłoniła, ujął ją za rękę, do izby wprowadził i patrząc na nią, rzekł:

— Maryno!..

Maryna mu głowę na piersi pochyliła.

— Kochanko!..

— Kochanku!.. — szepnęła.

Usiedli jedno obok drugiego.

— Miła moja... w życiu człowieczem bywają takie chwile, z których jedna za wieczność stanie...

Niewiasta wzrok podniosła i długie głębokie spojrzenie w oczach króla utopiła.

I rozmawiali, gruchali — czas upływał: ani się obejrzeli jak przyszło południe, po południu nadbiegł wieczór, po wieczorze nastała noc, a tam dalej zawitał drugi poranek.

Co im czas!..

Chwila—powiadał Jan Olbracht—za wieczność stanie; dla nich zaś chwila czepiała się chwili i z połączenia poprzednich z następne-

mi tworzył się łańcuch sekund z których robiły się minuty, minut, z których powstawały godziny i godzin, luzujących się niby warta obozowa. Oni, zdawało się, na odwrót czynili: wieczność we chwilę zmieniali.

Po poranku drugim zawitał trzeci.

Ignacy i niemieckie rejtry, rozkazom posłuszni, na stanowiskach stali i daremnie oczekiwali, bądź na nowy rozkaz, bądź na znak trąbki, bądź też, bodaj, na ukazanie się postaci królewskiej.

— Oto mi posłuchanie!.. — powiadał sobie Ignacy. Co tam w obozie myślą?..

Zapytanie to nie było racyi pozbawione i Ignacy, zadając je sobie, czuł w duszy pewien rodzaj wyrzutów sumienia, myśląc, że posłuchanie to miejsca by mieć nie mogło, gdyby nie on.

— Dyjabli nadali!.. — wymawiał sobie.

Pomimo to czujność, przez króla zalecona, nie słabła ani z jego ani z żołnierzy niemieckich strony. We dnie cofali się w głąb lasu i naglądali dom zdaleka, w nocy otaczali zagrodę łańcuchem wart.

Lecz czujność, żeby największa, nie zawsze jest w stanie zapobiedz fortelom.

Nocy trzeciej pobytu królewskiego w domu Kierdeniego wydało się szyldwachom, jakoby słyszeli chód jakiś prędki. Odgłos stąpań dochodził słuchów ich z lasu. Natężyli uwagę. Dwu z nich wydało się, jakby postać ludzka wysuwała się z cienia na oświetloną blaskiem gwiazd przestrzeń i krzyknęli razem:

— Halt!.. wer da!..

Okrzyk ten zabrzmiał gromko, odbijając się echem w nocnej ciszy.

Ignacy, który spał w tej chwili, zbudził się, na równe zerwał się nogi i obszedł zagrodę do koła. Nie widział jednak nic; od szyldwachów zaś, nie umiejąc się z nimi rozmówić, nie mógł dowiedzieć się o przyczynie okrzyku. Zresztą, nie dowiedziałby się o niczem. Widmo, które im się ukazało, znikło.

W chwil kilka później widmo ukazało się znów, ale nie z lasu, lecz na wierzchu palisady podwórzec otaczającej, i nie w postaci człowieczej, lecz w kształcie bryły ciemnej, mającej niejakie do czworo-

nożnych podobieństwo. Znów zabrzmiał okrzyk i szyldwach, co takowy wydał, poskoczył z nastawioną halabardą ku miejscu, w którem się bryła pojawiła, lecz nie znalazł nic. Zaklął więc półgłosem i powrócił na dawne stanowisko.

Widmo wszakże owe i bryła owa nie było to złudzenie żadne. Gdyby szyldwachy rysi posiadali wzrok, widziećby mogli postać ludzką toczącą się od lasu ku palisadzie, jak się toczy beczka, wstająca następnie pod ogrodzeniem, przytulająca się do takowego, wspinająca się i przewalająca przez wierzch. Mogliby dostrzedz nawet wąsów ogromnych, które mignęły na płocie nakształt dwu rogów bydlęcych. Szyldwachy jednak nie posiadali rysich wzroków, i dla tego rzeczywistość wzięli za przywidzenie. Rzeczywistość ta zaś na podwórzu toczyła się znów niby beczka, dotoczyła się do ganku, z ziemi się podniosła i, zrobiwszy po cichu kroków kilka, do klamki rękę wyciągnęła. Lecz, nim ona klamki dotknęła, drzwi uchyliły się same. Postać wsunęła się. Drzwi się zamknęły.

Drzwi z ganku, jak wiemy, prowadziły do sieni. W sieniach panowała ciemność absolutna. W ciemności odezwało się najprzód syknięcie ciche:

— Psss...

Po syknięciu nastąpiły słowa szeptane, miękim, niewieścim głosem szybko wymawiane:

— Lajosz?.. ty?... przeczuwałam ciebie...

— Maryno!.. co tu?..

— Od dni trzech, męczy mnie, dręczy... odźwierek gryzie...

— Kto?..

— Jan Olbracht...

— Luba moja!.. królowo moja!.. — zawołał mężczyzna głosem, który mimowolnie wyraźnie zabrzmiał.

— Psss...—napomniała niewiasta. Jakże?.. zkąd?..

— Wprost z Suczawy... Mirza... dziad... do grodu się dostał i znać mi dał, że ciebie Lachy najechali... Zamieniłem z nim odzież, omyliłem warty lackie... Gdzież on?..

— Tu... psss... Masz nóż jaki?..

— Mam...

— Chodź... chodź prędko...

Szeptanie ustało. Słychać jeszcze było niby drzwi skrzypnięcie i zamku zgrzyt, po czem nastąpiła cisza, cisza absolutna, panująca zarówno i na łańcuchu wart i wewnątrz domu: tylko potok szumiał, tylko las szeleścił, tylko puhacz hukał — aż ptaszęta śród gałęzi zaszczebiotały, zwiastując brzask porankowy.

Świtało, zaświtało — warty się cofnęły.

Maryna w lekkiem rannem ubraniu uwijała się około przygotowania posiłku, tłukła jaja w rynce i do stojącego na węglach srebrnego imbryka, w którym się wino gotowało, wrzucała korzenie woniejące. Wzruszenia jakowegoś, ani na jej obliczu, ani w oczach, najmniejszy nie istniał ślad. Czoło pogodne i wzrok pogodny. Krzątała się, jaja rozbite do wina wlała, zamięszała, imbryk z węgli zdjęła i podczas kiedy sobie warkocz wiązała, słyszeć się dało przez sień głośne a grube chrząknięcie:

— Hrm, hm!...

Wnet też, postawiwszy imbryk obok złoconego kubka na tacy, tacę wzięła i przez sień, przez pierwszą izbę, do komnaty swojej weszła

Na łożu, z poza kotary wychyliło się oblicze męzkie i ozwał się głos:

— Dzień dobry ci, gosposiu cudna... Czekam...

— Spieszyłam się też z grzaniem wina...

— Ach!... czekam nie na wino gorące... Przyzwyczaiłaś czoło moje do całusa na dzień dobry i czoło moje o całus się upomina..

Maryna postawiła tacę, zbliżyła się do leżącego na wznak, włosy mu odgarnęła, w oczy mu przez chwilę patrzyła, nachyliła się nieco i złożyła pocałunek na środku czoła. Ten w ramiona ją wziął i do piersi przycisnął.

Szczęśliwiec ów był to Jan Olbracht.

Szczęśliwy człowiek! Piękniejsze usta nigdy chyba czoła męzkiego nie dotykały, piękniejsza kibić nigdy się w objęciach męzkich nie gięła.

Po uściskach nastąpiło śniadanie. Król ostrożnie, z obawy poparzenia sobie ust o brzegi kubka wciągał w siebie aromatyczny płyn i cmokał.

— Jakieżto smakowite... z rąk twoich...

— Niech wam na zdrowie idzie, najjaśniejszy panie...

— Jakżem spał!... jakżem spał!.. Miałem jednak sen dziwny...

— Jaki, najjaśniejszy panie?...

— Snił mi się węgier... gryzł odźwierek...

— Och!... machnęła Maryna od niechcenia—co tam...

— Nagryzł się, powiadasz...—rzekł król żartobliwie.,..

— Mniejsza tam o to...—odparła kobieta i dodała z przymileniem głosem cedzonym: Ot... mam ja prożbę, wielką prożbę do waszej królewskiej mości...

— No?...

— Pierwszą prożbę...

— Jakąż-to...

— Oto... żebyśmy ztąd odjechali.,.

— O?...tu—ż tak dobrze!...

— Ale niespokojnie...

Niespokojnie?... zapytał król ze zdziwieniem. Czyż spokojniej może być na świecie!...

— Wkrótce po pół nocy... nie słyszałeś królu?... obudziły mnie okrzyki...

— To warty obwoływać się musiały...

— Może... Ale już spać nie mogłam i trapić mnie poczęły przeczucia jakieś straszne, których, czuję, nie pozbędę się już, jak długo pod tym pozostanę dachem...

Umyśliłam więc sobie: będę prosić króla... on łaskaw taki, prożby mojej wysłucha...

— Hm... jeżeli o to jeno chodzi...

— O nic więcej... Wasza królewska mość nie zechcesz, ażeby mnie zmory nocne męczyły...

— A to!... i na cóż by mi się to zdało!... Owszem... Więc kiedyż?...

— Jak najrychlej... chociażby dziś, natychmiast...

— Dziś to dziś... odrzekł król wesoło. Nic nie mam do odmówienia mojej dobrodziejce... Ha!...

Zerwał się i żwawo odziewać się począł.

Maryna się oddaliła.

Odziewając się, Jan Olbrecht myślał:

— Toć bo już na mnie i czas wracać... Co tam sobie w obozie

myślą?... Jeżeli królewicz nie zamaskował jako nieobecności naszej, to kweres być musi niemały... a... i cóż!... Niewolnik ci ja, czy co?... Trzeba jednak będzie wysłać Kapuzińskiego przodem ze słówkiem do Zygmunta, sam zaś przybędę później, choćby w nocy... ba, i najlepiej w nocy... ażeby gawrony nie zoczyli od razu jaskółeczki mojej... Gdzie ją jednak, zapytał sam siebie, włosy sobie rozczesując — pomieszczę?... A ba!... wielka mi rzecz—wyrzucę królewicza... wypada bo nawet, ażeby Zygmunt odzielny miał namiot... i trzeba nawet, ażeby się wyniósł przed przybyciem naszem... Kapuziński mu to zapowie...

A po chwili próżni w myślach, zajętej opinaniem żupana:

— Co jednak powiedzą na to?.. Jii!... no i cóż!. Czy to my zakonnik!... czyśmy czystość zaprzysięgli!... Co wolno najostatniejszemu z poddanych naszych, to miałoby być nie wolno nam?... A król Dawid! a Bethsabea. Phh...

Odział się i miał się ku wyjściu, kiedy mu Maryna drogę zaszła.

— Jedziemy najjaśniejszy panie?...

— Idę właśnie stosowne wydać rozporządzenia...

— A mojeż sprzęciki i graciki?...

— A!... zastanowił się Jan Olbracht. Na myśl mi to nie przyszło... Co z tem zrobić?...

— Co z tem zrobić?... powtórzyła, błagalno-miłosnem wzrokiem patrząc królowi w oczy.

— Porzucić?...

— Najjaśniejszy panie!...

— Aha!... ot co... Dobra myśl... Kupuzińskiego wyprawiam przodem... Dla nas dosyć będzie rajtarów dwu... reszta zaś zabierze graty twoje, objuczy niemi konie i dokona przenosin regularnie...

— Ach!... jakże to się pięknie składa...

— Wszystko się złożyć może, byle głowa na karku... — rzekł król, samozadowolnienia tonem.

Rzekłszy to, wyszedł na ganek i w róg srebrny uderzył.

Wnet, jakby za poruszeniem różczki czarnoksięzkiej, lud rycerski jawił się przed nim, z Ignacym na czele.

— Mości Kapuziński!... na koń!... i ruszaj natychmiast... Nie żałuj ostrogi, masz bowiem stanąć w obozie na godzin kilka przed na-

mi... Powiedz jego królewiczowskiej mości, że wolą naszą jest, ażeby się wyniósł z namiotu naszego... Zapowiedz mu rychłe nasze przybycie ale niech się to nie rozgłasza...

W chwilkę później, Ignacy znajdował się w podróży.

W godzinę z czemś po odjechaniu Ignacego, wyjeżdżali z podwórca król, Maryna i dwu rajtrów, na podwórzu zaś odbywało się z porządkiem i pośpiechem żołnierskim juczenie koni ośmnastu.

Juczenie nie zabrało czasu godzin trzech, tak że o południu dom ów, istne gniazdko miłości, opustoszał zupełnie. Ani psa, ani kota, ani żadnej rzeczy, która jego jest. Śmiecia nieco tu i owdzie, przed gankiem mierzwa z wypróżnionych sienników, tam i sam sprzęt jakiś rozłamany lub naczynie rzucone. Drzwi wszystkie pozostawiono otworem, z wyjątkiem jednych, od izby owej, głuchą zwanej, która młodemu Kapuzińskiemu za więzienie ongi służyła.

Kapuziński chciał ją przed odjazdem odwiedzić? ale król naglił — czasu nie było, pozostawił odwiedziny te na później, do innej okazyi; tymczasem zaś pospieszał, nie szczędząc, wedle rozkazania królewskiego ostróg i nie żałując ani konia, ani siebie. Na dobre mu ten pośpiech wyszedł, pomimo że się podrapał o gałęzie. Słońce nie zaszło jeszcze, kiedy stanął przed obliczem królewicza, oznajmując mu rychłe przybycie króla. Zygmuntowi na oznajmienie to rozjaśniła się twarz — uśmiechnął się i odetchnął, odetchnął w sposób taki, jakby mu się z piersi ciężar wielki zwalił.

— Bogu najwyższemu dzięki... A z której jego królewska mość przybędzie strony?...

Z tej...— odrzekł Ignacy, ukazując ręką ku wschodowi.

— Z tej?... — rzekł Zygmunt ze zdziwieniem, pochodzącem zapewne ztąd, iż w tamtej stronie o żadnych nie wiedział drogach.

Ruszył ramionami i głową wstrząsnął.

— Waszmość ztamtąd przyjeżdżasz?...

— Tak jest, mości książe... i...

— Nie spotkałeś—przerwał królewiecz—nie widziałeś nic podejrzanego?...

— Nie... nic... — odpowiedział Ignacy, namyślając się ażali zapytanie królewiczowskie nic posiada szczególnego jakiego znaczenia.

— Żadnej włóczącej się partyi nieprzyjacielskiej?...

— Żadnej, mości książe...

Królewicz znów głową wstrząsnął i zapytał:

— Nie przysyła jego królewska mość rozporządzeń jakich?...

— Przysyła mości książe... Najjaśniejszy pan rozkazał mi powiedzieć waszej królewskiej mości, że wolą jego jest, ażebyś, mości książe, wyniósł się z namiotu królewskiego...

— A?... — odezwał się Zygmunt — i więcej nic?...

— Więcej... ażeby nie rozgłaszać o powrocie jego królewskiej mości...

— Hm... więc dobrze... postaramy się niezwłocznie uczynić zadość woli najjaśniejszego pana...

Zaczął wnet Zygmunt wydawać stosowne rozporządzenia, tyczące się rozbicia dla niego namiotu i ulokowania go w takowym; Ignacy zaś udał się do siebie. Idąc jednak, przyszło mu na myśl, że jest posiadaczem tajemnic, o które ciekawi, gdy się o przybyciu jego dowiedzą, nagabywać go nie omieszkają. Jakoż, widział już nawet z daleka gromadkę sporą, oczekującą na niego. Zamiast więc do namiotu swego, zwrócił się i poszedł wprost do namiotu rotmistrza Czuryły.

Rotmistrz, pot na czole obcierając — tylko co zkądeś wrócił— i pan Baltazar siedzieli u wniścia na pieńkach. Ujrzawszy przychodzącego i usłyszawszy wymowione przez niego „niech będzie pochwalony“ odpowiedzieli razem:

— Na wieki wieków...

I wnet rotmist zaczął:

— Cóż to, mości Kapuziński!... o waszmości niby w bęben biją... cuda, dziwa... Znikłeś, pojawiłeś się, znów znikłeś... I skąd-że to teraz pan Bóg prowadzi?...

— Ot, mój rotmistrzu.. —odrzekł zapytany—znikam i wracam za królewskiem rozkazaniem...

— A no... to i dobrze... siadajże waszeć...

Pachołek przysunął Ignacemu trzeci pieniek. Pan Baltazar odezwał się:

— Hm... krescytywa pewna, jeżeli to jedno nie prawda, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ...

— To jeno nie koniecznie dobrze — podchwycił rotmistrz — że

rozkazania te odrywają waszmości od rzemiosła rycerskiego, do którego, jak się zdaje, masz ochotę...

— O! mości rotmistrzu... — zaczął Ignacy. Cóż jednak poradzę!...

— Gdybyś się chorągwi trzymał... — wtrącił pan Baltazar— byłbyś po dziś dzień na karbownicy... ale, w orszaku królewskim, i lżej i wygodniej...

— Lżej i wygodniej... — powtórzył Ignacy protestacyi tonem, przebiegłszy szybko w pamięci wypadki, jakie go spotkały.

Chciał o wypadkach tych opowiedzieć, lecz przypomniał sobie że mu tajemnica nakazaną.

— Teraz jednak zanosi się na to — prawił pan Baltazar dalej— że i ich moście panowie dworzanie będą musieli łby nastawiać...

— Cóż... cóż słychać?...—zapytał Ignacy z żywem zajęciem.

— Nie wiesz waszmość o niczem...

— Zkąd-że bym miał wiedzieć!... Wiem tylko, że Suczawę obsaczamy...

— A no... My obsaczamy Suczawę, a Suczawa obsacza nas...

— Jak to!..

— Jeżeliś waszmość ciekawy, to sprobuj, wychyl nos na trakt do Seretu... Zaspokoiłbyś ciekawość podwójnie: i po nosie byś oberwał i przypatrzyłby się zbliska wołochom, tatarom, arabom i rozmaitym azyjatom...

— Ja też nie pragnę czego innego!...—rzekł młodzieniec z przyciskiem.

— No no... To psiarstwo wyłapuje nam szlachciców jednego po drugiem, niby w sieci wielkie... Nie myślę, ażebyś waszmość złapać się dać chciał... Nie ma jednak tego złego, coby na dobre nie wyszło—prawił pan Baltazar. Szlachta wymykać już z powrotem do domów poczynała, aż tu... trzask... klamka zapadła...

— Więc cóż?....

— A cóż!... Babom osobliwie w niesmak to idzie... Trzymały się małżonków, będąc w strachu, ażeby sobie haremów nie pozaprowadzali, a teraz w strachu są o siebie i dopytują się jakie też w haremie życie...

— At... mości chorąży... — odezwał się rotmistrz tonem upomnienia.

— Może nie?... Przed chwilą... hm... opowiadałem krajczyni, że turcy trzymają rzezańców, a rzezańców obowiązkiem jest każdą niewiastę w haremie co rano cegłą tartą i szczotkami od stóp do głowy na wszystkie strony szorować i tak golić, żeby tylko na jednych brwiach były włosy, więcej nigdzie...

— Nie bzdurzyłbyś waszmość... — wtrącił pan Czuryło.

Dalszą gawędkę przerwał pachołek, który przyniósł posiłek wieczorny, składający się z polewki jakiejś i chleba. Rotmistrz zaprosił gościa, pan Baltazar zaś tłómaczył mu skromność jadła.

— Brzuchy nam pęczniały — mówił — więc poszliśmy na post nie całkiem dobrowolny... Ale to i dobrze... Król jegomość, jeżeli doprawdy, jak powiadają, medytuje, wymedytuje niezawodnie szturm do Suczawy, to wówczas ściągniętemu postem rycerstwu będzie potrzebował powiedzieć tylko, że w Suczawie pełno mięsa, sera, piwa i miodu... Byle jeno co rychlej medytacyje skończył, coś bowiem za długo zamknięty w namiocie siedzi...

Ze słów tych poznał Ignacy, iż nieobecność królewska była w obozie tajemnicą, i to dobrze zachowaną, kiedy o niej w szeregach chórągwi dworskich nie wiedziano.

— Pochlebcz waszmość juszki...—namawiał go pan Baltazar.

Ignacy pokosztował.

— Cóż?... smakowita?... zapytał.

— Niczego... — odrzekł zapytany.

— Mogłaby jednak być smakowitszą, gdyby się w niej, oprócz mąki i soli, i gnaty jeszcze gotowały, a okrasa po wierzchu pływała... A no... dobrze nam tak... Objedliśmy okolicę... Jeżeli tak dłużej potrwa, nie pozostanie nic innego, jak tylko rycerstwo na żołędzie puścić... Ale, jego królewska mość zamknął się i medytuje... cóż on jednakże wymedytuje w końcu...

— Niech będzie pochwalony... — odezwał się głos za plecami Ignacego.

Ignacy głowę odwrócił i ujrzał postać wzrostem niewysoką, odzianą w strój do kostek sięgający, mizerną i bladą. Ledwo poznał. Był to pan Maciej Kołtun.

— Jakże tam waszeci?...—zapytał Czuryło ze spółczuciem.

— Lepiej... o!.. coraz to lepiej...—odpowiedział zapytany. Czuję wyraźnie, jak mi siły wracają...

— A to waszmość, mości Kołtunie!..—zawołał Ignacy. Poznałem po głosie... Waszmość słabował?..

— O, i jak!..

— Od czegóż to?..

— Hm... — odparł rekonwalescent. Oberwałem...

— Samochcąc...—podchwycił pan Baltazar. Zawziął się i, gdyby nie to, byłby wyszedł zdrowo i cało... Ale zawziął się... Zachciało mu się koniecznie Kierdeniego ze świata zgładzić... I cóż waszmości ten Kierdeni tak zawinił?..

— Ha!..—odparł Kołtun, głowę nieco pochylając.

— Gdybyś waszmość był młodzik, nie mówię... Młodzi, jak źrebce perskie, ślepną gdy krew w sobie poczują... Ale zapędza się tak staremu, doświadczonemu wojownikowi, wierz, nie godzi się... Chyba, że masz jakąś do Kierdeniego ansę...

Eksmnich nic na to nie odpowiedział, przyjmując słowo pana Baltazara w znaczeniu żartów. Ignacemu jednak słowa te przywiodły na pamięć przejazd wraz z Kołtunem przez lasy bukowińskie, poszukiwania jego w lasach owych, znalezienie domu nad potokiem i zachowanie się Kołtuna wobec widowiska, jakie się im na ganku ukazało. Zawziętość, o której pan Baltazar mówił, stała się dla niego zrozumiałą. Poznał sprawę i wiedział do jakiej ją odnieść kategoryi; poznał atoli zarazem, że sprawa owa powikłała się obecnie, przez wmięszanie się w nią króla. Kierdeni, Kołtun i król wydali się mu, jak owa, przez Mickiewicza ośpiewana, „Trójka koni“ przy jednym żłobie barda Antoniego. O ośpiewaniu, które w półczwarta wieku później nastąpiło, oczywiście, wiedzieć nie mógł. Rzecz sama jednak do porównania się nastręczała, tylko że Ignacy nie widział sposobu praktycznego, za pomocą którego możnaby pomiędzy spółzawodnikami zgodę sprowadzić. Bat, przez Mickiewicza jako rozjemca podawany, nie nadawał się w tym razie. Widział atoli jedną rzecz wyraźnie, a to: że król cale niepotrzebnie zawikłał się w tę rzecz.

— Prawda—powiadał sam do siebie, oddawszy dobranoc rotmi-

strzowi, panu Baltazarowi i Kołtunowi i do namiotu swego zmierzając—białogłowa cudna... przeciwko temu ani słowa... ale... zawszeż to białogłowa... Cóż więc z tego, że cudna!.. I mojej Maryśce nic do zarzuczenia nie ma, a przecież... gdyby tego... gdyby ona... gdyby to...

Majaczyło mu się. Maryna ta i Maryna tamta zlewały się w wyobraźni jego w postać jedną. Nie był pijanym—polewką z mąki upić się nie sposób; czuł się jednak znużonym setnie i podążał do pościeli pośpiesznie, wzdychając do pana Boga, ażeby nie spuścił na niego snu, jak poprzednio, do odpędzenia którego aż do księdza kaznodziei i do ekzorcyzmów uciekać się trzeba było.

## XX.

# WYSKOK.

Z rozdziału poprzedniego, właściwie zaś ze słów pana Baltazara z łatwością wyrozumie każdy, że armija polska znajdowała się w położeniu nie nader świetnem. Położenie to określało się przez—wyrażając się terminem nowożytnym—*zagrożenie komunikacyj*, pochodziło zaś z nieznajomości geografii. Geografija, nauczająca tego, w jakim miejscowosci na powierzchni ziemi znajdują się jedne względem drugich stosunku, jest nauką nową; strategija, mająca za podstawę tę prawdę, że linija prosta, jest liniją najkrótszą, jest nauką jeszcze nowszą. Przodkowie nasi, posiadając *wszechmądrość* zawartą w *księdze żywota*, ani o pierwszej, ani o drugiej, najmniejszego nie mieli pojęcia nie mieli nawet — co gorzej — dzięki księdze owej, poczucia potrzeby wprowadzania do rozumu wiadomości jakowycheś extra, któreby rychlej niż to nastąpiło, sprowadziły poznanie rzeczy tak potrzebnej, jak opisanie ziemi. Nie mówimy tego li tylko o polakach. Przodkowie nasi nie stanowili w tym względzie wyjątku. Naukowość istniała, ale, mając na uwadze początek i koniec, nie interesowała się zgoła środkiem i nie wywoływała do życia nauk istotnych, przystępnych a potrzebnych, pomiędzy któremi geografija jedno z najważniejszych zajmuje miejsce. Z tego to powodu, armija Suczawę oblegająca, postawiła się, a rączej postawioną została w położeniu najfatalniejszem.

Gdybyć jeszcze stosować do niej można było gadkę: „głodno, chłodno i do domu daleko."

Do domu daleko nie było; pora, która następowała po kanikułach, zapowiadała jesień jaknajpiękniejszą; dwie te niedogodności nie istniały wcale, tylko głód zaglądał, a zaglądał nie dla żadnego innego powodu, tylko przez nieprzezorność. Objedzono okolicę i nie poczyniono zapasów. Zrazu więc w obozie panował zbytek, następnie dolegał niedostatek.

A gdy niedostatek dolegać zaczynał, to jest, gdy coraz to trudniejszem się stawało dostarczanie mięsa, drobiu, nabiału, legumin, zaś, z drugiej strony, wyczerpywały się zapasy podróżne, z domu zabrane; gdy ten moment nastąpił, w rycerstwie obudziła się nagle tęschnica do domowej zagrody. Niewiasty zwłaszcza na alarm niby uderzyły. Mieszkanie pod namiotami wielce się im podobało, ale... trwało nieco za długo i przedstawiało się w perspektywie, pozbawionej nie tylko przyjemności, lecz i koniecznych do życia warunków: chleba powszedniego, nie mówiąc o okrasie, ani też o piwie, winie i miodzie, tyczących się bardziej mężów aniżeli niewiast. Szlachcice uskarżali się, że im się niebawem żaby w żołądkach mnożyć zaczną; szlachcianki zatrważały aspekta groźniejsze, z powodu których, stopniowo, od dnia do dnia, wzrastała tęschnica i rozwijało się nieukontentowanie. To ostatnie przyszło najpierwej i objawiło się pod postacią krytyki czynności wojennych.

— I pókiż tego będzie!... — powiadały dozgonne i niedozgonne towarzyszki rycerzy. — Kiedyż — skończą z tą Suczawą!... A to utrapienie!... Niech raz już zrobią albo tak, albo siak.... A to strzelają i strzelają.... od strzelania tego uszy już bolą.... Co król myśli sobie!... czy jemu się zdaje, że uszy od tego huku ustawicznego nie popękają w końcu?....

Huk jednak umniejszał się z dnia na dzień, strzelanie stawało się coraz to rzadsze, tak, że w końcu do tego doszło, że dnie całe w ciszy mijały. Ale za to, w dniach takich, warownia pociski miotała, z mniejszym wprawdzie hukiem, lecz z większem aniżeli jukanie uszów niebezpieczeństwem.

— Co król sobie myśli!... — powtarzały. — Niechby...

Z „niechby" wysnuwały się plany rozmaite, mające dostanie Su-

czawy na celu. Niewiasty radziły użycia pomocy ognia, wody, wiatrów, kotów, myszy, wróblów, podkopów podziemnych, skrzydeł ptasich i fortelów najrozmaitszych, możliwych i niemożliwych, byle raz już dostać tego miasta utrapionego i do domu powracać.

— Hej!... do domu!...

Życzenie to, to pragnienie rosło z chwilą każdą, wzmagało się, potężniało i w pierwszych objawach swoich wyrażało się w ten sposób, że ze stanowisk chorągwi ziemskich odjeżdżał wóz po wozie. Odjeżdżał — z rycerzem może? — nie!... gdzieżtam! Odwoził jejmość do domu, jegomość zaś jeno odrobinkę odprowadzić miał małżonkę, pożegnać się z nią na drodze i do obozu powrocić. Na ten cel, to znaczy na to, ażeby powrócić, zabierał ze sobą konie i pachołków i odprowadzał odjeżdżającą do Seretu, z Seretu do Czerniejowiec z Czerniejowiec, albo do Śniatyna, albo do Zaleszczyk, ze Śniatyna zaś lub z Zaleszczyk, jeszcze trochę, jeszcze odrobineczkę, coraz dalej, coraz dalej, aż ukazywał się w dali komin dworu lub dworka, ubrany w dymu kitę, szlachcicowi na widok ten robiło się łzawo, wjeżdżał, zajeżdżał, przed progiem stawał i powiadał sobie:

— Co mi tam!...

Otaczali go domownicy, wysypywały się dzieci.

I bywaj zdrowa, sławo — czczy dymie!

Rozpatrując się w dziejach polskich uważnie, nie sposób nie przyjść do tego przeświadczenia, że przodkowie nasi, w charakterze i w temperamencie swoim, posiadali w stopniu wysokim zaletę waleczności, ale nie wojowniczości. Przeważało w nich usposobienie pokojowe, domostwo, otoczone swobodą i niezawisłością, chociażby nawet takowe do nadużyć prowadzić miały. Wojowniczość wymaga ducha karności: tego w przodkach naszych ani śladu. Ztąd przedstawiają się oni, jako najlichszy do wytworzenia władzy silnej materyjał, a zatem, jako materyjał, nie zdolny do uorganizowania państwa na tych podstawach, jakie świat pogański światu chrześcijańskiemu w spadku pozostawił. Usiłowania przerobienia ich w tym względzie pełzły i pełznąć musiały na niczem. To darmo: słowik szczekać nie będzie. Pełznące przeto usiłowania ten jeno rezultat dawały, że wprowadzały anarchiję, najprzód w pojęcia, następnie z pojęć w ży-

cie, anarchija zaś owa, wyrażająca się w praktyce przez niekarność, stawała jako cecha niewojowniczości.

Ha... ba!... gdyby starzy polacy wojowniczymi byli, jak byli walecznymi: coby się im ostało?...

Turcy, łącząc jednę z drugą, o mało, o mało panami świata nie zostali.

Niemcy posiadają pierwszą, braknie im jednak często drugiej; dlatego, przy najgorliwszych z ich strony chęciach i przy najprzyjaźniejszych dla nich warunkach, słowiańskiego świata pochłonąć w stanie nie byli.

Przodkowie nasi różnili się od Niemców tem, że posiadali to, co tym brakło, nie posiadali zas tego, co tamtych cechuje głównie. Mimo to, sąsiadując z nimi o miedzę, nie mogli się wpływom ich obronić. Od niemców przejęli wiarę, a z nią i formy ustroju towarzyskiego, niewłaściwe temperamentowi polskiemu. Kanałem, przez który to przechodziło, była władza, która też, nie wyjmując najgenijalszego z piastunów onej, Bolesława Chrobrego, nie umiała materyjałów narodowych odpowiednio zużytkować. Wszyscy królowie nasi popełniali błąd jeden i ten sam; wszyscy usiłowali naturę narodową zgwałcić. Błąd ten popełnił i Jan Olbracht, wyprowadzając rycerstwo niewojownicze na podboje.

Sława zaborcza, wielkość państwowa: były to dźwięki, nie znajdujące odbicia w duszach autenatów naszych. Nie rozumieli tego.

To też rycerstwo żonate, dostając się pod pozorem odprowadzenia małżonek do progów swoich, rezygnowało z łatwością i bez zgryzoty w sumieniu, z dymu sławy bojowej dla dymu komina domowego.

Wyglądało to na dezercyją z szeregów: w istocie jednak rzeczy dezercyją nie było, jak naprzykład, zarzutu dezercyi nie możnaby uczynić bobrom, gdyby kto pobudował dla nich pałace na górze, a one z pałaców tych uciekły do chałup, które same sobie stawiają na wodzie.

„Natura ciągnie wilka do lasu," Natura jest potęgą, z którą twórcy państw liczyć się muszą. Zgwałcić ją można, ale nie bezkarnie.

Jan Olbracht, kiedy do wiadomości jego doszło, że szlachta się wymyka, ramionami jeno wzruszył. Nic mu też innego nie pozosta-

wało. Pocieszał się tylko tem, że wymykają się i białogłowy, przez co wojsko pozbywało się ballastu zbytecznego. Dlatego to patrzano przez palce na odprowadzanie małżonek przez rycerzy.

Odprowadzanie to, trwając tydzień, drugi i trzeci i przybierając rozmiary co raz to obszerniejsze, zmieniło się w pewien rodzaj choroby, zagrażającej obozowi konsumpcyją.

Zaczęto przebąkiwać o potrzebie środków zaradczych. Wspominano o tem królowi. Królewicz Zygmunt napomykał razy parę, że wartoby coś przeciwko temu obmyśleć. Jan Olbracht uznawał potrzebę zaradzenia, a nawet i nagłość takowej, tem bardziej że nadchodzić poczęły i wiadomości niepomyślne, które go frasowały wielce, lecz, w momencie właśnie, kiedy przystąpić należało do kroków stanowczych, trafiła się dystrakcyja; zagadano o Kapuzińskim—o cudownych jego przejściach, o zaklęciu jego w sen.

Możnaż było królowi myśleć o czem innem?..

Zajęła go księżniczka zaczarowana; a chociaż księżniczka owa zmieniła się w prostą białogłowę, zajęcie jego nie poniosło przez to uszczerbku wielkiego — owszem, wzmogło się. On tyle się o Czurylance nasłuchał!

— Musi to być—pomyślał sobie—niewiasta niepospolita, kiedy wywołała gadanie o czarach, zaklęciach...

Zamierzył sprawdzić przypuszczenie, które mu do umysłu zawitało, zaspokoić ciekawość.

Pojechał. Pojechał na krótko. Postanowił poświęcić na to dni trzy najwięcej: niechcący jednak, z trzech zrobiło się sześć, ciekawość zaś zmieniła się w zapomnienie o wszystkiem co wychodziło po za kres czarów, jakie od Czurylanki biły. Wpatrzył się w jej lica, położył dłoń w jej dłoń i zdawało mu się, że go ona w niebo niesie.

Nie on ją, ale ona jego przywiozła do obozu.

— Oto tu—rzekł król, wprowadzając ją do namiotu—przybytek królewski, a raczej rycerski... Ha! w obozie jesteśmy... Ale nie na długo... Władysław ofiaruje się z rozjemstwem...

— Z jakiem?...— zapytała Maryna, niewtajemniczona w czynności wojenno-polityczne.

— A!.. chce wypośrodkować pokój pomiędzy nami a wojewodą wołoskim...

Maryna westchnęła, nadając westchnieniu akcent smutny.

— Nie chcesz pokoju?..

— Ja nie wiem... — odrzekła z akcentem — ja tylko pragnęłabym ciebie, królu mój i panie, widzieć wielkim, a tak sławnym, ażebyś blaskiem swoim przyćmił wielkości wszystkie...

— A no... Radzisz więc mi odrzucić pośrednictwo Władysława?..

— Króla węgierskiego?.. — zapytała Maryna, nie wiedząc na pewno, a tylko domyślając się, o kim mowa.

— Tak...

— Ja nie wiem... Wiem tylko — dodała z przymileniem — że miłuję ciebie, królu i panie, z duszy całej i z serca całego...

Ramieniem lewem szyję mu otoczyła, palcami dłoni prawej włosy mu nad czołem rozgartywała i oczy swoje w oczach jego topiła.

Maryna przeto, jak widzimy, nie oświadczała się ani za wojną, ani za pokojem. Samo jednak napomknięcie tej kwestyi przypomniało Janowi Olbrachtowi, że jest nietylko kochankiem najpiękniejszej pod słońcem niewiasty, ale oraz królem i hetmanem. Nazajutrz więc skoro się obudził, posłał natychmiast po księcia Zygmunta.

Książe stawił się na wezwanie.

Król powitał go uśmiechem uprzejmym i zaczął z nim rozmowę od słów, za pomocą których starał się usprawiedliwić przed nim.

— Zabawiliśmy się nieco... — mówił. Mieliśmy roztargnienia trochę... Ale... hm... kto taki ciężar na barkach dzwiga, temu wolno... hm... No i cóż tu słychać?...

— Ha... — zaczął królewicz, ramionami rzuczając.

— Rycerstwa wyniosło się dużo? czy wynosi się wciąż?..

— Nie... — odpowiedział Zygmunt.

— Zaprzestali się wynosić?..

— Zaprzestali... gdyż...

— Spodziewałem się tego... — przerwał król. Była to sprawka białychgłów, które mężów za sobą pociągali... Białychgłów zapewne w obozie już ani na lekarstwo ?...

— Bardzo mało...

— Bogu dzięki!..—zawołał Jan Olbracht. Rycerstwo obozu nie opuszcza...

— Nie z braku ochoty, ale z powodu niemożności... — odrzekł Zygmunt.

— Jakto?.. co?..

— Drogę do Seretu, i drogę do Bai, i przejścia wszystkie zastąpiły partyje silne...

— Jakie?.. czyje?..

— Wołosi... Tatarzy... Turcy...

— I Turcy?.. — rzekł Jan Olbracht; a oczy rozwarły się mu szeroko i oblicze powlekła posępność, która mu na chwilę rumieńca z policzków i krasę z ust spędziła. I Turcy?.. — powtórzył. Cóż. prochy... które ze Lwowa ciągnęły?..

— Hm... — mruknął Zygmunt przez nos, rąmionami ścisnął, głową skinął, dłoniami w tył ruszył i westchnął.

— No?... — zapytał król po chwili.

— Oszczędzamy prochy, ile możności... Ale..

— Co?..

— Trzeba coś obmyślić...

— Cóż!..— zawołał Jan Olbracht, brwi marszcząc i dłoń prawą podnosząc. O!... Bitwę stoczymy!.. Rycerstwa pozostawać musi jeszcze? Słowom ostatnim nadał ton zapytania.

— Pod niektóremi chorągwiami połowa, pod innemi mniej, pod inszemi więcej...

— Liczmy połowę, to będzie tysięcy...

— Dwadzieścia około...

— A... z tem, w imie boże, można szczęścia próbować... Gdzie nieprzyjaciel?..

— Wszędzie...

— Jakto być może!.. — rzekł król z niecierpliwością.

— Partyje zajmują wszystkie do koła drogi, z wyjątkiem tej co na Siedmiogród prowadzi...

— Gdzieś jednak znajdować się musi siła główna...

— Zapewne... O tem wszakże dowiedzieć się potrzeba... Podjazdy, któreśmy wysyłali, nie mogą iść dalej, jak na pół mili... Wraca-

ją i popłoch jeno ze sobą przynoszą, opowiadając o niezliczonych Turków i Tatarów tłumach...

— Hm... — mruknął król, w zamyślenie wpadając. Hm... Więc to prawda, co nam król węgierski donosił!... Stefan nie wahał się wezwać przeciwko nam pomocy pogan... Więc to prawda... Ha!..— uśmiechnął się. Ale jest przecie Bóg na niebie, a Bóg niepodobna ażeby stanąć miał po stronie wrogów swoich... Nie!.. Zresztą groźnego nie ma jeszcze nic... Zwycięztwo, które przy pomocy bożej odniesiemy — dodał — zmieni położenie nasze... Zawezwę wojewodów na naradę...

Wstał, rozesłał dworzan i, pozostawiając Zygmunta, udał się do tej namiotu części, którą wczoraj jeszcze królewicz zajmował.

— Dzień dobry...—rzekł wchodząc.

— Dzień dobry waszej królewskiej mości... — odpowiedział głosik srebrzysty.

— Spało się pani mojej pod namiotem rycerskim...

— Spało się, najjaśniejszy panie... — odrzekła piękna kobieta pomykając usta różane ku czołu, które jej król nastawiał.

— Słońce już zeszło, skowronki od dawna już szczebiocą... ty jeszcze w pościeli...

— Bom gość waszej królewskiej mości... Jam tu gościem tak, jak wasza królewska mość byłeś gościem tam...

Wyciągnęła się pod okrywą i ramiona ku królowi wyciągnęła.

Jan Olbracht usiadł obok.

Trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy, mieniali ze sobą wyrazy miodowe, które jedno drugiemu du ucha kładło, całowali się, ściskali, pieścili. Król razy parę do odejścia się zrywał, lecz oderwać się nie mógł. Czary oplątywały go, uroki więziły. Nie proszony pozostawał, pozostawał jeszcze, jeszcze troche, chwileczkę jednę, tonął w otchłaniach oczów, upijał się słodyczą ust i czas dla niego na skrzydłach rozkoszy umykał, umykał.

Słońce, o którem wspominał zeszło i, tocząc się powoli, przetoczyło się przez południk; skowronki zmęczone na spoczynek się udały.

Dla niego — dla nich raczej — czas nie istniał zgoła.

Używali szczęścia w zapomnieniu wzajemnem.

Istnieli ona dla niego, on dla niej — i dla nikogo, dla niczego więcej na świecie.

Aż śród uścisków i szeptów miłosnych, Maryna nagle głowę podniosła, ucho nastawiła i zapytała:

— Luby... słyszysz... co to?... gwar?..

— Gwar?.. gdzie?..

— Tu... blisko...

— Tu?.. a?.. — odrzekł dostojny kochanek ucho nastawiając. Aaa...—ręką machnął. To senatorowie... Kazałem wezwać ich na radę...

— Wyjdź-że do nich...

— Wyjdę... niech poczekają chwilę... Jeszcze uścisk!.. jeszcze całus!..

— Senatorowie... — włożyła mu Maryna do ucha.

— Wszyscy, ile ich w Polsce jest, jednego twego pocałunku nie warci...

— Wyjdź jednak do nich...

— Wyjdę, ale mnie pocałuj jeszcze...

Całus zabrzmiał...

— Jeszcze...

Znów całus zabrzmiał.

— Horda!.. horda!..—ozwały się nagle do koła namiotu okrzyki.

Powstał zgiełk, złożony z nawoływań ludzkich, tententu końskiego i odgłosu wystrzałów oddalonych.

— Co to!.. — zawołała niewiasta głosem trwogi, pochylając się ku otworowi, który w namiocie za okienko służył.

Jan Olbracht wybiegł. Przed namiotem roił się tłum niemały rycerstwa, pomieszany z dostojnikami wysokiemi, okazującemi niepokój i zniecierpliwienie, przejawiające się w urywanych frazesach i rzucanych wyrazach, jak naprzykład:

— Senatorom godzin sześć kazać czekać!..

— Rozporządzenia żadnego!..

— Masz, babo, reduty!.. Narada zdrada!..

— Patrzcie!... patrzcie!.. hen hen!... — ktoś krzyczał, palcem ukazując.

— Województwo Inowrocławskie!..

— Tra la la!.. tra la la!.. Król się schował!.. Taniec się rozpoczyna, a bez prowodyra!.. Wielkopolanie drapią!...

W dali, na przeciwległym końcu średnicy, poprowadzonej od namiotu królewskiego przez koło opasujące Suczawę, ukazywały się gęste kolumny, posuwające się powoli ku obozowi. Kolumny, te przedstawiały się, jedne szaro, drugie połyskliwie, i zajmowały horyzontu szmat spory. Wprost punktu tego, w którym się ukazały, znajdowało się stanowisko chorągwi województwa Inowrocławskiego. Województwo Inowrocławskie przeto było wytyczną, ku której zmierzały szyki nieprzyjacielskie, inaczej, było przedmiotową, wybraną jako cel ataku. Gołem okiem dostrzegać się dawał popłoch, jaki opanował nietylko to województwo, ale i dwa poboczne. Widać było kręcenie się, bieganinę, ten wsiadał na koń, ów namiot zdejmował, inny na piechotę umykał.

Król, okiem jeno rzucił i od razu położenie ocenił. Nieprzyjaciel wyzywał do boju — to było widoczne; zachodziło jeno pytanie: co przez to zamierzał osiągnąć—czy pobić wojsko polskie? czyli też, otworzyć sobie tylko przystęp do warowni? Zadanie do rozwiązania przedstawiało się w ten sposób: czy zanosiło się tu na bitwę walną czy nie?..

Zadania tego rodzaju nie rozwiązują się za pomocą patrzenia. Potrzeba pulsów przeciwnikowi pomacać.

Jan Olbracht pojął to. Frazesy i wyrazy, które niewidziany (wszyscy bowiem odwróceni byli do namiotu, a zatem i do niego plecami) słyszał, brzęczały mu niby osy koło uszów. Jeden zwłaszcza dotknął boleśnie miłość jego własną. Drgnął ciałem całem, gdy mu w ucho wpadły wyrazy: „Król się schował“, Wysunął się naprzód i krzyknął:

— Oto my!..

Jan Olbracht, głowę do góry podniosłszy i czoło zfałdowawszy, powiódł wzrokiem do koła.

Nastała cisza. Wśród ciszy zabrzmiały słowa królewskie.

— Każdy z waszmościów na miejsce swoje!.. Chorągwie szykować i w szyku bojowym, połowę zostawić na miejscu a połowę prowadzić na stanowisko województwa Inowrocławskiego!.. Rozkazaliśmy!.

Po wyrazie ostatnim, powstał w tłumie ruch, który się tem

roztrzygnął, iż każdy z wojewodów wsiadł na koń i poczwałował w towarzystwie eskorty, jeden większej, drugi mniejszej. Pozostali dworzanie. Na tych krzyknął król:

— Waszmoście na koń!..

A zoczywszy Ignacego, zawołał:

— Mości Kapuziński, gdzie rotmistrz Czuryło?

Kapuziński podbiegł kroków kilka popatrzył i odrzekł, krzycząc do króla:

— Z obozu właśnie wyciąga!.. Chorągwie dworskie ruszyły już wszystkie!..

Król odetchnął. Rozkazał podać sobie zbroję i oręż i przyprowadzić konia, i chwilę później zjeżdżał w dół na czele świetnego orszaku, podążającego w kierunku, w którym pan Czuryło chorągwie prowadził.

Zjazd w dół odbywał się powoli. Orszak królewski znajdował się zaledwie na połowie pochyłości, kiedy szwadrony dworskie przechodziły na lewy brzeg Suczawy i spieszyły kłusem pod górę, biorąc się nie na stanowisko województwa Inowrocławskiego, lecz na lewe skrzydło frontu nieprzyjacielskiego. Widać je było jak na dłoni. Posuwały się jedna za drugą, błyszczące, proporcami osłonięte, chrzęst głuchy wydające. Na górze, ta co na przodzie szła, zatrzymała się i sformowała front, obok niej, na prawo, uczyniła to samo druga, obok drugiej trzecia i t. d. Przed liniją frontu, posuwając się od lewego skrzydła ku prawemu, przejeżdzał pan Czuryło — miecz w dłoni, groza w oku — jechał stępem i od czasu do czasu odzywał się głosem donośnym.

— Ramie do ramienia!.. Łeb w łeb!,.

Oznaczało to że ramiona rycerzy i łby koni na jednej znajdować się powinny linji.

— Naprzód!..

Szeregi ruszyły stępem, równo, groźnie, mając pozór wału stalowego, dzwiganego przez konie różnej maści.

Rotmistrz mógłby, spieszniej zastępy swoje prowadzić i nieprzyjaciela atakować. Lecz był to wojownik doświadczony i przezorny, któremu chodziło nie o wyskok, lecz o następstwa. Wiedział on, że często zagrożenie bywa w boju skuteczniejszem od zwycięztwa.

Jakoż, zagrożone na skrzydle szyki nieprzyjacielskie, spiesznie cofać się poczęły na lini całej, w celu oswobodzenia skrzydła i zwrócenia się czołem ku szwadronom rotmistrza. Czuryło uszedł staj parę i zawołał:

— Stój!..

Zwrócił w prawo i zachodzić począł w sposób taki, ażeby zamaskować sobą województwo Inowrocławskie. Manewr ten przeprowadzał go na lewe nieprzyjacielskie skrzydło, któremu, w skutek zmiany frontu, zagrażał, jak poprzednio prawemu, co znów zmusiło nieprzyjaciela cofać się i front zmieniać.

Właśnie kiedy manewr ten kończył, z poza lewego skrzydła polskiego wysunął się i, niby burza, niby huragan, przeleciał mimo hufiec konny, prowadzony przez rycerza, któremu z pod hełma długie na wiatr rozwiewały się włosów kędziory. Czuryło ramie z mieczem wyciągnął, chciał krzyknąć, lecz czasu nie stało. Hufiec pędem wielkim przeniósł się i od pędu tego konie w prawoskrzydłowej chorągwi uniosły się, z szeregów wyskakując.

— Trzymaj!.. — huknął rotmistrz. Trzymaj!.. szeregu pilnuj!..

— Król!.. — odezwało się głosów parę.

— Mnie słuchaj!.. na króla się nie gawroń!.. — była donośnie wygłoszona odpowiedź rotmistrza, który, jakby nic nie zaszło na uwagę szczególną zasługującego, wykonywał manewr dalej, spoglądając jeno z pod oka na hufiec królewski.

Nagle spiął ostrogami konia i, ku lewoskrzydłowej poskoczywszy chorągwi, zawołał:

— Mości chorąży! weź waszmość pięć dziesiątków i poprowadź je tam... widzisz?.. tam, gdzie ten Wołoch na białym harcuje koniu... Widzisz go?..

— Widzę... — była pana Baltazara odpowiedź.

— Tylko ostro...

— A no... Wiem przecie, że nie godzi się pozwolić na to, ażeby nam Wołosi króla zwędzili...

— Ruszaj-że...

Pan Baltazar wnet piećdziesiąt koni od prawego skrzydła odłamał oddział uszykował, sam się na siodle poprawił, karbownicę sobie

za cholewą głębiej zamocował, w garść najprzód jednę, następnie drugą splunął, głową wstrząsnął i:

— No!.. w imie boże!..— zawołał. Naprzód!..

Oddział, stosując się do jego poruszeń, poszedł naprzód stępem, potem kłusem, w końcu czwałem i z impetem wpadł na wyskakujący przeciwko niemu hufiec, hufiec ten wywrócił i utonął w gęstwinie wołoskiej.

Wyobraźmy sobie, że nie fale o skałę, ale skała o fale uderzyła. Takiem było uderzenie zastępu przez pana Baltazara prowadzonego. Kolumna nieprzyjacielska, którą to spotkało, podała się w tył i pierzchła z pola potyczki, pozostawiając na takowem króla, orszak dworzan królewskich, pana Baltazara i jego podkomendnych.

Król był rozpłomieniony, krwią i mózgami obryzgany: zjechał się z chorążym i chciał, czy pierzchających ścigać, czy też na najbliższą kolumnę uderzać, gdy ten konia jego za cugiel pochwycił.

— Co to jest, mości Kręgarski!.. — ofuknął się Jan Olbrącht z furyją.

— To jest— odparł pan Baltazar z wyrazistym przyciskiem—że jednego i tego samego głupstwa powtarzać nie wolno, królowi nawet... Przeszkadzasz, mości królu... wracaj!.. a nie, to mnie tu pierwej ręce obetnij...

— Mości Kręgarski!..

— Patrz!..— przerwał ten ostatni. Widzisz!.. rycerstwo...

Skinął mieczem w stronę obozu i ukazał szyki nadciągające w dali.

Przez czas, kiedy rotmistrz manewrował, co zabrało godzin parę, rycerstwo po województwach zdołało się opamiętać z wrażenia pierwszego i zebrać. Chorągwie pospieszały ze stron wszystkich. Kilka, co najbliżej były, prowadził królewicz Zygmunt, który, wyprzedzając hufiec, posuwający się zwolna, przyjechał cwałem do rotmistrza, słów kilka z nim zamienił, poskoczył ku królowi i konia przed nim osadzając, przemówił:

— Wojewoda rawski, wojewoda sieradzki, wojewoda lubelski, wojewoda brzeski-kujawski chorągwie swoje prowadzą i na rozkazy twoje, najjaśniejszy panie, czekają... Gdzie i jak szykować się mają?..

Król chrząknął grubo, nic na razie nie odpowiadając.

— Czoła hufców niebawem na wzgórzu się ukażą... — dodał Zygmunt.

Jan Olbracht konia zwrócił i w milczeniu plac potyczki opuścił. Dojechawszy dopiero na wysokość chorągwi dworskich, rozglądać się i rozkazy wydawać zaczął, wyznaczając dla województw stanowiska w szyku bojowym. Linija rozwijała się i przeciągała stopniowo, na prawo i na lewo od chorągwi dworskich, które środek stanowiły. Wkrótce też i nieprzyjaciel do ładu przyszedł. Naprzeciwko rotmistrza stanęli Wołosi, prawe skrzydło zajmowali Tatarzy, lewe tureckie wojska. Odezwały się trąby ze strony nieprzyjacielskiej; odezwały się trąby ze strony polskiej. Bitwa się zawiązała, śród kurzawy tumanów, śród koni tententu, sztandarów szelestu, zbroi chrzęstu, oręża szczęku i okrzyków zgiełku, w którym wyrazy Ałłach i Bóg, zlewając się w jedno, prym trzymały.

## XXI.

# DNI DZIESIĘĆ.

Bitwa rozstrzygnęła się na korzyść Polaków. Tatarzy najprzód, po nich Wołosi zostali złamani i z pola spędzeni; Turcy, nie czekając ażeby i ich tenże los spotkał, usunęli się sami, co zresztą nastąpić by musiało bez bitwy, z powodu nocy, która zwyciężonych osłoniła. Chorągwie z wesołym gwarem powróciły do obozu; po powrocie jednak gwar wesoły zmienił się w gniewny, a to z powodu, że nie było co włożyć do gęby.

— Niechajno jednak... — pocieszano się powszechnie. Jakoś to będzie...

Tak przemawiali, mając własność przeceniania każdego powodzenia. Zwycięztwo, które z charakteru swego mogło być, tylko połowicznem, brano za stanowcze i spodziewano się powrotu tych dobrych czasów, kiedy to ciurowie i pachołkowie zwozili do kuchni artykuły pożywienia w obfitości większej aniżeli potrzeba było. Sądzono, że Wołosi i sprzymierzeńcy ich, Turcy i Tatarzy, taką dostali naukę, iż... „dziesiątemu zakażą.“ Co gorzej, mniemanie to podzielali wodzowie, z wyjątkiem starego rotmistrza, który powiadał:

— To się dopiero zaczęło...

Ale powiadał to do siebie. O zdanie go nie pytano. Jan Olbracht, którego by to najbardziej obchodzić powinno, czasu nie miał. Zajmowała go Maryna.

Nazajutrz po potrzebie, ciurowie i pachołkowie ruszyli po żywność. Seciny wozów potoczyły się w trzech kierunkach, ku Seretowi, ku Borduszenom i ku Bai. Około południa powróciło to wszystko z małym lub z żadnym plonem, lecz z ważną wiadomością, że drogi otwarte. Tegoż samego dnia, nad wieczorem, wozów szereg niemały wyruszył z dążącemi w domowe progi niewiastami, odprowadzanemi przez małżonków.

Rotmistrz, widząc wyprawę tę zdaleka, głową kręcił, mówiąc pod nosem:

— Niebezpiecznie... niebezpiecznie...

To samo powtórzyło się w dniu następnym, i znów w następnym, i w jeszcze następnym. O losie jednak tych, co obóz opuszczali, wiedzieć nie było można. Odjeżdzali i nie wracali. Ciurowie zaś i pachołkowie powracali, — powracali z rękami nie całkiem próżnemi, przywozili bowiem potrochu, to owsa, to jęczmienia, to strawy ludzkiej jakiej takiej. Ciurowie bo i pachołkowie stanowili rodzaj człowieczy obdarzony w wysokim stopniu szczególnym instyktem wygrzebywania żywności. Znajdowali gdzie nic nie było i być, jak się zdawało, nie mogło.

Minął tak tydzień, minął drugi. O królu ani słuchu — jakby go nie było. Funkcyją wodza pełnił królewicz Zygmunt, który doglądał porządku służby obozowo-oblężniczej i, w celu powzięcia wiadomości, wysyłał podjazdy na drogi. Podjazdy powracały z niczem. Nieprzyjaciel znikł z pobliża. Pchnął też gońców do Lwowa z żądaniem przysłania ztamtąd prochów. Z gońców żadnego z powrotem nie było.

Król nie mieszał się do niczego: nie turbował nawet dworzan, którzy też żywot w błogiej pędzili bezczyności, zabawiając się dniami całemi w kości, w rozprawianie o niczem, w budowaniu zamków na lodzie i marzenie o migdałach niebieskich. Znajomy nasz, pan Ignacy, podzielał to życie, a marzenia jego opierały się na fundamencie zdarzeń, których był świadkiem i uczestnikiem i które romantycznością trąciły. W wyobraźni jego robiła się pewna mozajka, złożona z kolorów jaskrawych i ciemnych, noszących nazwy osobistości pewnych. Jaskrawo przedstawiali się mu król i Maryna, ciemno Kierdeni, Kołtun, owa w lesie spotkana żebraczka która mu

o zemście wspomniała, w dali zaś, w perspektywie ukazywała się mu Maryna białoskorniczanka, jaśniejąca czerstwym rumieńcem, białemi ząbkami i modremi oczętami, zaciekawiona i wsłuchana.

— O!..— myślał sobie — otóż opowiadać będę miał co...

Myśląc o tem, co opowiadać będzie, znajdował ciemnym punkt nie jeden, to jednak pobudzało go jeno do stawiania znaków zapytania, tem bardziej zajmujących, o ile więcej zagadkowych. Nie wiedział, naprzykład, jak się roztrzygnęło „posłuchanie,“ które król Marynie udzielił; pomimo bowiem, iż rozpowiadano pod sekretem o tajemniczej jakiejś istocie, ukrywającej się w namiocie królewskim, pomimo że istocie owej przypisywano płeć białą, on, Ignacy Kapuziński, nie to ażeby się nie domyślał, ale nie przypuszczał, ażeby istota owa miała być Maryną.

— Król... król?...—powiadał sobie. A ba!.. Gdyby ona nie była żoną cudzą, to jeszcze... Ale... i cudza żona, i synowica rotmistrza...

Jak jednak nie mógł przypuszczenia tego na pewne stawiać, tak też nie mógł go i odrzucać; pozostawiał je więc w zawieszeniu, ze znakiem zapytania, obiecując sobie, że to się jakoś wyjaśni. Na teraz, wyjaśnienie znajdował w tem, iż z królem nie powróciła eskorta, był więc pewnym prawie, że eskorta owa pozostała na warcie przy pięknej hetmanowej, jako opieka, której się ona od króla domagała. Przypuszczenie, ażeby takowa wpaść mogła w ręce Wołochów, jakoś mu wcale na myśl nie przychodziło.

A wszakże, przypuszczenie to miało za sobą prawdopodobieństwa wiele i w umyśle Maryny, po pierwszym, po drugim, po trzecim, nareszcie po czwartym, piątym, szóstym i t. d. dniu oczekiwania daremnego, zmieniło się w pewność, niedopuszczającą wątpliwości najmniejszej. Przepadła eskorta a z nią przepadło mienie całe pięknej niewiasty.

Wypadło to fatalnie.

Mienia, aczkolwiek przedstawiało ono stratę bardzo znaczną, ze względu na to że się składało z ruchomości wysokiej ceny i z klejnotów, nie żal było Marynie. Nie była ona ani chciwą, ani skąpą, w pospolitem wyrazów tych znaczenia. Do złota i kamieni drogich nie przywiązywała znaczenia nadzwyczajnego, tem bardziej że z pod opieki hetmana, który w istocie rzeczy był niczem innem, jeno kondotierem, awanturnikiem, wychowankiem ślepej fortuny, przecho-

dziła pod opiekę monarchy zajmującego tron jeden z najpoważniejszych w czasie owym. Nie było więc żadnej dobrej racyi do oddawania się żalowi i opłakiwania zauszników, naszyjników, naramienników, kubków, zwierciadeł, kobierców, etc. etc. Czyż król tego wszystkiego z naddatkiem nie zwrócił Hojność Jana Olbrachta była znaną. Ale, wraz z kosztownościami, traciła Maryna przedmioty, których brak był dla niej niezmiernie dotkliwym, ze względu na to że zastąpienie onych, w okolicznościach w jakich się znajdowała, przedstawiało niemożliwość absolutną. Słusznie powiadają: „Czas płaci, czas traci.“ Arab jakiś głodem przycisniony znalazł worek brylantów i cisnął je, wolałby bowiem był znaleść worek kaszy. Maryna, w namiocie królewskim, bez klejnotów obchodzić się mogła: obejść się atoli nie mogła... bez bielizny.

Przepadły jej klejnoty, z klejnotami stroje, ze strojami odzież wszelka, z odzieżą bielizna.

Jak przyjechała, tak zostawała: o jednej koszuli, w podróżnem okryciu.

Dla niewiasty, do wykwintów przywykłej, równało się to ciosowi najboleśniejszemu, ciosowi, który jej sprawiał nie żal a zgryzotę, ciężką a głęboką, odbijającą się jej na obliczu smutkiem tem większym, że nie widziała sposobu zaradzenia złemu. Możnaby się zaopatrzeć w Suczawie, w Serecie, w Czerniejowcach: do Suczawy, do Seretu, do Czerniejowic przystępu nie było; możnaby dostać rzeczy niezbędnych u niewiast w obozie przebywających: nie można było starać się o takowe bez zdradzenia tajemnicy pobytu w namiocie królewskim.

W tem położeniu bez wyjścia, Maryna ukrywała przed dostojnym kochankiem o ile mogła smutek swój. Mimo jej woli jednak, wybijał on jej na twarz, rozlewał się na czole, wyskakiwał w oczach i zwracał na siebie uwagę Jana Olbrachta.

— Co ci, luba?.. — zapytywał niekiedy.

— Nic; najjaśniejszy panie... — odpowiadała, tłumiąc łzy, co się za powieki cisnęły.

— Ty mnie jednak miłujesz?..

— O!..

— Zkąd-że ta w oczach tęschnica?..

— Snać oczów moich taka już natura, iż inaczej na świat patrzeć nie umieją...

Do smutku przybył, po niejakimś czasie, powód jeden jeszcze. Maryna, czekając na ruchomości swoje, długo uwodziła się nadzieją i po upływie tygodnia, jeszcze się spodziewała. Spodziewała się i dnie liczyła na palcach. Owóż, razu pewnego, liczyła, patrząc się na dłonie własne. Zaczęła od wielkiego palca ręki prawej, skończyła na wielkim palcu ręki lewej, co uczyniło razem dziesięć, oznaczało zaś, że dni dziesięć upłynęło od chwili, w której opuściła dom nad szumiącym potokiem. Przeniosła się do domu owego myślą i nagle drżeć poczęła na ciele całem, oddychając w ten sposób, który, gdyby go na tony przełożyć nazywałby się *stacatto*, a który oznacza przejęcie się trwogą na myśl o czemś. Oddychała w ten sposób przez chwilę, następnie odetchnęła głęboko, westchnęła, czoło na dłoń spuściła i rzekła po cichu:

— Dni dziesięć...

Po chwile powtórzyła:

— Dni dziesięć...

Powtórzyła znów i powtarzała dwa te wyrazy ustawicznie w przestankach pewnych, z naciskiem takim, jakby się wiązało do nich znaczenie wagi szczególnej a wielkiej. Król wszedł; ona mu w oczy z wyrazem spotęgowanej trwogi patrzyła i w głos zawołała:

— Dni dziesięć!..

— No?..— zapytał Jan Olbracht.

Maryna oczy spuściła.

— Co to znaczy... dni dziesięć?...— rzekł od niechcenia.

A gdy nie odpowiadała, wziął wyrazy te w znaczeniu zagadki i począł bawić się rozwiązywaniem takowej.

— Hm?.. dni dziesięć?... Musi to być chyba liczba kabalistyczna... a tak: siedem a trzy dziesięć... Siedem nie dzieli się, tylko na jeden i na samą siebie, i trzy nie dzieli się tylko na jeden i na samą siebie, razem zaś dzielą się i na jeden, i na samą siebie, i na dwa liczbę parzystą, i na pięć nieparzystą, oznaczając, na wierzchu trójcę przenajświętszą; pod spodem zaś siedem gwiazd, siedem świeczników, siedem grzechów głównych, siedem cnót ewangelicznych, siedem krów tłustych i siedem krów chudych.. Liczba siedem

wielkie ma znaczenie, co siedem lat świat się odmienia, przez siedem dni wąż skórę zrzuca, siedem dni człowiek bez jedzenia wytrzymać może...

Przy słowach ostatnich, Maryna strwożona oczy na króla podniosła i, dłonie wyciągnąwszy, wprawiła się w ruch jakiś drżący, jakby w ciemności po omacku iść miała.

— Maryno!..—zawołał król, zdziwienia głosem.

— Ha ha... dni dziesięć...— powiedziała po cichu. Ha!.. a!..

— Co ci jest?..

Popatrzyła przez chwilę, uśmiechnęła się, czoło dłonią obtarła i odrzekła:

— Nic mi nie jest, najjaśniejszy panie...

— Jednakże... te dni dziesięć?.. dziesięć?.. — zamyślił się Jan Olbracht na chwilkę. A!.. — zawołał, jakby domyślając się — toć to dziś właśnie dni dziesięć, jakeśmy przyjechali...

— A rajtrów nie ma jeszcze...— dodała z pospiechem i z takim akcentem, jaby chciała na fakt ten uwagę królewską zwrócić.

— Rajtrów?.. jakich rajtrów?.. aha!.. przypominam sobie... tych, co to zostali, ażeby ruchomościami twojemi konie objuczyć... Iii... gdzie oni!..

— Szkoda ich... — westchnęła piękna niewiasta.

— Nic im się złego nie stało... Wpadli w ręce Stefana a Stefan trzyma zaciągi cudzoziemskie... Szkoda większa niżeli ich, to rupieci twoich...

— Co tam, najjaśniejszy panie...

— Ale—ciągnął król dalej—to wszystko bagatela, główna rzecz, że się tobie nudzić tu musi...

— Z tobą, najjaśniejszy panie?.. — zawołała, nadając oczom wyraz słodki.

— Spostrzegam żeś posępna niekiedy...

— Och!.. to nic... to ztąd pochodzi, że do uśmiechania się ustawicznie nie mam skłonności... że nie niewolę uśmiechów na ustach moich; zostawiam im swobodę, przychodzą same i odchodzą, kiedy chcą...

— I pięknie z tem tobie... — podchwycił król. Smutek wdzię-

ków ci nie ujmuje, uśmiech nie dodaje, wszelako, gdy widzę żeś smutna, to i mnie niewesoło się robi...

Przypomina mi się wnet, żem monarcha...

— Alboż to przypomnienie nie miłe?..— wtrąciła Maryna, która cóś innego powiedzieć chciała.

— Hm...— machnął król ręką — jak kiedy... nigdy jednak wówczas i gdy w oczy tobie patrzę, gdy wpadam w stan upojenia... W tym stanie, czy on pochodzi od wina, czy od miłości, przypomnienie że się jest królem sprawia wrażenie okropne... Chciałoby się pod ziemię zapaść... Śmiej się więc...

— O!.. mój królu, mój panie!..—zawołała śmiać się będę...

I skrzywiła się, oczy jej się rozwarły szeroko i popatrzyła na Jana Olbrachta tak jakoś strasznie, że ten cofnął się i krzyknął:

— Maryno! co tobie!..

— Nic, najjaśniejszy panie... to nic... che che che... nie... cha cha... Przeraziłeś się czegoś, najjaśniejszy panie... cha cha...

Wysiłkiem wewnętrznym, który nadzwyczajnym być musiał, przywołała na oblicze wyraz zwyczajny i przymusiła się do uśmiechu rzeczywistego.

Jan Olbracht czoło zmarszczył, zchmurzył się i zposępniał.

Po chwili i on się uśmiechnął, ale także w skutek wysiłku wewnętrznego.

Uśmiechnął się i zaczął:

— Hm, szkoda że się pokazać nie możesz, nie dla pokazania jednak siebie, a dla zobaczenia co się dzieje...

Maryna, patrząc na króla, nadała oczom wyraz pytający.

— Hm... — ciągnął tenże — hm... rycerstwo ma rozrywkę... Pojawił się w obozie szlachcic jakiś, *mente captus*, udaje króla i niestworzone wygaduje rzeczy...

W istocie samej, pojawił się szlachcic *mente captus* i sprawił, wogólnym ducha nastroju, który się ku nieukontentowaniu nachylał dywersyją niejaką. Zajęto się nim i zagadano o nim. On rzeczywiście króla udawał, przechadzając się poważnie w kapuzie, do której przystosowane były na czterech rogach wieżyczki i pomiędzy wieżyczkami figurki naśladujące groty u dzid. Przenosił się z województwa do województwa, tu niby sprawy rozsądzał, tam niby powaśnio-

nych godził, ówdzie niby obradom przewodniczył, gdzie indziej niby rozkazy dawał lub urzędy i dostojeństwa rozdawał. Szlachta rada była warjatowi. Otaczano go, wystawiano dla niego tron, śmiano się do rozpuku. W większej województw części nie wiedziano o jego prowenijencyi, gdy atoli, idąc kolejno, zaszedł na stanowisko chorągwi dworskich i oprócz towarzyszy chorągwianych zbiegli się do koła niego i dworzanie, krzyknięto natychmiast:

— Imć pan Sropski!..

— O!?..— ręce na piersiach krzyżując i głowę do góry podnosząc, zawołał wodząc do koła okiem.

Zoczył Ignacego.

— Aa?..

Palcem nań kiwać począł.

— Pójdź sam tu waszmość!.. zbliż się.. pokłoń się królowi twojemu...

— Któż cię królem zrobił?..— wyrwał się ktoś z zapytaniem.

— Stryjaszek jego... Prosiłem, ażeby mi kapuzę sporządził, a ot on mi i sporządził kapuzę taką, że gdym na łep wsadził, poczułem wnet w sobie ducha... ducha... ducha...

— *Spiritusu im mundum...* — odezwał się głos z tłumu.

— Durenieś... — odrzucił szlachcic i, zwracając do Ignacego mowę, prawił dalej: Stryjaszek wygląda waszmości, stryjenka także, Głąb także, Marysia także...

— A jakże!..— wrzasnął żartowniś jakiś.

— Trudno— nie zważając na przerwę, ciągnął Sropski— będzie się waszmości wydobyć z matni, w jakiej siedzisz, ale *nil desperandum...* przybywamy w tym właśnie celu, ażeby rycerstwo nasze z matni tej wyprowadzić...

— Jakże to?.. jak?.. mości królu!.. Jakim sposobem?..—odezwało się głosów kilka.

— To nasza rzecz... — odrzekł szlachcic poważnie. Dokażemy tego z łatwością, doszedłszy, zapomocą długiego a głębokiego rozmyślania i kalkulowania, że do wydobycia się z matni jakiejkolwiek, potrzeba tylko rozumu, przedewszystkiem rozumu i niczego innego jeno rozumu...

— Prawda!.. zawołał na głos cały pan Baltazar.

— Okryjemy was—prawił szlachcic, podnosząc z głowy okrycie i pokazując takowe—tą kapużą z wieżyczkami i różkami i, jak pod nią przyszliśmy tu sami, tak i was wyprowadzimy... Ta kapuza!..—wtrząsnął nią w powietrzu — kłaniali się jej Turcy, Tatarzy i Wołosi... dzięki jej, przeszliśmy bezpiecznie śród narodów do bestyj drapieżnych podobnych... Ano!—zawołał, wkładając kapuzę na głowę—panowie senatorowie świeccy i duchowni i panowie ze stanu rycerskiego... rozpoczynamy obrady...

Plótł dalej trzy po trzy, ciskając niekiedy właściwemi półpomieszanym na umyśle połyskami myśli, mającemi znaczenie głębokie nieraz.

Z bezładnej tej gadaniny można jednak było domyślać się dwu mianowicie rzeczy: najprzód, że przechodził śród wojsk nieprzyjacielskich, które go przepuściły jako warjata (ludy wschodnie warjatów szanują), powtóre, że przychodził wprost ze Lwowa. Pierwsze interesowało ogół, dając poznać, że drogi są zajęte pomimo wygrania bitwy; drugie szczególnie Ignacego. Sropski wspomniał o jego stryju i stryjence, o Głąbie, o Marysi białoskórniczance. Wyglądają go. Młody człowiek na wspomnienie ich doznał w sercu rozrzewnienia, a chcąc się czegoś więcej dowiedzieć, zabrał starego do namiotu swego i gościnność mu ofiarował. Lecz na próżno mu pytania zadawał. Sropski zanadto o królestwie swojem pamiętał, dlatego mówić nie umiał o rzeczach potocznych. Dla Ignacego okazywał się łaskawym, ale mu na pytania odpowiadał ni w pięć, ni w dziewięć.

Domysł, ze słów Sropskiego wyciągnięty, jako drogi zajęte są, doszedł do wiadomości królewicza, pełniącego, jakeśmy tu powyżej wzmiankowali funkcyją wodza naczelnego w zastępstwie króla zajętego czem innem. Była to rzecz zanadto ważna, ażeby ją puszczać mimo uszów. Zygmunt postanowił ją sprawdzić. W tym celu zaraz nazajutrz, wysłał na wszystkie drogi silne podjazdy, z rozkazem nie wracania bez języka. Podjazdy poszły i wróciły, jeden z niczem, drugi z wiadomością że widział wojska tureckie liczniejsze od gwiazd na niebie, trzeci z jednym Tatarzynem i dwoma Wołochami. Wzięto tych ostatnich na badanie zwyczajem owoczesnym. Pierwszy opowiadał, że jest ich ludu rycerskiego tysięcy pięćdziesiąt, rozłożonych

wzdłuż rzeki Seretu i że na lewo od nich stoją Turcy a na prawo Wołosi; drudzy zeznali, że wojska ich wynoszące tysięcy trzydzieści, zajmują Seret miasto i częścią znaczną obsadziły dolinę Suczawy, że tu i tam mają szańce posypane, a na szańcach harmaty. Jak Tatar tak Mołdawianie podawali wojska tureckie na tysięcy czterdzieści najmniej, opatrzonych w liczną artyleryją.

Według podań tych, przypuszczając nawet, że zawierało się w nich przesady trochę, położenie było jaknajkrytyczniejsze. Krytyczniejsze położenia nie przedstawiają się na wojnach. Poznał to Zygmunt i posłał natychmiast po Czuryłę, któremu przedstawiwszy rzecz całą, zadał w końcu zapytanie:

— I co tu robić teraz, mości rotmistrzu?..

— Niech mnie Pan Bóg skarze, jeżeli wiem... — była odpowiedź.

— No?..

— Hm...— ścisnął stary ramionami. Przebić się chyba...

— Jak?.. którędy?..

— Nie masz którędy...— odrzekł rotmistrz po chwili namysłu. Ruszymy ku Bai tu nas otoczą, a jeżelibyśmy się przedarli, to wyjdziemy na drogę prowadzącą licho wie dokąd; ruszymy ku Borduszenom, to samo; biorąc się na Seret, trzeba z gołemi łbami iść na harmaty i okopy dobywać, ściągając na siebie z tyłu całą hordę i całą turecką siłę...

— Ale tu, tak jak jesteśmy, zostawać nie sposób?..

— A nie sposób...

— Więc cóż?..

— A cóż!.. Potrzeba będzie zginąć, to się zginie...

— Tak... gdyby to o nas samych tylko chodziło...

Rotmistrz westchnął i rzekł:

— Biedny kraj... biedne dzieci...

Znów westchnął. Cóś niby łza zwilżyła mu powieki, spojrzał królewiczowi w oczy i dodał:

— Ha!..

— Trzebaż jednak cóś radzić...

— Bez króla?..

— No nie... Trzeba radę jakoś obmyśleć przygotować i jego królewskiej mości do aprobaty przedstawić...

— To już rzecz nie moja... — odparł Czuryło, ramionami ściskając. Znam się jeno na rycerskiej sprawie, posiwiałem w obozach i, po za obozem, potrafię tylko jeszcze za pługiem chodzić... Nie pytaj-że mnie o nic więcej, wasza książęca mość... Ślepemu nie sądzić o kolorach... Po rycersku na rzeczy się zapatrując, widzę że kręto... bardzo kręto... i, jeżeliby się to zdało na co, chętniebym głową nałożył, byle dla kraju zachować tę siłę, co tu marnie zginąć może...

Królewicz udał się do króla.

Jan Olbracht znajdował się w posępnem jakiemś usposobieniu. Zoczywszy brata, powitał go dziwacznem troche zapytaniem:

— Jakie wasza królewiczowska mość oblicze wolisz: smutne czy wesołe?..

— Przyznam się waszej królewskiej mości, odpowiedział Zygmunt, żem się nad tem nie zastanawiał...

— Chybaś się nie kochał nigdy...

— Co do tego...

— Ja bowiem, jak wiesz — przerwał król — lubię ściągać na siebie strzały Kupidyna, ale z ócz usmiechniętych szczerem uśmiechem, nie zaś z takich, które mgła smutku przysłania...

Królewicz spójrzał na brata wzrokiem politowanie wyrażającym.

— Ech!.. ofuknął się Jan Olbracht — nie lubię spozierania takiego... Czy to sprzysiężenie jakie?.. Hej!..—krzyknął — wina!.. puharów!.. Spełnię puhar w ręce waszej książęcej mości...

— Przychodzę do was, mości królu i bracie — z pośpiechem podchwycił Zygmunt — w sprawie ważnej, bardzo ważnej...

— Odłóż to na później...

— Zagrażającej narodowi...

— Iii....

— Koronie waszej...

— Coo?..

— Otoczeni jesteśmy, najjaśniejszy panie...

— Otoczeni byliśmy i przedtem... i cóż?.. *veni, vidi, vici*... Trzymajcie jeno rycerstwo w pogotowiu...

— Ależ... — zawołał Zygmunt głosem, w którym zabrzmiał akcent rozpaczy — znajdujemy się w matni, nie możemy ani grodu

dostać, ani się ztąd wydobyć... głód nam zagraża... głód!.., — powtórzył z przyciskiem — a tu, oto, już jesień... zima się zbliża...

— Czegóż chcesz?..— rzekł Jan Olbracht tonem dumy — czy chcesz, żebyśmy zamiarów naszych zaniedbali i cofnęli się z drogi do Konstantynopola?..

— Najjaśniejszy panie, królu mój, bracie miły... — przemówił królewicz, zniżając głos do tonu prośby — odłóż zamiary twoje na później, do pory sposobniejszej... obecnie w takiem znajdujemy się położeniu, iż czeka nas, albo śmierć bezowocna, albo niewola niesławna... Do Konstantynopola dojść możemy jeno z obróżą na szyi rydwanem tryumfalnym paszy, który stoi w tysięcy czterdzieści, mając obok hana w tysięcy pięćdziesiąt, a dalej wojewodę wołoskiego w tysięcy trzydzieści... Otaczają nas żelaznym wieńcem i, ażebyśmy się im wymknąć nie mogli, posypali okopy... Jeżeli nie dosięgną nas orężem, to dostaną głodem, a gdy nas dostaną, to, pomyśl jeno królu mój, panie i bracie miły! co nastąpi: kraj bez obrony, korona twoja...

— Niech więc — przerwał król, który słów powyższych z uwagą wysłuchał — rycerstwo do boju się sposobi,.. Niech bój rozstrzyga...

— Bój?.. o!..— odparł Zygmunt. Bój niepodobny...

— Więc jakże?.. — zagadnął król z niecierpliwością tłumioną. Jakiż środek?.. jaki sposób?..

— Sposób nie pozostaje inny, jak tylko ten, który Władysław podaje...

Widząc zaś, że się u Jana Olbrachta na oburzenie zanosi, dodał z pośpiechem:

— Toć to brat nietylko wedle korony, ale i wedle krwi, brat rodzony... Przypomnij sobie Lewoczę... Przypomnij sobie łzy rozrzewnienia matczyne, i jej błogosławieństwo, i jej modlitwę dziękczynną, gdyśmy, stojąc przed nią i za ręce się trzymając, szlubowali sobie wzajemnie miłość braterską i pomoc w zdarzeniu każdem, w potrzebie każdej... Przypomnij sobie, Janie Olbrachcie...

— Władysław jednak szlub złamał... — odrzekł król znacznie zmiękczony.

— Czyż złamał?.. Czyż nie wiesz — o oporze węgierskich panów i o widokach węgierskiego dworu?..

— No, więc i jakże?..—zapytał Jan Olbracht z tym już akcentem, który znamionował ochłodzenie krwi, albo raczej, spuszczenie z tonu.

— Pozwól mi wasza królewska mość wysłać do króla Władysława uwiadomienie, jako przyjmujesz pośrednictwo jego....

— Zwłoka... — wtrącił król.

— Zwłoka nie pogorszy już położenia naszego, a pozostaje jako jedyna deska zbawienia... zresztą, staraniem mojem będzie, ażeby była jaknajkrótsza,..

— O! niechże jaknajkrótszą będzie!.. — zawołał Jan Olbracht z irytacyją — albowiem, na Boga, wszystko to już mnie gniewa, niecierpliwi, nudzi... Gniewa mnie, niecierpliwi, nudzi wszystko, wszystko!..—powtórzył dobitnie. Czuję się złamanym zniechęconym, słabym... Zachciewa mi się raz ciszy klasztornej, znów wrzawy światowej... Rób co i jak chcesz, byle prędzej... byle zaszła zmiana jakaś, którаby mnie nie gniewała, nie niecierpliwiła, nie nudziła, któraby mi się nie pokazywała pod postacią kochanki, gwałcącej sobie usta do uśmiechu...

Wyrazy ostatnie mógł wziąść i wziął zapewne królewicz w znaczeniu przenośni, zastosowanej do sławy, jeżeli co przypuszczać można; nie wiedzał, iżtza przepierzeniem płóciennem znajdowała się istotna kochanka, smutkiem trapiona — że do namiotu królewskiego spadła gwiazda mgławicą obwiana.

Maryna od chwili, w której po raz pierwszy wymówiła „dn dziesięć“, wpadła w stan rozdrażnienia, nie dającego jej spokoju na moment. Rozdrażnienie to tem było większem, iż rozrywki znaleść nie mogła w niczem, z wyjątkiem miłości, która daje upojenie chwi lowe, dorywcze, ale go rozwlekać w ciągłość ustawiczną nie w staniej i wymaga koniecznie życia, układającego się nakształt girlandy wite z kwiatów—ale rozmaitych. Rozmaitość w jej życiu pod namiotem polegała na tem, że albo pozostawała z królem, albo sama. Gdy samą była, wnet na nią napadała myśl jakaś, napastowało ją jakieś wspomnienie, zawsze jedno i to samo, które ją przerażeniem przejmowało. Tyle miała mocy nad sobą, iż wobec króla przerażenie

opanowywała, lecz nie była w stanie gasić odbłysków onego, przejawiających się na ustach, na czole, w oczach i oblewających postać jej całą tym posępnym wyrazem, jakiego przedstawicielką w naturze jest brzoza płacząca. Coś w niej drżało, płakało, coś ją gryzło trapiło, coś przypomniała sobie po dniach dziesięciu upojenia i, dzięki przypomnieniu temu, w kielichu z którego piła, słodycz w gorycz się zmieniła.

Stała się dla niej gorzką miłość królewska.

A że upajała się nią wraz z królem, więc niech nikogo nie dziwi humor, jaki opanował Jana Olbrachta, ani też filozoficzność poglądów jego.

Król, wyrażając się terminem pospolitym, na duchu upadł. Nie umiał łamać się z przeciwnościami. Gdzie chodziłoby jeno o to, ażeby wyskoczyć w górę jak raca, zajaśnieć i w tysiąc błysków się rozsypać, tam by się on na swojem znalazł miejscu. Taka atoli wyskokowość przydać się nie mogła, nieprzydatność zaś onej drażniła go i wtrącała w apatyją, w której mu obmierzało wszystko, z wyjątkiem własnej jego osoby. Tem jeno ostatniem manifestowała się królewskość jego. Gdyby nie to, życie by sobie odebrał. Tak zaś, postąpił sobie jak Achilles: zamknął się w namiocie — róbcie sobie co chcecie!..

Zamysły wielkie stanęły przed nim pod postacią przeszkód nie do przełamania: precz więc z niemi!..

— Wszystko—albo nic!..

Kochanka uśmiechnęła się do niego gorzko: precz więc z kochanką!..

Jan Olbracht chciał się jeszcze niby bronić. Przypomniał Zygmuntowi rozmowę z Fryderykiem na zamku lwowskiem.

— Przyrzekłem ci, książe, hospodarstwo wołoskie... — rzekł. Przyrzekłem eminencyi jego mistrzowstwo... Jeżeli przeto przyjmiemy pośrednictwo dworu węgierskiego, to jedno i drugie obróci się w niwecz...

Zygmunt musiał znów tłómaczyć mu niemożność osiągnięcia celu i opisywać położenie bez wyjścia, kładąc szczególny nacisk na

to, że wojsku zagraża nieprzyjaciel straszniejszy od sprzymierzonych Wołochów, Turków i Tatarów—głód.

— Róbcież sobie, co chcecie!.. róbcie co chcecie!.. zawołał Jan Olbracht. Chory jestem...

---

## XXII.

# ŚMIERĆ Z GŁODU.

„Za króla Olbrachta wyginęła szlachta": — takie przysłowie charakteryzujące panowanie czwartego króla z familii Jagiellonów, przekazała nam historyja. Około przysłowia tego grupują się podania kronikarskie w ilości nader szczupłej, wspominające o wyprawie olbrachtowskiej na Wołoszę. Podania te potwierdzają fakt, ale bez szczegołów żadnych, tak, że widząc go tak nagim, nie wiadomo co o przysłowiu myśleć. Staraliśmy się zbadać je w źródle, w którem klęska bukowińska odbić się powinnaby była jaskrawie. Bartosz Paprocki drukował Herby rycerstwa polskiego w ośmdziesiąt siedm lat po klęsce owej, to znaczy, układał takowe i legendy familijne spisywał daleko wcześniej, na lat trzydzieści przed tem, jak sam powiada. Weźmy zamiast trzydziestu dwadzięścia, co z ośmdziesięciu siedmiu uczyni sześćdziesiąt siedm. Działalność przeto Paprockiego, jako zbieracza legend rodzinnych, odbywała się śród wnuków tego pokolenia, które wzięło w wyprawie wołoskiej udział, i którego reprezentaci przerzucać się jeszcze podówczas tu i ówdzie musieli. Pokolenie pana Bartosza, do pokolenia któremu przewodniczył Jan Olbracht, ma się tak, jak to, do którego należy autor książki niniejszej, do tego które uczestniczyło w wojnach napoleońskich Owóż w wojnach napoleońskich uczestniczyli ojcowie nasi, których życia wypadki dokładnie nam są znane; opowiadamy o takowych

dzieciom naszym, a ich wnukom, i gdyby się do nas jaki pan Bartosz zgłosił, nie omieszkalibyśmy poświadomić go nietylko o stanie służby ojca, ale także i o udziale w życiu publicznem dziada naszego. Podania rodzinne, w rodzinach rozumie się niehistorycznych, idą zwykle od dziada. Czemuż pan Bartosz notujący skrzętnie kto co zrobił, mianowicie zaś z orężem w dłoni, tak mało przytacza nazwisk rycerzy, zginionych w potrzebie wołoskiej? Ci których on wymienia, na palcach policzyć się dadzą. Zkąd-że to pochodzi? — czyż wnukowie, ba i synowie poległych taili przed nim udział dziadów i ojców w wyprawie, o której przysłowie powtarzali? Nie—to nie jest rzeczą przypuszczalną: przypuszczać raczej należy, że przysłowie powstało bardziej dla rymu, aniżeli dla innej racyi, czyli, że klęska bukowińska nie była tak ogromną, za jaką ją kroniki podają.

Wojna, przedsięwzięta lekkomyślnie i prowadzona niedołężnie, zakończyła się źle, ale to nie prawda, ażeby w niej wyginąć miała szlachta.

Zginęło co innego. Zginęła ta dobra wiara, z jaką się naród szlachecki do króla swego odnosił, co też, w kolei następstw, pociągnąć za sobą musiało skutki bardzo smutne. Można więc poniekąd w przysłowiu tem upatrywać figurę retoryczną i domyślać się zaprzepaszczenia ducha szlachetczyzny piastowskiej. Szlachcie łuska z oczów spadła, przejrzała zagrażające jej od tronu niebezpieczeństwo i poczęła bronić „złotej wolności“ z wyłącznym względem na siebie. Odtąd poszła już drogą wytkniętą — wywiesiła sztandar prywaty. Na wyprawę wołoską szła w niepewności, czy nie ma w niej palca Kallimacha; poszła jednak, pociągnięta myślą obrony chrześcijaństwa, z wiarą w rycerskość przewodnika. Po wyprawie tej wiarę traci, rozumu nie nabywa i brnie ze złego w gorsze. W tym to sensie, zdaniem naszem, przyjmować należy na czele rozdziału niniejszego wypisane przysłowie.

Zabiegi Zygmunta pomyślny uwieńczył skutek, na który długo czekać nie trzeba było. Władysław trzymał się w pogotowiu. Pełnomocnik dworu węgierskiego przebywał nieopodal od granicy, w miasteczku Bystrzycy, położonem w Transylwanii, opatrzony we wszystkie do wypośredniczenia zgody potrzebne instrumenta. Na pierwsze wezwanie, pospieszył do obozu Stefana, porozumiał się

z nim i przez niego trafił do wodza wojsk otomańskich. Ani ze Stefanem, ani z wezyrem, ani też z chanem, który na czele Tatarów stał, negocyjacyja nie poszła gładko. Szczęście całe—było ich trzech, sprzymierzonych wprawdzie, niedowierzających jednak jeden drugiemu. Okoliczność ta ułatwiała znacznie rozwiązanie zadania. Przytem na ułatwienie wpływało wielce i to, że hospodarowi bynajmniej nie chodziło o wzmacnianie potęgi tureckiej kosztem Polski, hanowi zaś chodziło jedynie o to, ażeby nie odchodzić z próżnemi rękami. Względy te, poparte sutemi podarunkami, przełamały wkońcu trudność, jaką stawiali sprzymierzeńcy wszyscy razem i każdy z osobna, i dzieło rozjemstwa węgierskiego do pomyślnego doszło końca.

Król nie mieszał się do niczego: podpisywał, ratyfikował wszystko, co mu Zygmuut przedstawiał. W obozie krążyła pogłoska, że chory.

Królewicz, przy prowadzeniu całej sprawy, złożył dowody roztropności i przezorności. Rzecz sama w sobie była ślizka. Cóż bowiem? Wojsko polskie znajdowało się na łasce, i w położeniu tem nie mogło liczyć na warunki łagodne. Mimo to, cała warunków twardość na tem polegała, ażeby polacy własnym wynieśli się kosztem, zabierając ze sobą oręż i rynsztunek cały. Jedna rzecz tylko przedstawiała niedogodność wielką, mającą minę upokorzenia. Sprzymierzeni przystawali na otworzenie matni i wypuszczenie z takowej polaków, ale chcieli być wymarszu ich świadkami, inaczej, chcieli, ażeby wojska polskie defilowały przed nimi. Domagali się satysfakcyi tej z uporem takim, z jakim we trzysta siedemdziesiąt i sześć lat później zwycięzca francuzów domagał się dla armii swojej przespacerowania się w paradnym szyku po Paryżu. Nie masz nic nowego pod słońcem. Jak w 1871 roku francuzi sprzymierzonym prusakom, sasom, bawarczykom, wirtemberczykom, badeńczykom, etc. tak w 1497 roku polacy sprzymierzonym wołochom, turkom i tatarom ustąpić musieli na punkcie miłości własnej. Królewicz Zygmunt, czyniąc to ustępstwo, wiedział o złej, ba—groźnej nawet onego stronie. Przy przechodzeniu szląchty śród sprzymierzonych, lada powód, lada wyskok pojedyńczego człowieka, w szeregach tych lub owych, mógł krwi rozlew ściągnąć. W tym przeto razie okazała się przezorność młodego księcia. Widząc niemożność usunięcia

warunku, pchnął gońca do wielkiego księcia litewskiego, stojącego z wojskami pod Bracławiem i, przedstawiwszy mu położenie całe, żądał ażeby wyszedł na spotkanie wojsk polskich. Pewnym był, że Aleksander żądania tego nie odrzuci. Nie chodziło tu już bowiem o wojnę, ale o podanie tonącemu ręki; nie zobowiązywało to Litwy do niczego, a zobowiązywało dla Litwy rycerstwo polskie i należało do rodzaju takiej samej pomocy, jaką Janowi Olbrachtowi użyczył Władysław.

Po podpisaniu obustronnię układów pozostawało w pochód się wybrać. Królewicz wymówił sobie na to czasu tydzień, co wcale za wiele nie było, zważywszy że wojsko, przez kilkotygodniowy na jednem miejscu pobyt, zagospodarowało się niejako w obozie, potrzebowało więc dni kilku na przyszykowanie się do pochodu, zwłaszcza że pochód ów odbywać się miał w warunkach, jeżeli nie całkiem trudnych,. to bardzo drażliwych. Przy tem, bez zwłoki tej nie mogłaby Litwa nadciągnąć i pozycyi imponującej zająć. Królewiczowi wielce o to chodziło.

Rycerstwo, przed zawarciem ostatecznej umowy, wiedziało już, co się święci. Nie pomogła tajemnica do jakiej się niby negocyjatorowie zobowiązali. Dochowanie tajemnicy — zdaniem Machiavelego — możliwem jest wówczas jeno, kiedy ją posiada jedna tylko osoba. W tym zaś wypadku, rozbijała się ona pomiędzy pełnomocnikami węgierskiemi, polskiemi, wołoskiemi, tureckiemi i tatarskiemi. Wiedziało o niej urzędowie osób kilkanaście, od których rozeszła się po obozach. Zagadano też wnet o tem — zawrzało od gadania. Wiadomość ta wywarła wrażenie ogromne,

Na nikim jednak, zdaje się, nie wywarła wrażenia równie silnego, jak na ekszakonniku, panu Macieju Kołtunie.

Pan Maciej wyleczył się z ran i pełnił już służbę. Wiadomość o traktowaniu o pokój wpadła mu w ucho, gdy z podjazdu wracał.

— To być nie może!.. — zawołał.

— Niech pęknę, jeżeli nie prawda!..—odparł szlachcic jakiś.

— Zkąd waszmość wiesz?..

— Jakto zkąd!.. O to mi, panie!.. Wiem ztąd, zkąd wszyscy, bom, dzięki Bogu, ani głuchy, ani ślepy... Patrz waszeć — ukazał palcem na kupy w różnych zgromadzone miejscach — o traktacie

deliberują... Mają nam wołosi koszta wojenne zapłacić, tatarzy szkapy okaleczałe na zdrowe zamienić, a turcy na każdą głowę szlachecką po jednej turczynce dać... zobowiązują się przytem, wszyscy wobec i każdy z osobna, strzedz granic Polski, jak oka w głowie...

Kołtun, podczas kiedy mu szlachcic warunki traktatu wykładał, zawiesił wzrok na widnych w dali murach Suczawy i patrzył na nie tak, jakby je chciał okiem na wylot przebić.

— Czego się waszmość tak wpatrujesz?..— zapytał szlachcic.

— E!.. — machnął zapytany ręką — Szkoda, żeśmy grodu nie dostali...

— Dostaniemy... włożymy do traktatu warunek *sine qua non*: miasto brąmy otworzy i wytoczy wina tyle a tyle, piwa tyle, miodu tyle...

Eksmnich na te bzdurstwa głową pokiwał i dalej pojechał, z konia przed namiotem rotmistrza zsiadł i, zdawszy mu z podjazdowych spostrzeżeń sprawę, zaczepił o krążące pogłoski.

— Hm...—rzekł tenże—rzecz możliwa.

— Bodaj, czy w jasyr nie pójdziemy...

Rotmistrz brwiami ruszył i odrzekł:

— Od tego przynajmniej obronić się potrafimy...

Na tem rozmowa się urwała. Od chwili tej Kołtun, spokojny na pozór, pilnie ucho nastawiał, usiłując śród plew, jakiemi były najniedorzeczniejsze w świecie przypuszczenia, wnioski i twierdzenia, ziarno prawdy a przynajmniej prawdopodobieństwa wygrzebać.

Aż nareszcie nadeszła ta chwila, w której się prawda objawiła. Traktąt i warunki onego otrąbiono po województwach. Warunki zawiodły oczekiwanie powszechne i wzbudziły nieukontentowanie, te zwłaszcza które tyczyły się sposobu, w jaki rycerstwo polskie zachowywać się ma względem nieprzyjaciół; mianowicie zaś względem miasta, do którego wstęp został dozwolony, ale z takiemi obstrzeniami, iż szlachta jednogłośnie wyrzekła się takowego.

— Nięch ich tam djabli porwą z ich miastem!.. — odzywały się okrzyki.

Potrzeba było brać znaczek; najtwardszym jednak, bo poniżającym, wydał się warunek zakazujący iść do miasta przy orężu.

— A to!.. Oho!.. — wykrzykiwano w gromadach. Szlachcic bez miecza przy boku, to kozioł bez rogów!..

— Pierwej mi nogi pokurczy, nim bramę Suczawy przestąpię!

Takie postanowienie powzięła szlachta. Że jednak należało w pochód się wybierać i wozy w zapasy podróżne zaopatrywać, postanowienie więc to złagodziło się nieco w następstwie. Zrana szlachcice wyprawiali na swojem miejscu pachołków, dając im pieniądze i nakazując kupić to i owo. Ci atoli nic sprawić nie mogli.

— Drogo... niech pan Bóg broni, jak drogo!..

Z temi słowy a z próżnemi rękami powracał każdy.

— Czemuś się nie targował, durniu ty jakiś!.. czemuś nie powiadał, że to dla mnie!..—strofował ten i ów rycerz pachołka swego.

— Targowałem się, powiadałem, jak mi Bóg miły...

Trzeba więc było pychę z serca rzucić. Szlachcice gniewali się, głowami kręcili, głośno klęli, po cichu myśleli i—wymyślili. Brali na się pozór i charakter własnych pachołków i pod tą postacią chodzili do miasta, stosując się o ile możności do warunków traktatu. Rzecz naturalna, bez pogwałceń nie obeszło się. Ten i ów, drożyzną oburzony, bryznął „słowem prawdy“ i, wyzwawszy za pomocą słowa tego obelgę, zapominał o tem, że szlachectwo w obozie zostawił, oręż pięścią wyręczał i występował w majestacie szlacheckim. Wypadki tego i innego rodzaju zdarzały się często, dając rycerstwu sposobność zapoznawania się z więzieniem wołoskiem.

Jednym z pierwszych, co w charakterze własnego pachołka do miasta się udał, był pan Maciej Kołtun. Tego jednak żadna nie spotkała nieprzyjemność. Ten się nie zapomniał, a to dla tego zapewne, że nic do kupowania nie miał. Przechadzał się po ulicach, placach, rynkach i niby gapił się, zbliżając się pokilkakrotnie do bramy zamkowej na ścieżaj otwartej. W bramie stała warta. Pan Maciej zaglądał na podwórze z okazami takiej ciekawości, że ściągnął na siebie w końcu napomnienie ze strony jednego z wartowników.

— Czego to podglądasz... hej!.. ty!.. lachu!.. Precz ztąd!..

— Bo to... widzisz... bo to... — odparł Kołtun, przybierając minę głupowatą.

— Czego byś chciał?..

— Chciałbym się dowiedzieć o jej miłości, pani hetmanowej Kierdeni...

— Na cóż ci wiadomość ta?..

— Mnie ona nie potrzebna, ale stryjowi pani hetmanowej, rotmistrzowi chorągwi dworskiej jego królewskiej mości...

— Ph...—mruknął żołnierz, ręką machnąwszy.

— Jak się jej powodzi?.. czy zdrowa?..

— Licho ją wie...

— Nie pokazuje się chyba?..

— Jakże się ma pokazywać, kiedy jej tu nie ma...

— Nie ma!.. — powtórzył Kołtun z akcentem zdziwienia. Gdzież się podziała?..

— Podzieć się nigdzie nie mogła, bo jej tu nie było nigdy...

— Ani w Suczawie?..

— Ani... Podział się hetman, bo ten był, ale ona... aniśmy ją widzieli...

Fizyjognomija Kołtuna przeciągnęła się i wyrażała zafrasowanie wielkie, oznaczające zawód w oczekiwaniu. Postał, pomilczał przez chwilę i znów wartownika pytaniem zaczepił:

— Gdzież się podział hetman?..

— Zapodział się i tyle...

— Nie ma go?..

— Heee... od kiedy!.. ślady po nim zastygły... Jedni powiadali, że do Lachiei poszedł i u króla lackiego na służbę stanął; drudzy że się w nietoperza zmienił i do teremów swoich, które gdzieś ma w lasach, poleciał... Hetman miał z dyjabłem zmowy... o tem wszyscy wiedzą... Spytaj kogo chcesz...

Kołtun odszedł od bramy i rozpytywać począł ludzi miejscowych. Wszyscy chętnie o Kierdenim mówili, jak się mówi o przedmiocie, który w swoim czasie żywe wzbudzał zajęcie. Przypisywano mu powszechnie z dyjabłem stosunki i przytaczano na to dowody faktyczne. Nieczysty burzył się w nim nie raz, przyprowadzając niekiedy hetmana do istnego szaleństwa. Powiadano też, że szatan był nie w nim, ale z nim, i to nie inaczej, jak pod postacią żony jego, której imię w przystępach oszalenia ustawicznie wygłaszał.

— Znikł jednak nagle... — mówił jeden — zaszumiało tylko i zapach siarki się rozszedł...

— A jej tu nie było?..—dopytywał się Kołtun.

— Jako żywo, nigdy... On—unikano nazywania hetmana po imieniu—spodziewał się jej przed oblężeniem, ale nie doczekał się... Że do niej poszedł, o tem wątpić nie można...

Kołtun też nie wątpił, że tak a nie inaczej się stało.

Gdyby kto, z fizyjognomistów, takich co to czytać w twarzy człowieczej umieją, patrzał w twarz, gdy z miasta do obozu szedł, wyczytałby z niej, że w duszy tego człowieka odbywała się walka pomiędzy cierpieniem, wściekłością a rezygnacyją. Tej ostatniej towarzyszyły zwykle westchnienia i uśmiechy szyderskie, które ją niejako odtrącały i nadawały obliczu wyraz żalu, płynącego z głębin serca. Niekiedy podnosił dłoń w kułak zaciśniętą. Niekiedy mówił coś do siebie. Na czole kroplił mu się pot zimny. Wreszcie ręką z przyciskiem machnął, jak czyni człowiek biorący przed się postanowienie, i gdy w obręb obozu wkraczał, na obliczu jego panował spokój zupełny.

Wszedłszy do obozu, nie udał się na stanowisko chorągwi swojej, lecz skręcił w prawo, gdzie stały namioty województwa któregoś, i poszedł pomiędzy wozy, gdzie ciurowie, w gromadki oddzielne poskupiani, siedząc przy ogniskach, o wypadkach gwarzyli. Zatrzymał się przy jednem ognisku, popatrzył przez chwilę, posłuchał i przeszedł; zatrzymał się przy drugiem i toż samo uczynił przy trzeciem, czwartem, piątem, dziesiątem, wreszcie dostał się na stanowisko województwa następnego. W tem takoż, z tym-że samym skutkiem, ciurów obserwował. Rzekłbyś komisarz śledczy badawczym wzrokiem lustruje fizyjognomie i badawczem uchem chwyta słówka, w celu dokopania się w takowych do nitki, mającej posłużyć mu jako przewodniczka w odkryciu jakiejś tajemnicy. Szedł od ogniska do ogniska, zatrzymując się tu króciej, ówdzie dłużej, aż przystanął przy jednem, przy którem prym w pogawędce wiódł chłop setny, z miny i z czupryny na sługę kościelnego wyglądający— twarz duża, nos nieco przypłaszczony, oczy niewielkie, czoło nizkie, w plecach szeroki, a w wejrzeniu takim nacechowany wyrazem, co to świadczy, że właściciel onego gotów, pod pewnemi warunkami,

ważyć się na wszystko. Wejrzenie to świadczyło mianowicie o nieobecności sumienia, a raczej, o spokoju zupełnym duszy, niewdającej się w subtelności różnic, zachodzących pomiędzy złem a dobrem. Takim samym wyrazem świeciło i oblicze Kołtuna, który też, zwróciwszy na siedzącego przy ognisku ciurę baczną uwagę, nastawił na słowa z ust jego wychodzące ucho. Ciura prawił właśnie:

— Chuda fara, sam ksiądz pleban dzwoni... Człek się nagłodował i naturbował i wracać musi bez niczego... Eh!.. oh!..

Nie było w wyrazach powyższych nic osobliwego. Powtarzano je powszechnie zwłaszcza w sferze ciurów. Lecz intonacyja ich posiadała akcent, po którym się człowiek poznać dawał i Kołtun, obszedłszy ognisko do koła, stanął za plecami ciury i dłoń mu na ramieniu położył. Ciura obejrzał się.

— A co to?.. — zapytał, ujrzawszy nieznajomego.

— Chodź na słówko...

— Hm... — zawachał się nieco. Słówko?.. Co mi za słówko?..

— Od słówka do słówka...

— Ta że to ono tak... — rzekł ciura, dźwigając się.

— Żeby długo nie gadać... — odezwał się Kołtun, odprowadzając go nieco na stronę — zapytam krótko: chcęsz wracać z rękami niepróżnemi?..

— Czemużby nie?..

— Dobierz-że sobie jeszcze trzech lub czterech i bądź gotów...

— Do czego?

— Do oczyszczenia domostwa pewnego, w którem znajdują się do wzięcia i grosze i kosztowności różne... Nie byłbyś od tego?..

— Ta że nie... tylko, ot co: ja nie biorę się do takich kości, na których zęby się łamią....

— Rozprawić się przyjdzie z jednym, z dwoma najwięcej... reszta baby...

— Ha... a daleko to?...

— Nie blizko... droga bezpieczna... można przejechać wierzchem...

— No, juźcić... Ja ci konia własnego nie mam, ale to nic... jak trzeba to się dostanie, bo, jeśli by się trafiło co do dźwigania, to łatwiej dźwigać koniowi niż człowiekowi... Ale—zastanowił się —

myślę że i dla waszmości i dla nas lepiej, jeżeli się na czysto rozmówimy: jakże wedle podziału?..

— Podzielicie się po równi...

— A waszmość... połówkę?.. co?..

— Nie... nic...

— E?.. uśmiechnął się ciura. To jakiś chyba kruczek...

— Ja tam wedle białogłowy, z którą mam do pogadania...

— A... to co innego... Tak że waszmość i gadaj... To znaczy: dla waszmości białogłowa, a dla nas reszta...

— Tak jest...

— Słowo?.. ręka!.. — rzekł ciura, dłoń wyciągając.

Uścisnęli się i we dwa dni później sześciu jezdców przebierało się przez las, w kierunku od wschodu ku zachodowi.

Kołtun znał kierunek, lecz droga, pomimo iż był już raz przy domku nad potokiem, nie była mu tak znaną jak Ignacemu. Nie posiadał tajemnicy znaków na drzewach, bez której trafić na pewno należało do rodzaju niepodobieństwa absolutnego. Dla tej przyczyny, musiał miarkować i kręcić się, tak że dopiero na trzeci czy czwarty po wyruszeniu z obozu dzień, znalazł się pod domkiem Kierdeniego. Miało się ku wieczorowi. Zatrzymano się z boku w głuchym ostępie i strawiono wieczór cały na rozpoznawaniu położenia zdaleka. Rozpoznano takowe. Obejrzano domek, widny w pomroku wieczornym i zgodzono się, że przystęp do onego nie przedstawia trudności najmniejszych.

— Tylko... psy... zauważył jeden.

— A słyszał-żeś szczekanie?.. — odrzekł któryś.

Ba... muszą być w budach, na łańcuchach... Gdzieżby domostwo tak na ustroniu bez psów pozostawać mogło!..

— Na psy jest rada... bądźcie spokojni... — odezwał się Kołtun.

— Chyba że tak... — odrzekło na raz kilku, świadomych tego, że u opryszków z rzemiosła tłumnienie psiej czujności stanowi jeden z najważniejszych warunków sztuki. U ludu powstało ztąd mniemanie o zaklinaniu, o zaczarowywaniu. Oswieceńsi przypuszczają magnetyzowanie. W istocie zaś, rzecz cała polego na zadawaniu psom odurzającej lub zabijającej trucizny, którą się im ciska zdaleka, owi-

niętą w mięso lub w szmalec z mocnym odorem. Sposób to prosty i pod względem wykonania łatwy. Kołtun, gdy się zmierzchło, po wrzucał na dziedziniec gałki, które w obozie przysposobił i resztę czasu spędził z towarzyszani, którzy się do snu układli.

I on spał, a raczej drzemał, oparty plecami o drzewo. Skrzyżował ręce na piersiach i głowę zwiesił. Wstał gdy się na brzask zanosiło, po cichu pobudził ciurów i zalecił im ostróżność i bezwzględność.

— Eh... — odezwał się jeden, obmacując się, ażali nóż i topór na swoich znajdują się miejscach — byle się tylko tu nie przytrafiło tak, jak w zameczku szlachcica jednego, Brudzińskiego, co to psiawiara, sam jeden dał radę dwunastu. Ależ to był szlachcic... żelazny!.. Dojechał mu jednak ktoś końca... Ktoś go z dymem, słyszę, puścił...

Kołtun drgnął lekko na to wspomnienie i dał znak do pochodu. Po cichu, ostrożnie, jeden za drugim, posuwała się drużyna zbójecka. Doszli do wrót—wrota otwarte. Zatrzymali się zdziwieni, skupili się, jakby w celu odbycia narady, lecz Kołtuen szepnął:

— Dalej... .

I dając z siebie przykład, ruszył naprzód, zakreślając na podwórcu półkole, ażeby nie przechodzić przez środek i nie wystawiać się przez to na widok. W ten sposób podeszli do domostwa z prawej onego strony. Nastawili uszy. Cicho. Zgiąwszy się w pół przesunęli się pod oknami i, gdy trzech się zatrzymało, dwu z Kołtunem wstąpiło na ganek.

— Pss...—syknął ten ostatni, dając idącym za nim znak ręką ażeby stanęli.

Ci stanęli. Kołtun postąpił kroków parę w celu obmacania drzwi. Wyciągnął ramię, szedł i próg przestąpił.

Cofnął się zdumiony.

— Co to jest?..—zapytał siebie w duchu.

Powtórzył próbę i znalazł się w sieni, w której na omack począł rekonesans robić. Zwrócił się w prawo, domacał się drzwi—otwarte; w lewo—także otwarte.

— Co to znaczy?..

Wydobył krzesiwo i krzemień, skrzesał, iskry się sypnęły i błyskawicznie oświeciły... pustki.

— Nikogo!.. — zawołał.

— Otóż i masz!..—odezwano się z nadworu.

Z ciurów jeden zaświecił latarkę, przy której pustka stwierdzona została, ale pustka świeża. Drzwi wszystkie pootwierane i okna pootwierane, lecz wszystko to w stanie dobrym—zawiasy niepordzewiałe, podłogi całe, ściany niepoopadane.

— Hm... hm... — dziwowali się ciurowie. Wynieśli się, jakby umyślnie przed nami...

— Żeby też chociaż co zostawili, albo zapomnieli... — rzekł jeden.

— Poczekaj dnia... poszukać warto...—odrzekł inny.

Dzień zaświtał niebawem i ciurowie, swobodnie a bez pośpiechu, szarzeć poczęli po kątach wszystkich, czyniąc tu i ówdzie odkrycia różne. Jeden znalazł szafkę w ścianie, a w niej butelki.

— O la Boga!..—krzyknął—a toć człek przypomni sobie nareszcie, że jest człowiekiem...

W innem znów miejscu znalazło się jadła trochę.

Inny wygrzebał w słomie kólczyk złoty.

Kołtun w poszukiwaniach udziału nie brał. Chodził jeno, błądził raczej i zatrzymywał wzrok bez wyrazu, to na kątach, to na oknach, to na ćwiekach w ścianie. Zdawało się, jakby go nie obchodziło nic. Podaną sobie butelkę, która zawierała wyborny maślacz, wziął machinalnie do ręki, do ust przytknął i wypróżnioną na podłogę cisnął. To go ożywiło niby. Uśmiechnął się. W chwili tej słyszeć się dało wołanie:

— Hej!... no!... chodźcieno tu!... Drzwi jakieś na głucho zamknięte!...

Poszli wszyscy i Kołtun z nimi. Drzwi zamknięte znajdowały się w korytarzyku. Przystąpiono wnet do nich z toporami. Drzwi oparły się pierwszym uderzeniom, gdy jednak takowe z większym ponowiono naciskiem, zamek pękł, wyskoczył, pokazał się otwór, i przez otwór ten buchnął fetor, od którego się wszyscy wstecz cofnęli.

— Tfu!... —splunął ten i ów—padlina jakaś...

Kołtun drzwi pchnął i te się na rozcież rozwarły, ukazując wnętrze tej izby, która niegdyś służyła za więzienie Ignacemu.

W izbie tej, pod jedną ze ścian, skurczony, z ręką przy ustach, leżał trup człowieczy, znajdujący się w stanie rozkładu bardzo zaawansowanego. Odzież na nim składała się ze świty wieśniaczej, z pod której wyglądała koszula zgrzebna. Nogi miał bose, a szczątki obuwia rzucone na podłodze, pomięte i pogryzione, świadczyły, że jadł buty. Co więcej, powygryzanę do kości ręce pokazywały, że żywił się ciałem własnem. Widok to był okropny, a tem okropniejszy, że trupa tego zdobiły wąsy ogromne, które nadawały wyraz przerażający sinemu, w czarne plamy poznaczonemu i przez robactwo toczonemu obliczu.

Ciurowie przypatrywali się zdaleka szeroko otwartemi oczami, powstrzymując w sobie oddech dla niewciągania w organy powonienia fetoru. Jeden rzucił wyrazy:

— Otóż urządził się!... Głodową widocznie skończył śmiercią... To chłop jakiś...

— To Lajosz Kierdeni...—rzekł Kołtun dobitnie.

— Jeszcze co!...—zaprotestowało głosów parę.

— To Lajosz Kierdeni...—powtórzył eks-mnich.

— Zkądże by on tu?...

— To jego dom...

— Tem bardziej... W domu własnym, czyżby się na śmierć zagłodzić mógł?...

Kołtun ramionami wzruszył i dodał:

— To on... Poznaję go... Poznałbym go w piekle...

— Chodźmy ztąd i drzwi za sobą zamknijmy...—zaproponował jeden. Kierdeni czy nie Kierdeni, nam to wszystko jedno... My mu pogrzebu sprawiać nie będziemy...

Propozycyja została przyjęta. Drzwi szczelnie zamknięto i wnet przystąpiono do dalszych poszukiwań, które doprowadziły do odkryć nowych, a mianowicie: piwnicy pod domem dobrze zaopatrzonej i obfitych na strychu i w podwórzowych zabudowaniach zapasów pożywienia, składających się z wędlin, słoniny, mąki, krup, soli, sera, przysmaków rozmąitych, etc.

— Toż durniem na wielki kamień być potrzeba—zauważył je-

den — ażeby w domu własnym, wśród tyle jadła i napojów z głodu zamrzeć!...

— To prawda...—potwierdzili inni.

Kołtun nic nie mówił. Był on tak, jak człowiek, co drogę zgubił i nie wie już co począć dalej. Kiedy ciurowie gospodarowali, przemyśliwając jaki ze znalezionych skarbów użytek zrobić, on opuścił to zacne towarzystwo, wsiadł na konia i odjechał. Zamiarem jego było, jak się zdaje, dostać się na powrót do chorągwi.

## XXIII.

# W PŁUGACH.

---

Powziąć zamiar, to jedno co innego; wykonać zamiar, to drugie co innego.

Kołtun, może być, i chciał do chorągwi się dostać, dostał się zaś zupełnie gdzie indziej: spotkał go dziejowy zaszczyt należenia do grona męczeńskiego, zaszczyt o którym kroniki nasze milczą. Wspominają o nim kroniki rumuńskie (zebrane i wydane staraniem p. *Kogolniceana*).

Na Mołdawie, nieopodal od źródeł Bachłui, rzeczki płynącej w błotnistej dolinie i wpadającej do Prutu, poniżej krwawemi w dziejach naszych zapisanej głoskami Cecory, leży wieś Kotnary. O wieś tę spytaj mołdawianina pierwszego lepszego, każdy wie o niej, jak o Odobesztach. Posiada ona w kraju swoim wziętość taką samą, co Bordeaux we Francyi, Johanisberg w Niemczech, Tokaj na Węgrzech, Negotin w Serbii: produkuje wino wyborne, dające się przechowywać w piwnicy tak długo, jak na to cierpliwość ludzka starczy, chociażby lat setki. Mołdawianie przypisują mu nawet własności lecznicze.

Dziwić się, doprawdy, potrzeba, dlaczego nazwa Kotnar nie

spopularyzowała się u nas, nie dla wina, ale dla zdarzenia, o którem kroniki rumuńskie mówią. Zdarzenie to jest o tyle przynajmniej prawdziwem, a nawet według mnie bez porównania prawdopodobniejszem, co ochrzczenie Ziemowita przez aniołów, przejrzenie Mieczysława w czasie postrzyżyn, etc., etc. Obraża ono miłość własną szlachecką, ale za to ma niejakie znaczenie wobec moralności politycznej, która, ze swojej strony, ma także niejakie znaczenie wobec historyi.

Zostawmy jednak rozumowanie, a przejdźmy do rzeczy samej.

W okolicy Kotnar, w czasie do którego się powieść nasza odnosi, rozlegało się pole obszerne, oddalone znacznie od osad ludzkich. Porastała je trawa bujna, która się sama nasiewała i, nie tykana kosą, dojrzewała w jesieni, pomieszana ze strączkami, kiściami i szyszkami groszków dzikich, ziół przeróżnych, kwiatów, chwastów i burzanów. W trawie wylęgało się stworzeń mnóstwo, czworonóżnych i skrzydlatych, pełzających i latających, snujących ustawicznie, w tajemniczych obsłonach natury, historyją walki o byt, toczącej się pomiędzy płochliwym zającem a podstępną liszką, potulną kuropatwą a drapieżnym jastrzębiem, nieprzezorną żabką a mądrym wężem, trzpiotalską muszką a pracowitym pająkiem, etc., etc., etc. Odbywały się tam dramaty tragiczne, komiczne, i tragi-komiczne w spokoju pozornym, bez krzyków boleści ze strony pokonanych, bez wrzawy tryumfu ze strony zwycięzców. Żuk zjadał żuka, wąż żabę, węża bocian, gatunek potężniejszy tępił gatunki słabsze cicho, spokojnie, porządnie, a bez zawziętości najmniejszej, czekając aż przyjdzie człowiek, król stworzenia, i imie się do tępienia słabszych i potężniejszych—i wytępi ich—i doprowadzi do tego, iż na ziemi pozostanie on sam jeno, król stworzenia, sam rozrodzony jako piaski pustynne, jako gwiazdy na niebie. A wówczas—co będzie?

Niech czytelnicy wybaczyć nam raczą łaskawie to od głównego przedmiotu zboczenie. Stało się ono mimo woli naszej. Wzmianka o walce o byt odbywającej się na polach kotnarskich, przyprowadziła nam na myśl, mocą pokrewieństwa idei, teoryją walki o byt zastosowaną do spraw politycznej natury. Ztąd, na końcu ustępu poprze-

dniego, wywinęło się zapytanie, odnoszące się do przyszłości tak odległej, że myśl ludzka zaledwie ją ścignąć może.

A i nasz Jan Olbracht zamierzył był nie co innego, jeno sprawienie tego, ażeby polak zjadł mołdawianina.

Polak był mocniejszym, mołdawianin słabszym.

I oto co się stało.

Wyjdźcie na pola kotnarskie, na te pola dziewicze, po których koza nie przeszła, których pług nie trącił, na których, w pierwszych dniach jesieni, r. 1497, słała się bezpiecznie pajęczyna, strojąc w muślinowe zawoje, w zasłony i festony, kity chwastów i łby bodiaków—wyjdźcie na te pola i popatrzcie.

Albo posłuchajcie najprzód, nie patrząc.

Rozlegają się na nich wołania poganiczów mołdawiańskich:

— Hejs!.. hejs!.. hejs!..

— Cza!.. cza!.. cza!..

„Hejs“ znany na lewo, „cza“—na prawo.

Wołania te używają się do wołów w zaprzęgu. Do pobudzenia zaś w nich ochoty pociągowej, szturcha się je biczyskiem, lub też wprost kijem zaostrzonym, w uda, dodając do szturchania odezwy: ks... ks... ks...

Wołania te i odezwy rozlegały się na polach kotnarskich.

Popatrzmy i teraz.

O! żegnaj, dziewiczości ziemi!.. Na polach, w odstępach pewnych, tak regularnych, jakby je cyrklem odmierzano, czernią się smugi długie. To bruzdy. Leżą wywalona jedna obok drugiej, po raz pierwszy, w ciągu istnienia warstwy swojej, na wierzch wydobyte. Smug ilość ogromna, dwu secin dochodzi. Ile smug, tyle pługów być musi, boć nie co innego jeno pługi tę ziemię krają. Bruzdy rewidują wrony. Uciecha dla nich—bal prawdziwy: bo co też tam robaków! co robaków!.. W bruzdach też chodzą wieśniacy, w torbach przez plecy, zawieszonych jak u siewaczy—postępują mierzonemi krokami i, co kroków kilka zrobią, to ziarno jedno wrzucą. Wrzucają je w świeże za pługami wyżłobienia, a to w tym zapewne

celu, ażeby bruzda następna, odwalając się, przysypała nasienie. Nasienie to — to nie pszenica, ani żyto, ani jęczmień, ani owies, ani hreczka, ani proso, ani—tem mniej—*papuszoja* (kukurydza), nie znana jeszcze w czasie owym w Europie. Wrony ze zdziwieniem przypatrują się mu jednem okiem, i dziobem nawet trącają, probując ażali nie dałoby się to połknąć. Ale nie. Nie dla nich to jadło. Zresztą mają specyjały lepsze: białe poczwarki i myszki polne, zestraszone do oszalenią, niemniej jak zdziwione, że schronienia ich podziemne, tak od wieku wieków spokojne, zostały naraz wywrócone i rozburzone.

Biedne myszki! Biednemi też są i te istoty, co w pługach chodzić muszą. Toć to nowizna od kiedy świat światem nietykana! Rolnicy znają twardość nowizny, wiedzą jakich to pługów zasadnych i jakiego to sprzężaju dowodnego potrzeba do wzdarcia powierzchni, sformowanej ze splecionych w warkocze i poplątanych w węzły korzonków, rozpuszczających odrostki nakształt rozramień polipich. To też pługi były zasadne i sprzężaj... jakby się o nim wyrazić? Dowodny?—nie; doborny?—i to nie. Oryginalny. Ten jeden przymiotnik najwłaściwszym się wydaje w zastosowaniu do sprzężaju, złożonego nie z wołów, nie z koni, nie z mułów, nie z osłów, nie z bawołów, nie z wielbłądów, nie z żadnych stworzeń do zaprzęgu przez ludzi używanych, ale—z ludzi-ż samych.

Tak — z ludzi: — powtarzamy dla tych, którymby się wydało, żeśmy popełnili *lapsum linguae*.

W pługach chodzili ludzie.

Było tak obrachowano: na jedną parę wołów pięć par ludzi, W pługach zatem chodziło ludzi po par dwadzieścia pięć, do trzy dziestu, popędzanych przez pogoniczów podrostków zaopatrzonych w tyki długie, na końcu których wisiały długie batogi. Pogonicze batogami wywijając, wywoływali: cza!.. cza!.. hejs!.. hejs!.. —albo też tykami w uda sprzężonych sturchali i odzywali się ks... ks... Rataje, którémi byli wieśniacy rumuńscy, pługi w bruzdach prowadzili.

Ludzie ciągnęli pochyleni.

Chcecie wiedzieć, co to byli za jedni. Znajomi nasi—więcej jak znajomi i więcej jak bliźni: bliscy nasi, nasi prapra... ojcowie.

Każdy z nas ma dziadów dwu, pradziadów czterech, prapradziadów ośmiu, praprapradziadów szesnastu, i t. d., w dwudziestem zaś pokoleniu wstecz liczba przodków, od których każdy z nas w prostej idzie linii, dochodzi cyfry 968,796, głów męzkich. Przypuśćmy iż od 1497 do dni naszych nie przeminęło się pokoleń dwadzieścia. Przeminęło się mniej trochę: ośmnaście dajmy na to—to i tak cyfra przodków będzie cale poważną. Koligacyje i pokrewieństwa ogarną wszystkich co żyli w czasie owym, tak, że mamy pełne prawo wszystkich polaków, co w jesieni roku 1497 na kotnarskiem polu w pługach chodzili, uważać za pra-pra-pra... ojców naszych.

Chodzili w pługach zmęczeni, spoceni, zziajani, pochyleni. Nie dziw—nowiznę orali.

Pomiędzy pługami przejeżdzali się na koniach *ficzosy* z harapami w rękach; z harapów trzaskali i hukali:

— A nuże, tam, a nuże!.. lacka mać!.. Od wschodu słońca do południa!.. o południu popas!.. od południa do zachodu słońca!.. na noc do obory!..

I nie odzywała się protestacyja żadna, nie podnosiła się skarga najmniejsza: szlachcice, pra-pra-pra... ojcowie nasi, sąpali jeno i ciągnęli.

Orali od rana do południa. O południu pociągowy każdy dostał chleba kawał, sera krajankę i wody, której beczkę dla każdego przyniesiono pługa. Zjedli, napili się, wypoczęli i po wypoczynku, na który poszło godzin ze trzy, znów ich pogonicze do pługów pozaprzęgali.

I znów orali.

Nad wieczorem wjechał na pole, konno i z orszakiem licznym, człowiek w kaftanie łosiowym, z mieczem u boku, w kołpaku z futerkiem, z którego czaple sterczało pióro, z brodą rudawą gęsto szronem siwizny obsypaną, o brwiach grubych nawisłych — wjechał, pomiędzy zoranemi smugami się przejeżdzał, z pod oka chmurnie a groźnie spoglądał, ani jednem słówkiem się nie odezwał i odjechał.

Na noc pogonicze, każdy swój zaprząg, na oborę popędzili.

Oborę stanowiła zagroda długa a wązka, na prędce widocznie w pobliżu przeciekającego mimo kotnarskich pól strumienia skleco-

na. Opasywał ją płod z żerdzi, a nad płotem wznosił się daszek szopą pospolicie zwany. Sprzężaje pługów miały tam, każdy z osobna, stanowisko swoje. Na czterech stronach zagrody biwakowało wojsko, trzymjące wartę, która otaczała oborę szyldwachami gęsto rozstawionemi. Posiłek wieczorny podawano szlachcicom w korytach, ustawionych pośrodku wzdłuż zagrody całej. Słoma służyła za posłanie.

Oj, spali-ż, spali!..

O wschodzie słońca posiłek i—dalej do pługów.

Tak szło dzień po dniu, z wyjątkiem niedzieli, przeznaczonej na odpoczynek.

Szlachta nie sarkała, nie żaliła się, nie obwiniała ani niebios ani nikogo, zachowywała się wogóle z godnością ludzi czujących godność osobistą i nie uginających się pod brzemieniem klęski. Widocznie los twardy, jaki jej w udziale przypadł, brała w znaczeniu ekspijacyi za lekkomyślne a występne targnięcie się na cudzą własność. Co rano sprzężaje, gdy do pługów się udawały, spiewały hymn bojowy: „Boga rodzica”. Do boju-ż bo szły, do pracy pod najcięższą onej postacią: praca jest niczem innem, jeno bojem, toczonym przez człowieka w tej właśnie walce o byt, do której niemcy dzisiejsi tak dowcipnie polityczną naciągnęli teoryją. Chodzili w pługach, mając na rozporządzenie swoje sposób łatwy uniknięcia tej pracy ciężkiej. Potrzeba było tylko, ażeby się zmołdawianić zachcieli Dzień w dzień, przed wypędzeniem w pole, ogłaszano im co następuje:

— Wielkość jego, Stefan-woda, da wam grunta, chałupy, zapomogę na zagospodarowanie się i prawa mazyłów, bylebyście mu, jako panu waszemu, czołem uderzyli i wierność zaprzysięgli.

Do ogłoszenia tego dodawano objaśnienie:

— Mazyłowie stanowią stan rycerski, podobny wielce do stanu szlachty drobnej w Polsce, z tą jedynie różnicą, że nie biorą udziału w sprawach publicznych; sejmikują jednak i obradują w zakresie potrzeb nie wychodzących po za obręb gminy.. Sami wybierają sobie urzędników administracyjnych i sądowych, jako też naczelników wojskowych i mają wrota szeroko otwarte do najwyższych dostojeństw w państwie, do tronu hospodarskiego nawet...

— A no, panowie, lachy!.. co wolicie: na mazylii osiąść, czy w pługach chodzić?..

Lachy w pługach chodzili.

I nie sarkali, i nie żalili się, i nikogo nie obwiniali.

Nie obeszło się wprawdzie bez wyjątków. W gromadzie, liczącej głów kilka tysięcy, znalazłby się nie jeden, co chętnieby skórę polską na mołdawską zmienił — wszak nie suknia człowieka zdobi; cóż jednak!.. bardzo, na względzie odstępstwa tego, stały na drodze przeszkody, z których jedna pochodziła od szlachty, druga od Stefana-wody. Pierwsza wywierała wpływ moralny: żaden pojedyńczy odezwać się nie śmiał; druga wyrażała się w ten sposób: „albo wszyscy, albo nikt". Stefanowi-wodzie o pojedyncze indywidua nie chodziło wcale. Wabieni rozgłosem imienia jego, cisnęli się do niego awanturnicy ze świata całego. Na tych mu nie brakło, a byli to ochotnicy. Cóż za korzyść miećby mógł z ludzi, co by nakształt wybiórków od gromady odpadali!.. Chciał wszystkich, albo żadnego.

Wszyscy jednak, na propozycyje codzienne i na objaśnienia odpowiadali milczeniem i w pługach chodzili.

Upłynął tydzień jeden, rozpoczął się drugi: kotnarskie pola zaczerniły się smugami długiemi, obejmującemi połowę blizko powierzchni całej. Robota postępowała, prowadzona dzień po dniu jednakowo. Codziennie też nad wieczorem pojawiał się na polu człowiek na koniu w kaftanie łosiowym, na czele orszaku licznego i, z podełba spoglądając chmurnie a groźnie, przejeżdżał się pomiędzy smugami.

Razu pewnego, do człowieka onego, podjechało jezdców czterech. Zdaleka snadź przybywali, przy siodłach bowiem wisiały im sakwy podróżne, konie okazywały znużenie, ich samych zaś okrywała kurzawa. Jeden, wyglądający na rycerza-ziemianina, w kołpaku, przy mieczu, jechał przodem; drugi, odznaczający się nosem fijoletowym, trzymał się obok; dwaj inni, postępujący w odległości niejakiej z tyłu, wydawali powierzchownością swoją pachołków. Gdy mąż w kaftanie rycerza przed sobą zoczył, zatrzymał konia i, oblewając oblicze uprzejmym wyrazem, odezwał się:

— A, witam waszmości, panie Romanie Czuryło... i waszmości,

panie Baltazarze z Kręga Kręgarski... Od kiedyż to waszmościów nie widziałem?.. A!.. od lat dwunastu, kiedyście, z rozkazania w Bogu dziś spoczywającego króla jegomości, nieśli mi pomoc orężną pod imć panem Janem Karnkowskim... A! dawne to czasy...

— Dawne, mości wojewodo...—podchwycił Czuryło — a jak od dzisiejszych odmienne!..

— Postarzeliśmy... — przerwał Stefan-woda, on to był bowiem ów mąż w kaftanie łosiowym—postarzeliśmy... I was i mnie siwizna przykryła...

— Mykież... — mruknął pan Baltazar pod uchem rotmistrza. Rżnij mu waszmość wprost...

Rotmistrz odchrząknął i, nie zważając, że wojewoda o minionej młodości mówił, zaczął.

— Mości wojewodo!.. my ludzie, my nie poganie a chrześcijanie... Bóg nas wedle uczynków sądzić będzie wszystkich zarówno, wedle tego prawa, które sam przez usta syna swego wygłosił: nie będziesz czynił drugiemu, czego nie chcesz aby tobie czyniono... Pomnij o tem, wojewodo!.. i nie czyń tego, co czynisz...

— No?..—zapytał hospodar, jakby nie wiedział o co chodzi.

— I... co to wielkość wasza dokazuje!..

— Alboż co!..

— A no... Czyż to się godzi—ludzi chrześcijan do pługów zaprzęgać?..

— Ha... gospodaruję...— odrzekł Stefan z giestem odpowiednim. Wojna się skończyła, Bogu dzięki... wziąłem się do roli... Orzę pole i sieję na niem las... niech rośnie do obrony przeciwko wam, panowie lachy... a, żeście mi bydło w tej części kraju pozjadali i że w reszcie Mołdawii pozjadał imi bydło turcy i tatarzy z przyczyny waszej, więc nie pozostawało mi nic innego, jak tylko woły szlachcicami zastąpić...

— Zlituj się, mości wojewodo!..—zawołał Czuryło.

— Cha, cha...—zaśmiał się Stefan.

— Pan Bóg cię pokarze...

— Nie strasz mnie tem... Mam ja sposoby do odwrócenia od siebie kary bożej...—odrzekł. A od kogo waszmość przybywasz—od króla, pana mego miłościwego?...—zapytał nagle, tonem przekąsu.

— Nie, mości wojewodo... Przybywam...—tu się rotmistrz zająknął nieco—od samego siebie, dufając w to, żem w sprawie wielkości waszej piersi nadstawiał i głowę ważył...

— Hm... i krew lałeś.... Chciałem też wynagrodzić waszmośc po królewsku, aleś się od nagrody wymówił..

— Przychodzę teraz po nią...

— He-hm... Trochę to nie w porę... ale, kiedy się upominasz, to są na waszmości rozporządzenie: donacyja w ziemi i buława hetmańska...

— Zamień to, mości wojewodo na co innego...=odparł Czuryło, hamując się.

Usta mu drżały i oczy spuszczał, jakby mu wstyd było.

— Na cóż?..—zapytał Stefan.

— Wyprząż pługi ze współbraci moich... albo...

— Albo co?..

— I mnie z innemi zaprządz każ...

— Ani ja ciebie zaprządz, ani współbraci twoich wyprządz każę... Cóż za gospodarz byłby ze mnie, gdybym miał robotę w połowie rzucać!..—odparł Stefan z przyciskiem. Niech orzą!.. Nie dzieje się im zresztą krzywda wielka... jedzenia i odpoczywania pod dostatkiem mają... Chcesz—przekonaj się...

Wydał jednemu z orszaku swego rozkaz stosowny i, kiwnąwszy rotmistrzowi głową na pożegnanie, odjechał.

Czuryło i pan Baltazar z koni pozsiadali a, oddawszy je pachołkom, w celu postawienia ich na nocleg, sami stanęli obok bruzdy, którą właśnie pług ciągnął. Niedługo czekali. Pług niebawem nadciągnął. Szlachcice, co szli przodem, poznali ich i instyktowie niemal, machinalnie, wyprostowali się, zaczynając pozdrowienie powitalne:

— Niech będzie pochw.....

Lecz dokończyć nie mogli. Nastąpiły wnet szturchania w uda i wołania ks.... ks... które przywołały ich do porządku. Rotmistrz rękami piersi sobie ugniatał i zęby zaciskał, ażeby serce od pęknięcia uchronić, albo jak baba płaczem nie wybuchnąć. Pan Baltazar wyprostował się, ręce bezwładnie zwiesił, a łzy mu po policzkach ciurkiem płynęły i po obydwu nosa stronach w dwa, z powodu osobliwej konformacyi policzków, jeziorka się zbierały; powtarzał od czasu do czasu głosem płaczem przerywanym:

— I nie było to kupy się trzymać...

Nagle po karbownicę za cholewę sięgnął, puginał z za pasa wydobył i zawołał:

— O!.. a ja go w zbiegach zaznaczył...

I wykrawywać drżącą ręką znak jakiś z laski począł.

Słowa pana Baltazara odnosiły się do Kołtuna w ten właśnie pług uprzężonego.

Postępował krok za krokiem wpół zgięty, w parze ze szlachcicem jakimś, sapał mocno, obok niego zaś szła, z oka go nie spuszczając, niewiasta w ciemnem odzieniu. Niewiasta owa była to nie inna, jeno ta sama, która eksmnicha w obozie pode Lwowem śpiącego nachodziła i w obozie pod Suczawą chorego doglądała, a we dnie mszy obozowej na klęczkach słuchała i modląc się płakała. Wyglądała tak, jak zawsze: nędzna, wychudła, łachmanami okryta, bez obuwia na nogach i w chustce na głowie. Obecność jej tu, jeżeli przypomnimy sobie to spojrzenie, jakiem się jej wzrok zaiskrzył, gdy Kołtuna w namiocie pode Lwowem odszukała i tę postawę drapieżną, jaką względem niego wówczas przybrała, tłómaczyćby się dało chęcią urągania człowiekowi, który jej krzywdę jakąś wielką wyrządzić musiał, kiedy go tak zawzięcie ścigała, gdyby nie okoliczność następująca. Niewiasta niosła w ręku hładysz wodą napełniony i, postępując obok Kołtuna, ustawicznie mu odwilżała ciemie i skronie, niekiedy zaś zaczerpywała wody w garść i do ust mu takową przytykała. Było to ogromną dla niego pomocą. Znużenie uczuwać się mu dawało o połowę mniej, jak innym, znajdował bowiem ciągle orzeźwienie, które w nim podtrzymywało siły żywotne. Niewiasta go nie odstępowała, z wyjątkiem wówczas, gdy wodę wszystką z hładysza wy-

czerpała. W razie takim oddalała się, biegła przez pola, znikała i po czasie niejakim pojawiała się znów obok Kołtuna i znów funkcyją swoję pełniła. Towarzyszyła mu zaś, li tylko kiedy w pługu chodził. Nie było jej nigdy, ani na południowych odpoczynkach, ani w oborze na noclegach. Gdzieś się zapodziewała zawsze, jak tylko wyprzęganie następowało. W ten sposób rozmowa, jakaby się pomiędzy dwojgiem tych ludzi zawiązać mogła, stawała się jeżeli nie niepodobną, to niesłychanie trudną, i ograniczała się całkowicie na wyrazach pojedynczych, lub też na frazesach oderwanych, jakie eksmnich, w pługu idąc, od czasu do czasu rzucał. I tak, gdy po raz pierwszy ujrzał ją obok siebie na polu kotnarskim, krzyknął przez zęby, głosem wściekłości tłumionej:

— Piekło!.. Precz ty odemnie!..

Ona na to nic—jakby nie słyszała.

Innym znów razem zapytał:

— Jaki cię szatan przysyła?..

Ona znów, jakby nie słyszała.

Razu pewnego czynił jej półgłosem rodzaj przedstawienia, nadając takowemu, ton perswazyi poufnej.

— Myślisz może, iż szyję moję pod miecz kata pociągnąć zdołasz?.. Niedoczekanie twoje... Nie masz świadka ani jednego...

Niewiasta przyjęła te słowa tak, jakby się one stosowały nie do niej. Odwilżała Kołtunowi ciemię i skronie i podawała mu wody; orzeźwiała go i siłę jego podtrzymywała, i towarzyszyła mu nieodstępnie. Z jego strony, żeby też kiedy choć słówko podzięki. Przyjmował to, w położeniu w jakiem się znajdował, dobrodziejstwo rzeczywiste, obojętnie, zimno, z niechęcią nawet, przyjmował je jednak, raz dlatego że nie przyjmować nie mógł, powtóre dlatego, że przynosiło mu ono ulgę, do odepchnięcia której nie miał siły. Towarzysze niedoli powtarzali mu często na odpoczynkach i pod szopą:

— Waszmość pod szczęśliwą urodziłeś się gwiazdą... Waszmości niebo, zesłało, pod postacıją żebraczki w łachmanach, prawdziwego anioła opiekuńczego... Musiałeś dać jej grosz jałmużny z serca szczerego...

Kołtun żadnego nie dawał objaśnienia.

Żebraczka owa wpadła w oko i rotmistrzowi, również jak i panu Baltazarowi, gdy za pozwoleniem hospodara, przypatrywali się szlachcicom w pługu chodzącym. Żebraczka rozrzewniła ich. Pan Czuryło, miał tyle nad sobą mocy, że się wstrzymał od manifestacyj; pan Baltazar zaś zachlipnął się głośno i zawołał:

— Hej! mości Kołtunie... Cóś mnie od waszmości odtrącało z racyi oczów waszmościowych... Ale oczy, pal dyjabli!.. Nie do oczów to, ale do serca snadź twego przylgnęła niewiasta, co jak matka rodzona czuwa nad tobą...

Bolesnym był dla przybyszów widok szlachciców w pługach, a tém bolesniejszym, że przynieść im nie mogli, nie już pomocy żadnej, ale ulgi najmniejszej. To też nie długo na polu pozostawali Pozwolenie, jakiego im hospodar udzielił, rozciągało się do obory: tam więc się udali, a że dzień ku wieczorowi się chylił, niebawem doczekali się przybycia sprzężajów i byli świadkami przyjmowania przez szlachtę posiłku wieczornego w korytach.

Po wieczerzy otoczono ich, wołając o ratunek, a odwołując się do stanów, do przywilejów, do powagi monarszej króla jegomości, do interesu wreszcie kraju, który ucierpi, jeżeli tyle rycerstwa na raz marnie przepadnie.

Czuryło nie miał na to do powiedzenia nic. Ramionami jeno wzruszał i w Bogu nadzieję pokładać zalecał.

— Tak...—odezwał się jeden. Bóg o najmizerniejszym nie zapomina robaczku, jakżeby miał o szlachcie polskiej zapomnieć!.. Dowodem że nie zapomina jest przybycie waszmości... Król jegomość troszczy się o nas...

Było to złudzenie, któremu wszyscy na widok rotmistrza ulegli. Byli pewni, że jest on wysłańcem królewskim. Pociechę tę Czuryło odebrać im musiał.

— Nie...—rzekł—niestety!.. Król chory... Przybycie moje nastąpiło nie z rozkazania królewskiego, ale z narady z królewiczem Zygmuntem... Zresztą, majestatowi królewskiemu nie wypada poniżać się wobec hołdownika, jakim jest wojewoda wołoski i prożbę do niego zanosić...

— Niech więc szlachta — ktoś z tłumu zawołał — w pługu chodzi!...

Wówczas opowiedziano rotmistrzowi o propozycyjach, podawanych poranka każdego. Rotmistrz wysłuchał i, spuściwszy w dół oczy, podnieść ich nie śmiał, lękając się snadź spotkać się ze wzrokami, mówiącemi: „kiedy nas wszyscy opuścili i do wyjścia pozostaje nam jedna jedyna furtka, więc... wyjdziemy nią!” Czuł że to źle; nie mógł wszakże złemu temu oponować, bo sam w pługu nie chodził. Czuł się więc niby do ziemi przygniecionym ciężarem jakimś nieokreślonym, któryby mógł w takim tylko razie zrzucić, gdyby znajdował się w stanie nieszczęśliwym rękę pomocną podać, a przynajmniej światełko nadziei ukazać. Nagle jednak głowę podniósł, oczy mu zajaśniały, ręce wyciągnął, jakby cały wielotysięczny tłum w ramiona chciał ująć i do piersi przycisnąć; w słuch mu ze stron wszystkich wpadały wyrazy:

— Nigdy!.. za nic!.. zaorzemy się raczej na śmierć!..

Pan Baltazar oczami łypał, łypał i zabeczał w głos. Rotmistrz, który się do tego momentu powstrzymywać od objawu rozrzewnienia zdołał, rozpłakał się w końcu.

Nastąpiły przekazy do rodzin. Ten miał rodziców starych, inny żonę i dzieci, ów braci i siostry. Pan Baltazar karbował i węzełki wiązał.

Zapadająca noc rozdzieliła pługowych od tych, co na wolnej pozostawali stopie. Czuryło i towarzysz jego oddalić się musieli.

Nazajutrz znów, jak dni poprzednich, pogonicze na pole szlachtę popędzili.

I oranka szła dalej zwykłym porządkiem, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, aż smugi znikły i całe pole kotnarkie przedstawiło się jako jedna olbrzymia czarna rola, żołędziami zasiana.

Spędzono szlachtę do obory.

— Cóż dalej?—zapytywał ten i ów.

— Poczekajcie.. jest na Mołdawii ziemi huk do orania...— odpowiadali dozorce.

Tej nocy jednak szyldwachy tak niedbale dozorowali, że uciekło kilkunastu na raz.

W dniu następnem roboty nie było, w nocy zaś dozór był jeszcze niedbalszy: uciekło kilkudziesięciu.

Dalej i we dnie uciekać poczęli.

Ciągnęło się to przez dni kilka, aż rotmistrz Czuryło przyjechał powtórnie z radosną tym razem wiadomością. Stefan-woda umyślnego do niego posyłał i powiedzieć mu kazał:

— Lachy znudzili mnie uporem... Zorali mi grunt pod las i nie mam już dla nich roboty, a widzę że nie będzie z nich dla mnie pociechy... Zabierz ich sobie...

Rotmistrz więc przybywał po resztę szlachty.

Na kotnarskiem polu wyrósł z lat upływem, las pamiątkowy, który po dziś dzień istnieje i nosi nazwę Dombrowy czerwonej: *Dumbrawa roszia*. Lud okoliczny powiada, że pokutują w nim dusze udzkie.

Odnosi się to zapewne do tych, dla których, w czasach późniejszych, nauka dziejowa w las poszła.

## XXIV

# U PRZEPRAWY.

Rozwodzić się szeroko nie potrzeba, jakim sposobem to się stało, że szlachty tyle dostało się w niewolę wołoską. Okazyi nie brakło. Emigrowanie z obozu do domu dało jeńców kontyngiens znaczny, którego dopełniły traktaty. „Traktaty jednak — pomyśleć ktoś gotów—ochraniały rycerstwo polskie“ Oh!.. ochraniały. O traktach powiedziećby można to samo co Słowacki o pryncypiach powiada. Ochraniały one rycerstwo tak, że gdy takowe, wyciągnąwszy z obozu i minąwszy miejscowości najpodejrzańsze, bezpiecznem się czuło, nagle z boków i z tyłu zaatakowanem zostało.

Stefanowi, jak się zdaje, żal się zrobiło zdobyczy, co mu się z rąk wyślizgała. A może też pomysł zasiania lasu, na gruncie przez szlachtę polską zoranym, tak mu się dalece podobał, iż ze złamaniem umowy i dwu tygodni nie czekał.

Jeszcze-ż mu się nie powiodło, jakby się powieść mogło.

W dniu naznaczonym ruszyły obozy w porządku następującym: w przedniej straży chorągwie dworskie, za temi król z orszakiem, za królem piechota zaciężna z częścią artyleryi, pod przykryciem której szły pociągi dworskie; za pociągami znów piechota; dalej postępowały województwa wielkopolskie i małopolskie, prowadząc wozy swoje ze sobą; w tylnej straży szedł lud pieszy komputów

łanowych. Harmaty, pozbawione prochów i kul, poprzeznaczano parami do województw.

Król, w chwili wymarszu, znajdował się w stanie dziwnego jakiegoś rozstroju moralnego. Przyczynić się do tego musiały powody rozmaite, a przed innemi: zawód w nadziejach, upadek zamiarów, wywrót świetnych widoków. Zamiast kroczyć ku Konstantynopolowi drogą tryjumfów, wracał z półdrogi z brzemieniem upokorzenia na grzbiecie. Nie mogło go to usposabiać wesoło — i w tem też usposobieniu niewesołem, kiedy, przy wybieraniu się w pochód, dawano mu zapytąnia różne, albo nie odpowiadał, albo odpowiadał opryskliwie. Los ten spotkał zapytanie, tyczące się „jakiejś pani w namiocie“. Przełożony nad usługą królewską, któremu obecność pani owej tajną nie była, wiedzieć pragnął, co z nią zrobić, jak, gdzie, w kolebce, czy w rydwanie, czy też na furze ją ulokować.

— Jaka pani!.. co za pani!..—ofuknął się Jan Olbracht. O żadnej pani nie wiem i wiedzieć nie chcę!..

W zapytaniu, zamiast wyrazu „pani“, gdyby użytem było imie „Maryna“, możeby odpowiedź inaczej wypadła.

Na nieszczęście Maryny służba królewska wiedziała, że król w „paniach“, jako w ulęgałkach przebiera, kosztując i odrzucając.

Kiedy więc namioty zdejmowano, Maryna nagle pozostała jak— używając porównania poetycznego — bylina na polu, bez gruntu pod nogami, bez opieki nad sobą, bez niczego i bez nikogo, w odzieży i bieliźnie od tygodni kilku niezmienianej.

— Gdzie król?.. król?..—zaczepiała ludzi zapytaniami.

A ludzie śmieli się do niej, mrugali, miny stroili i nazywali ją gołąbką.

— Król!..—wołała w gniewie.

— Oho!.. nie zwabisz już przepióreczko przepióra... —powiedział jej jeden.

— Nie przecieraj-no sobie ząbków królem—w rodzaju przestrogi życzliwej rzekł drugi—bo pożałować tego możesz...

— Mój Boże!.. mój Boże!.. — w przerażeniu krzyknęła i ręce załamała. I cóż ja teraz pocznę nieszczęśliwa!..

Położenie jej było okropnem i pozostałoby bez wyjścia, gdyby traf osobliwy nie nadarzył Kapuzińskiego, który odjechawszy już

nazad jeszcze za czemś wrócił. Zoczywszy Ignacego, poskoczyła do niego:

— Rycerzu!.. panie!.. ratuj!..

Ten zdumiał się naprzód, następnie zaledwie wyjąkać zdołał:

— A toż zkąd?.. jakim cudem?..

— Widzisz!.. opieka królewska!.. Litości!..—dłonie wyciągnęła.

Powiedziała „opieka“, nie zaś „miłość“

Ignacy, domyśliwszy się, że opieka owa wyraziła się nie jak się poprzednio domyślał, przez pozostawienie rajtrów na warcie, ale inaczej, wstawił się za nią do sług królewskich. Ci jednak dali mu odprawę taką, że go aż ręka zaświerzbiała. Powściągnął się jednak przez wzgląd na Marynę, której by to najmniejszej nie przyniosło pomocy, gdyby któremu z dworskich uszy obciął, lub płazem rzemienice na policzek wydobył. Tem bardziej przeto zainteresowała go ona. Zwrócił się więc do niej:

— Ja mam wóz!.. Na moim wozie!.... Proszę miłościwa, za mną!..

Czasu do rozprawienia, zastanawiania się i namyślania nie było. Działo się pospiesznie. Rwano się i rwano. Maryna poszła za Ignacym, który konno był; w tumulcie musiała nawet ująć się za strzemię jego, i tak dostała się do woza, zaprzężonego w trzy konie i okrytego budą płócienną. Ignacy powierzył ją pachołkom, zaleciwszy im, ażeby siedzenie dla niej wygodne wymościli i staranie wszelkie o niej mieli, sam zaś konia spiął ostrogami i pędem, odjechał.

Tak tedy, traf jedynie wydobył ją z położenia, które jej zagroziło zgubą ostateczną.

Pojechała w budzie, która, trzymając się miejsca porządkowego, posuwała się zwolna w długim szeregu wozów. Przynajmniej, nie pozostawała na widoku ciekawości ludzkiej. Stanowiło to jednak niewielką dla niej pociechę, dla niej, co właśnie wystawienia się na widok pożądała i dążyła ku temu wolą własną, a z całą celu do którego dążyła swiadomością. W budzie swiadomość przepadła. Maryna znalazła się nagle niby w powietrzu, stała się igraszką losów.

Gorzko też zapłakała.

Wóz, to się toczył, to się znów zatrzymywał; na drodze pano-

wał zgiełk ustawiczny, złożony z okrzyków ludzkich, ze skrzypu kół z porżewania koni i z głuchych poszczęków oręża. Pachołkowie, których było dwu, zerkali z pod oka od czasu do czasu na tak niespodzianie spadłą im pasażerkę, a widząc ją we łzach, ramionami ruszali i czynili nad nią w tym, naprzykład, rodzaju postrzeżenia.

— Strapiona jakaś, co pocieszyciela szuka... Takich pełno... a i więcej jeszcze tego było, ale przebrało się jakoś... Niczego jakaś, tylko jeżeli tak będzie płakała i płakała, to oczy wypłacze...

Urywki postrzeżeń tych wpadały Marynie w uszy, sprawiając jej przykrość niewymowną. Ona, co tak wysoko strzelała, spadłą tak nizko; postradała cel świetny, w który się wpatrywała zdala, i nie wiedziała dokąd idzie. Wieziono ją.

Pachołkowie rzędem na przedzie siedzieli, a że się jazda odbywała powoli, więc nudzili się, ziewali, sen ich morzył widocznie, i zmorzył tak mocno, że jeden z nich przewrócił się na wznak wyciągnął i Maryna usunąć się przed nim na bok musiała, mając przed oczami widok oblicza z oczami zamkniętemi, z gębą otwartą i z nosem wygrywającym jak waltornia melopeę snu twardego. Dodać do tego potrzeba muchy, siadające na oblicze spotniałe i zmuszające je do wykrzywień potwornych. Coś podobnego nie przytrafiło się jej jeszcze nigdy w życiu.

— Oh! doloż, moja dolo!..—westchnęła.

Miałaż prawo narzekać.

Podróż odbywała się powoli. Popasano bez wyprzęgania koni i na popasie pachołkowie ofiarowali Marynie kawał chleba uschłego, kawałeczek słoniny stęchłej i kufel wody świeżej. Wodę wypiła, jadła nie tknęła. Po wykwintach domowych, po marcypanach królewskich, wydawało się jej niepodobieństwem, ażeby chleb taki i taką słoninę przełknąć kiedy mogła.

Na noclegu nie ustawiano, wbrew zwyczajom pochodnym, wozów, w tabór. Pociągi spędzały noc na drodze, w pogotowiu do wyruszenia nazajutrz o świcie. Maryna w wozie spała, na posiłek zaś o wodę prosiła.

— A nie zakąsić by ta czego...—przemówił z pachołków jeden.,

Podziękowała. Zakąsić miała dopiero we dwadzieścia cztery godziny później.

Z Ignacym widziała się na krótko, kiedy wozy z noclegu

ruszyły. Przybiegł na koniu i powiadał, że z wieczora szukał, ale znaleść nie mógł; zalecił pachołkom, ażeby staranie o niej mieli, i pocwałował naprzód.

Na jezdzie nudnej, powolnej, upłynął dzień cały, nastała noc, przeminęła, zaświtał dzień następny i znów przyszła noc; Ignacy wóz odwiedzał, zawsze jednak na krótko. Przyjeżdzał, słów kilka rzucił i wnet odjeżdzał. Ostatniego poranka nie przyjechał wcale, a był to poranek jakiś złowrogi. Pachołkowie okazywali niepokój, który zafrapował Marynę, obracąli się często w tył i z podszytą przerażeniem ciekawością spoglądali na prawo i na lewo. Maryna nie odzywała się do nich poprzednio; widząc jednak to ich zachowywanie się dziwne, zdecydowała się zapytać, co to być może.

— Ta nic... — odrzekł jeden — coś niby Tatarzy... wieszają się psiewiary stronami...

Słowa te zaniepokoiły Marynę.

— A... — odezwał się drugi pachołek — do Czerniejowiec nie daleko... Byle jeno tam się dostać i za Prut, to już człek pewniejszy siebie będzie...

— O Boże!.. — westchnęła, czując nieokreślony jakiś strach, przejmujący ją nawskróś.

W chwilę później wóz się zatrzymał. Maryna wychyliła z budy głowę, popatrzyła po okolicy i, nie postrzegając nic uwagę zwracającego, zapytała:

— Czemuż nie jedziecie?..

— Droga zawalona... — była odpowiedź.

Okolica w tem miejscu przedstawiała się w ten sposób: na lewo kosogórza łagodnie się wznoszące, na prawo grunt wjary i rozpadliny popękany, stromo do góry idący, bliżej krzakami, dalej lasem okryty, a tu i ówdzie skałami najeżony, z których jedna nieopodal widzieć się dawała, prezentując się pod postacią dwu brył kamiennych, u podstawy nieco oddalonych jedna od drugiej, a wierzchołkami prawie się tykających.

Maryna nic tu osobliwego nie widziała; niepokój ją jednak przejmował, powodem zaś onego było to, że wozy tak długo na miejscu stoją.

Nagle ziemia niby stęknęła, po czem nastąpiło stopniowo

w siłę wzrastające dudnienie, które się zmieniło w tentent cwałujących koni. Odgłosy te dochodziły od strony kosogórza i były z razu zagadkowe. Niedługo jednak czekać było potrzeba na rozwiązanie zagadki. Po kosogórzu, mimo wozów, przeniosła się pędem jedna chorągiew, za nią druga, za tą trzecia, a następnie tłum jeźdzców, w rosypce. Równocześnie z pojawieniem się tych ostatnich, wozy ruszyły, lecz niepowoli jak dotychczas, ale z miejsca w cwał, na wyścigi jeden z drugim, skręcając z drogi ten w prawo, ten w lewo. Pachołkowie Ignacego wzięli się w prawo, i nie ujechawszy kroków paruset, z wozem i z końmi w jarze już leżeli. Nastąpiło to w skutek zczepienia się. Woźnica, chcąc się odczepić, nawrócił zanadto w prawo, koń orczykowy spadł i pociągnął za sobą konie dyszlowe. Stało się to w przeciągu chwili jednej. Katastrofa odbyła się z szybkością piorunną, i z nadzwyczajnym też pośpiechem pachołkowie i Maryna wydobyli się z pod woza, biorąc się niezwłocznie do ratowania takowego. W tej chwili padł na nich popłoch paniczny. W górze, z boku, a nawet, jak się zdawało, pod spodem, w łonie ziemi zabrzmiały okrzyki:

— Tatarzy!.. Tatarzy!..

Pachołkowie, rzucając wóz i konie, pobiegli, Maryna za nimi; wyskoczyli z jaru. Marynie wydobywanie się zabrało czasu nieco, i, gdy się na wierzch wydostała, już pachołków nie ujrzała, lecz tylko szczelinę skały, w którą się też wnet schroniła. Ze szczeliny dostała się w krzaki, śród których, w pół schylona, pospieszała co sił, usiłując jaknajprędzej i jaknajbardziej oddalić się od drogi. Okrzyk ustawicznie brzmiący „Tatarzy!“ dodawał jej sił. Pędziła niby uskrzydlona, wspinała się na wzgórze strome chwytając się za krzaki, dostała się do lasu, jeszcze biegła, aż znalazła się na wyniosłości, z której odbył się przed jej oczami widok na rzekę jakąś, na miasto jakieś, na wsie w dali. Grunt przedstawiał się takim, jak przy drodze: krzaki, skały i rozpadliny na pochyłości stromo w dół zbiegającej. Maryna upadła, zmożoną biegiem i trwogą. Nastawiała ucho: okrzyku co ją tak popędził, już nie słyszała, ale o słuch jej uderzał, jakby gwar jakiś daleki, przeplatany hukami do grzmotów podobnemi.

Okrzyk „Tatarzy!“ brzmieć przestał, bo też racyi żadnej nie miał. Tatarzy byli przywidzeniem, rzeczywiste zaś niebezpieczeństwo

istniało, ale nie w tem miejscu, w którem popłoch powstał. Niebezpieczeństwo rzeczywiste istniało u przeprawy przez Prut, u której, rozłożone po obydwu stronach prowadzącej do takowej drogi, ukazały się siły znaczne wołoskie i tatarskie, w postawie takiej, jakby podejrzenie wzbudzające żywiły zamiary. Na widok ten, zatrzymać się musiała straż przednia, prowadzona przez rotmistrza Czuryłę. Rotmistrz nie chciał schodzić do rzeki, pókiby wołosi i tatarzy nie ustąpili. Wołosi i tatarzy odstępować nie chcieli; przybywało ich coraz to więcej i szykować się poczęli w porządek bojowy. Rotmistrz, nie czując się dość mocnym do spędzenia przeciwników chorągwiami dworskiemi, posłał do województw po posiłek. Trzy chorągwie skoczyło porządnie, inne zaś ruszyły w nieładzie. Popłoch, niby iskra elektryczna, przebiegł wzdłuż całą kolumnę pochodną. Wozy, zatarasowujące drogę, przeszkadzały trzymać się takowej. Dla hufców z tyłu postępujących, kosogór, o którym wspominaliśmy powyżej, nie był przystępnym; oddzielał go od nich wądół głęboki. Powstało więc zamięszanie. Zamięszanie zmieniło się w rozprężenie. Jeździce kupami i pojedyńczo rzucili się na oślep na boki, szukając przejścia do Prutu w lasach i ostępach, tak że, z armii całej, trzy tylko szwadrony i około pięciuset koni w nieładzie dotarło do stanowiska zajmowanego przez chorągwie dworskie.

A tu nieprzyjaciel nastawał, coraz to natarczywiej, zagrażając tej garstce, co została, otoczeniem i probując rozerwania szyków W tym celu Tatarzy dwukrotnie rzucali się na szwadrony dworskie i duwkrotnie odparci zostali. Królewicz, objeżdzając szeregi, dodawał serca, przejeżdzając jednak mimo rotmistrza wsunął mu w ucho.

— Źle...

— Eh!.. — odpowiedział Czuryło z przyciskiem — niechby teraz król jegomość na czele stanął... przebilibyśmy się i wpław Prut przeszli...

— Król w rydwanie... zawinął się w płaszcz i śpi...

— A zbudzić?.. — wyrwał się rotmistrz.

Królewicz na to ręką machnął, a głos podnosząc, przemówił do rycerstwa:

— Tylko spokoju waszmość panowie!.. tylko spokoju!.. Trzymaj-

cie się ostro!.. To nieporozumienie jakieś... Posłałem do perkałaba Czerniejowiec—wnet się rzecz wyjaśni; my zaś trzymajmy się tymczasem, ażeby, broń Boże, nie dostał się w ręce tatarskie król jegomość, któremu ciężką choroba na koń wsiąść nie dozwala...

— Król chory... — mruknął sobie pan Baltazar pod nosem. Jeżeli Bóg miłosierny pozwoli mu dożyć wieku mojego, to się doczeka nosa fijoletowego...

I po nosie się dłonią pogładził.

— Co tam waszmość brzęczysz?...—zapytał go Czuryło.

— Ah... mówię sobie o królu, życzę mu życia długiego...

— Życz-że mu jeszcze i tego, żeby mu Najwyższy dopomógł do wyjścia z tej opały, w jakiej w tej chwili pozostaje... Szlachta się rozbiegła...

— I nas tyle, co tu na polu?..

— Tyle wosku i świecy... Chyba cud nas ztąd wybawi...

A wyrzekłszy słowa ostatnie, wyciągając ramię i pokazując panu Baltazarowi na prawo, na rozlegające się za Prutem błonia, zawołał:

— O!.. tego jeszcze brakowało!..

— Aaa?..—odezwał się pan Baltazar przeciągle. Przyszła kreska na Matyska... Karbowałeś, mości Baltazarze, zakarbująż teraz ciebie...

Na błoniach, na przeciwnym brzegu Prutu, ukazały się kolumny wojskowe, dążące pospiesznie ku rzece. Wątpliwości, zdawało się, nie ulegało, że były to wojska, jeżeli nie wołoskie, to tatarskie, prędzej atoli tatarskie, wyglądały bowiem szaro. Ciągnęły śród kurzawy tumanów.

— Tam staną, w półkole... — mówił półgłosem rotmistrz do siebie — i urządzą obławę na nas, jak na wilki... Nie ma co.. Przygotowali psiawiary samotrzask...

Głową wstrząsnął, na siodle się poprawił i ujęcia miecza w ręku spróbował.

Ale wojska owe w półkole nie stawały, przeciwnie, szły do rzeki, rozwinięte w liniją, za którą postępowała linija druga, za tą zaś, w odległości pewnej, trzecia; zbliżały się, kroku nieco zwalniając; aż gdy już gołem okiem człowiek od konia odróżnić się dawał, huknął wystrzał harmatni, najprzód jeden, natychmiast potem drugi,

po drugim trzeci, czwarty i t. d. Zadymiło się od strony Czerniejowic.

Wystrzały te w osłupienie rycerstwo polskie wprawiły. Nie wiedziano, co o tem sądzić—sam rotmistrz Czuryło nie wiedział. Gębę i oczy otrworzył, wpatrzony i wsłuchany, miarkując, że to Wołosi chyba, z prawego brzegu Prutu, strzelają do kolumn zbliżających się błoniem zaprutskiem. Cóż to za kolumny?

Nagle, jakby wszystkim naraz zapytanie to na myśl przyszło, i jakby wszyscy w jednej i tejże samej chwili odpowiedź na nie znaleźli, z piersi wszystkich, z ust wszystkich, wydarł się jeden potężny okrzyk:

— Litwa!..

Okrzyk ten wnet we wrzawę się zmienił. Rycerze, w upojeniu radości, podnosili, ci miecze same, ci na mieczach kołpaki, kapuzy, pakłaki, wywijali niemi i wrzeszczeli. Każdy niemial innemi zbawców witał wyrazy. Ten wygłaszał na cześć ich: „Litwa niech żyje!“, ów odzywał się do nich: „A bywajcież!.. bywajcie!“; inny wołał: „Braciszenki!“, inny — „Boćwina!“; inny znów za stosowne uważał przemówić do nich z litewska po polsku: „Litwos gieros!“

Czuryło wnet tę wrzawę radosną uspokoił. Przejechał się przed frontem, po środku się zatrzymał i donośnym głosem krzyknął:

— Cicho!.. Ki dyjabeł... żacyście, czy rycerze?... Stój!.. rozkazu słuchaj!.. uszy ostro trzymaj!..

Po słowach tych, rzekłbyś, makiem zasiał. Rotmistrz dodał:

— Teraz to nam wywijać się potrzeba!.. Litwa za rzeką!..

„Litwa za rzeką“ oznaczało, że nim się wojska litewskie przeprawić zdołają, to wołosi mają czas cały do zgniecenia hufców polskich. Że zaś uczynić to jaknajśpieszniej będą usiłowali, to najmniejszej nie podlegało wątpliwości. Stefan był wojownikiem nie od parady.

Rotmistrz, przewidując co nastąpić musi, przedsięwziął środki odpowiednie: ustawił w zakryciu pojazdy dworskie z królem chorym, wyznaczył miejsce dla harmat i dla piechoty, uszykował jazdę, oparł skrzydła, frontem zaś tak się postawił, ażeby przeciwnik nie mógł go od razu na całej atakować linii. Zaledwie się ustawił, aliści i bitwa się rozpoczęła. Chorągwie co moment poskakiwały kolejno

do odbijania napadów, które powracały z potęgującą się stopniowo siłą. Harmaty zaś wciąż grzmiały. Oznaczało to, że wołosi powstrzymują litewskie wojska od przystępu do siebie. Jeżeli artyleryi Stefana uda się nie dopuścić litwinów do przeprawy, to biada hufcom polskim. Potrzeba jeno, ażeby wołosi wielką naparli siłą. „Wiele złego, dwu na jednego“.

Rotmistrz lada moment wyglądał ataku wielkiego.

Do momentu tego sposobił się królewicz, stojący na czele szwadronów wojewódzkich.

Jakoż nadszedł moment ów.

Zastępy wołoskie i tatarskie wyroiły się nagle przed frontem polskim i z krzykiem wielkim, ze wściekłością zapamiętałą, rzuciły się naprzód zbitą, głęboką masą.

— Naprzód!.. — zabrzmiało na linii całej.

Chorągwie z kopijami w toku porwały się z kopyta.

Starcie się, było zatrzymaniem się w miejscu. Szeregi się zwarły szczelnie, pierś o pierś, ramię o ramię, jak dwaj atleci, co się za bary pochwycą—miecze w powietrzu błyskały, szczęki ciosów w jeden olbrzymi zlewały się zgrzyt — zagadka życia lub śmierci polegała na niedopuszczeniu przełamania linii szeregów.

I cóż się stało? Szeregi wołosko-tatarskie nie przełamanemi ale rozgniecionemi zostały, jakby rozgniótł się przedmiot jaki kruchy pomiędzy dwiema płytami, zbliżanemi jedna do drugiej za pomocą szrub potężnych. Jedną z płyt tego rodzaju stanowiły piersi rycerzy polskich, niby skute w całość nierozerwalną. Druga płyta przedstawiała się pod postacią szwadronów, pchających się w różnej jeden od drugiego odległości w głąb gęstwiny wołosko-tatarskiej. Wojownicy w szwadronach tych mieli na sobie świty samodziałowe, nogi w łykach, przez plecy łuki, za grzbietem kołczany, na głowach sztyki, w rękach dąbczaki młode od korzenia krzemieniami nabijane i na słońcu suszone. Grzmocili dębczakami po łbach tatarskich i wołoskich, jakby cepami młócili, i pchali się. Aż się w końcu dopchnęli, rycerze polscy do nich, oni do rycerzy polskich, i na raz miecze i dębczaki opadły a ramiona się rozwarły.

Litwa wpław przez Prut przeszła.

Za przejściem jej, horda i półki Stefana-wody wykonały na polaków napad rozpaczliwy.

Nie powiodło się im jednak. Rozpacz nie dopisała. Wojska wołoskie i tatarskie rozgniotły się pomiędzy dwoma parciami i otworzyły do przeprawy przystęp.

Rotmistrz Czuryło strudzony, zjechawszy się na placu tej roboczej rozprawy z niemniej strudzonym królewiczem Zygmuntem, popatrzał mu w oczy z uśmiechem i rzekł:

— A co!..

— Ha!..—odparł królewicz.

— Nie spodziewałem się tego...

— Litwa...—odrzekł wnuk Jagiełły z akcentem chluby w głosie.

— Czołem też przed nią, mości książe... A teraz...

— Myśleć trzeba o przeprawie...— dokończył Zygmunt.

Przeprawa odbyła się spokojnie i w porządku po rzuconych na Prucie mostach. Wozy przeszły wszystkie; z wyjątkiem tych, które się w zamięszaniu połamały, lub których pachołkowie odbiegli. Nie został nawet wóz Ignacego. Idąca w tylnej straży piechota łanowa łącznie z chorągwiami tych województw, które maszerując od niej najbliżej, tem samem najdalej się od teatru popłochu panicznego znajdowały, i porwać się takowemu nie dały, skuteczny dawały odpór pokuszeniom tatarskim na pociągi. Niestety jednak, na lewym brzegu Prutu braki w szeregach rycerstwa okazały się ogromne. Nie stawiło się województw kilka całkowicie, inne w połowie, w trzech ćwierciach, itp. Ci to właśnie, co się nie stawili, znaleźli się potem na polach kotnarskich.

Nieobecność ich tryjumf w klęskę zmieniała.

Czekano na nich; oglądano się za nimi; dopytywano się o nich: Pogłoski, które we wielkiem, jak zwykle w razach podobnych, napływały mnóstwie, los ich w najczarniejszych przedstawiały kolorach, tworząc legendę o klęsce bukowińskiej. Pogłoski owe ci szerzyli którzy się przez lasy przedrzeć i wojsko ciągnące powoli lewym Prutu brzegiem doścignąc potrafili. Ci przesadzali w interesie własnym, opowiadali o zasiekach, o mordowaniu w czambuł, o wieszaniu się szlachciców za włosy na gałęziach, o okrucieństwach przez chłopów popełnianych. Opowiadania te stworzyły legendę polską różną od

wołoskiej i maskowały rzeczywistość, która okropną była, lecz inaczej. Znajdowały one wiarę śród polaków, nie jednakową atoli we wszystkich. Ogół wierzył, a członkowie onego, dostawszy się nareszcie na grunt ojczysty i rozwiązawszy się z węzłów, które ich w całość wojskową spajały, pośpieszali w progi domowe z opowiadaniami na ustach o okrucieństwach wołoskich.

W Haliczu, gdzie się dwór na odpoczynek jednodniowy zatrzymał, wojsko nie istniało już. Rycerstwo, które miasteczko napełniało, byli to już podróżni, z których jedni popasali, drudzy nocowali, a wszyscy kwapili się, ci do rodziców starych, ci do żon i dzieci, nie troszcząc się sprawami publicznemi jeno o tyle, o ile takowe osobistości ich dotykały. Ztąd do króla hetmana zgłaszała się, pod pozorem złożenia mu pożegnalnych atencyj, solicytantów liczba nie mała. A że król chory posłuchań udzielać nie mógł, i że władzę hetmańską reprezentował królewicz Zygmunt, do tego więc ostatniego garnęła się szlachta w przejeździe z żądaniami i prośbami o pamięć, o wstawienie się, o łaskawe niepominięcie przy rozdawnictwie wakujących i zawakować mających urzędów i starostw. Królewicz notował sobie to wszystko i obiecywał królowi przedstawić. Przyjmował wszystkich jednakowo, względnie i łaskawie, a z tym taktem poważnym, który go później na tronie odznaczał. Zajaśniały mu jednak oczy, wyrazem szczególnej uprzejmości i serdeczności, gdy ujrzał wchodzącego rotmistrza Czuryłę.

— A, mości Czuryło!... a mości rotmistrzu!..— przemawiał w oczy mu patrząc, za ręce go ściskając i obok siebie sadzając — jeżeli komu, to tobie należą się łaski królewskie...

Czuryło powoli dłoń podniósł i zlekka nią machnął.

— Bądź pewnym, że jak tylko jego królewska mość przystępnym będzie, nie omieszkam przypomnieć mu najpierwej waszmości...

— Nie po to ja do waszej książęcej mości..— zaczął Czuryło.

— Wiem, że nie po to...— przerwał królewicz, dłoń wyciągając. Waszmości jednak należy się nagroda...

— Nagroda najwyższa czeka na mnie pod strzechą moją domową... Ale — dodał pośpiesznie, widząc że królewicz replikę mu jakąś dać chce — przychodzę ja, ażeby z waszą książęcą mością pomówić o tych, co na Bukowinie zostali...

A!.. cóż?..— zapytał Zygmunt żywo.

— Nie chce się mi jakoś opowiadaniom wiarę dawać bezwzględnie...

— Myślisz więc waszmość?..

— Myślę, mości książę, że w opowiadaniach tych prawdy jest tyle — pokazał na paznogciu — a nieprawdy tyle...— zaznaczył na palcu.

— Hm...— zamyślił się książe. Cóż więc?

— Należałoby przekonać się i, jeżeli rzecz ma się inaczej, coś przedsięwziąć...

Królewicz się znów zamyślił i po chwili mówić zaczął:

Jego królewska mość chory — wyraz ostątni wymówił z przyciskiem — nie sposób z nim ani mówić... Nie pozostaje przeto, jak tylko dowiedzieć się i, mając już wiadomości pewne, przedstawić takowe królowi, gdy mu się polepszy nieco... Pytanie tylko—jak się dowiedzieć?..

— To rzecz najmniejsza...— podchwycił rotmistrz. Pojadę...

Królewicz rzucił mu w oczy spojrzenie, pełne zdziwienia i rozrzewnienia.

Czuryło wstał, zabierając się do odejścia.

— A nagrodaż twoja... pod strzechą?..— zapytał Zygmunt.

— Poczekam na nią... droższą będzie...— rzekł stary z uśmiechem.-Najprzód jestem obywatelem, a potem—małżonkiem i ojcem,..

Wiadomość o tem, że Czuryło, zamiast do Czuryłówki śpieszyć, na Multany wraca, gruchnęła wnet śród obecnych w Haliczu, nic sprawiając wrażenia wielkiego. Każdy zajętym był sobą, z drugiej znów strony, nie znajdywał się w tej chwili nikt z takich, coby na Multanach miał jakiś interes do załatwienia, interes, z powodu którego potrzebowałby do udającego się tam rotmistrza zgłosić. Nie zgłaszał się też nikt, z wyjątkiem jednego Ignacego. Ten przyszedł do niego na samem już wyjezdnem z miną zdradzającą tak dalece zakłopotanie, że pan Baltazar zapytał go pół żartem:

— Czy nie chciałbyś waszmość wprosić się do nas na towarzysza?..

— Czybym się przydał na co?..— podchwycił zapytany żywo.

— Jak piąte u woza koło...— wtrącił rotmistrz.

— A ja przecie miałbym coś wam, mości rotmistrzu, do powiedzenia...— zaczął młody człowiek; widząc zaś, że Czuryło do słuchania się nastawił, tak dalej ciągnął. Z obozu pod Suczawą zabrałem na wóz mój białogłowę jedną opuszczoną, w położeniu okropnem, wystawioną na los najstraszniejszy... Pod Czerniejowcami, w tym zamęcie jaki tam zapanował, wóz mój przewrócił się i ona przepadła...

— No?..— wtrącił rotmistrz.

— Przepadła, ale by ją może — z niejaką nieśmiałością, mówił Ignacy — odszukać można...

Pan Baltazar palec podniósł, obracał nim w powietrzu i świstanie udawał:

— Fiu... fiu... fiu...

— Cóż to za jedna?..— zapytał Czuryło, od niechcenia niby.

— Synowica wasza, mości rotmistrzu...

— Synowica moja?..— zawołał stary, brwi marszcząc i w tył się nieco podając. Jedną mam tylko... Marynę...

— To ona...

— Ta wyszła za węgra... Kierdeniego...

— To ta sama...

— Kierdeni znikł z Suczawy... Zkądże, jakim sposobem, na wozie u waszmości wziąć się mogła?..

— Spotkałem ją w obozie opuszczoną...

— Snadź, jak natura ciągnie wilka do lasu, tak ją do swoich, pociągnęła...— zauważył pan Baltazar.

— Hm... hm...— mruknął rotmistrz, na koń wsiadając. Dziwne rzeczy... w każdym razie, dziękuję waszmości i za staranie o synowicy mojej, i za wiadomość...

## XXV.

# ZEMSTA.

Czuryło, do Czerniejewiec przyjechawszy, założył tam pewien rodzaj głównej kwatery, w której ściągał informacyje, tyczace się losu szlachty. Na wiadomości prawdziwe czekał niedługo i niedługo namyślał się, co ma robić. Zdecydował się zakołatać wprost i od razu do hospodara, znajomego mu z tych czasów, kiedy Kazimierz Jagiellończyk posyłał na Multany wojska pomocnicze. Stefan, poznawszy wówczas wartość jego, ofiarował mu był, wraz ze stanowiskiem wysokiem, donacyją sutą .Rotmistrz liczył na wspomnienie to i, jak wiemy, przeliczył się. Powrócił więc do Czerniejewiec, posłał zawiadomienie o istotnym stanie rzeczy do królewica Zygmunta, sam pozostał, przewidując że obecność jego w pobliżu orzących na kotnarskiem polu, przydatną im stać się może, A nie ograniczał się na przewidywaniu samem. Czynił zabiegi celem pozyskania ludzi miejscowych dla spółziomków swoich nieszczęściem dotkniętych. Dzięki zabiegom tym zbiegowie — gdy się zbiegostwo rozpoczęło — znajdowali „nadspodziewanie" życzliwość i pomoc.

Zatrudniony czynnością tą miał rotmistrz dnie całe zajęte i dopiero wieczorem odetchnąć mógł swobodniej nieco. Na rycerskie jego barki była to praca ciężka, w której pomagał mu skutecznie pan Baltazar, obdarzony zdolnością i pogadania z ludźmi, i wypicia, i wybicia się w potrzebie. Ten umiał wyszukiwać ormijan mających gęsto

rozgałęzione w kraju stosunki, a zatem wielce przydatnych, ale nieznużonych w gadaniu. Rotmistrz upadał nieraz pod trudem dotrzymywania im placu; kiedy więc wieczór nadszedł, usiadał, plecami się opierał, głowę zwieszał i w tej pozycyi na wieczerzę oczekiwał.

Razu pewnego, podczas kiedy tak naprzeciwko pana Baltazara siedział, drzwi od izby nagle się otworzyły, próg przekroczyła postać jakaś niewieścia, i do nóg mu się rzuciła.

— Wszelki duch!... zerwał się rotmistrz.

— Stryju!..—zawołała klęcząca, dłonie do niego wyciągając.

— A... a... począł się stary jąkać.

— Nie odpychaj mnie, znękanej, o przebaczenie błagającej, poprawy pragnącej...

Wyrazy ostatnie zmiękczyły staremu żołnierzowi serce od razu. Zresztą do wizyty tej przygotowanym nie był zgoła; o powiedzeniu Ignacego na odjezdnem z Halicza zapomniał, a chociażby i pamiętał, tyle w czasie wojny niewiast się zaprzepaściło, iż nie wątpił, że los ten i Marynę spotkał. Wiedział o piękności jej i o łakomstwie tatarów na białogłowy. Synowica tedy spadła na niego całkiem niepodzianie, przemówiwszy zaś o pragnieniu poprawy, z góry go rozbroiła.

— No... no...—mówił, pod łokieć ją ujmując—zostań... usiądź...

— Stryju!.. przebacz!..

— Właciwie to... bąkał rotmistrz zakłopotany—ja bo... No... i cóż..

— Zbuntowałam się przeciwko ojcu i matce... ubliżyłam familii całej...

— Twój bo ojciec i twoja matka... Ale co tam!.. No, wstań-że, usiądź...

Przemocą prawie z klęczek ją podniósł i obok siebie posadził.

— Pragnę się poprawić, a błędy moje, grzechy, zbrodnie odpokutować...

— Zbrodnie... o... wtrącił Czuryło.

Maryna ciężko w westchęła i dodała:

— ... w murach klasztornych...

— A małżonek-że...ów Węgier?

Niewiasta twarz dłoniami zasłoniła i łzami się zalała.

— No?.. cóż?...—dopytywał rotmistrz. Rozmiłowałaś się w nim?.. po...

— Ja go nigdy nie miłowała!... ja go nie miłowała!.. Ja miłowałam... siebie... odpowiedziała niewiasta, wśród łkania. Zaślubiłam — własną moję pychę....

— Jakby to tam było, aleś go zaślubiła.., a powiedziano jest— niewiasta za mężem pójdzie...

— Ale go...—zaczęła z drżeniem febrycznem—nie ma... On, zapewne... nie żyje... Dla mnie nie masz schronienia, tylko... za kratą zakonną ...

— Poprawa za kratami, licha warta...—odezwał się pan Baltazar.

— Ot... poczekajno jeszcze... Na klasztor zawsze czas będzie... rzekł pan Czuryło. Ja ciebie nie odpycham... W Czuryłówce znajdzie się kącik, w którym będziesz mogła namyśleć się...

— I poprawić... dodał pan Baltazar.

Och! stryju!... och!... ojcze! .. dobrodzieju!.. — zawołała niewiasta do rąk staremu przypadając. Oh! wy nie wiecie... Ależ ja pierwej, nim próg domu waszego przestąpię, wyspowiadać się przed wami muszę, ażebyście później nie żałowali, żeście taką jak ja niewiastę pod strzechę waszę, pomiędzy dzieci wasze wprowadzili...

— A... nie...—odparł rotmistrz, rękę podnosząc i trzęsąc takową— nie potrzeba,.. nie... Nieszczęśliwaś, opuszczona... to dosyć... Masz postanowienie poprawić się... tem lepiej... W przypowieści o synu mornatrawnym, Chrystus nie powiada, ażeby ojciec miał się od syna spowiedzi domagać... Nie... Ot—tu zwrócił się do pana Baltazara— powiedz tam waszmość w gospodzie, żeby nam wieczerzy nieco przysporzyli i wina z żółtkiem a imbierem zagrzali..

— Ojcze!.. dobrodzieju!..—powtarzała Maryna.

— Daj już temu pokój... Odpocznij sobie i uspokój się...

Wkrótce potem wniesiono światło. Światło, acz niedostateczne, kagankowe, dostatecznie jednak oświeciło nędzę ostateczną, w jakiej się znajdowała Maryna. Odzienie na niej opadało, obwisając strzępkami, z pod których przeglądało ciało sczerniałe i koszula cienka, ale brudna; włosy, owe śliczne niegdyś włosy, spadały w kołtunach mierzwą i bodiakami napełnionych na wychudłe ramiona; na policzkach sterczały kości; nos się zaostrzył, oczy się wgłębiły; płeć zgrubiała;

oczy jednak zachowały oprawę klasyczną i blask źrenic, po których znawca mógłby poznać, że szkielet ten ze skórą obciągniony i prawie przerażający brzydotą, mógłby, przy danych warunkach, pięknością zajaśnieć.

Na wniesionie jadło rzuciła się łapczywie. Nie potrzebowała opowiadać dziejów cierpień głodowych, jakie przechodziła.

Rotmistrz kazał dla niej przyrządzić posłanie w izdebce, przylegającej do tej, którą sam zajmował i, przed oddaniem jej dobrej nocy, zagabnął:

— Czemużeś się nie trzymała woza Kapuzińskiego?...

— Bom się przelękła tatarów; biegłam na oslep, odbiegłam daleko i potem błąkałam się... bałam się ludziom pokązać... aż zgłodniała, musiałam do miasta wejść...

— I od dawna jesteś w Czerniejowcach?..

Od dziś od rana... Usłyszałam nazwisko wasze, stryju, i pytałam o was, aż się dopytałam...

— Spij-że spokojnie...

Usłuchała zalecenia tego. Zasnęła. Sen miała zrazu gorączkowy, ten jednak po północy zmienił się w posilny i zatrzymał ją w pościeli długo w dzień. Kiedy się obudziła, znalazła obok, na stołku, bieliznę czystą, odzież schludną, płótna na pół bielonego łokci kilka; opodal stała kadka z wodą letnią, a przy niej ręczniki, mydło i grzebień. O! z jakąż przyjemnością zrzuciła z siebie niezmieniane od wyjazdu z królem okrycie, z jakąż rozkoszą myła się od stóp do głowy i rozczesywała warkocze. A wciąż powtarzała:

— Stryj mój kochany... stryj mój drogi...

Obmyła się, odświeżyła, przebrała i nie wiedziała tylko, co znaczy płótno, wyraźnie na jej intencyją, podczas kiedy spała, podłożone. Wytłómaczył jej to rotmistrz, przynosząc nici, wosk, nożyczki i naparstek:

— Uszyj sobie koszul parę — były słowa jego, gdy do synowicy na dzień dobry wszedł — ażebyś miała na odmianę... To cię zajmie i korzyść ci przyniesie... Nie będziesz się przynajmniej w Czerniejowcach nudziła...

Marynie wstyd było przyznać się, że szycie, takich zwłaszcza rzeczy jak koszule, nie wchodziło w zakres posiadanych przez nią

talentów. Umiała ona dzierzgać, haftować, stroić się i gości bawić, umiała jeździć konno, z oszczepem gonić, umiała w tańcu się nosić i oczami czarować, ale — szyć?... a!... Jednakże, wzięła się do roboty i, jak zaczęła rozmyślać, miarkować, przystowywać a próbować, tak i myśli sobie rozerwała, i czas zaprzątnęła, i szycia się nauczyła.

Zajęło to czasu dni kilka.

Kiedy sobie koszule poszyła:

— A no... — rzekł rotmistrz — żebyś z założonemi nie siedziała rękami, zrób niespodziankę jejmości mojej i obłataj nas... Obdarliśmy się: ja, pan Baltazar i pachołkowie...

— Mój stryju!... — odparła głosem wdzięcznością nabrzmiałym.

I Czurylanka, owa Czurylanka, co o tronach marzyła, a na tronie gotową była, dla tonu i szyku, kądziółkę toczoną za pasek włożyć i w przędzenie się bawić, ta Czurylanka, z uczuciem wdzięczności, pachołkom chołosznie reperowała.

Poprawa, jest to rzecz przystępna i możliwa: takiem jest zdanie naszę.

Maryna tedy poprawiała się, rotmistrz zaś urządzał i na coraz to większą skalę rozwijał etapy dla zbiegów, którzy się też niebawem pojawili, zrazu w mniejszej, następnie w większej i coraz to większej ilości. Spadło na starego żołnierza czynności huk, zabierającej mu dnie i noce. I w największym czynności tej rozpale, przybiega goniec od Stefana-wody, z zawiadomieniem, czy też z rozkazem, odnoszącym się do „tych upartych:“

— Zabierz ty ich sobie...

Rotmistrz, w kwadrans po otrzymaniu pozwolenia tego, siedział już na koniu, zostawiając na gospodzie w Czerniejowcach wóz i Marynę.

Nieobecność jego trwała dni cztery. Maryna wyglądała powrotu jego z niecierpliwością i niepokojem; z niecierpliwością — czuła bowiem do starego stryja przywiązanie, które w niej dobroć jego wyrobiła, z niepokojem—lękała się bowiem, czegoś, jak lękać się zwykł człowiek na bezdrożu, którego przewodnik opuści. Powrócił nakoniec, nad wieczorem jakoś. Zerwała się, chcąc go przywitać, lecz się wstrzymała. Usłyszała czyjś głos obcy. Ucho nadstawiła. Głos ten nie był jej nieznanym: gdy się odzywał, budził w niej

wspomnienia. To ją zafrapowało. Pobiegła myślą wstecz, zbierając w pamięci ludzi, co w zamku ojcowskim przed oczyma się jej przesunęli i nie skończyła jeszcze tej pracy pamięciowej, gdy wszedł stryj.

— No... — rzekł — skończyło się wszystko pomyślniej, jak się spodziewać było można... Za dni parę, jedziemy...

— A toś kto, stryju, z wami przybył?...

— Zabrałem towarzysza, co w chorągwi mojej służył, nazywa się Maciej Kołtun...

Nazwisko te, zupełnie Marynie nie znane, nic jej w pracy pamięciowej nie pomogło.

— Dobry żołnierz...—ciągnął rotmistrz—i dobry snać człowiek, przywiązał bowiem do siebie niewiastę jakąś, jemu samemu nieznaną która go podczas tego utrapionego orania na krok nie odstępowała... Zmęczył się biedak i siły nadtargał... Ciężkoż bo był porąbany i pokłuty... pod Suczawą...—omal że nie powiedział przez kogo, lecz się za język ugryzł. Chciałem go wziąć ze sobą, na rok jaki, ażeby w Czuryłówce wydychał się, ale wymówił się... Ha! wolnemu wola, spasenomu raj... Prosiłem... zmuszać nie mogę...

— A taż niewiasta?.. — zagabnęła Maryna, pobudzona zwykłą u płci pięknej ciekawością.

— Uboga jakaś... Zdawało się nam zrazu, z panem Baltazarem, że mu się odwdzięcza za jałmużnę, ale się Kołtun do jałmużny nie przyznaje... Ciągnęła za nami zdaleka.

Maryna nie dowiedziała się od stryja niczego. Tajemnica znanego głosu odkryć się miała w spotkaniu dopiero.

Spotkali się i wpatrzyli jedno w drugie.

Wpatrzyli się i poznali.

Kołtun oczy spuścił. Maryna zadumała się.

— Ten Kołtun, toć przecie nie Kołtun...—pomyślała sobie. To ten, o którym stryj do rodzica mego pisał... italczyk... który znikł był z zamku na dni kilka przed...

Odżył jej w pamięci turniej improwizowany, przypomniała sobie zaloty, zabawy, sny złote, rojenia świetne — westchnęła. Nie zaczepiała jednak rycerza przy stryju, chciała się pierwej ze stryjem o nim rozmówić, mianowicie zaś, o kołtuństwie jego się rozpytać Jakim cudem, italczyk, przyjaciel Borgiów, Medyceuszów, zaufany

papieża, w Kołtuna się zmienił? Ale rotmistrz chwili swobodnego czasu nie miał. Albo się znajdował za domem, albo też w domu otaczali go szlachcice, przybywający z interesami. Ustawicznie ktoś był. Maryna w izdebce swojej, kończąc łatanie bielizny, czekała na chwilę sposobną.

Na czekaniu upłynął dzień do wieczora. Nazajutrz od samego rana ponowił się gwar wczorajszy. Jedni przychodzili, drudzy wychodzili. O uszy Maryny obijały się rozmowy wszystkie, kręcące się około przedmiotów jednych i tych-że samych. Ten chciałby perki, ów grosza nieco, inny rozpytywał o drogę, brał informacyją, zasięgał rady. Jedno i jedno szło bez końca, obracając się jak koła młyńskie: tér tér tér tér... Maryna już i uwagi nie zwracała, gdy nagle uwaga jej zafrapowaną została okrzykami zdziwienia i oburzenia, wydawanemi przez stryja, przez pana Bąltazara i przez wszystkich w tej chwili obecnych:

— A niegodnie!.. A łotrem ostatnim być potrzeba!..

— Miałem racyją...—dominował pana Baltazara głos—mówiąc, że mu z oczu źle patrzy!..

Maryna wyjrzała. I cóż zobaczyła? Dorobańce wołoscy, przed gospodą, podtrzymywali chwiejącego się na nogach Kołtuna, pobitego i pokrwawionego, a szlachcice łącznie z pachołkami rotmistrza oblewali wodą leżącą na ziemi zsiniałą niewiastę.

Maryna wyszła.

— Co to?.. co?..—zapytała pierwszego lepszego.

— Tego łotra — odrzekł zapytany, na Kołtuna palcem ukazując—przydybali dorobańce w zaułku, jak ją dusił... I byłby udusił, gdyby mu jej byli z rąk nie wydarli...

— Godziłoż się to?.. — odezwał się rotmistrz podchodząc do eksmnicha. Godziłoż się odwzajemniać jej tak za dobre?..

Za stryjem podeszła i Maryna.

— To dla niej!..—wybuchnął nagle Kołtun, wyciągając ku Marynie rękę. Dla niej chciałem się od tej odczepić!.. Dla niej... cha cha cha!.. —zaśmiał się szatańskim śmiechem i dodał, jakby sam do siebie mówił: — Chodziłem za nią, ta chodziła za mną... Doszedłem śmierci Kierdeniego, ją spotkałem... błysnęła mi nadzieja... ta — tu oczami ukazał na oprzytomniałą już, siedzącą i błędnym wzrokiem

dokoła rzucającą prześladowczynię swoję — nie odstępowała mnie na krok... Nie znam wyrzutów sumienia, ona mi wyrzutem była... Oh!..

Zębami zgrzytnął.

Maryna w osłupieniu słuchała, zrozumiawszy jeno słowa, odnoszące się do śmierci Kierdeniego. Obecni tej scenie, nic nie rozumieli. Domyślali się obłąkania.

Jeden z dorobańców przystąpił do rotmistrza.

— Co z nim robić?..—rzekł. Zdaje się...

Pokazał sobie palcem ną czoło, z giestem potwierdzającym domysł szlachty.

— A cóż!..—odrzekł rotmistrz, ramionami ruszając.

Dorobańce, po krótkiej pomiędzy sobą naradzie, odstąpili Kołtuna, zostawiając go przed gospodą.

Maryna usunęła się do izdebki i drzwi za sobą zamknęła.

Kołtun postał przez chwilę z głową spuszczoną, jakby się namyślał; nagle ramionami ścisnął, westchnął głęboko, ręką machnął, zwrócił się i powlókł chwiejnym krokiem pierwszą ulicą, jaka od gospody wychodziła.

Niewiasta przez cały ten czas patrzała na niego, a gdy on się zwrócił, podniosła się i poszła za nim.

O scenie tej, niezrozumiałej dla wszystkich, co rotmistrza w tej chwili otaczali, pogadano i, zapewne, gadanoby o niej dłużej, gdyby o czem ważniejszem do gadania nie było. Pierwszy, który o furce, czy też o czemś innem wspomniał, wytrącił ją z uwagi. Zajęto się swojemi sprawami i zajęto rotmistrzowi czas do wieczora. Nie myślano ani o nieznajomej, ani o Kołtunie, z wyjątkiem Maryny, na której zdarzenie to głębokie sprawiło wrażenie. Przypomniała sobie, że ów eks-towarzysz z chorągwi jej stryja, jestto jeden z tych dwu jej wielbicieli, których ona śród tłumu wybrała. Mimo to, pojąć nie mogła, co słowa jego znaczyły, dlaczego on „dla niej“ zadusić chciał żebraczkę, do znajomości z którą przyznawać się wzbraniał, a która za nim chodziła. Zdarzenie to, w kształcie zagadki nierozwiązalnej, zapadło jej w umysł, zajmowało ją do wieczora, prześladowało w nocy i krążyło jej w myśli nazajutrz, gdy na wozie stryjowskim w podróż się puściła. Wóz się toczył, ona, spoglądając po okolicy, myślała o italczyku, o turnieju, o Kołtunie, o żebraczce;

przewidywali się jej w przechodniach, jakby przeczuwała że ich jeszcze zobaczy i—zobaczyła ich w rzeczy samej.

On szedł skrajem drogi, kijem się podpierając; postawa jego była znękana, głowę pochylił i powłóczył nogami; ona postępowała za nim.

Marynę trwoga nawskróś przejęła. Zasłoniła się chustką, wóz się mimo idących przetoczył. Kołtun głowy nie podniósł, okiem na jadącą nie rzucił.

I ta nigdy już w życiu nie zobaczyła go więcej.

Po dniach kilku podróży, odbytej bez wypadku, pomimo krążących o tatarach i wołochach wieści, stanęła w Czuryłówce, przed dworem szlacheckim o słomianej strzesze, o szerokim kominie, o małych okienkach, z lipą na podwórzu, z żórawiem przy studni i z bocianiem gniazdem na dachu. Rotmistrz, który konno podróż odbywał, wyprzedził ją z noclegu ostatniego. Na powitanie jej, bocian zaklekotał i dziatwa się wysypała z okrzykami uprzejmemi. Za dziatwą wyszła pani Czurylina, ze śladami łez na policzkach i z radością wielką w oczach. Z bryczki ją wysadzili, obcałowali, otoczyli i do świetlicy wprowadzili. Uprzejmość ta wzięła jej—jak to powiadają—serce w kręgi, do głębi duszy rozrzewniła. Marynie łzy się polały, złożyła stryjence głowę na piersiach i, w duszy się śmiała, a oczami płakała. Pani Czurylina tuliła ją do siebie, przemawiając do niej:

— Dziecko moje...

Ale gdzież rotmistrz?

— Gdzie stryj?.. dawno przyjechał?..—zapytała.

— O! czasu już kawałek... poszedł na gumno... gospodarstwo obchodzi... Nie widać jak przyjdzie, musi bowiem wiedzieć żeś przyjechała, a kazał z jedzeniem na ciebie czekać...

Jakoż niebawem okrzyki dzieci zwiastowały przyjście rotmistrza.

Maryna rzuciła się stryjowi w objęcia i do kolan się mu osunęła.

On ją dźwigał i powtarzał:

— No nic... no nic... uspokój się... no nic... Ta że bo dosyć już

tego... Przyjmujemy cię pod strzechą naszą sercem szczerem... Tu poznasz życie z innej strony...

Rzeczywiście. Życie z innej strony przedstawiło się Marynie. Od pierwszego w progi czuryłowieckie wstąpienia, otoczyła ją atmosfera jakaś orzeźwiająca, czysta, zdrowa, atmosfera cnoty i pracy, przenikająca na wskróś, a działająca jako prezerwatywa i zarazem jako antidotum na trucizny wszelkie. Maryna wplotła się w to życie, w którem znalazło się dla niej wnet i miejsce i zatrudnienie. Wplotła się, niby kwiat we wianek. Rano wstawała, wcześnie spać szła, i zrazu stryjence pomagała, następnie zaś sama już wiedziała co i jak robić, ażeby być tak sobie i drugim pożyteczną, iżby o każdym do ust niesionym chleba kawałku powiedzieć można: zapracowany.

Na drodze z Czerniejowiec do Czuryłówki rozmyślała o życiu tem, nastrajając się niejako do niego. W nastroju owym, jako punkt wychodni brała postanowienie wyspowiadania się przed stryjenką, i układała sobie opowiadanie przygód życia własnego, starając się odgadnąć z góry wrażenie, jakie to na stryjence, kobiecie prostej, sprawi.

— Trzeba przejść przez to... — mówiła sobie. Trzeba poprawę od szczerego wyznania grzechów i błędów rozpocząć...

Postanowienie to chwalebne okazało się zupełnie niepotrzebnem, niepotrzebnem i zbytecznem nawet, a to dlatego, że tak życie biegło, iż na gawędzenie o przygodach styczności z niem nie mających, czasu nie było. Do gawędzenia treść znajdowała się w życiu samem, treść rozpadająca się na dwa rodzaje: prywatny i publiczny, albo też powszedni i odświętny. Do pierwszego należały przedmioty domowe, tyczące się gospodarstwa w polu, w ogrodzie, w czeladnej, w kuchni; do drugiego przedmioty odnoszące się do spraw powiatowych, ziemskich, wojewódzkich i krajowych, do stosunków sąsiedzkich, do wypadków zaszłych w okolicy bliższej i dalszej. Sąsiedzi odwiedzali Czuryłówkę często. Wszystko to tak się pod strzechą rotmistrza układało i wiązało, że Maryną spowiedzi swojej pomiędzy ogniwa tego nowego życia wetknąć w stanie nie była. W długie nawet zi-

mowe wieczory, przy kądzieli i wiązaniu sieci, gadało się o czemś lepszem.

Niemożność ta wyspowiadania się pochodziła głównie — wyznać należy—od pani Czuryliny, od tego że ona ciekawości nie okazywała najmniejszej, że nie wyzywała, zachowując się względem synowicy mężowskiej tak, jakby przeszłość jej nie istniała dla niej wcale. A przecież od męża wiedziała ona tyle co i on, to jest tyle właśnie, ile potrzeba na rozpalenie ciekawości niewieściej w zarzewie, zdolne węgiel na dyjament stopić. Wiedziała ogólnie, że Maryna miała w życiu skandale i, nie bez gustu może, słuchałaby o takowych, gdyby nie dzieci. Pani Czurylinie wydawało się, że samo o skandalach opowiadanie, zatrułoby powietrze, którem dzieci jej oddychają. Dla tego to, jako matka, odniosła nad sobą największe zwycięztwo, jakie kobieta odnosić może—stłumiła w sobie ciekawość, a przez to wyświadczyła ogromne Marynie dobrodziejstwo, spychając jej spowiedź z porządku życiowego, jak się spychają w parlamentach z porządku dziennego przedmioty uznane bądź za bezużyteczne, bądź za szkodliwe. A ponieważ nie było spowiedzi, więc nie było i morałów; a ponieważ nie było morałów, więc nie istniała żadna racyja, którąby w umyśle grzesznicy rozbudzić mogła wątpliwość we względzie prawdziwości takowych. Morały zastępowała całkowicie praktyka życia, rozwijająca się w przykładach, które, zabijając w Marynie pierwiastki złego za pomocą tłumienia onych w milczeniu, przetwarzały ją na kobietę zdrową, przerabiały na istotę pożyteczną, poprawiały ją z gruntu.

Moralizowanie, zdaniem naszem, przyrównać się da do medycyny, przykłady — do hygieny.

Pod wpływem przykładów dobrych upływał Marynie w Czuryłówce czas szybko. Ani się spostrzegła jak przeminęła zima, przeminęła wiosna, przeminęło lato i nastała jesień następna. O przeszłości własnej, o rojeniach chorobliwych, o królach, hetmanach, rycerzach zapomniała prawie, kiedy wspomnienie o tem wszystkiem wywołało w niej przybycie do Czuryłówki gościa niespodzianego. Gościem tym był Ignacy Kapuziński, ale nie sam — z młodą żoną, z ową Maryną białoskórniczanką, o której razy parę wzmiankowaliśmy w ciągu opowiadania niniejszego. Pobrali się świeżo i Ignacy

pośpieszył ze złożeniem winnej atencyi swemu niegdyś rotmistrzowi. Spotkanie się jego z Maryną wywołało konieczne w razach podobnych przypomnienia. Ignacy zagabywał to o to, to o owo; Maryna zbywała go ni tem, ni owem; aż wspomniał o Kołtunie i wprawił ją w zadumę. Zamilkła; zapadło jej w myśl zapytanie: co się z nim stało?

— Z nim—i z tą niewiastą?...

Gdyby zapytanie to powiedziała, nikt by jej na nie odpowiedzi dać nie umiał.

A w tej właśnie chwili kończył się ostatni akt dramatu, rozpoczęty w Czerniejowcach, zkąd, jak wiemy, Kołtun wyszedł zbity, znękany, znękany na duchu i na ciele. Za nim wyszła i prześladowczyni jego. I tak szli, wlekli się powoli, on przodem, ona z tyłu; szli w ten sposób tak długo, aż on na siłach opadł. Wówczas niewiasta, ramię mu podała i towarzyszyła mu dalej. I znów szli— tak mijały dla nich dni, tygodnie, miesiące; ona żebrała i z nim się dzieliła, a na zimę okryła go i nogi mu poobwijała uzbieranemi po drodze łachmanami. Zimę spędzili, jak tę porę roku żebracy spędzają: częścią u ludzi miłosierdnych, częścią w drodze. Była to, jak dzieje głoszą, zima niesłychanie ostra: musiała też oddziałąć na Kołtuna, po przejściu jej bowiem zaprzestał powtarzać niewieście jednych i tychże samych zawsze słów:

— Odczep ty się odemnie...

Słów, na które ona zawsze jednakim milczeniem odpowiadała.

Zaprzestał też kierunek drogi obierać i dał się jej prowadzić.

Wiosna zaskoczyła ich za Lublinem, podążających ku północy. Gdy przewodnictwo na niewiastę przeszło, ta zmieniła kierunek w sensie wręcz przeciwnym, zwróciła się ku południowi. Wędrówka odbywała się powoli i coraz to powolniej, z powodu coraz to większego opadania na siłach Kołtuna. Często spędzali po dni kilka gdzieś w polu, w lesie, pod płotem, lub pod dachem miłosierdnego człowieka. Ona żywiła go, wodą mu głowę okładała, czuwała nad nim i modliła się. On się dawał jej prowadzić; dawał się prowadzić powoli, ale coraz to dalej i dalej ku południowi, na podgórze, w góry nakoniec, wreszcie w wąwóz, który się niekiedy rozszerzał w doliny i w którym tu śród kamieni, ówdzie śród łąk płynął szpar-

ko strumień górski, toczący wody swoje ku Wiśle. Był to San Przewodniczka prowadziła schorzałego i znękanego Kołtuna w górę onego, czuwając nad nim coraz to troskliwiej, a modląc się coraz to goręcej. I doprowadziła go aż do zródlisk, i wprowadziła na wzgórze, gdzie śród jam, dołów, nasypów, belek zwęglonych, kamieni okopconych i szczątków muru, porastały gęsto chwasty różnego rodzaju. Tam oblicze jej radością zajaśniało. Posadziła Kołtuna na kamieniu, sama zaś na kolana upadła, dłonie złożyła, do nieba je wzniosła i z wyrazem dziękczynnym w oczach, mówić poczęła:

— Panie, dzięki ci! wysłuchałeś prośby mojej.., Przedsięwzięłam zemscić się i oto... spełniło się... Chciałam odszukać go, odszukałam przy pomocy twojej; chciałam go zagryźć i serce mu wydrapać z piersi pąlcami mojemi, nie dopuściłeś tego, o Panie!... natchnąłeś mnie inaczej... Doprowadziłam dzieło zemsty do końca.. Rodzicu mój, siłaczu sławny! rodzicielko moja, gołąbko cicha! bracia moi, sokoły młode! siostry moje serdeczne! pójdźcie tu, pójdźcie wszyscy... wyjdźcie na spotkanie oblubieńca córki waszej i siostry waszej... wyjdźcie, otoczcie nas wieńcem twarzy wesołych i wyrazów żartobliwych, wyrazów, od których bym oczy spuścić i na licach pokraśnieć musiała...

Pozostawała czas jakiś w ekstazie, jakby oczekując w milczeniu na wyjście wywołanego grona. Wiatr jesienny szumiał w lesie i rozlegał się w dali łomot śród drzew, jakby w rzeczy samej wyzwane postacie kroczyły, spiesząc ze stron wszystkich. Przez chwilę czekała, nagle z klęczek się zerwała, i chwytając Kołtuna za rękę, zawołała tonem rozkazu.

— Chodź!..

Poprowadziła go niedaleko — pod rozłożysty buk, pod którym na ziemi widzieć się dawała wypukłość niewielka, mająca pozór narości zielskiem dzikiem porosłej. Zatrzymawszy się przed wypukłością tą, palcem mu na nią ukazała i rzekła:

— Tu klęknij, i pomódl się...

Kołtun spojrzał na nią z ukosa, zatrzymał na niej wzrok przez chwilę, wkońcu zaśmiał się szydersko.

— Klęknij i pomódl się...— powtórzyła.

Otrzymała odpowiedź tęż samą.

Nie powtórzyła żądania po raz trzeci, lecz, do ziemi przypadłszy, grzebać ją palcami poczęła, czyniąc to w ten sposób i z takim pośpiechem, jak psy, gdy je z łona ziemi woń im miła doleci Grzebała dosyć głęboko i nie ustała, aż się dogrzebała do dna nasypu, oczyściła takowy, podniosła się i, stając naprzeciwko Kołtuna, wezwała go:

— Patrz...

Kołun zajrzał. W głębi dołu leżał kościotrup dzieciątka, niedłuższy jak ręka dojrzałego człowieka od końca palców do łokcia. Podniósł oczy i rzekł obojętnie:

— Myślałem, żeś skarb tatka tu zakopała...

— To twój syn... — odrzekła żałośnie.

— Syn mój?..— zapytał tonem, od którego zimnem powiało.

— Pomódl się w obec zwłoków jego...— odezwała się prośby tkliwej tonem. Pożal się nad sobą samym, żalem odkup duszę własną...

— Dusza moja odkupiona... — podchwycił — i grubom za to zapłacił... Gdyby nie to...

Machnął jedną ręką ku ruinom, drugą nad grobem, jakby zapomocą giestu tego powiedzieć chciał, iż, ani zamku w ruinach, ani pod bukiem grobu by nie było.

Niewiasta nic na to nie odrzekła. Po chwlli dołek zasypywać poczęła, a gdy skończyła, usiadła obok i w zadumie się pogrążyła.

Po drugiej stronie, usiadł Kołtun. Stękał, pojękiwał i od czasu do czasu kaszlem, który go z zimy jeszcze napadł, zachodził się. Położył się.

— Wody?..— zapytała niewiasta.

— Nie...

— Chleba?..

— Nie...

Przewracał się i posuwał, jakby szukał ułożenia się wygodnego; osunął się nareszcie tak, że głowę na świeżym nasypie położył.

— Ha...— stęknął — tak dobrze...

Oddychał ciężko, wyciągał się, stękał do północy, nad rankiem uspokoił się, zasnął i... nie obudził się już więcej.

Zasnął na wieki.

Niewiasta pogrzebała go na temże samem miejscu, tak że grób jego i grób syna jego przybrały kształt litery T. Sama zaś nie odchodziła już ztamtąd. Juhasy, których zawsze ciekawość ciągnęła w tę stronę, odnaleźli ją i wielce się uradowali powrotem panienki Salusi. Odnowili dla niej mieszkanko śród rumowisk, donosili jej po dawnemu mleka, sera i chleba owsianego, odwiedzali ją niekiedy z żonami i dziećmi, z czasem zaś jeden z nich kolibę sobie postawił; tego jednego naśladował drugi, drugiego trzeci i około rumowisk zamkowych stanęła osada, która, bodaj, czy po dziś nie istnieje. Istnieje zapewne, tylko nie wiadomo która: podanie bowiem o szlachcicu siłaczu i o dziewięciu synach przez pojedynczego pomordowanych człowieka straciło, z upływem wieków, charakter ściśle lokalny. Odnoszą je do miejscowości to tej, to owej, przenoszą to dalej, to bliżej, przerzucają nawet za góry, na stronę węgierską, i upiększają ozdobami z waryjantami bez końca. Takim jest los wszystkich podań, w ustach ludu przechowywanych.

KONIEC.

# SPIS RZECZY.



Koniec.